MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 1 kwietnia 2018 nr 14 (3586)
cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

- Boniecki
- Jagielski
- Goc
- Tokarczuk
- Koziołek
- Stasiuk
- Hołownia
- Bóg chodzi boso
- Kulisy procesu Jezusa
- Wiara plemienna
- Światy bizarne
- Dobry jak łotr
- Pożytki z postu
- Kraina diamentów

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
14
9 770041 480802

REKLAMA

Gen pomagania

Firmę i jej sukces tworzą ludzie a pomaganie leży w ludzkiej naturze. W BP wierzymy, że prawie 4000 osób tworzących w Polsce firmę BP i setki tysięcy codziennie obsługiwanych klientów ma społeczną odpowiedzialność zapisaną w genach. Naszą rolą jest jak najlepsze połączenie możliwości, jakie daje korporacja, z naturą skłonną do pomocy i realnymi potrzebami. A odpowiedzialność zwiększa się z każda inwestowaną złotówką. W ciągu 25 lat BP zainwestowało w Polsce $ 1,5 mld i odprowadziło do budżetu państwa z tytułu podatku VAT, akcyzy i podatku paliwowego 15 mld zł. Odpowiedzialny biznes to mądre zarządzanie firmą, począwszy od kwestii kadrowych, poprzez finansowe, prawne, produkcyjne czy w końcu handlowe i marketingowe. Wartości firmy nie ocenia się, patrząc jedynie przez pryzmat zysków, ale również wpływu na innych.

Od ponad 25 lat BP konsekwentnie wprowadza program odpowiedzialności społecznej poprzez współpracę z organizacjami, które działają na rzecz harmonijnego rozwoju społeczności. Wprowadziliśmy na rynek polski innowacyjne rozwiązania - byliśmy pierwsi, którzy, połączyli biznes z działaniami społecznymi. Wyboru akcji, w które angażuje się BP, dokonali Polacy. BP zaangażowane jest w 6 ogólnopolskich programów z 5 partnerami: TOPR-em, Stowarzyszeniem SIEMACHA, Stowarzyszeniem WIOSNA ze Szlachetną Paczką i Akademią Przyszłości, Polską Akcją Humanitarną z Pajacykiem i Hospicjum im. św. Łazarza z Polami Nadziei (wszystkie dostępne również dla naszych klientów poprzez możliwość oddawania punktów PAYBACK).

Obszary zaangażowania BP:

1. **Akcje pomocowe dla naszych pracowników i ich rodzin**
2. **Kultura organizacji i programy wspierające pracowników w ich zróżnicowanych potrzebach**
3. **Promocja mądrej pomocy**
4. **Włączanie partnerów w marketingowe i operacyjne akcje firmy**
5. **Dzielenie się know how i budowanie narzędzi pomagania wspólnie z partnerami społecznymi**

W ramach współpracy z Wiosną, PAHem, SIEMACHĄ, Hospicjum im. Św. Łazarza i TOPR em wspieramy działania w górach, w szkołach, w domach, w hospicjach i halach sportowych, wszędzie aktywując gen pomocy.

bp

3 statuetki Dobroczyńcy Roku

25 lat pomocy – ponad 10 mln dolarów

6 programów społecznych

AKADEMIA PRZYSZŁOŚCI

szlachetna PACZKA

Pola Nadziei

Stowarzyszenie SIEMACHA

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

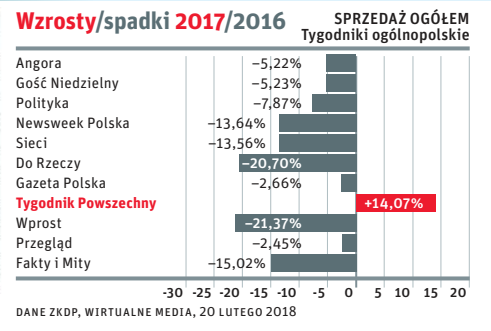

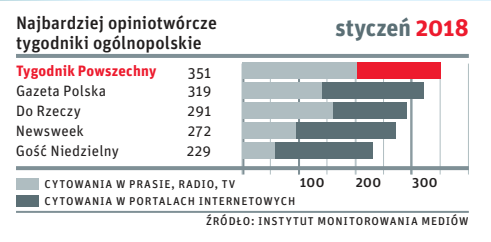

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:
0000125605
Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Ks. Adam Boniecki
redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta
członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska
członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski
redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

Fragment fresku w bazylice św. Katarzyny Aleksandryjskiej, Galatina, Włochy, XV w.

KS. ADAM

Boniecki: *Moje życzenia świąteczne*

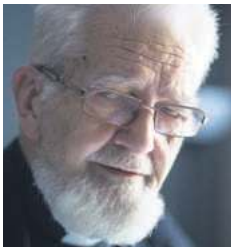

Dlaczego chcieli Jego śmierci? Co im tak bardzo przeszkadzało?

Uważali, że bluźni: „Jesteś tylko człowiekiem, a uważasz się za Boga" (J 10, 33). No i nie szanował szabatu. Kiedy inni cieszyli się i zachwycali uzdrowieniami, oni zauważali tylko, że uzdrawiał w szabat.

A może chcieli Go wypróbować? Może wyczytali to w Księdze Mądrości: „Dotknijmy go obelgą i katuszą, by poznać jego łagodność i doświadczyć jego cierpliwości, zasądźmy go na śmierć haniebną, bo – jak mówił – będzie ocalony" (Mdr 2, 19-20). I jeszcze: „Bo jeśli sprawiedliwy jest synem Bożym, Bóg ujmie się za nim i wyrwie go z ręki przeciwników" (Mdr 2, 18). Tylko dziwne, że nie wzięli do siebie znajdującego się w tym samym świętym tekście ostrzeżenia: „Tak pomyśleli – i pobłądzili, bo własna złość ich zaślepiła. Nie pojęli tajemnic Bożych..." (Mdr 2, 21-22).

Może chcieli się Go pozbyć dlatego, że wnikliwie krytykował hipokryzję, duchowych przywódców narodu: „Czyńcie i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać" (Mt 23, 3-5). To było o nich.

Myśl o pozbyciu się Go z biegiem czasu stawała się coraz wyraźniejsza. Lansowali ją faryzeusze i uczeni w Piśmie. Nie wszyscy i nie tylko oni. Łukasz zanotował, że „w tym czasie przyszli niektórzy faryzeusze i rzekli Mu: »Wyjdź i uchodź stąd, bo Herod chce Cię zabić«" (Łk 13, 31). A więc i Herod także...

A może decydujące było to, co głośno wypowiedział Kajfasz, zwracając się do Wysokiej Rady. „Arcykapłani i faryzeusze zwołali Wysoką Radę i rzekli: »Cóż my robimy wobec tego, że ten człowiek czyni wiele znaków? Jeżeli Go tak pozostawimy, to wszyscy uwierzą w Niego, i przyjdą Rzymianie, i zniszczą nasze miejsce święte i nasz naród«. Kajfasz, który w owym roku

był najwyższym kapłanem, rzekł do nich: »Wy nic nie rozumiecie i nie bierzecie tego pod uwagę, że lepiej jest dla was, gdy jeden człowiek umrze za lud, niż miałby zginąć cały naród«" (J 11, 47-50). A więc racje polityczne, patriotyczne, strategiczne.

W tym kapłańskim gronie nie pytano, kim naprawdę jest Jezus. Może nawet Go podziwiali, ale od podziwu mocniejsza była obawa, że „wszyscy uwierzą w Niego" i że „przyjdą Rzymianie". Obawa o instytucję i system, który, lepiej lub gorzej, jednak mieli pod kontrolą. Gigantyczny system religijno-prawnych przepisów służył temu, by wszystko mieć pod kontrolą. Miarą religijności była wierność przepisom. Chcieli, żeby „człowiek był dla szabatu", a nie, jak uczył Jezus, odwrotnie: szabat dla człowieka. Ten system wzmacniał znaczenie i władzę instytucji, ale nie trafił do serc. Zastanawiające, że i dziś mówi o tym – w „*Evangelii gaudium*" – Franciszek. Przypomina: „św. Tomasz z Akwinu podkreślał, że przykazania dane ludowi Bożemu przez Chrystusa i przez Apostołów »są bardzo nieliczne«. Cytując św. Augustyna, zauważał, że w przykazaniach dodanych później przez Kościół należy przestrzegać umiaru, »aby życie wiernych nie stało się zbyt uciążliwe« oraz aby nie przemienić naszej religii w niewolę, skoro »miłosierdzie Boże chciało ją mieć wolną«".

Od Soboru Watykańskiego II toczą się spory o granice możliwości rewizji tych „dodanych później przez Kościół" elementów.

Może Kajfasz myślał o tym, co po przyjściu Mesjasza stało się ze świątynią? Co z kapłanami i z jego urzędem arcykapłana? Co z jego władzą? Oczekiwanie na Mesjasza było już oswojone, ale jego rzeczywiste przyjście?

Wtedy motywem wydania Jezusa na śmierć był strach. A teraz? Dziś, co prawda, mało kto, lub zgoła nikt, nie walczy z samym Jezusem. Teraz walczy się z jego Kościołem. Z obawy przed wpływem na myślenie społeczeństwa i kształt państwa? Z obawy przed sojuszem ołtarza z tronem? Stąd postulaty rozwiązania konkordatu, wyeliminowania z przestrzeni publicznej wszystkiego, co o Nim przypomina. To zresztą w różnych miejscach świata się nawet udało. Niezupełnie jednak, bo istnieją chrześcijańskie wspólnoty. Kościoły zniszczone administracyjnie lub rozmyte praktycznym materializmem odradzają się i mądrzejsze o tamte doświadczenia dziś od nowa podejmują pytanie o ich miejsce w tym konkretnym świecie – takim – jaki jest obecnie.

W święto upamiętniające Zmartwychwstanie Jezusa życzę wszystkim chrześcijanom, żeby na nowo odczytali słowa Mistrza, który nie chciał, by jego uczniowie byli przywódcami narodów (poddającymi innych ludzi „swojej władczej woli"), lecz chciał, by ich wielkość polegała na służeniu innym (por. Mt 20, 25-28).

Życzę nam, chrześcijanom, byśmy uwierzyli, że dla nas właściwymi miejscami nie są miejsca pierwsze, lecz ostatnie.

Byśmy, w imię dobra czy bezpieczeństwa naszych instytucji, nie dawali się wrabiać w uzależnienie od jakiejkolwiek ideologii czy politycznej strategii.

Byśmy uwierzyli, że dobro instytucji – nawet ważnych i użytecznych – nie jest dobrem najwyższym, że o trwaniu Kościoła decyduje nie bezpieczeństwo materialne, ale wierność Ewangelii.

Byśmy dostrzegali działanie Boże także poza wyznaczonymi przez nas granicami norm kanonicznych i ortodoksji (co nie znaczy, że te granice nie są ważne, a czasem konieczne).

Byśmy przestali się bać świata i siebie nawzajem, naszej różnorodności i inności.

Byśmy uprawiając „nową ewangelizację", większą wagę niż do słów przywiązywali do dawania świadectwa własnym życiem.

Byśmy nigdy o nikim nie myśleli, że jest „przypadkiem beznadziejnym", byśmy nikogo nie osądzali.

Byśmy, widząc poczynione przez ludzi spustoszenia, nie poddawali się pesymizmowi („to już jest nie do naprawienia"), lecz zabierali się do naprawiania.

Byśmy wciąż uczyli się słuchać innych i nie zatykali uszu, gdy mówi ktoś o innych niż nasze przekonania.

Byśmy się pogodzili z tym, że droga każdego człowieka do osobistej więzi z Chrystusem jest inna i tę inność traktowali z dyskrecją i szacunkiem.

By każdy z nas wypracował sobie własny sposób praktykowania miłości bliźniego, ale nie pełen łatwych, mało konkretnych sposobów dla uspokojenia własnego sumienia.

Byśmy nie byli prorokami klęsk, mistrzami wykluczania innych, budowniczymi murów, lecz byli budowniczymi mostów między ludźmi, zawsze (na imieninach cioci, we własnym domu, w ławach Sejmu, w firmie, w autobusie).

Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy spokojnie patrzeć w perspektywie wieczności.

Alleluja! ©℗

DEAGOSTINI / GETTY IMAGES

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

SOSNOWIEC
środa 11 kwietnia, godz. 18.00
Pałac Schoena, Muzeum w Sosnowcu, ul. Chemiczna 12.

ŁODŹ
czwartek 12 kwietnia, godz. 16.00
Uroczystość wręczenia tytułu doktora honoris causa, Uniwersytet Łódzki, Aula Wydziału Filiologicznego, ul. Pomorska 171/173. Wstęp wolny.

Msze św. i spowiedź:
MSZE ŚW. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), **soboty godz. 18.00, niedziele godz. 8.30.**
SPOWIEDŹ – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), **wtorki godz. 18.00-19.00**

- Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: **kuczminska@tygodnik.com.pl**

- Słuchaj rekolekcji wielkopostnych ks. Adama Bonieckiego na **powszech.net/rekolekcje**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIELKANOC

14 I po co było to wszystko
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM STRZELCZYKIEM:
Najważniejszym przesłaniem Paschy jest to, że Bóg nie wyciąga żadnych konsekwencji po zamordowaniu jego Syna. Cokolwiek zrobimy, nie wywoła to represji. Po śląsku mówiąc: Ponbóczek to strzimo.

28 Plemienny mózg kontra dusza
ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM DOBROCZYŃSKIM, PSYCHOLOGIEM: *„Nasz Chrystus" może być Polakiem, ale nie Żydem czy Niemcem. Chodzi w szaliku kibica i w koszulce z żołnierzami wyklętymi. I jest najsilniejszy. A my bijemy się w jego imieniu, z kim popadnie, i cierpimy.*

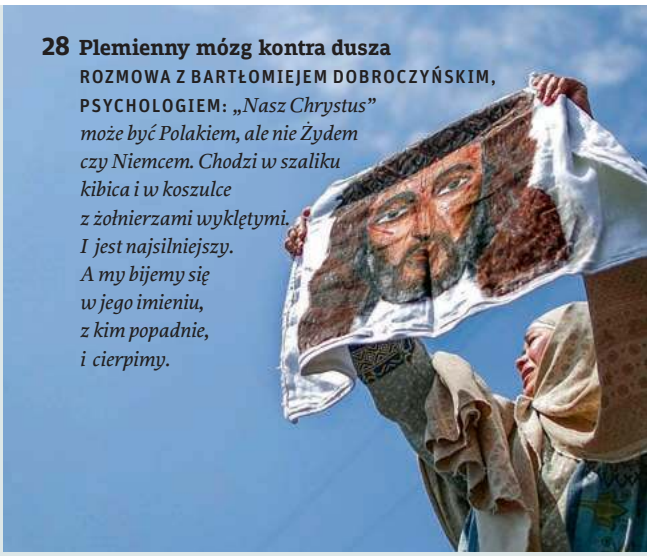

20 Oto nieludzki wyrok
KS. MARIUSZ ROSIK:
Komu zależało na śmierci Jezusa? Jak wyglądały kulisy jego procesu?

32 Jego prawa stopa
RYSZARD KOZIOŁEK
Chwilę przed świtem, zanim kobiety znajdą odwalony grób, Chrystus przysiada na kamieniu i robi bilans przed Wniebowstąpieniem. Krok po kroku.

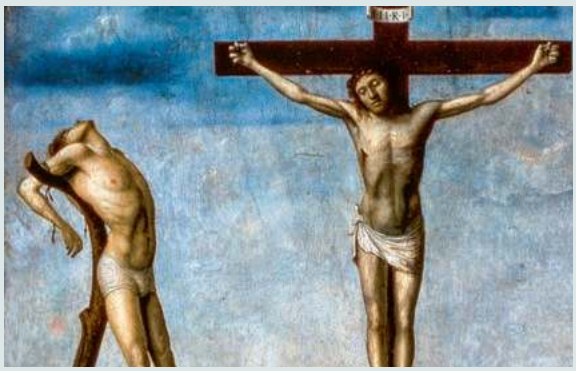

24 Tęsknota Łotra
SZYMON HOŁOWNIA: *Wszelkie starania ludzi, którym wydaje się, że są dobrzy, mogą się okazać warte tyle samo, co jeden akt człowieczeństwa kogoś, kto sam siebie uważał za złego.*

50 Niech post się nie kończy
ROZMOWA Z MONIKĄ KUCIĄ, PROMOTORKĄ KULTURY KULINARNEJ:
Niedosyt to chwila, w której możemy siebie samych zapytać, czym się chcemy wysycić.

A. DE GREGORIO / DEA / GETTY IMAGES // EAST NEWS // MONDADORI / GETTY IMAGES // CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES // EAST NEWS // MARTA ANKIERSZTEJN / NOWE EPIFANIE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

8 Zamiast zaostrzać
ARTUR SPORNIAK

9-13 Wiadomości / Komentarze

40 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

108 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

42 Kryteria nowej polskości
MATEUSZ MAZZINI:
PiS, używając rewizjonizmu historycznego, chce zdefiniować prawo do nazywania siebie Polakiem

46 Moi rodzice są z innego kraju
ANNA GOC: *90 proc. głuchych małżeństw i par ma słyszące dzieci. Zaczynają one być tłumaczami w wieku trzech lat*

50 Niech post się nie kończy
ROZMOWA Z MONIKĄ KUCIĄ, PROMOTORKĄ KULTURY KULINARNEJ

54 Hobby: strażak
ADAM ROBIŃSKI:
Portret Ochotniczej Straży Pożarnej

■ ■ ŚWIAT

58 Świat widziany z Saint-Léon
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA:
Ze stolicy Burkina Faso prowadzą szlaki na północ. Także ku Europie

62 Trutka na zdrajców
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Rosjanie mieszkający na Zachodzie umierali w tajemniczych okolicznościach już wcześniej*

64 Już prawie nie strzelają
MONIKA ANDRUSZEWSKA *ze szpitala psychiatrycznego w Donbasie*

HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

Okładka: „Chrystus w chwale”, XIX w., ze zbiorów British Museum
FOT. HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

■ FELIETONY ■

57 ANNA DZIEWIT-MELLER
102 JAN KLATA
103 PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATKI SPECJALNE ■

Copernicus Festival 2018
Hospicjum to też Życie

Redaktorzy prowadzący:
EWELINA BURDA i PIOTR MUCHARSKI

66 Książę żebraków z krainy diamentów
WOJCIECH JAGIELSKI *o pustynnej Botswanie*

70 Najbiedniejszy człowiek świata
MAREK RABIJ: *Sali Ahmed liczy ciężarówki wiozące żywność do obozów dla Rohingów w Kutupalong i Balukhali. Sam głoduje*

■ ■ HISTORIA

74 W pogoni za Pogonią
ZBIGNIEW ROKITA: *Sto lat temu powstała Białoruska Republika Ludowa*

■ ■ NAUKA

78 Wiecznie żywi
SZYMON DROBNIAK: *W przyrodzie występują organizmy w zasadzie nieśmiertelne. Co mają, czego brakuje nam?*

■ ■ KULTURA

88 Światy bizarne
ROZMOWA Z OLGĄ TOKARCZUK: *Język odzwierciedla nasze położenie – jesteśmy mieszanką, co uważam za wartość*

92 Zamknięty w losie
BEATA CHOMĄTOWSKA:
Leo Lipski nie obiecuje przyjemności

95 W poszukiwaniu lepszej Polski
PIOTR KOSIEWSKI: *„Przyszłość będzie inna”, wystawa o II Rzeczpospolitej*

98 Śpiew stradivariusa
ROZMOWA Z ANNE-SOPHIE MUTTER, SKRZYPACZKĄ

100 Brudne igrzyska
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Ikar”*

101 Warto zobaczyć w TV

102 Świat poza czasem
LEKTOR *o książce „Żebrowski. Hipnotyzer”*

■ ■ ZMYSŁY

104 Wołkow
ANDRZEJ STASIUK:
Fotografie Wiktora Wołkowa i Podlasie

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics
Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

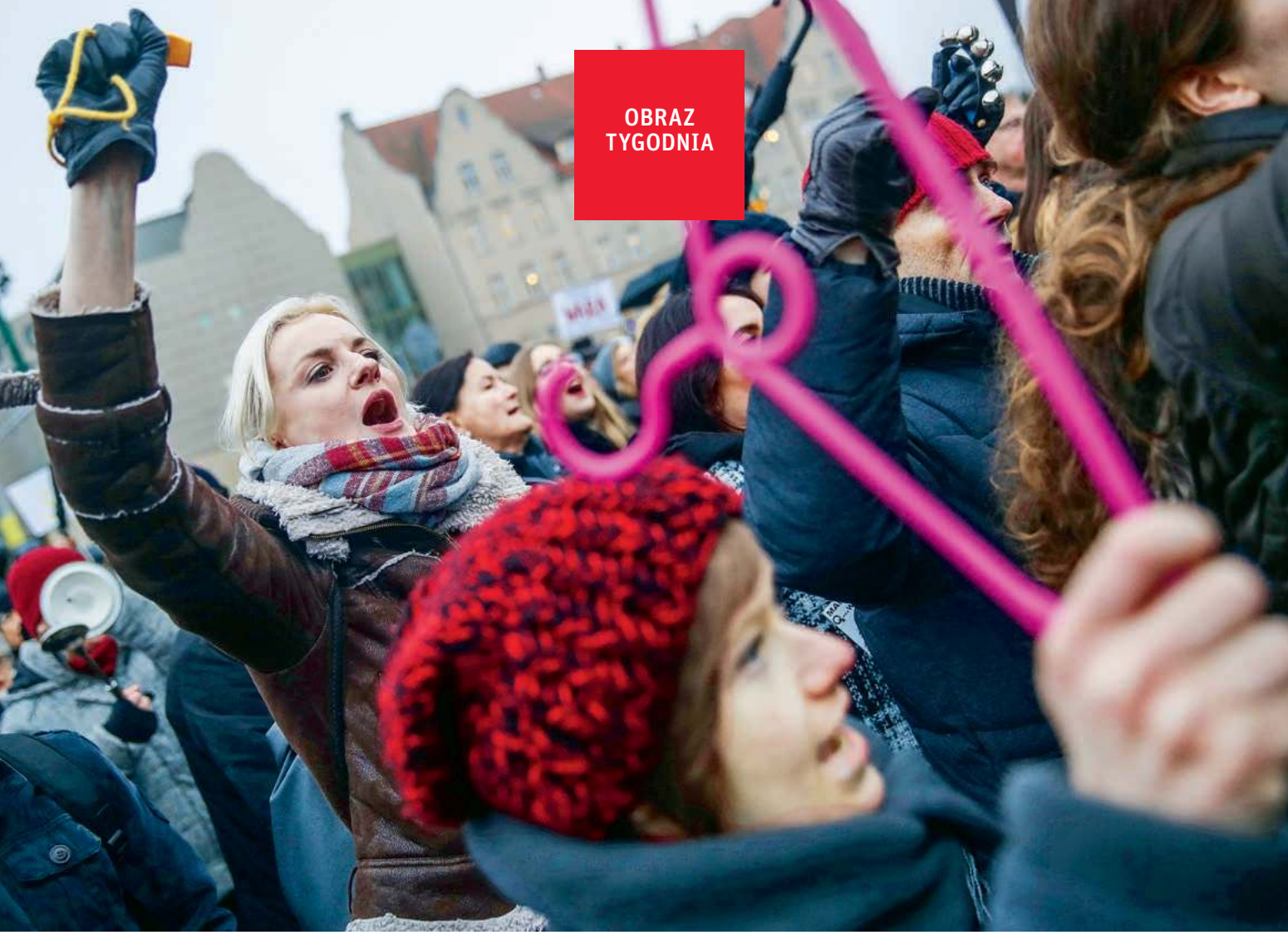

OBRAZ TYGODNIA

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

ZAMIAST ZAOSTRZAĆ

Forsowanie restrykcyjnego prawa, które niszczy wypracowany w trudzie kompromis, nie jest roztropne.

ARTUR SPORNIAK

„Czarny piątek", Poznań, 23 marca 2018 r.

Wykrzykiwane przed warszawską kurią hasło „Hipokryci, fanatycy, poczujecie gniew ulicy", druciane wieszaki – symbol protestów przeciwko zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego – zostawiane na klamkach biskupich siedzib w całej Polsce czy kościoły znaczone biało-czerwonymi taśmami jak „miejsca zbrodni" – to najnowsza odsłona polskiego sporu o aborcję.

W Sejmie przy wsparciu Episkopatu procedowany jest obywatelski projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję", likwidujący możliwość legalnego przerwania ciąży w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Podczas marcowych obrad biskupi zaapelowali „o niezwłoczne podjęcie prac legislacyjnych nad projektem". Reakcją na ten apel była akcja Ogólnopolskiego Strajku Kobiet #WieszakDlaBiskupa. W niedzielę 18 marca pod kuriami pojawili się protestujący z antyklerykalnymi hasłami: „Chcemy zdrowia nie zdrowasiek", „Wara wam, katolicy, od ateistycznej macicy", „Potrzebujemy lekarzy, nie misjonarzy". W Warszawie, gdzie protestujący chcie-

li wejść do budynku, i w Gdańsku-Oliwie, gdzie organizacje *pro-life* zorganizowały kontrpikietę, doszło do przepychanek z policją. W poniedziałek projekt „Zatrzymaj aborcję" pozytywnie zaopiniowała sejmowa komisja sprawiedliwości i praw człowieka, ale już we środę bez podania powodu odwołano posiedzenie komisji polityki społecznej i rodziny, od której zależą jego dalsze losy (rzecznik KEP wyraził zaniepokojenie tym faktem). W piątek 23 marca w wielu miastach odbyły się kolejne protesty; przed warszawską kurią wygłoszono m.in. „Litanię antydziękczynną do biskupów".

Czy forsowanie restrykcyjnego prawa, które niszczy wypracowany w trudzie przed laty kompromis, jest roztropne? Zwolennicy zmiany ustawy argumentują, że w majestacie prawa zabija się nienarodzone dzieci tylko z tego powodu, że istnieją podejrzenia, iż są chore. W Polsce obecnie rodzi się już tylko co drugie dziecko z zespołem Downa. W 2016 r. urodziło się 321 dzieci z tą wadą genetyczną, zaś z powodu jej podejrzenia dokonano 388 aborcji. Przeciwnicy naruszania kompromisu wskazują jednak, że nielegalność aborcji nie powstrzyma zdesperowanych kobiet – pogorszy tylko ich dramatyczną sytuację.

Jako wierzący katolik jestem przekonany, że brniemy w ślepą uliczkę, próbując budować „od dachu". Do aborcji popycha sytuacja, która wydaje się nie do udźwignięcia. To na niej powinna być skupiona nasza uwaga. Kościół obecną odsłonę sporu o aborcję powinien wykorzystać jako okazję do uświadomienia społeczeństwu trudności, z jakimi borykają się rodzice chorych od urodzenia dzieci, po to, by zmobilizować dla nich jak największe społeczne wsparcie. Niedawno opublikowane badania przeprowadzone przez UPJPII na blisko 400 rodzinach z dziećmi z zespołem Downa pokazują, że takie rodziny borykają się nie tylko z niewystarczającą pomocą państwa, ale także z niedostatecznym duchowym wsparciem ze strony Kościoła.

Łatwo zmienić prawo – to nas, katolików, nic nie kosztuje. Nie obronimy się jednak przed zarzutem, że naszym głównym motywem jest faryzejskie zadowolenie z „bycia obrońcą życia", które tak naprawdę usypia nasze sumienia. Niech ta decyzja nas coś kosztuje. ©℗

W SKRÓCIE

DYSFUNKCJA. „Doprowadziła do powstania unormowania faktycznie dysfunkcjonalnego, mogącego skutkować zaistnieniem rezultatów przeciwnych do zakładanych" – czytamy w stanowisku Prokuratury Generalnej, wysłanym do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy o IPN. Przekładając na język bardziej zrozumiały: po dwumiesięcznej awanturze jej przepisy lądują w koszu.

DIALOG. Przepisy to jednak nie wszystko. Czytelnik niniejszej rubryczki, wicepremier Gliński, poinformował o „rozpoczęciu dialogu i debaty z instytucjami współprowadzącymi Muzeum POLIN ws. politycznego zaangażowania dyrektora tej instytucji. Ostatnio ta działalność dyrektora była bardzo uwspółcześniona i jednoznacznie angażował się on w politykę". Przekładając na język bardziej zrozumiały: po odwołanym już Pawle Machcewiczu z Muzeum II Wojny i utrzymującym posadę (z racji ochrony Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej?) Piotrze Cywińskim z Muzeum Auschwitz przyszedł czas na Dariusza Stolę (na zdjęciu).

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

DONOS. „Poczytajcie i może zrozumiecie wy głupie parchy" – głosi anonim wsunięty pod drzwi Centrum Badań nad Zagładą Żydów, do którego dołączono teksty o tym, jak Żydzi na siebie donosili, zapędzali do gett i mordowali. Tu niczego nie trzeba przekładać.

DUET. „Tak, rzeczywiście ministrowie w rządzie PiS otrzymywali nagrody za ciężką uczciwą pracę i te pieniądze się im po prostu należały" – powiedziała zrozumiałym językiem Beata Szydło. Podobnie było z poparciem SLD dla Magdaleny Ogórek w wyborach prezydenckich: należało się jej, choć – jak powiedziała w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" – nigdy nie była kandydatką SLD i nie miała relacji ze środowiskiem Sojuszu.

Minister z łapanki

ANDRZEJ STANKIEWICZ

W czasie sejmowego exposé poświęconego polityce zagranicznej szef MSZ prof. Jacek Czaputowicz przedstawił koncert życzeń: zmienimy Unię na lepsze, na nowo polubimy Niemców, a nawet Francuzów, zakończymy sprzeczki z Amerykanami, a może nawet uda się ułożyć pragmatyczne relacje z Rosją.

To zabrzmiało jak profesorskie marzenie o polityce zagranicznej, której nie ma. Czaputowicz jest na tle PiS postacią umiarkowaną i tak chciałby układać stosunki Polski z zagranicą. Szkopuł w tym, że nie ma żadnej pozycji politycznej. Z tego powodu MSZ przestaje być kreatorem polityki zagranicznej, a w buty ministra wchodzą premier Mateusz Morawiecki oraz szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski, o innych oficjelach PiS nie wspominając. Efekt? Choćby ostry konflikt z USA i Izraelem.

Czaputowicz to dawny antykomunistyczny opozycjonista, jeden z liderów pacyfistycznego ruchu Wolność i Pokój. Po 1989 r. zajmował się głównie budowaniem apolitycznej administracji jako wiceszef Służby Cywilnej, a potem dyrektor Krajowej Szkoły Administracji Publicznej. Jak mówią w MSZ, zaliczył bodaj wszystkie zagraniczne stypendia dostępne dla urzędników.

Z PiS związał się krótko przed ostatnimi wyborami. Wiosną 2017 r. napisał ekspertyzę podważającą legalność wyboru Donalda Tuska na drugą kadencję szefa Rady Europejskiej – i wkrótce został zastępcą szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego. Gdy ten został usunięty z rządu na początku roku, Czaputowicz zajął jego miejsce trochę z łapanki. Murowany kandydat Szczerski zażądał dodatkowo fotela wicepremiera, co zrodziło plotki, że nie chce brać na barki MSZ w tak trudnej sytuacji. Czaputowicza zaproponował świeżo upieczony premier Mateusz Morawiecki – pod koniec lat 90. razem pracowali w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej, przygotowując Polskę do przystąpienia do UE.

Prezes Kaczyński nie ułatwił mu *entrée*, nazywając tę nominację „eksperymentem" – właśnie ze względu na mikrą pozycję Czaputowicza w obozie władzy. Eksperymentalny minister przejął MSZ w najtrudniejszych od lat czasach. I nie chodzi tylko o międzynarodowe wojenki PiS. Z jednej strony zaostrzają się relacje między Rosją a Zachodem, z drugiej kryzys przeżywa Unia. W tej sytuacji profesorski, grzeczny styl Czaputowicza wcale nie uspokaja. Dziś Polska ma najgorsze od lat relacje z większością dotychczasowych sojuszników, a minister nie przedstawił w *exposé* recepty, jak to zmienić. Zresztą, nawet nie wiadomo, czy pozwolono by mu zmienić. ©

Narodowy Dzień Pamięci Skomplikowanej

MICHAŁ OKOŃSKI

Ustanowienie Narodowego Dnia Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką (24 marca, w rocznicę egzekucji rodziny Ulmów i – nigdy dość przypominania – rodzin Saula i Chaima Goldmanów w Markowej) można przyjąć ze zrozumieniem. Prawo państwa do prowadzenia polityki także przy pomocy świąt, rocznic, orderów, pomników czy korygowania nazw ulic jest oczywistością i można mieć zasadne pretensje do tych, którzy rządzili w III RP przez ćwierć wieku, że przywiązywali do tego tak niewielką wagę.

Można również przypomnieć sobie listę świąt państwowych i zauważyć, że oprócz np. 1 i 3 maja, 11 listopada albo rocznic wybuchu powstania warszawskiego i podpisania porozumień sierpniowych, jest wśród nich choćby Dzień Walki i Męczeństwa Wsi Polskiej, ustanowiony w „hołdzie mieszkańcom polskich wsi za ich patriotyczną postawę w czasie II wojny światowej". Uczyniwszy to, można wzruszyć ramionami i uznać, że jeśli jakaś tradycja nie jest żywa, nie pomoże jej żadne zadekretowane odgórnie święto.

Można także decyzję polskich władz przyjąć za dobrą monetę. Ci, którzy próbowali pomóc skazanym na Zagładę, zasługują przecież na upamiętnienie. Działali w straszliwym nieraz osamotnieniu, świadomi nie tylko grożącej za to, co robią, kary śmierci z rąk okupanta, ale wśród wrogości czy obojętności sąsiadów, w strachu przed ich zdradą, bywało: ukrywając to, co robią, nie tylko wówczas, ale i przez powojenne dziesięciolecia. Ich historie – te nieprzerabiane na czytanki ku pokrzepieniu serc – pod piórem takich badaczy jak Anna Bikont, Barbara Engelking czy Jacek Leociak zyskują rangę biblijnych przypowieści. 24 marca w tym sensie nie musi być Narodowym Dniem Listka Figowego, lecz okazją do oddania sprawiedliwości prawdziwie Sprawiedliwym.

Ale można się też naprawdę zasmucić. Wśród naszych świąt państwowych nie ma Narodowego Dnia Pamięci Obywateli Polskich zamordowanych w Zagładzie. ©℗

JAAP ARRIENS / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Ukraińsko-polska pikieta przeciwko demonstracji polskich narodowców przed ambasadą ukraińską, Warszawa, 12 marca 2018 r.

Ukraińcy tymczasowi

W UBIEGŁYM TYGODNIU Personnel Service, agencja specjalizująca się w rekrutacji pracowników z Ukrainy, opublikowała raport, z którego wynika, że 45 proc. Ukraińców pracujących w Polsce deklaruje, iż na miesięczne utrzymanie wydaje od 200 do 500 zł. Równocześnie w ubiegłym roku Ukraińcy przysłali z Polski do swojego kraju ponad 1,5 mld dolarów. Byłoby więcej, gdyby nie oszczędzali na przekazach pocztowych i ewentualnej kontroli fiskusa – spora część pracuje w Polsce na czarno. W ciągu ostatnich pięciu lat ponad połowa obywateli Ukrainy była w Polsce kilka razy, a średni pobyt trwał od miesiąca do pół roku. 62 proc. ukraińskich pracowników planuje znów przyjechać do Polski zarobkowo.

Co oznaczają te dane? Ukraińcy, podobnie jak Polacy na początku migracyjnej fali zarobkowej do Wlk. Brytanii, próbują zaoszczędzić maksymalnie dużo, żeby pomóc rodzinie, która została w kraju. Z drugiej strony – znów: podobnie jak kilka lat temu w przypadku Polaków na Wyspach – Ukraińcy traktują Polskę tylko jako miejsce zarobku i planują zostawać tu maksymalnie pół roku. W zmianie ich postawy nie pomagają Polacy.

Nieprzychylność wobec Ukraińców widać np. na portalach dla osób poszukujących mieszkań do wynajęcia. Oto przykładowe ogłoszenie z Warszawy: „Dla pracującej osoby, bez nałogów, sprzątającej po sobie, szanującej czyjąś własność, imprezującej poza domem. Zależy mi na tym, żeby w domu była fajna atmosfera i chciało się do niego wracać. Kto wynajmuje: ja, normalna dziewczyna, z którą da się pogadać i dogadać. PS: Tylko dla Polaków! Obcokrajowcom i ukraińcom dziękuję" (pisownia oryginalna). ©℗ BŁAŻEJ STRZELCZYK

LICZBA TYGODNIA

743

Tyle dni upłynęło od wydania przez Trybunał Konstytucyjny wyroku o niekonstytucyjności PiS-owskiej nowelizacji ustawy o TK do podjęcia pod naciskiem Brukseli politycznej decyzji o jego publikacji. Decyzja o druku ma już charakter wyłącznie symboliczny; inne wyroki czekały 588 i 500 dni.

Bolton w „Tygodniku"

DONALD TRUMP ogłosił (na Twitterze) kolejną zmianę personalną: John Bolton zostaje prezydenckim doradcą ds. bezpieczeństwa. Przed inauguracją prezydentury Trumpa był on wskazywany jako kandydat na sekretarza stanu. Przesłał wtedy „Tygodnikowi" tekst – swoją wizję polityki zagranicznej USA. Przypominamy go na stronie: **powszech.net/bolton** ©℗

Bierzcie i jedzcie, bierzcie i pijcie

MACIEJ MÜLLER

„Kościół usilnie pragnie, aby wierni otrzymywali Ciało Pańskie z hostii konsekrowanych podczas tej samej mszy św., a znak uczty eucharystycznej wyraża się pełniej, jeśli komunia św. jest podawana pod obiema postaciami" – podczas audiencji środowej Franciszek dotknął powszechnych w Polsce bolączek liturgicznych. Wbrew zaleceniom mszału komunii udziela się świeckim wyłącznie pod postacią Chleba (z nielicznymi wyjątkami), czerpanego z tabernakulum (ze „spiżarki", jak wyraził się głośny niegdyś duszpasterz).

Chrystus mówi: „bierzcie i jedzcie, bierzcie i pijcie", i dodaje: „jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie". Podczas modlitwy eucharystycznej (wymawianej w imieniu całego zgromadzenia!) słyszymy: „błagamy, aby Duch Święty zjednoczył nas wszystkich, przyjmujących Ciało i Krew Chrystusa" – po czym Krew spożywają tylko celebransi. Jest to co prawda zgodne z teologią Eucharystii wyrażoną przez Sobór Trydencki (w obu postaciach Chrystus jest w pełni obecny), zapomina się jednak, że ów Sobór dopuszcza komunię pod jedną postacią, ale nie opisuje jej jako normy.

Księża – już od XII w. – tłumaczą to względami praktycznymi: kosztami, lękiem przed rozlaniem Krwi czy przed tym, że po komunii zostanie zbyt wiele konsekrowanego wina. Czy to usprawiedliwia jednak osłabianie znaku Chleba i Wina? I czy praktyczność „spiżarki" tłumaczy zerwanie z obrazem uczty eucharystycznej, podczas której spożywamy z jednego stołu? ©℗

Był taki facet, trochę dziwaczny, słabowidzący...

28 MARCA 2016 R. ZMARŁ KS. JAN KACZKOWSKI.

„Chciałbym was prosić, byście o nim nie zapominali – mówił podczas uroczystości pożegnalnych w Pucku Józef Kaczkowski, jego tata. – Byście powiedzieli swoim wnukom i dzieciom, że był taki facet, adoptowany Kaszuba, trochę dziwaczny, słabowidzący (...) Kochał ludzi i chciał zrobić coś dobrego".

Zrobił tyle, że można by tym obdzielić kilka żywotów. Stworzył puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio. Najpierw domowe, potem stacjonarne: modelowe, nagradzane, z czasem znane w całej Polsce. Uczył w szkole, zyskując sławę charyzmatycznego katechety i zmieniając życie dziesiątek młodych, będących często na zakręcie. Famę w Pucku – a potem szerzej – zyskał jako kaznodzieja i spowiednik. Napisał doktorat z bioetyki. Gdy w czerwcu 2012 r. odkryto u niego nieuleczalnego glejaka mózgu, udzielił setek wywiadów i współtworzył kilka książek, które uczyniły zeń bodaj najbardziej rozpoznawalnego duchownego w Polsce. Laureat nagród, w tym przyznanego mu w 2015 r. przez „Tygodnik" Medalu św. Jerzego (na zdjęciu).

28 marca – w dzień rocznicy – rusza Fundacja im. ks. Kaczkowskiego. Założona przez Józefa Kaczkowskiego, współtworzona też przez innych członków rodziny organizacja, ma nie tylko dbać o pamięć o duchownym, ale też kontynuować jego dzieła. – Robić to, co robiłby Jan, gdyby żył – streszcza Anna Cina Ciskowska, prezeska Fundacji. Chodzi o propagowanie idei hospicyjnej, edukację w dziedzinie komunikacji lekarz–pacjent (ks. Kaczkowski współtworzył „Areopagi Etyczne" z wykładami na ten temat), a także pomoc młodzieży z trudnych środowisk.

W środę w sopockim kościele św. Jerzego odbędzie się msza w intencji ks. Kaczkowskiego oraz koncert ku jego pamięci.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PAWEŁ ULATOWSKI DLA „TP"

Na uroczystości Medalu św. Jerzego, Kraków 2015 r.

W SKRÓCIE

KATOLIK U PROSTYTUTKI. „Człowiek, który chodzi do prostytutki, jest przestępcą" – powiedział Franciszek podczas spotkania z młodzieżą w Rzymie. Odpowiadając na pytanie Nigeryjki, która była ofiarą handlu ludźmi, papież zwrócił uwagę, że we Włoszech 90 proc. klientów prostytutek stanowią ludzie ochrzczeni, i przepraszał kobiety potraktowane przez katolików jako niewolnice.

CEBSDOBRASIL.COM.BR

KAPŁAN INDIANIN. Wyświęcony 17 marca w Brazylii ks. Geraldo Trindade Montenegro (na zdjęciu) jest pierwszym członkiem ludu Baniwa, który został kapłanem. Lud Baniwa zamieszkuje diecezję São Gabriel da Cachoeira na granicy Brazylii z Kolumbią i Wenezuelą, która ma najwyższy w kraju odsetek ludności tubylczej, przekraczający 90 proc. mieszkańców.

DYMISJA PRAŁATA. Papież przyjął dymisję prefekta Sekretariatu ds. Komunikacji, ks. prał. Daria Edoarda Viganò. Włoski duchowny odpowiedzialny jest za opublikowanie zdjęcia listu Benedykta XVI z wymazanym fragmentem. Papież senior chwalił w liście wydanie 11-tomowego komentarza do teologii Franciszka, a w ukrytym fragmencie krytykował jednego z autorów.

RDC POLSKIE RADIO

MONIKA KUCIA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 28 marca o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Facebook i polityka

PATRYK STANIK

Cambridge Analytica to firma założona za pieniądze miliardera Roberta Mercera, znanego ze wspierania Donalda Trumpa. Przy pomocy aplikacji badającej poglądy użytkowników Facebooka zebrała ona dane 50 mln osób, by na ich podstawie zbudować algorytm umożliwiający wpływanie na Amerykanów w wyborach prezydenckich w 2016 r.

Jak do tego doszło? Na przełomie lat 2013-14 grupa 320 tys. Amerykanów dobrowolnie skorzystała z aplikacji, dostając w zamian po kilka dolarów. Nie wiedzieli, że aplikacja zbierze także dane ich przyjaciół na Facebooku. W tym czasie wiceprezesem Cambridge Analytica był Steve Bannon, główny doradca Trumpa w pierwszym roku jego prezydentury. W zarządzie firmy Bannon był do sierpnia 2016 r., kiedy to odszedł, by zostać szefem kampanii Trumpa.

Jednak po tym, jak poczynania Cambridge Analytica ujawnił „Observer", najwyższą cenę płacą teraz nie politycy czy firma kradnąca dane (były użyczone do badań naukowych, a wykorzystała je bezprawnie do kampanii), lecz Facebook. Jest oskarżany o zbyt słabą ochronę danych użytkowników, o bagatelizowanie sprawy przez dwa lata (już w 2015 r. zablokował złodziejską aplikację), a nawet o okłamywanie brytyjskich i amerykańskich polityków. Szef Facebooka Mark Zuckerberg zareagował dopiero po pięciu dniach, gdy akcjonariusze firmy stracili już 50 mld dolarów. W liście opublikowanym na swojej platformie napisał, że Facebook został nieuczciwie wykorzystany. Ma rację: największą winę ponosi tu polityka. ©℗

„Oleg Sencow powoli umiera"

– TWIERDZI SIOSTRA UKRAIŃSKIEGO REŻYSERA, który w 2014 r. został aresztowany przez Rosjan na Krymie i skazany na 20 lat w pokazowym procesie, pod fikcyjnym zarzutem organizowania terroryzmu na półwyspie (ani on, ani sądzony z nim Ołeksandr Kolczenko nie przyznali się do winy). Sencow jest więziony w łagrze w Labytnangi (nieopodal Workuty). Natalia Kapłan twierdzi, że jej brat jest w coraz gorszym stanie, traci zęby i włosy. Rosyjski adwokat, który bronił Sencowa, sugeruje, że może on być celowo źle leczony w łagrze (wcześniej zaczął tam poważnie chorować na serce). Także w ostatnich dniach ukraińskie media podały, że Ksenia Sobczak – celebrytka i kandydatka w niedawnych wyborach w Rosji – zwróciła się do prezydenta Putina z prośbą o okazanie łaski 16 więźniom politycznym; na tej liście ma być także Sencow. Władze ukraińskie proponowały wcześniej Rosjanom, aby Sencowa wymienić (w ramach wymiany jeńców z obu stron), ale bezskutecznie. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

PASCAL ROSSIGNOL / REUTERS / FORUM

Sarkozy–Kaddafi: groźne związki

POŻEGNANIE Z WŁADZĄ bywa bolesne także dlatego, że pociąga za sobą utratę immunitetu. Wie o tym dobrze Nicolas Sarkozy, prezydent Francji w latach 2007-12, którym od sześciu lat zajmują się intensywnie organy ścigania. Dotąd groziły mu dwa procesy, dotyczące domniemanego nadużycia władzy i oszustw finansowych. Miniony tydzień wydłużył tę listę. Prokuratura zleciła doprowadzenie Sarkozy'ego przez policję i postawiła mu kolejne zarzuty. Najpoważniejszy: domniemane współfinansowanie jego zwycięskiej kampanii wyborczej w 2007 r. przez ówczesnego libijskiego dyktatora Muammara Kaddafiego. Wobec podejrzanego zarządzono nadzór sądowy.

Sarkozy zaprzecza zarzutom, ale materiał dowodowy jest mocny. Obciążają go m.in. odnalezione przez śledczych zapiski jednego z byłych dygnitarzy reżimu libijskiego i zeznania niejakiego Ziada Takieddine'a, francusko-libańskiego pośrednika. Twierdzi on, że osobiście przewiózł w walizkach 5 mln euro, przeznaczone na kampanię Sarkozy'ego. Śledztwo ujawniło też, że po upadku (i na koniec śmierci) Kaddafiego w 2011 r. francuskie służby specjalne chroniły zbiegłego do Francji bankiera libijskiego reżimu, Bechira Saleha.

W tej sprawie wciąż jest mnóstwo zagadek. Na razie wyszło także na jaw, że już w 2005 r. Sarkozy, wówczas szef MSW, nawiązał osobiste relacje z Kaddafim. Dwa lata później, już jako prezydent, podjął dyktatora w Paryżu z niebywałą pompą i odwiedził go w Trypolisie (na zdjęciu). Czy rewanżował się w ten sposób za „prezent" wyborczy? I czy kiedy w 2011 r. ten sam Sarkozy posłał francuskie lotnictwo, by wsparło powstańców walczących z wojskiem Kaddafiego, chciał w ten sposób również zatrzeć ślady „dealu" z przeszłości? To hipotezy, ale trudno je lekceważyć.

© SZYMON ŁUCYK z Compiègne

BULENT KILIC / AFP / EAST NEWS

TURCY W AFRIN. Armia turecka i jej sojusznicy, sunniccy bojownicy Wolnej Armii Syryjskiej, zajęli prawie bez walki kurdyjskie miasto Afrin. Zwycięska ofensywa wywołała kolejny exodus: co najmniej 100 tys. kurdyjskich cywilów ucieka przed Turkami. Prezydent Erdoğan sugeruje, że na zajętych terenach kurdyjskich osiedlą się arabscy uchodźcy z Syrii, przebywający obecnie w Turcji, i grozi, że uderzy teraz na Manbidż, kolejne kurdyjskie miasto. Z Afrin dochodzą wieści, że syryjscy bojownicy – sojusznicy Turków – plądrują miasto (na zdjęciu). ©℗ WP / FAZ, NZZ

ISTOCK / GETTY IMAGES

KONIE WOLĄ ULEGŁYCH – donosi Amy Victoria Smith ze współpracowniczkami na łamach „Animal Cognition". W eksperymencie badaczki z uniwersytetów Sussex i Portsmouth sprawdzały, do której z nieznanych wcześniej dwóch osób – przyjmującej postawę dominującą (uniesiona klatka piersiowa, nogi i ramiona wyprostowane) czy uległą (pozycja zgarbiona, nogi ugięte, ręce przy ciele) – spontanicznie podchodzić będą konie. Badania nie wyjaśniły jednak, z czego dokładnie wynika preferencja zwierząt wobec osób przyjmujących postawę uległą. ©℗

Para rybek przyłapana

BIOLOGOM KIRSTEN I JOACHIMOWI JAKOBSENOM z Rebikoff-Niggeler Foundation, zaangażowanej w badania morskiej fauny, udało się niedaleko portugalskich Azorów sfilmować żyjące na dużych głębokościach ryby *Caulophryne jordani*, z rzędu żabnicokształtnych. Te spektakularne zwierzęta charakteryzują się dużą głową i wieloma świecącymi wypustkami, służącymi prawdopodobnie do wabienia ofiar (oraz, być może, odstraszania bądź mylenia drapieżników). Cenne nagranie (wykonane na głębokości 800 m w sierpniu 2016 r., ale dopiero ostatnio udostępnione) pokazuje parę: większą, mierzącą kilkanaście centymetrów samicę i przytwierdzonego do niej maleńkiego, pasożytniczego samca, który wgryza się w jej ciało i pobiera substancje odżywcze – w zamian dostarczając plemniki.

Jak dotąd opisanych zostało ponad 150 blisko spokrewnionych z *C. jordani* gatunków. Jednak większość z nich znanych jest wyłącznie z pojedynczych martwych osobników, które zaplątały się w sieci rybackie. We wszystkich muzeach świata przechowywanych jest jedynie kilkanaście okazów *C. jordani*. Dzięki nagraniu badacze mogli przekonać się, jak wygląda życie seksualne tych ryb. Wiele innych aspektów ich życia ciągle pozostaje nieznanych: np. przebieg ich metabolizmu (w swoim środowisku bardzo rzadko mają one okazję złapać ofiarę, jako że niewiele organizmów zamieszkuje takie głębiny) i czynnik wywołujący świecenie wypustek (jedna z hipotez mówi o przeprowadzających chemiczne reakcje bakteriach).

REBIKOFF-NIGGELER FOUNDATION

Fragment wykonanego nagrania można znaleźć w serwisie magazynu „Science", pod adresem: **www.scim.ag/anglerfish** ©℗ ŁK

W ŚWIECIE NAUKI

HUSTON, MAMY PROBLEM. Położone w Huston laboratorium Johnson Space Center należące do NASA okazało się mało sterylne: na jedynej posiadanej przez agencję kolekcji próbek pozaziemskich meteorytów wykryto grzyby z rodzaju Penicilium. Niektóre z nich produkują aminokwasy – cząsteczki budulcowe białka – które mogłyby zostać uznane za pochodzące z przestrzeni kosmicznej.

ZAKŁADY HAWKINGA. Zmarły niedawno badacz uwielbiał naukowe zakłady, ale większość z nich przegrywał – przypomina w „Science" Daniel Clery. Brytyjski kosmolog musiał przyznać się do pomyłki m.in. w takich

PAUL E. ALERS / NASA

kwestiach jak istnienie czarnych dziur i bozonu Higgsa oraz możliwości istnienia tzw. nagiej osobliwości czy wydostawania się informacji z czarnych dziur. Niektóre zakłady Hawking traktował jako potencjalną nagrodę pocieszenia – gdyby czarne dziury nie istniały, lata jego badań poszłyby na marne.

NARYSUJ NAUKOWCA. 20 tys. obrazków naukowców wykonanych w ciągu ostatnich pięciu dekad przez amerykańskie dzieci w wieku szkolnym przeanalizowali David I. Miller i współpracownicy w Child Development. Odsetek rysunków przedstawiających kobiety wzrósł z 1 proc. (w latach 60.) do 34 proc., zaś w grupie dziewczynek – do ponad 50 proc.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 28 marca o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin |
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

I PO CO BYŁO TO WSZYSTKO

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK:

Najważniejszym przesłaniem Paschy jest to, że Bóg nie wyciąga żadnych konsekwencji po zamordowaniu jego Syna. Cokolwiek zrobimy, nie wywoła to represji. Po śląsku mówiąc: Ponbóczek to strzimo.

A. DE GREGORIO / DEA / GETTY IMAGES

MACIEJ MÜLLER: Szkoda, że Kościół odrzucił Ewangelię Piotra. Opisano w niej scenę wyjścia Chrystusa z grobu. Są tam świadkowie, wszystko jest jasne.

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: Ten tekst jest apokryfem, powstałym w II wieku, później niż wszystkie pisma kanoniczne. Dlatego go odrzucono. Ewangeliści nie zapamiętali nikogo, kto by obserwował moment zmartwychwstania. Tak więc szanując źródła, wypada przyjąć, że nikt go nie widział. Czy to szkoda? Bóg działa w dialektyce ujawnienia się i ukrycia. Nawet kiedy ujawnia się najbardziej, czyli w Synu, to pozostaje schowany za człowieczeństwem. Prawdopodobnie to właśnie dlatego zostaje zakryte zmartwychwstanie, które mogłoby być najważniejszym momentem w ujawnieniu tożsamości Jezusa.

No i mamy asymetrię. Bo na makabryczną śmierć Jezusa mógł patrzeć, kto chciał.

Jest w nas gigantyczna potrzeba tego, żeby Bóg się nam sam udowodnił. To paradoksalne, bo gdyby to uczynił, przestalibyśmy w Niego wierzyć. Wiara jest trudna, ponieważ każe podejmować decyzje w stanie niepewności. Chętnie uwolnilibyśmy się od tego, dlatego żądamy znaków.

Boimy się przede wszystkim śmierci. Mamy człowieka, który ją przeszedł, ale zmarnował okazję, żeby nam o niej opowiedzieć, uspokoić nas.

Zachodzi tu sprzeczność interesów: chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś o śmierci, a Jezus uparcie opowiada o życiu i o tym, że Bóg jest jego podstawą, miernikiem i odnośnikiem. I że ono przychodzi przez zjednoczenie z Chrystusem i odpuszczenie grzechów. Jan potem ujmie to w formule: „Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie". Tej gry o życie Bóg nie tłumaczy od strony śmierci. Skupia się na tym, ku czemu zmierzamy, a nie przez co musimy przejść.

Ile w takim razie jest prawdy w duszpasterskim frazesie, żeby lękając się śmierci, spoglądać na krucyfiks?

Wydaje mi się, że nic nas nie chroni przed lękiem. Czy Jezus miał jakąś ochronę? W Ogrójcu bał się tak bardzo, że pocił się krwią. Nieprzypadkowo tradycja zapamiętała Go takiego, a nie jako kogoś, kto przed śmiercią mówiłby uczniom: „Spokojnie, za trzy dni znowu się zobaczymy". Oczekując od chrześcijaństwa lekkości w podejściu do śmierci, żądamy znieczulenia. I religii będącej ludzkim tworem w tym sensie, że zaspokaja wybrane potrzeby. W wierze nie ma zabezpieczeń. Ona wiąże się z zaufaniem – i z ryzykiem.

Niektórzy mówią, że to w Ogrójcu dokonało się zbawienie, bo tam Jezus odparł swoje ostatnie kuszenie.

Wskazywanie momentu, w którym dokonuje się zbawienie, jest karkołomne. Początek zbawiania człowieka jest na pewno we wcieleniu Boga, kiedy człowieczeństwo zostaje połączone z bóstwem. Potem następuje życie ukryte Jezusa – życie między ludźmi, które jest zbawianiem naszej codzienności.

Czas nauczania, zbawiający od fałszywego obrazu Boga. Śmierć, która zbawia od myślenia o ofierze w kategoriach udobruchania Boga. I tak dalej – aż po Eucharystię, która zbawia nas dzisiaj. To jest kontinuum, nie da się wskazać jednego momentu. Zbawienie nie dotyczy jednego wymiaru, tylko miliona aspektów ludzkiego życia.

Czy ten śmiertelnie przerażony człowiek w Ogrójcu wierzy, że zmartwychwstanie, czy wie, że zmartwychwstanie?

Zawartość ludzkiej świadomości Jezusa nie jest nam dostępna.

Ale wiemy, że był podobny do nas we wszystkim oprócz grzechu.

Jeżeli chcemy realistycznie podchodzić do dogmatu chalcedońskiego o dwóch naturach Chrystusa, musimy uznać, że miał tak samo jak my świadomość i układ nerwowy. Ale też takie samo doświadczenie mistyczne i zdolność pojmowania Boga.

Nie było czerwonej linii z Bogiem Ojcem?

Innego kanału komunikacji niż my nie miał. Bo to by oznaczało, że jest człowiekiem 2.0. Co do jakości połączenia, podejrzewam, że jednak było ciut lepiej. Grzech wydłuża nam drogę do Boga, nie wiemy nawet, jak bardzo. Natomiast przeczucie śmierci Jezus miał od dawna. Dlatego przecież opowiadał przypowieść o nieuczciwych dzierżawcach winnicy.

Puenta tej przypowieści się nie spełniła: Ojciec nie „wytracił nędzników", mimo że Mu zabili Syna.

W wersji Mateuszowej puenta pada z ust słuchaczy. Bo my oczekujemy, że Bóg się zemści. Dlatego może najważniejszym przesłaniem Paschy jest to, że Bóg nie wyciąga żadnych konsekwencji po zamordowaniu swojego Syna. Człowiek może zbliżyć się do Niego bez lęku – i to mimo że jeszcze jest grzesznikiem. Cokolwiek zrobimy, nie wywoła to represji. Po śląsku mówiąc: Ponbóczek to strzimo. A niczego gorszego od ukrzyżowania nie da się już zrobić. Krańcowy moment szaleństwa grzechu to niewiara w Syna Człowieczego. Opowieści o Bogu, którego trzeba jeszcze przebłagiwać, bo jest śmiertelnie obrażony, to duby smalone.

Pozostańmy jeszcze przy Jezusie, który się boi. Boi się do tego stopnia, że na krzyżu traci wiarę.

Nie ma podstaw biblijnych do takiego twierdzenia.

A okrzyk: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił"?

To doświadczenie braku Boga przy bardzo głębokiej wierze, opisywane przez tabuny mistyków chrześcijańskich. Na tyle dotąd doświadczałem Jego bliskości, że teraz miażdży mnie poczucie opuszczenia. Rozdzierające jest to, że się czegoś takiego doświadcza właśnie wbrew własnemu zaufaniu i pragnieniu Boga.

Faryzeusze i kapłani potrzebowali do swojego planu Piłata i Rzymian, żeby móc Jezusa nie tyle ukamienować, jak potem Szczepana, co ukrzyżować. Bo – jak głosi Tora – człowiek powieszony na drzewie jest przeklęty przez Boga. Ktoś taki nie może być Mesjaszem. Dlatego pomyślałem, że On umiera jako człowiek przerażony, w przekonaniu, że może tylko Mu się wydawało, iż jest Synem Bożym.

Każda epoka szuka swojego Jezusa: ponowoczesność potrzebuje Go wątpiącego na krzyżu. Nie wiemy, co się w Nim działo. Uczciwa teologia musi się tu zatrzymać. Opisy Ewangelistów utkane są ze wspomnień oraz intuicji teologicznych i symboli.

Ale po to mamy dogmat o dwóch naturach Chrystusa, żeby szukać, dociekać...

↦

↦ On nam pozwala powiedzieć, że Jezus miał ludzki umysł i odczucia. Ale gama ludzkich doświadczeń jest gigantyczna. Czy Jezusowe były podobne do tych, które przeżywała Faustyna, Jan od Krzyża czy może Matka Teresa? Nie będziemy tego wiedzieli i do niczego nam to niepotrzebne. Bo kiedy na nas przyjdzie ciężkie doświadczenie, to przeżyjemy je jeszcze inaczej. Czym innym jest naśladowanie Jezusa, a czym innym próba Jego kopiowania.

To znaczy?

Iść po śladach nie oznacza: stawiać kroki dokładnie w tych samych miejscach. Mamy naśladować postawę Jezusa, ale skonfigurować to musimy po swojemu. Nieważne są szczegóły Jezusowego przeżycia męki. Kluczem jest postawa zaufania i wierności wobec Ojca, dla której był gotów przejść najtrudniejszą próbę. I to mamy naśladować w swoich życiowych kontekstach.

Jezus-człowiek miał kontakt ze swoją boską naturą?

Świadomościowy? Ludzki umysł boskości nie ogarnia. Jezus nie identyfikuje się jako „Bóg", ale jako „Syn" Boga Ojca. Dogmat precyzuje: po wcieleniu nastąpiło przedłużenie wewnątrztrynitarnej relacji Syn–Ojciec. Kiedy Syn się wciela, ona przechodzi do świata i staje się relacją Jezus––Ojciec. Także psychologicznie.

Ojciec wgrał Jezusowi z Nazaretu program z misją do wypełnienia?

To by oznaczało modyfikację ludzkiej natury. Jezus musi ją rozpoznać. Czyta Biblię, modli się. Pamiętamy historię powołania Samuela: kapłan Heli pomaga mu zrozumieć wołanie „Samuelu, Samuelu" jako wezwanie Boga. W pewnym momencie to samo musiało się stać w świadomości Jezusa: rozległ się głos: „Synu mój, Synu", a On odpowiedział: „Oto jestem" (może to była ta decyzja, z której płynie zbawienie?). Ojciec zaczyna do Niego mówić, czy raczej: Syn w swoim ludzkim umyśle zaczyna ujmować Ojca. I odtwarza się – po ludzkiej stronie – ich wewnątrzboska relacja. Aż po percepcję głębokiego zjednoczenia.

Czy zbawienie musiało się dokonać w taki krwawy sposób? Halina Bortnowska mówiła kiedyś w wywiadzie dla „Tygodnika": „Jezus mógłby zbawić świat przez to, że urodziłby się na nim i zerwał jedną różę, mówiąc, że jest piękna. Nie musiałby się nawet przy tym ukłuć".

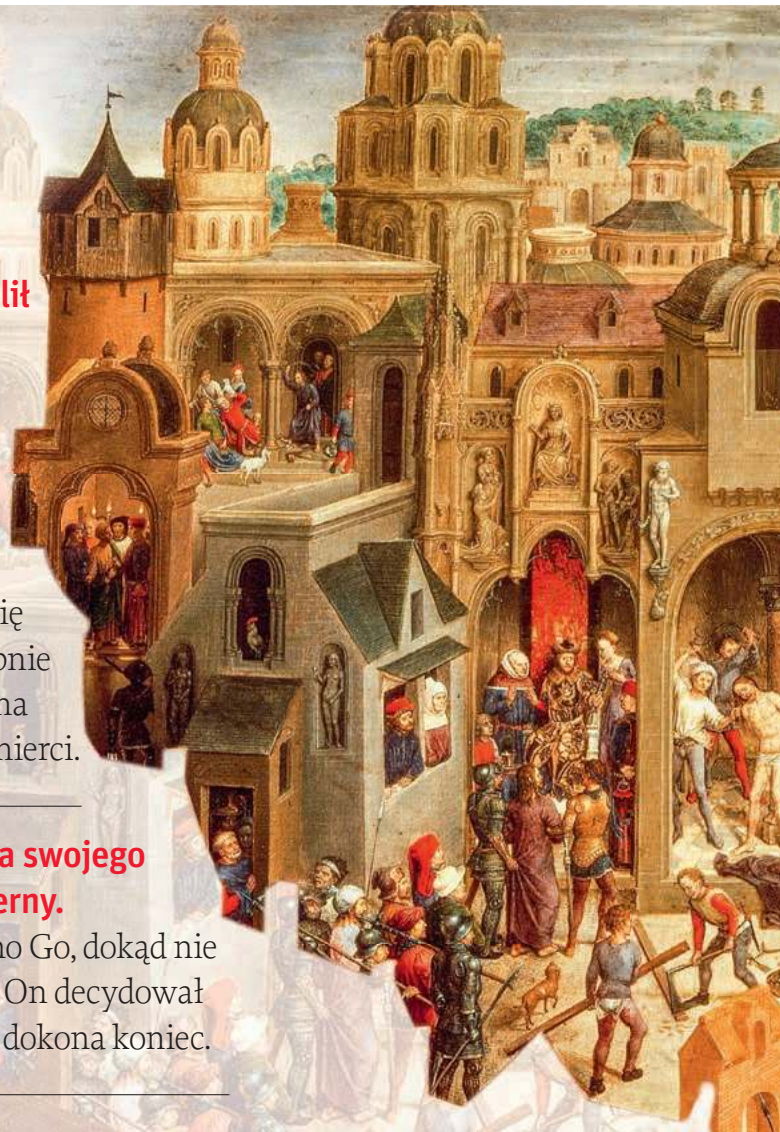

Bóg się wcielił po grzechu, więc wcześniej czy później by umarł. Zbawienie dokonałoby się prawdopodobnie bez względu na rodzaj Jego śmierci.

Jezus u końca swojego życia jest bierny. Poprowadzono Go, dokąd nie chciał. To nie On decydował o tym, jak się dokona koniec.

Jezus u końca swojego życia jest bierny. Poprowadzono Go, dokąd nie chciał. To nie On decydował o tym, jak się dokona koniec, tylko konkretne osoby, w swojej wolności. Wielu ludzi mogło zdecydować, żeby krzyża nie było. Jako że Bóg się wcielił po grzechu, domniemujemy, że wcześniej czy później by umarł. Zbawienie dokonałoby się prawdopodobnie bez względu na rodzaj Jego śmierci.

Ale wtedy Pisma by się nie wypełniły.

Które?

Np. Izajasza o słudze Jahwe: „Nieludzko został oszpecony Jego wygląd i postać Jego była niepodobna do ludzi".

Pierwsi chrześcijanie intensywnie czytali Stary Testament, szukając fragmentów pasujących do tego, co się wydarzyło. Spasowała im między innymi ta Pieśń z Księgi Izajasza. Gdyby wydarzenia przebiegły inaczej, wskazaliby inny tekst.

Czyli w Biblii są teksty kompletnie niezrozumiałe, bo zdarzyło się coś innego, niż mogło?

Nie, wszystkie te teksty mają najpierw swój własny kontekst i znaczenia wewnątrz Starego Testamentu. W czasach Jezusa w Izraelu raczej nie nadawano Pieśni o słudze Jahwe charakteru mesjańskiego. Nie było żadnego gotowego zbioru tekstów dotyczących Mesjasza. Była Biblia hebrajska i mnóstwo rozrzuconych, niejednorodnych oczekiwań co do „dnia Jahwe".

Ze wspomnianej już przypowieści o dzierżawcach wynika, że Ojciec liczy na to, iż uszanujemy Syna. Jeśli pytamy, co Bóg zamierzał, kiedy Go wysyłał na ziemię, to nie była to śmierć, i to zadana w taki sposób.

Ale Jezus zaczyna w pewnym momencie przepowiadać swoją śmierć.

Hans Memling „Pasja", część środkowa, 1471 r.
Na poprzednich stronach lewa część obrazu,
na następnych część prawa.
Cały obraz i więcej o nim na stronie 27.

Bo był inteligentny i widział, co się wokół dzieje.

Po co była ta ofiara? Jest opowieść, według której Druga Osoba z miłości chciała oddać Ojcu wszystko. Nawet dla Niego umrzeć. I stała się człowiekiem po to, żeby tego dokonać, a przy okazji zbawiła ludzkość.

Trzeba bardzo uważać na ten rodzaj myślenia. Bo relacja między Ojcem i Synem jawi się w nim jako relacja dwóch umysłów i dwóch woli. A to herezja. W środku Trójcy jest jedna wola i jeden umysł – współdzielone. Osoby Trójcy nie mają nic, co mogłyby sobie dać, bo wszystko jest wspólne i zrealizowane. Sprawa zbawienia przebiega inaczej. Cały Bóg, czyli „On Troje", pragnie zbawienia człowieka. Niektórzy Ojcowie Kościoła mówią, że stwarza nas na obraz i podobieństwo człowieczeństwa zamierzonego dla siebie.

Człowieczeństwo Chrystusa było zaprojektowane jako pierwsze – i dopiero na jego wzór powstaje Adam. A wcielenie było zamierzone od zawsze. To mniejszościowa tradycja w zachodniej teologii, ale obecna.

Czyli pieśń „o szczęśliwej winie" to też duby smalone, bo Chrystus i tak by przyszedł.

„*Exsultet*" mówi o stanie faktycznym. Zgrzeszyliśmy, Chrystus przyszedł i nie tylko zgładził winę, ale wywyższył człowieczeństwo. Trzeba to odróżnić od twierdzenia, że Bóg się musiał wcielić, bo trzeba było ratować człowieka od grzechu. Wtedy zakładalibyśmy, że Bóg nie zamierzał się wcielać, a grzech Go do tego zmusił. Co by oznaczało, że Bóg jest zmienny, i to w sprawie fundamentalnej.

I mamy herezję.

Leon Wielki w Liście do Flawiana [zob. ramka – red.], tekście niezwykle istotnym dla chrystologii i dogmatu chalcedońskiego, napisał, że Bóg po grzechu niczego nie zmienia w swoich postanowieniach, bo nie może się wyzbyć swojej łaskawości. Dlatego po prostu dopuszcza, żeby zmieniła się dynamika zbawienia.

Bo człowiek bez grzechu też by wymagał zbawienia: wywyższenia, przebóstwienia. To by było możliwe dopiero po wcieleniu.

Czyli Ogród Eden to nie było maksimum tego, czego człowiek mógł oczekiwać?

Gdyby Adam i Ewa nie zgrzeszyli, doczekaliby się raju 2.0.

Ciągle Ksiądz nie powiedział, po co Bogu była potrzebna ofiara. Jako zadośćuczynienie za grzech?

Idea zadośćuczynienia wyrosła z myśli Anzelma z Canterbury (XI w.), który próbował wyjaśnić *sola ratione*, czyli na gruncie wyłącznie filozoficznym, dlaczego wcielenie jest racjonalne i powinno się było dokonać.

Wyszedł z założenia, że relacje między Bogiem a człowiekiem przypominają znane mu dobrze stosunki feudalne między suwerenem a wasalem. Jeśli wasal naruszy zasady lenna, może zadośćuczynić, składając odpowiednie daniny, albo zostanie ukarany. Podobnie człowiek, grzesząc, naruszył porządek rzeczywistości w sposób, który domaga się kary albo zadośćuczynienia. Bóg, według Anzelma, nie chce karać. Tylko że człowiek nie jest w stanie zadośćuczynić ze względu na swoją niewspółmierność wobec Boga. Jest Mu winny wszystko, nie ma nic swojego. Dlatego musiało dojść do wcielenia, które umożliwia zadośćuczynienie w naszym imieniu, bo człowiek czyni zadość, ale skuteczne jest to na poziomie Bożym, bo zadośćczyni Bóg.

Niełatwo stworzyć model, który będzie pasował do Ewangelii i jednocześnie przemawiał do kultury, w której powstał. Anzelm był tak przekonujący, że w ciągu 150 lat skolonizował całą łacińską teologię, wygniatając wszystkie inne modele zbawcze. Niektórzy interpretatorzy Anzelma – w tym zdaje się Luter – kiedy już zanikły ideały kultury feudalnej, poszli dalej, przyjmując, że Bóg musi karać – nie chcąc jednak śmierci człowieka, sam staje się człowiekiem i przyjmuje na siebie własną karę.

Może więc lepiej przyjąć, że Chrystus przychodzi nas odkupić?

To model prostszy i ewangeliczny, biorący pod uwagę tylko to, co jest istotą sprawy. Jesteśmy niewolnikami grzechu, ↦

↦ a nie swoich niewolników jak się wyzwala? Przez wykup. Kropka.

Tylko z czyich rąk?

I tu jest problem. To moment, w którym wychodzimy z metafory do alegorii: ta pierwsza zatrzymuje się na wykupieniu niewolnika, alegoria potrzebuje nazwać wszystkie elementy. Więc pojawia się szatan i teoria, według której Bóg musi mu spłacić prawa do człowieka. Tymczasem rola szatana, jak pisze wspomniany Leon Wielki, sprowadza się do tego, że głupio się cieszy, iż znalazł sobie wspólnika w grzechu.

Nie próbujmy tu składać spójnego systemu. Nowy Testament w ogóle nie tworzy systemów, nie ma tam nawet domkniętych modeli teologicznych – raczej metafory. Nadinterpretując je, wyczytujemy z Biblii rzeczy, których tam nie ma.

No a jak dziecko spyta, co to znaczy, że Pan Jezus nas wykupił? Skoro nie od własnego Ojca i nie od diabła?

Ważne jest tylko to, że ten wykup był kosztowny. I że w całości wziął go na siebie Bóg. A nie musiał.

Teologia jest dzisiaj bliska Nowemu Testamentowi, czyli wielowątkowości i wieloobrazowości. Znajdziemy tu ideę wykupu, zastępstwa czy pośrednictwa – bez żadnej próby uspójnienia. Nikt nie pilnuje dopięcia modelu, może z wyjątkiem autora Listu do Hebrajczyków.

Tej historii nie da się ująć w system, czy nikt tego nie potrafi?

Doświadczenie człowieka jest wielowymiarowe, więc jakiś jeden konkretny model zawsze będzie upraszczał sprawę. Żeby uzyskać szerszy obraz, musimy modelować wielokrotnie i z różnych perspektyw. Dlatego mamy cztery Ewangelie.

MICHAŁ ŁUCZAK / FORUM

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK jest teologiem specjalizującym się w chrystologii, adiunktem w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Obecnie jest także dyrektorem Ośrodka Formacji Diakonów Stałych Archidiecezji Katowickiej.

Krąży taki rysunek – Jezus mówi: a teraz słuchajcie mnie uważnie, żeby potem nie było czterech wersji tego, co powiedziałem.

Ha, chcielibyśmy, żeby wszystko się zgadzało i nie zaprzeczało sobie, ale my przecież jedno i to samo wydarzenie zupełnie inaczej zapamiętujemy. Kognitywistyka wyjaśnia, że każde zapamiętanie jest głównie utratą danych. Wiec jeśli chcemy zgromadzić więcej danych, musimy mieć więcej zapamiętujących.

Każdy ochrzczony ma prawo stwierdzić, że jest zbawiony przez ofiarę Chrystusa?

Tak.

Da się z niej wyłączyć?

Owszem. Wystarczy się nie nawracać. Przynależności do Chrystusa można zaprzeczyć.

Czyli decydując się na grzech...

...oddalamy się od Boga i narażamy na niebezpieczeństwo oddalenia ostatecznego.

Ale ofiara Chrystusa jest przecież nieskończona, dopiero co o tym mówiliśmy.

Jest uniwersalnie skuteczna, ale ja mogę jej nie chcieć. Bóg nas traktuje bardzo poważnie. Na początku historii Jezusa jest „tak" nastolatki z Nazaretu. Ludzkie, zwyczajne, jedno. Życie składa się z pojedynczych decyzji i każda z nich jest w pewnym sensie rozstrzygająca. Bo może nie być następnej.

Druga strona medalu: czy możemy się włączyć w ofiarę Chrystusa?

Jasne.

Chodzi o ten okropny, bluźnierczy tekst Pawła o „dopełnianiu braku udręk Chrystusa"?

Czemu bluźnierczy?

Bo sugeruje, że Chrystus mógłby cierpieć jeszcze bardziej.

A nie mógłby? Ludzie potrafią zabijać boleśniej i dłużej.

I Paweł...

...nie, nie zachęca do szukania boleśniejszej śmierci. Chodzi mu o to, żeby każde cierpienie, które na nas przyjdzie, jednoczyć z krzyżem Chrystusa mówiąc: chcę to przeżywać z Tobą, żeby z mojego kawałka cierpienia wyszło dobro analogiczne do tego, jakie wyszło z Twojego krzyża. Dlatego taka postawa, jak pisze Paweł, jest „dla dobra Jego ciała, którym jest Kościół".

Ewangelie milczą o tym, co Jezus robił między śmiercią a zmartwych-

Fragment Listu Leona Wielkiego do Flawiana

Stąd Ten, który pozostając w postaci Bożej stworzył człowieka, w postaci sługi stał się człowiekiem; zachowuje bowiem swoje właściwości, bez żadnego braku, każda z Jego dwu natur i ani postać Boża nie niszczy postaci sługi, tak postać sługi nie umniejsza postaci Bożej. Diabeł chełpił się, że człowiek, zwiedziony jego oszustwem, utracił Boże dary i obrabowany z wiana nieśmiertelności podległ twardemu wyrokowi śmierci.
Znalazł pociechę w tym, że ma wspólnika w swoim przestępstwie i że podzieli swój los z niewiernym człowiekiem.
Myślał, że Bóg, czyniąc zadość wymogowi sprawiedliwości, zmienił swój wyrok w stosunku do człowieka, którego stworzył w tak wielkiej godności.
Dlatego potrzebne było, ażeby stosownie do swego planu niedającego się zgłębić – niezmienny Bóg, którego wola nigdy nie może wyzbyć się łaskawości – dopełnił powziętego z miłości swego pierwotnego zamiaru wobec nas poprzez bardziej ukrytą tajemnicę, a człowiek, przewrotnością diabelskiej niegodziwości przywiedziony do grzechu, nie zginął wbrew Bożemu postanowieniu.

wstaniem. Ale w Wielką Sobotę czyta się w liturgii godzin fantastyczną starożytną homilię – tekst o tym, jak On schodzi do Otchłani, znajduje Adama i mówi mu: „Nie po to cię stworzyłem, abyś tu pozostawał spętany. Powstań z martwych, albowiem jestem życiem umarłych”.

Idea zstąpienia do Otchłani bierze się z przekonania, że Jezus jest solidarny z człowiekiem we wszystkim. Dlatego po śmierci ląduje w Szeolu, gdzie wszyscy, sprawiedliwi i niesprawiedliwi, czekają na Dzień Jahwe. Wraz z człowieczeństwem Chrystusa zstępuje tam boskość – wcześniej w Szeolu Boga nie było. Czyli oznacza to koniec Otchłani. Zmarli – jak to przedstawiają wschodnie ikony – chwytają Go za ręce, a On ich wyprowadza.

Jezus mówi do Adama: „Niegdyś szatan wywiódł cię z rajskiej ziemi, Ja zaś wprowadzę ciebie już nie do raju, lecz na tron niebiański”. Pewien dominikanin powiedział w kazaniu: albo będziecie potępieni, albo będziecie królować. Tertium non datur.

Miał rację. Nasze człowieczeństwo po zmartwychwstaniu będzie absolutnie na wzór człowieczeństwa Chrystusa. A to oznacza takie wywyższenie w relacji z Bogiem, jakie było udziałem Chrystusa – tylko że przez łaskę, a nie przez naturę.

W Apokalipsie Bóg pozwala posiedzieć na swoim tronie. Ale zapowiada też, że „zwycięzcę uczyni filarem w Świątyni (...) i już nie wyjdzie na zewnątrz”. Trochę straszne, przez wieczność dźwigać strop.

W myśleniu Izraela Świątynia jest niewielkim miejscem obecności Bożej pośród świata pozbawionego Boga. Apokalipsa mówi, że Świątynia zanika – ale poprzez rozszerzenie. Skoro każdy jest filarem, poza Świątynią rzeczywiście nie będzie nikogo. Wszyscy będziemy w środku.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

A. DE GREGORIO / DEA / GETTY IMAGES

Oto nieludzki wyrok

KS. MARIUSZ ROSIK

Komu zależało na śmierci Jezusa? Jak wyglądały kulisy jego procesu?

Pewien żyjący w I wieku Żyd imieniem Jezus naraził się świątyni jerozolimskiej, występując publicznie przeciwko tej centralnej instytucji judaizmu biblijnego. Ów buntownik wołał: „Głos ze wschodu, głos z zachodu, głos od czterech wiatrów, głos przeciwko Jerozolimie i przeciwko Przybytkowi, głos przeciwko oblubieńcom i przeciwko oblubienicom, głos przeciwko całemu narodowi". Władze żydowskie rozpoznały w tym wołaniu

„Ecce Homo", kopia obrazu Hieronima Boscha, malarz anonimowy, między 1530 a 1550 r.

EAST NEWS

bluźnierstwo zasługujące na karę śmierci, jednak Rzymianie uznali autora wołania za niespełna rozumu i darowali mu życie.

Opisał to historyk Józef Flawiusz w „Wojnie żydowskiej". Czy tak mogła się potoczyć historia żyjącego trzydzieści lat wcześniej Jezusa z Nazaretu?

W przypadku jego późniejszego imiennika, jak precyzuje Flawiusz – syna Ananiasza, motywem decyzji władz rzymskich był przypuszczalnie brak czynów potwierdzających zapowiedzi. W przypadku procesu Jezusa z Nazaretu w grę wchodziło nie tylko oskarżenie o bluźnierstwo, ale także czyn – wypędzenie handlujących ze świątyni – który miał potwierdzać słuszność oskarżenia. Czy to rzeczywiście wystarczyło, by ukarać śmiercią według żydowskiego Prawa? To ono bowiem stało się ważnym oskarżeniem w procesie Jezusa.

Motywy zdrady

Oskarżenie o bluźnierstwo pozwoliło wszcząć proces przeciw Jezusowi przed trybunałem żydowskim, a następnie rzymskim. Wszystko zaczęło się jednak wcześniej. Jakie były motywy zdrady dokonanej przez Judasza? Hipotezy są różne. Najbardziej powszechna mówi o chciwości. Ewangelista Jan stwierdza, że Judasz „był złodziejem i mając trzos wykradał to, co składano" (J 12, 6). Miałby więc zdradzić Jezusa za trzydzieści srebrnych monet. Badacze wypracowali jednak kilka hipotez bardziej wysublimowanych.

Teologowie i historycy mają pewne kłopoty z dokładnym określeniem pochodzenia Judasza. Ewangeliści nazywają go Iskariotą, co sugerować może przynajmniej dwa rozwiązania. Najbardziej prawdopodobne zamyka się w stwierdzeniu, że Judasz był człowiekiem (hebr. *isz*) wywodzącym się z Kariotu, miasta w południowej Palestynie. Drugie wskazywać może na przynależność Judasza do skrajnego ugrupowania zelotów, zwanego sykaryjczykami. Podobieństwo foniczne „Iskariota" i *sikarios* (sykaryjczyk) miałoby potwierdzać taką interpretację. Niektórzy sądzą, że mamy do czynienia z błędem w pisowni greckiej lub łacińskiej nazwy *sicarius*, którą nieopacznie zamieniono na *iscarius*, a stąd już blisko do „Iskarioty". Termin „sykaryjczyk" pochodzi od nazwy krótkich sztyletów, zwanych *sica*, których używano dla pozbycia się politycznie niewygodnych wrogów.

Sykaryjczycy to jedno z wielu żydowskich ugrupowań, które występują na religijno-politycznej scenie Palestyny I wieku. Rozwijają swą działalność obok arystokratycznych saduceuszów, strzegących skrupulatnego przestrzegania Prawa faryzeuszów, buntujących się przeciw oficjalnemu kultowi esseńczyków, utożsamianych dziś z qumrańczykami, czy nieco mniej radykalnych zelotów. Sykaryjczycy to skrajny odłam ruchu zelockiego. Jego początki nie są dokładnie znane, jednak pewnym jest, że o zelotach można już mówić podczas spisu dokonywanego w Palestynie przez Kwiryniusza, wielkorządcę syryjskiego (6/7 r. po Chr.). Patriotyzm zelotów miał silne podłoże religijne. Ukute przez nich hasło: „żadnego władcy prócz Boga", nie oznaczało jednak anarchii. Byli gotowi uznać swoich władców reprezentantów władzy boskiej, jednak nie Rzymian. Właśnie dlatego dążyli do wzniecenia powstania przeciw okupantowi. Według wspomnianego Flawiusza to właśnie sykaryjczycy bronili Masady, ostatecznie wybierając śmierć niż poddanie się Rzymowi.

Można przypuszczać, że apostoł Szymon, zanim przyłączył się do grona uczniów Jezusa, związany był ze stronnictwem zelotów. Łukasz nadaje mu przydomek zeloty, czyli gorliwego. Zelotów do nauczania Jezusa mógł przyciągać zasadniczy temat Jego przepowiadania, temat królestwa Bożego. Łatwo było im interpretować niektóre wypowiedzi Jezusa jako wezwanie do ogólnego powstania przeciw władzy rzymskiej. Tak przypuszczalnie odczytywali *logion*: „A od czasu Jana Chrzciciela aż dotąd królestwo niebieskie doznaje gwałtu i ludzie gwałtowni zdobywają je" (Mt 11, 12). Istnieją powody, dla których niektórzy egzegeci podejrzewają istnienie powiązań pomiędzy osobą Jana, a być może również i jego brata Jakuba, syna Zebedeusza, ze stronnictwem zelotów. Miałby o tym świadczyć jego radykalizm wyrażony w przydomku, który przypisywano także jego bratu, „syn gromu" (Mk 3, 17).

Jeśli Judasz rzeczywiście należał do stronnictwa sykaryjczyków, wówczas motywem zdrady mogło być pragnienie rychłego wszczęcia powstania przeciw Rzymowi. Wydawało się, że Jezus – polityczny Mesjasz, jak się spodziewano – zwleka z tą decyzją, a zdrada miałaby Go przymusić, by dał impuls do walki.

Istnieje wreszcie hipoteza, według której imię „Judasz" znaczy tyle co „Żyd". Judasz miałby być przedstawicielem tych członków narodu wybranego, którzy odrzucili Jezusa. Obraz taki – według twórców hipotezy – utrwalić miał się wraz z biegiem czasu. John Shelby Spong, biskup Kościoła episkopalnego w Newark, sądzi, że skoro imię Judasza (Juda) jest tym samym ↦

REKLAMA

Twój ruch ma znaczenie!

Przekaż swój 1%

na program dożywiania dzieci Pajacyk

Polska Akcja Humanitarna
KRS 0000 136 833

1

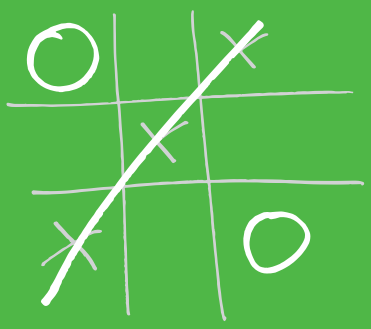

www.pah.org.pl/jedenprocent

pah

↦ imieniem co nazwa całego królestwa Judy, to może Judasz wcale nie był apostołem. Jego imię to imię zbiorowe, obejmujące tych Żydów, którzy odrzucili Jezusa. Tezę swą argumentuje, analizując sposób zdrady i podpierając się dwoma wątkami ze Starego Testamentu. Dziwnym wydaje się, że Judasz zdradził Jezusa przez pocałunek, a wszystko odbywało się po wspólnie spożytej uczcie paschalnej. Wystarczyłoby przecież wskazać Go palcem lub powiedzieć: „To Ten".

Spong widzi tu nawiązanie do postępku Achitofela, który zdradził króla Dawida tuż po wspólnym posiłku; bezpośrednio po zdradzie odebrał sobie życie przez powieszenie (2 Sm 17, 15-23). Drugi epizod to obraz Joaba całującego Amasę tuż przed przebiciem jego wnętrzności ukrytym sztyletem (2 Sm 17, 25). Innymi słowy, ewangeliści, by obwinić niektórych członków Izraela o zdradę Jezusa, nawiązali do scen zdrady znanych ze Starego Testamentu. O tym, że Judasz miałby być postacią literacką symbolizującą Żydów, świadczyć może – zdaniem biskupa Newark – fakt, że Paweł zdaje się być nieświadomy tego, kto zdradził Jezusa. Nie tylko nie wspomina ani razu o Judaszu, ale także opisując chrystofanię (ukazywanie się Jezusa po zmartwychwstaniu), wzmiankuje dwunastu (nie jedenastu) apostołów.

Ostatecznie trzeba więc uznać, że próba wysupłania z kart Ewangelii klarownych motywów zdrady musi zakończyć się na domysłach. W każdym razie zdrada Judasza prowadzi do pojmania Jezusa i wszczęcia procesu przed dwoma trybunałami: żydowskim i rzymskim.

Sanhedryn

Pojmanego Jezusa zaprowadzono do domu najwyższego kapłana. Tam zebrał się Sanhedryn. Wysoka Rada to żydowska instytucja religijna i sądownicza, która znana była od około 200 roku przed Chr. W skład Sanhedrynu wchodziło siedemdziesięciu jeden członków. Oprócz przewodniczącego i zastępcy było wśród nich dwudziestu trzech uczonych w Piśmie, dwudziestu trzech kapłanów i tyluż samo starszych, którzy należeli do arystokracji świeckiej. Przewodniczącym rady z urzędu był najwyższy kapłan. Wiadomo, że początkowo Sanhedryn był organem doradczym przy arcykapłanie lub królu, później jednak stał się najwyższym autorytetem religijnym w kraju.

Motywem zdrady Judasza mogło być pragnienie rychłego powstania przeciw Rzymowi. Wydawało się, że Jezus – polityczny Mesjasz – zwleka z tą decyzją.

Sanhedryn według Marka nie przestrzegał procedur prawnych. Narady mogły się odbywać tylko w ciągu dnia. To posiedzenie odbyło się nocą.

Sanhedrynowi nie przeszkadza rozpoczynające się Święto Paschy, w które według Miszny nie można wydawać wyroków skazujących. W czasach Jezusa prawo nie zezwalało nawet na odbywanie posiedzeń Sanhedrynu w szabat, dni świąteczne i związane z nimi dni przygotowania. Według Marka ewangelisty nie przestrzegano także innych zasad przewidzianych procedurą prawną. Narady mogły odbywać się jedynie w ciągu dnia (talmudyczny traktat „Sanhedryn"; 4, 1), natomiast zdaniem ewangelisty posiedzenie odbyło się nocą.

Świadectwa przeciw Jezusowi szukają pod przewodnictwem arcykapłana wszyscy członkowie Wysokiej Rady, choć do wydania prawomocnego wyroku wystarczyła obecność dwudziestu trzech z nich. Procedura procesowa wymagała, by najpierw przesłuchać świadków, a następnie deliberować nad wyrokiem. Z historycznego punktu widzenia przypuszczać należy, że przesłuchanie Jezusa dotyczy przede wszystkim przekraczania przepisów faryzejskich i wyrzucenia sprzedających i kupujących ze świątyni, co pozwoliło oskarżycielom sformułować zarzuty o występowanie przeciw Prawu i przeciw świątyni jako miejscu oficjalnego kultu. Zarzut jest jasny: Jezus zachęca do zburzenia świątyni i deklaruje, że odbuduje ją w ciągu trzech dni. Świadkowie jednak zaprzeczają sobie nawzajem. Brak wystarczającego motywu podtrzymania oskarżenia skłania arcykapłana do pytania bezpośrednio dotyczącego mesjańskiej godności Jezusa: „Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Błogosławionego?" (Mk 14, 61). Tytuł „Syna Błogosławionego" stanowi zarzut o charakterze religijno-politycznym w oczach władz żydowskich. Uzurpacja tytułu Mesjasza mogła stać się powodem oskarżenia nie tylko ze strony Żydów, ale także i Rzymian, jeśli tytuł ten interpretowany był w kategoriach politycznych. W każdym razie obwołanie Jezusa Mesjaszem podważyłoby pozycję Sanhedrynu jako najwyższego autorytetu religijno-politycznego w narodzie żydowskim. Na to członkowie Rady nie mogli się zgodzić.

Niektórzy egzegeci sugerują, że Jezusowa odpowiedź na pytanie arcykapłana uznana została przez niego za bluźnierstwo z powodu wykorzystania formuły objawieniowej „Ja jestem". Wydaje się, że trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie w tej kwestii, gdyż odpowiedź pozytywna na pytanie rozpoczynające się od słów „czy jesteś?" poniekąd wymusza taką formułę. Słysząc Jezusowe „Ja jestem", arcykapłan rozrywa swoje szaty. Gest ten to zazwyczaj znak żałoby, cierpienia lub strachu. W tym wypadku staje się antycypacją wyroku. W uszach najwyższego kapłana bluźnierstwo stało się faktem.

Piłat

Rankiem następnego dnia Jezus zostaje odprowadzony do Piłata. Piłat w 26 roku został mianowany przez cesarza Tyberiusza prefektem Judei. Był następcą Waleriusza Gradusa. Objął urząd jako protegowany niejakiego Sejana. Często popadał w konflikt ze swoimi poddanymi. Zwłaszcza trzy jego decyzje nie podobały się ludowi izraelskiemu: wniesienie sztandaru z wizerunkiem cesarza do twierdzy Antonia, umieszczenie tarcz w pałacu Heroda i budowa akweduktu jerozolimskiego, na którego finanse przeznaczono z funduszu świątynnego. Piłat w 36 roku stłumił powstanie Samarytan. Jego dalsze losy nie są znane. Wszyscy ewangeliści i Józef Flawiusz poświadczają jednak, że przewodził procesowi Jezusa i zatwierdził Jego wyrok.

Początkowo nie zgadzał się z nim i sam prowadził dochodzenie. Historyczny ciąg zdarzeń opisanych przez Marka ewangelistę był więc najprawdopodobniej taki, że faryzejscy i saducejscy członkowie Sanhedrynu, złączeni przez wspólną wrogość wobec Jezusa, najpierw Go aresztowali, a po krótkim przesłuchaniu przekazali prokuratorowi jako więźnia politycznego,

licząc, że ten wymierzy najwyższy wyrok. Piłat zdaje sobie sprawę, że z Sanhedrynem nie można igrać. Relacja między namiestnikiem Judei a Tyberiuszem była i tak napięta. Donos do Rzymu ze strony Wysokiej Rady, że Piłat nie reaguje odpowiednio na uzurpację władzy, jedynie by ją pogorszył. Stąd prokurator dość łatwo ulega starszyźnie.

Jezus odpowiada twierdząco na pytanie Piłata, czy jest królem żydowskim. Żydowskie władze religijne współpracowały z namiestnikiem Rzymu w kwestiach politycznych. Jeżeli bezpośrednim powodem aresztowania Jezusa było wyrzucenie handlujących w świątyni i powywracanie stołów bankierów, to z pewnością niełatwo dostrzec w tym czynie uzurpację godności królewskiej. Na ogniwo łączące obydwa oskarżenia (o bunt przeciw świątyni, czyli powodowanie zamieszek, i o uzurpację godności królewskiej) może wskazywać fragment z Flawiusza: „W owym czasie w całej Judei grasowały bandy rozbójnicze. Gdzie tylko zdołał ktoś zebrać grupę buntowników, obierano go królem i wyrządzano wielkie szkody narodowi. Albowiem Rzymianom niewiele tylko i w mało znaczących sprawach dawali się we znaki, ale za to wszędzie sprawiali rzeź wśród swoich pobratymców" („Starożytności żydowskie"; 17,285). Niewiele jednak wskazuje na to, że w przypadku Jezusa i Jego uczniów chodzi o sytuację analogiczną.

Po krótkim dialogu Piłata z Jezusem na scenę wstępuje Barabasz. Poza ewangeliami brak źródeł potwierdzających istnienie zwyczaju uwalniania więźnia z okazji święta Paschy. Według współczesnego Jezusowi Filona z Aleksandrii namiestnicy rzymscy co najwyżej odraczali wykonanie wyroku, przesuwając je poza czas świąteczny. Dla przykładu, w związku z antyżydowskimi wystąpieniami podczas urodzin Kaliguli w sierpniu 38 roku po Chr., Filon oskarżał Avillusa Flakkusa, rzymskiego namiestnika Egiptu w latach 32-38 po Chr.: „Zarządcy, którzy w należyty sposób sprawują władzę i nie tylko udają szacunek, lecz prawdziwie szanują swoich dobroczyńców, mają zwyczaj odkładać wykonanie wyroku na skazanych, dopóki nie zakończą się uroczystości ku czci wspaniałego domu Augusta. (...) Lecz Flakkus nie wydał polecenia, by zdjąć ciała ukrzyżowanych. Przeciwnie, nakazał ukrzyżowanie żyjących, którym okres świąteczny zapewnił krótkie odroczenie, opóźniające wykonanie wyroku, choć nie jego unieważnienie" („*In Flaccum*"; 81-84). Czym inny jednak jest odroczenie wyroku, a czym innym darowanie kary i amnestia. Egzegeci wciąż spierają się, czy uwolnienie Barabasza było faktem historycznym, czy jedynie teologicznym.

Uwolnienia domaga się tłum, jednak nie sam z siebie. Tłuszcza została podburzona przez arcykapłanów. Prokurator Judei wdaje się w dysputę z Żydami niczym na wiecu politycznym. Pyta, co winien zrobić z Jezusem. Domaga się ujawnienia, co złego uczynił oskarżony. Jednak wśród narastających okrzyków „ukrzyżuj!" o dalszym dialogu nie może być mowy. Wyrok zapada.

Egzekucja

Sam fakt, że Jezus został ukrzyżowany, a nie ukamienowany, wskazuje, że ostatecznie został skazany według procedury rzymskiej, nie żydowskiej. Faktycznie toczyły się dwa procesy, przed sądem religijnym i świeckim. Podstawą wyroku przed Sanhedrynem było dwojakie bluźnierstwo: przeciw świątyni i przeciw samemu Bogu. Świątynia rozumiana była zawsze jako miejsce Szekiny, zamieszkiwania i obecności Boga. Kto bluźni Bogu, bluźni świątyni; kto bluźni świątyni, wypowiada bluźnierstwa przeciw Bogu, którego świątynia jest domem. Podstawą wyroku, który zapadł przed Piłatem, była uzurpacja godności królewskiej.

Dlaczego dwa procesy? Bo raczej nie było możliwe, aby Sanhedryn mógł wydać wyrok śmierci w czasie, gdy prokurator Judei obecny był w Jerozolimie. Ostatecznie to on wydał wyrok skazujący. Za ciekawostkę należy uznać fakt, że w Kościele koptyjskim Piłat uznany został za świętego. Według tradycji potajemnie przyjął chrześcijaństwo w pewien czas po śmierci Chrystusa. © KS. MARIUSZ ROSIK

Autor jest biblistą, wykładowcą Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu i Uniwersytetu Wrocławskiego.

REKLAMA

Tęsknota Łotra

SZYMON HOŁOWNIA

Wszelkie starania ludzi, którym wydaje się, że są dobrzy, mogą się okazać warte tyle samo, co jeden akt człowieczeństwa kogoś, kto sam siebie uważał za złego.

Korci, żeby pisać mu hagiografię. Biografię według klasycznych wzorców: krwisty moralitet z dwoma punktami zwrotnymi. Pierwszy mógłby być wtedy, gdy mały Dyzmas z wioski w okolicach Emaus (tak twierdziły niektóre legendy) z miłego pacholęcia staje się draniem. Drugi punkt opisuje Ewangelia Łukasza: gdy ukrzyżowany po prawej stronie Jezusa uznaje swoją winę, a Jego niewinność. I prosi: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do swego królestwa".

Ale przecież nie wiemy o nim nic. Tylko że – jak to ujął jeden z najwybitniejszych amerykańskich intelektualistów XX w. ks. Richard John Neuhaus w książce „Śmierć w piątek po południu" – „pierwszy do domu wrócił złodziej". Święty Dobry Łotr, któremu apokryficzna Ewangelia Nikodema nadaje imię Dyzma (z uwagi na konotacje „Dyzmy" w polskiej kulturze masowej będę używał formy „Dyzmas"), choć w innych apokryfach nazywa się go też Joatasem albo Tytusem, zaś Dobrym Łotrem nazwał go ksiądz Wujek – to przecież człowiek kanonizowany przez samego Pana.

Nieświęta ziemia

Nie mamy pojęcia, za co skazano jego i trzeciego z zabijanych tego dnia mężczyzn (któremu apokryficzna tradycja nadała z kolei imię Gestas). Greckie określenie „*leistes*" (buntownicy, rozbójnicy), jakimi potraktowano ich w Ewangelii Marka, może mieć zabarwienie polityczne i odnosić się do antyrzymskich powstań drugiej połowy I wieku. Łukasz mówi o nich *kakourgoi*, dosłownie: czyniący zło. Wiele angielskich tłumaczeń sięga po słowo „*bandits*".

Pewnie nie na wyrost: Ziemia Święta w czasach Jezusa nie była rajem. Nierówności społeczne przybierały dramatyczne formy. Badacze twierdzą, że około 10 proc. ludności ówczesnej Galilei stanowiła uprzywilejowana kasta religijnych bossów, posiadaczy ziemskich i arystokracji, zwykle zhellenizowanej i kolaborującej z rzymskim okupantem. Pozostałe 90. proc. to żyjąca z dnia na dzień biedota, do której zaliczała się też rodzina Jezusa: ludzie próbujący wyżyć z pracy najemnej, obciążeni nad miarę daninami dla właścicieli ich pól i winnic, władz religijnych, cywilnych, okupacyjnych. Łączna skala obciążeń mogła przekraczać 50 proc., wystarczył jeden mniej urodzajny sezon – a za życia Jezusa miały miejsce co najmniej dwa znaczne trzęsienia ziemi i jedna klęska suszy – i można było zostać sprzedanym za długi w niewolę. Nielitościwi wierzyciele, ludzie czekający cały dzień na dorywczą pracę, niesprawiedliwi sędziowie, opętani majątkiem albo władzą dostojnicy – Jezus przykładów do przypowieści nie brał z powietrza.

Bandyci, którzy napadli człowieka schodzącego z Jerozolimy do Jerycha, też nie musieli być wymyśleni. Apogeum wszechobecnej przestępczości to lata 50. i 60. I wieku, ale i 20 czy 30 lat wcześniej w kraju też roiło się od band. Jedne działały w formule Janosika, inne po prostu dorabiały się na cudzej krzywdzie.

W oczach Rzymian trzej zabijani tego dnia skazańcy pewnie niezbyt się od siebie różnili: wprowadzali zamęt w świecie, w którym jasno określono los każdego człowieka. Na krzyżach widzimy być może finał dwóch rewolucji ziemskich i początek rewolucji wykraczającej poza wyobrażenia śmiertelnych zbawiaczy świata.

Ale Bóg wiedział, co robi, dając nam do rąk nie wysycone kontekstami opisy, lecz lapidarne, esencjonalne fragmenty. Wystarczy, że o Dyzmasie wiedzieć będziemy tyle, ile mówi nam Ewangelia. A ta relacjonuje: „Jeden ze złoczyńców powieszonych na krzyżu bluźnił Mu, mówiąc: »Czyż Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw siebie i nas!«. Drugi natomiast, upominając go, powiedział: »Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż ponosisz tę samą karę? My przecież sprawiedliwie zostaliśmy ukarani za nasze czyny, On zaś nic złego nie zrobił«. I mówił: »Jezu, wspomnij na mnie, gdy wejdziesz do swego królestwa«. Odpowiedział mu: »Zaprawdę, mówię Ci: Dziś ze Mną będziesz w raju«". (Łk 23, 39-43).

Oto człowiek

Umierają chwilę po Nim. Duszą się, gdy kaci łamią im nogi, widząc, że Jezus już umarł, a czasu do rozpoczęcia szabatu zostało coraz mniej. W najważniejszą tajemnicę chrześcijaństwa na zawsze wpisany zostaje komentarz do przypowieści o robotnikach w winnicy: człowiek, który dobrze przeżył parę ostatnich minut swojego życia, zostaje postawiony na równi z uczniami, którzy zostawili wszystko i poszli za Nim. Z patriarchami i prorokami, męczennikami i świętymi. Odtąd przez dwa tysiące lat niektórych będzie zachwycać, a innych gorszyć myśl, że sprawiedliwością Boga jest Jego miłosierdzie.

Tych drugich też rozumiem. Proszę oto bowiem wyobrazić sobie, że pod tym krzyżem stały rodziny ofiar Dyzmasa. Ludzie, którym zamordował najbliższych. Co mogli czuć, przysłuchując się obietnicy Jezusa? Próbuję sobie wyobrazić, co ja czułbym, stając twarzą w twarz np. z młodzieńcem, który dwa tygodnie temu w Cerekwicy koło Jarocina wpadł w nocy z nożem do domu swojej byłej narzeczonej, zaszlachtował jej śpiących rodziców, zranił siostrę, a ją samą – w dziewiątym miesiącu ciąży – ciął w brzuch, tak by zabić dziecko, którego jest ojcem (jego synek, po cesarce, walczy o życie). Tak, wiem: dla mnie, chrześcijanina, przestępca pozostaje przestępcą tylko do progu, za którym zaczyna się żal za grzechy, choćby szczątkowy. Bóg idzie jeszcze dalej: dla niego syn, żeby nie wiem czym opętany – nie przestanie być synem. Czy jednak dzieckiem Boga nie jest też ten maluszek, który ziemskie życie zaczął od krwawienia po ciosach zadanych przez własnego ojca? I co mamy mu powiedzieć: że jeśli tylko ów ojciec, zabójca, zdobędzie się na szczery akt żalu, też ma szansę na niebo? Bez pokuty, bez zadośćuczynienia, bez paru dekad w więzieniu? Dzisiaj? Jego też Jezus kanonizowałby za życia za jedno zdanie?

Tyle że Boże miłosierdzie nie jest teoretyczne, zawsze pracuje w konkretnej relacji, w konkretnym losie skonfrontowa-

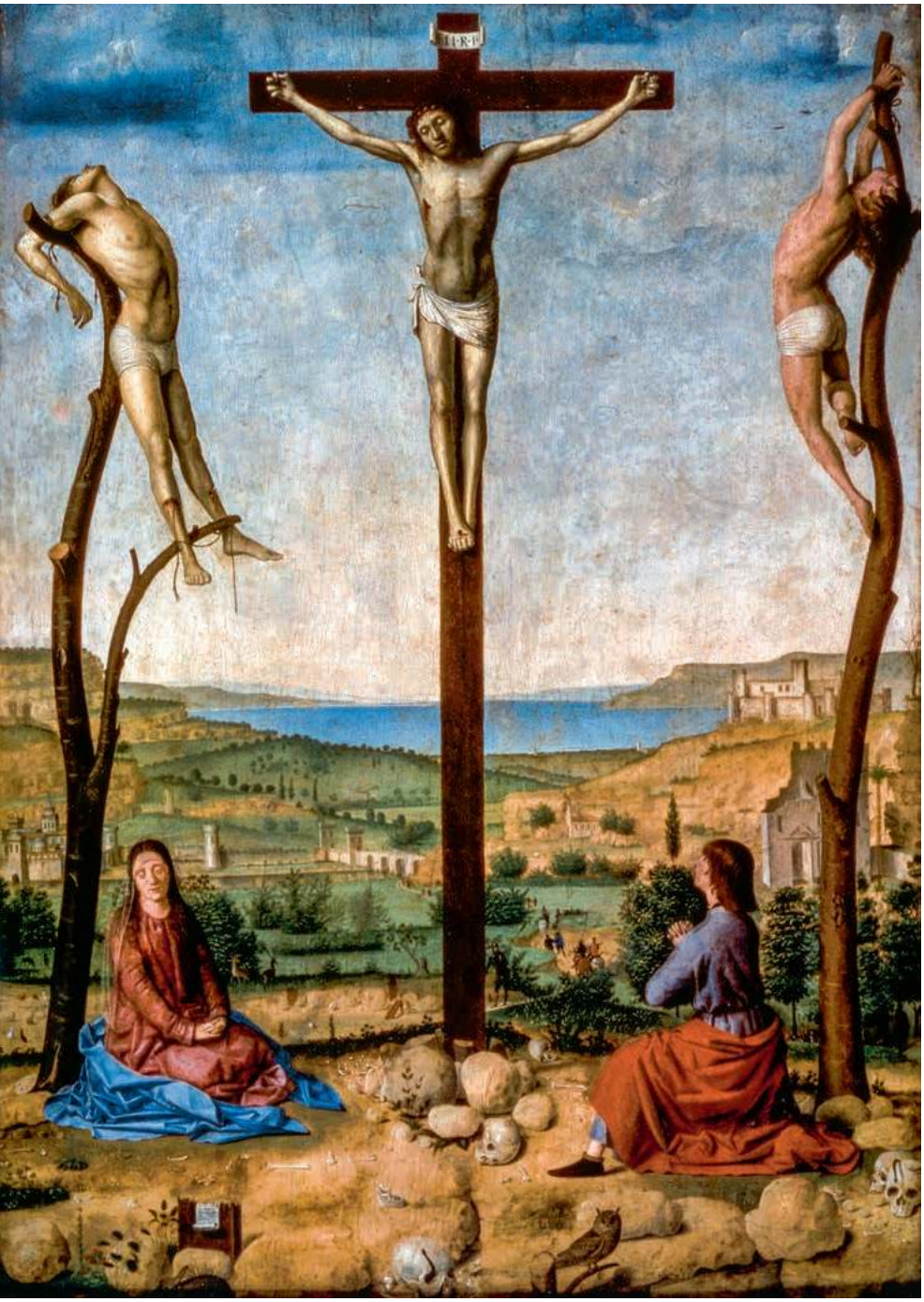

MONDADORI / GETTY IMAGES

Antonello da Messina „Ukrzyżowanie" (1475), Królewskie Muzeum Sztuk Pięknych w Antwerpii.

nym z Bogiem. Z historii Dyzmasa nie można wyprowadzać wniosku, że wszyscy mordercy, gwałciciele czy oszuści po kilku słowach skruchy z automatu trafiają wprost do nieba. Jego przykład pokazuje tylko tyle, że nawet dla nich ta droga nie pozostaje zamknięta.

Byli tacy (ks. Neuhaus cytuje pisarkę Dorothy Sayers), którzy w geście Dyzmasa widzieli przejaw litości. Zabijają człowieka za to, że uroiło mu się, iż jest królem, więc żeby mu ulżyć w kaźni, potwierdźmy mu, że rzeczywiście nim jest, niech przez chwilę nie czuje się sam. Na Golgocie wydarza się chyba jednak wiele więcej. Uderza intymność rozmowy Jezusa z Dyzmasem. Ów zwraca się do Mesjasza tak, jak nie zwracał się do Niego chyba nikt, poza rozpoznającymi Go duchami. Omija mesjańskie tytuły („Synu Boży", „Synu Dawida"), a w odpowiedzi uzyskuje obietnicę tak bezwarunkową, jak nikt przed ↦

Kara najokrutniejsza i najhaniebniejsza

TYMI SŁOWAMI OPISYWAŁ UKRZYŻOWANIE CYCERON. Ta forma egzekucji ma rodowód starożytny, wywodzi się ze Wschodu – Persji i Fenicji. Masowo zaczęli ją jednak stosować dopiero Rzymianie. Krzyżowano niewolników i osoby nieposiadające obywatelstwa rzymskiego – za morderstwa, udział w buntach i poważne kradzieże. Znany i szokujący do dziś jest przypadek ukrzyżowania sześciu tysięcy powstańców Spartakusa wzdłuż wiodącej do Rzymu Via Appia. Z kolei Józef Flawiusz wspomina, że po zdobyciu Jerozolimy w 70 r. n.e. stracono tylu jeńców, że zabrakło drzew na krzyże.

W Palestynie w I wieku p.n.e. Rzymianie krzyżowali przywódców i uczestników dość częstych tam powstań przeciwko władzy. Żydzi sami znali nieco podobną karę, mającą jednak wymiar jedynie symboliczny: do pala, poza murami miasta, przywiązywano martwe już ciało skazańca, dla podkreślenia ciążącej na nim hańby i przekleństwa.

Wbrew częstym przedstawieniom Drogi Krzyżowej skazaniec – uprzednio okrutnie biczowany – nie dźwigał na barkach całego krzyża, ale jego poprzeczną belkę (patibulum) o wadze 30–50 kg. Droga na miejsce straceń prowadziła – ku przestrodze – przez najbardziej uczęszczane ulice. Po przybyciu do celu ręce skazańca przybijano bądź przywiązywano do belki, którą następnie dźwigano i przymocowywano do wkopanego tam zawczasu pionowego pala (o wysokości do 2,5 metra). Nad głową skazańca umieszczano napis opisujący popełnioną zbrodnię. Gwoździmi przebijano nie dłonie – które nie wytrzymałyby ciężaru ciała – lecz nadgarstki. Zgodnie z żydowskim zwyczajem ukrzyżowanemu podawano napój oszałamiający. Umierał nawet przez kilka dni – zazwyczaj nie przez wykrwawienie, ale uduszenie, kiedy nie miał już sił podciągać się na nogach, aby zaczerpnąć oddech. Jeśli oprawcy chcieli przyspieszyć zgon, łamali mu golenie. Ciało czasami pozostawiano na krzyżu aż do zupełnego rozkładu.

©℗ MACIEJ MÜLLER

nim. Skruszony Złoczyńca był jedynym człowiekiem na całej tej koszmarnej górze, który mogąc podjąć jakieś działanie wobec współskazańca (Maryja, stojąca pod krzyżem, nie mogła), zachował się po prostu jak człowiek. Nie wbijał mu z sadystyczną fachowością gwoździ, nie szydził, by ulżyć sobie, nie poił kwaśnym winem, by go na moment orzeźwić, i wycisnąć z widowiska coś jeszcze, nie rozkradał ubrań. Stanął w jego obronie, gdy jego towarzysz ze swojego bólu umiał wyhodować tylko agresję i złość.

Suweren Zbawienia

Czy wcześniej słyszał o Jezusie? Może słyszał. Czy, jak wielu Żydów wówczas, był napełniony mesjańskimi tęsknotami, wysycony religijno-polityczno-apokaliptyczną mieszanką nakazującą wyglądać tego, który wznieci wreszcie powszechne antyrzymskie powstanie? Z krzyża trudno kierować ruchem wojsk. Dyzmas, mówiąc o królestwie, musi mieć więc głęboko w sobie pragnienie innego triumfu i innego królestwa. Jak trafnie zauważa ks. Neuhaus: nawet jeśli jego wiara w Królestwo była mniejsza niż ziarnko gorczycy, to właśnie z niej wyrosło coś przerastającego skalą wszystko, co mógłby sobie wyobrazić. Dyzmas uczy, że „kiedy targają nami sprzeczności i wątpliwości, kusi nas, by starać się wypracować więcej wiary. Ale w takich momentach musimy patrzeć nie na naszą wiarę, a na Niego".

Patrzeć na Niego, nawet jeśli kosztowałoby to tyle bólu, ile powykręcanego na krzyżu skazańca musiało kosztować odwrócenie się w stronę człowieka konającego obok.

W tych parunastu minutach jest ładunek paradoksów dostarczający materiału do medytacji na całe chrześcijańskie życie. Jeśli zachciałoby się nam stworzyć kryterium „misyjnej skuteczności", to pamiętajmy o chwili, w której Bóg (to znów myśl ks. Neuhausa), poświęcający wszystko dla zbawienia ludzkości, wraca do domu „z nagrodą pocieszenia w postaci jednego złodzieja", „kozła, który stał się owcą *honoris causa*". Choć nasz Kościół oficjalnie nigdy nie stwierdza, że ktoś został potępiony, a tylko czasem ostrożnie stwierdza, iż uzyskał pewność co do przebywania jakiegoś delikwenta w niebie, my w naszych codziennych chrześcijańskich wojenkach na ambonach, w mediach czy na Facebooku postępujemy odwrotnie. Największej ewangelizacyjnej mocy upatrujemy w specyficznego rodzaju chirurgii, która nie umie naprawić chorego narządu naszego wspólnego ciała, umie go tylko wyciąć. Nazwałem to kiedyś roboczo „ewangelizacją amputacyjną" i nie mogę się nadziwić, jaką popularnością wciąż się cieszy.

> Jeśli zachciałoby się nam stworzyć **kryterium „misyjnej skuteczności",** to pamiętajmy o chwili, w której Bóg poświęcający wszystko dla zbawienia całej ludzkości wraca do domu z nagrodą pocieszenia w postaci jednego złodzieja.

Ostatnie minuty życia Dyzmasa pokazują, że to Bóg, a nie kapłan, nie polityk z ustami pełnymi chrześcijańskich wartości i nie katolicki publicysta, jest suwerenem zbawienia. Co by było, gdyby Dyzmas i Jezus spotkali się dziś? Już widzę te setki artykułów, postów, komentarzy, z których większość tłukłaby Jezusa po głowie cytatami z Jego własnego nauczania. Bo czyż nie kazał (w 2. Liście do Koryntian – to ulubiony cytat antyuchodźczych obsesjonatów oraz innych katolickich separatystów) „nie wprzęgać się z niewiernymi w jedno jarzmo"? Nie kazał, by grzesznik po parokrotnym napomnieniu był nam „jak poganin i celnik"? Jak często miłośnicy tego cytatu zapominają, jak Jezus traktuje pogan i celników: z pierwszymi ucina pogawędki, do drugich wprasza się na kolację...

Jak tłumaczyć na szkolnej katechezie, że warunkami sakramentu pokuty są precyzyjne wyznanie grzechów i „zadośćuczynienie Bogu i bliźniemu", gdy Dyzmas dostaje bilet do komunii z Jezusem na podstawie tylko i wyłącznie żalu za grzechy? Po co się starać, jeśli na koniec okaże się, że w kolejce stają obok nas ci, którzy nie zachowali w życiu ani jednego przykazania? To najtrudniejsze wyzwanie stające przed każdym, kto w te święta będzie kontemplował wszystkie trzy krzyże: czy jesteś gotów rzucić etat ciecia w budce przy szlabanie przed Bożym Osiedlem? Głosić światu szalonego Boga, któremu wystarczą dwa wymienione z kimś zdania, by zaprosić go do siebie na wieczność?

Idiotyczny byłby jednak wniosek, że wobec tego można z wypowiedzeniem tych słów zwlekać do ostatniej chwili. Nie można, bo cmentarze pełne są tych, którzy byli święcie przekonani, że przeżyją następnych dziesięć minut. Dyzmasa ogłoszono później jednym z patronów dobrej śmierci (a także więźniów, kapelanów więziennych oraz archidiecezji przemyskiej). Powinien być jednak patronem dobrego życia. Takiego, w którym w każdej minucie toczysz intymną rozmowę ze Zbawicielem i wprost mówisz, że tęsknisz za innym światem: za inaczej zachowującym się sobą i za królem, który na zło odpowiada czymś innym niż szubienicą. Złoczyńcy też mają prawo do marzeń.

Niczego więcej nie trzeba

Nie wiem, ile w słowach Dyzmasa było religijnej wiary, czy – w przeciwieństwie do tych, co oglądali rozmnożenie chleba i uzdrowienia, a się nie nawrócili – on nawrócił się widząc tylko (!) cierpienie niewinnego. Nie rozstrzygnę tego, dla mnie wiarą tego człowieka jest tęsknota. Przekonanie, że ten świat nie jest matką, bo matka nie zabija nawet najgorszych ze swoich dzieci. Władca nie jest władcą, jeśli zabija poddanych, zamiast za nich umrzeć. Człowiek nie jest człowiekiem, jeśli widzi społeczne role, globalne procesy, starcia religii i cywilizacji, a nie potrafi dostrzec ludzi. Tęsknota Dyzmasa znajduje spełnienie w konającym obok Człowieku.

W Cerkwi prawosławnej śpiewa się w Wielki Czwartek hymn: „Przyjmij mnie, Synu Boży, jako uczestnika Twojej mistycznej wieczerzy, gdyż nie zdradzę Twym wrogom tajemnicy, ani też nie pocałuję Ciebie jak Judasz, lecz jak łotr wyznaję Ci: Pamiętaj mnie Panie w Twoim królestwie". Niczego więcej nie trzeba. Nie trzeba handlowania ewangelizacyjną informacją, przyklejania się do Mesjasza, żeby zapisać go do swojej partii. To jest jednak wstrząs, gdy człowiek do szpiku duszy uświadomi sobie, że wszelkie starania ludzi, którym wydaje się, że są dobrzy, mogą się okazać warte tyle samo, co jeden akt człowieczeństwa i szczerej tęsknoty człowieka, który nawet sam siebie uważał za złego.

Nie można zrobić Dyzmasowi większej krzywdy, niż pisać jego biografię, w histo-

rycznych detalach rozcieńczać dwa zdania, które otworzyły mu niebo. W jednym z ostatnich dialogów zabijanego przez swoje stworzenia Mistrza jest cała tajemnica Miłosierdzia, prawda o ludzkiej kondycji, o źródle władzy, prawa i sprawiedliwości, o modlitwie (słowa Dyzmasa to Modlitwa Jezusowa). Prawda o tym, że wiara albo ma w sobie tęsknotę, albo jest imitacją.

W te święta znów będę raz po razie czytał tych kilka rozdziałów Ewangelii, znów czując z każdą godziną coraz bardziej, że nic z tego nie rozumiem. To nie krzyże się zasłania w te dni, nie kościelne żarówki się wygasza. To nasze zmysły, nasze wizje, plany, systemy, cały nasz służący zadomowieniu na tym świecie aparat ulega w tych dniach spaleniu. Bo napięcie w sieci staje się zbyt silne.

Nic nie możesz z tym zrobić. Dobrze, bo rzeczy największe dzieją się zawsze w bezradności.

Stój pod tymi krzyżami, słuchaj, patrz, może wreszcie – może po raz pierwszy w życiu – pomodlisz się nie o zdrowie, pieniądze czy pomyślność, lecz o to, by On pamiętał o tobie, gdy przyjdzie do swojego Królestwa. I wtedy, może też po raz pierwszy w życiu, odpowiedź usłyszysz nie po tygodniach nowenn i latach pielgrzymek, lecz natychmiast.

Czasem trzeba aż krzyża, by zacząć prosić tak, że Bóg nie jest w stanie odmówić. Z „Jezusa z Nazaretu" Romana Brandstaettera: „Ten łotr jest teraz jedynym człowiekiem na ziemi, który głośno żebrze u Niego o łaskę. Nikt Go o nic nie prosi. Czy można o coś prosić nędzarza konającego na haniebnym krzyżu? Spomiędzy jego tężejących warg sączą się słowa, przyrzeczenie, a zarazem dowód wdzięczności za ten jedyny głos głośno wołający do Niego z wysokości krzyża, z wywyższonego sąsiedztwa: »Będziesz ze mną... w raju... dzisiaj...«. Spogląda w niebo. Słońce stoi tuż za Jego plecami". ©

SZYMON HOŁOWNIA

A. DE GREGORIO / DEA / GETTY IMAGES

„PASJA" HANSA MEMLINGA (ok. 1435–1494), której fragmenty reprodukujemy na stronach 14-19, a całość tutaj, to obraz powstały około 1470 r., we wczesnym okresie twórczości malarza. Urodzony w niemieckim Seligenstadt, tworzył w Brugii i należy do najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa niderlandzkiego. Wśród jego wielbicieli i klientów znajdowali się florenccy bankierzy. „Sąd Ostateczny", znajdujący się dziś w Gdańsku, zamówiony został przez Angela Taniego, a „Pasja" – dziś w Galerii Sabaudzkiej w Turynie – przez Tommasa Portinariego. „Pasja" przedstawia 23 sceny: od wjazdu Jezusa do Jerozolimy do ukazania się Zmartwychwstałego apostołom nad Jeziorem Galilejskim. Ta symultaniczna opowieść o męce i zmartwychwstaniu, osadzona w miejskiej scenerii z pejzażowym tłem, rozwija się od lewego górnego rogu do prawego górnego rogu obrazu. Tworzy misteryjny spektakl teatralny, w którym żadna ze scen nie została szczególnie wyróżniona – w centrum znalazła się akurat scena biczowania. Podobną symultaniczną narrację, w ówczesnej sztuce niderlandzkiej rzadką i nawiązującą raczej do tradycji wcześniejszych, zastosował Memling w „Siedmiu radościach Marii" (1480, dziś w monachijskiej Starej Pinakotece). ©℗ TF

Plemienny mózg kontra dusza

BARTŁOMIEJ DOBROCZYŃSKI, PSYCHOLOG:

„Nasz Chrystus" może być Polakiem, ale nie Żydem czy Niemcem. Chodzi w szaliku kibica i w koszulce z żołnierzami wyklętymi. I jest najsilniejszy. A my bijemy się w jego imieniu, z kim popadnie, i cierpimy.

PIOTR SIKORA: Rozmawiałem niedawno z proboszczem, który zamierza zorganizować Wigilię Paschalną – liturgię nocną, w której ważną rolę pełni symbolika światła i ciemności – po południu. Zapytał, jakie to ma znaczenie? Co by mu odpowiedział psycholog, który zajmuje się duchowością?

BARTŁOMIEJ DOBROCZYŃSKI: W chrześcijaństwie tkwi potężne napięcie pomiędzy byciem religią i krytyką religii.

Gdy zastępowało wcześniejsze wierzenia, nie tylko je wypierało, ale starało się z nich przejąć pewne elementy – choćby część imaginarium i pory świąt – nadając im inną interpretację. W Wielkanocy mamy np. jajko, jako symbol odradzającego się życia, i światło, które zastępuje ciemność. One są ważne jako obrazy obecne w tej starszej, przedchrześcijańskiej tradycji.

Są ważne, bo są starsze, czy dlatego, że są związane z egzystencjalnym doświadczeniem?

Związek z doświadczeniem jest kluczowy – stąd wzięła się chęć przechwycenia wyobrażeń, których siła płynie ze związku z czymś trudnym do podważenia, np. z wiedzą o cyklach pór roku, umierania i odradzania się przyrody. Ta część chrześcijaństwa z punktu widzenia psychologii jest ważna, bo pełni rolę strażnika rzeczywistości na poziomie organizacji życia codziennego i budowania wspólnoty, ale w bardzo lokalnym sensie. Emigranci, którzy tęsknią do kraju, bardzo często mówią o Wigilii czy święceniu pokarmów.

„Christathon pub crawl", Londyn, 16 kwietnia, 2017 r.

CHRIS J RATCLIFFE / GETTY IMAGES

W tym wymiarze nocna pora odprawiania liturgii jest ważna. Ale nie jest najważniejsza dla tego, czym jest, czy też czym mogłoby być chrześcijaństwo.

Czyli?

Chrześcijaństwo jako krytyka religii zrywa z plemiennym, lokalnym widzeniem rzeczywistości. W zamian eksponuje element emancypacyjny i uniwersalny. Przyjęcie go wiązało się z zajęciem pozycji unikalnej, z czymś kompletnie nowym – w takiej perspektywie wszystkie pomocnicze elementy innych religii są bez znaczenia.

Ale co w zamian? Coś znika – ale co się pojawia?

Pewne uniwersalne doświadczenie człowieczeństwa i ludzkiej podmiotowości. Z zewnątrz, z perspektywy postchrześcijanina, pociągająca w chrześcijaństwie nie jest jego lokalno-plemienna strona. Chrześcijaństwo przejmowało zastane lokalne elementy, przestając być sobą – czyli podbijając – i jakby nie do końca wierząc w to, co samo ma. A przecież ono może się ustawić nie w opozycji do innych religii, lecz w zupełnie innym miejscu.

Religię jako taką można uznać za trzymanie umysłu w pewnej niewoli: wpływanie na ludzi poprzez strach, przymus, jaki bogowie nałożyli na świat i ludzi. Nakładanie chrześcijaństwa na wcześniejsze religijne wyobrażenia może spowodować, że i ono przejmuje ów schemat. Tak się działo przez wieki – weźmy opisy mąk piekielnych, które księża serwowali na kazaniach. Ale w tej perspektywie taka religia nie jest niczym specjalnym. W swojej istocie zaś w ogóle tego nie potrzebuje.

Oczywiście można powiedzieć, że jeśli to „stare" się odrzuci, ludzie za chrześcijaństwem nie pójdą i kościoły będą puste. Bo gdy chrześcijaństwo przestaje być religią, to mówi tyle: „dla Boga nie masz Żyda ani poganina, ani Greka – nie są ważne żadne dotychczasowe tożsamości, wszyscy jesteśmy równi, wszyscy jesteśmy siostrami i braćmi". Poszczególne religie są lokalnymi tworami, które występują przeciw innym lokalnym tworom. Nawet w Starym Testamencie znajdujemy historie, jak to kapłani Jahwe walczą z kapłanami Baala – co w pewnym sensie ustawia obie grupy na tym samym poziomie, tyle że Jahwe okazuje się silniejszy. Religie walczą, która jest lepsza – ale z zewnątrz wszystko to wygląda nieco komicznie.

Droga Krzyżowa w Langley Park, Maryland, 14 kwietnia 2017 r.

To cały czas poetyka siły.

Chrześcijaństwo może być jednak wyzwoleniem ze świata ustawionego w kategoriach: słabszy–silniejszy. Może być otwarciem perspektywy unieważniającej partykularyzmy. Może przestać być religią rozumianą jako narzędzie spoistości jakiejś wspólnoty i stać się apoteozą odpowiedzialnego podmiotu. Mówić: nieważne, kim jesteś, ważne, że musisz o innych dbać i ich kochać. Komunikat mało pociągający dla tych, którzy w religii szukają pociechy: „Nie pytaj, co Bóg i inni mogą zrobić dla ciebie, pytaj, co ty możesz zrobić dla innych".

W tej perspektywie można nawet nadal wyznawać różne partykularne religie, ale to już nie ma wielkiego znaczenia. Bo nie jest ważne, co konkretnie sobie wyobrażasz, tylko jak traktujesz innych i co robisz.

Ale czy próba oddzielenia tego, co sobie wyobrażamy, jakich symboli używamy i w co wierzymy, od tego, jak działamy, nie jest utopią? Czy to pierwsze nie wpływa na drugie?

Tak, to jest utopia. Ale chodzi mi o wydobycie napięcia między chrześcijaństwem uniwersalistycznym a tym całkowicie dopasowanym do lokalnej plemienności, w którym tkwimy tutaj po uszy. Przecież jakakolwiek wypowiedź hierarchy spoza Polski, z papieżem włącznie, jeśli zostaje uznana za niezgodną z lokalną interpretacją, jest natychmiast dyskredytowana.

A może ta uniwersalistyczna strona chrześcijaństwa jest zbyt abstrakcyjna w zestawieniu z konkretnym ludzkim doświadczeniem? Może przejmowanie lokalnych tradycji jest koniecznym etapem drogi do uniwersalności, a odwołanie się do takich doświadczeń, jak cierpienie i śmierć, koniecznym pomostem – podobnie jak sięganie po takie symbole jak woda czy światło?

Każda religia tak ma. Indianie prerii mają obrzęd religijny, który jest bardzo „wielkanocny" z ducha. Polega na tym, że wchodzisz do „szałasu potów", gdzie siedzisz w ciemności, pocisz się, jesteś przerażony, sam, opanowany przez halucynacje i lęki – i w pewnym momencie to się kończy, do szałasu wpuszcza się światło dzienne, a ty otwierasz się na światło wielkiej tajemnicy. Można powiedzieć, że większość wartościowych tradycji religijnych oparta była na mieszance doświadczenia wybranych – mistyków, dzielących się doświadczeniem, którego inni nie mieli – oraz doświadczenia zwykłych ludzi.

Na jakim doświadczeniu może być oparte to uniwersalistyczne chrześcijaństwo?

Trudno powiedzieć. Niektórzy mówili, że przynosimy na świat ideał powszechnego braterstwa, ukryty w głębiach naszej jaźni. Ale nauka mówi dziś, że mamy umysły nadal z epoki plejstocenu – na wskroś plemienne. Żyjemy w globalnym świecie, większość z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo plemiennymi istotami jesteśmy, i to niezależnie od stopnia naszego wykształcenia.

Tę plemienność można mniej lub bardziej instrumentalnie zagospodarować. Jest tak samo niepomijalna jak seksualność czy skłonność do przemocy. Każdy uniwersalizm musi to uwzględnić. Jeśli się tych sił nie zagospodaruje w sposób bezpieczny, a najlepiej pożyteczny, bardzo łatwo je wykorzystać – albo nawet same mogą się zagospodarować – często w sposób przerażający. Nie trzeba wiele wiedzy historycznej, by pokazać, jak to wygląda: gdy jednego dnia ludzie są sąsiadami, a drugiego wsadzają się do obozów koncentracyjnych lub wydłubują sobie oczy. To się zdarzało w XX wieku kulturalnym narodom, bo nasze umysły łatwo poddają się plemiennej agresji, tak jak łatwo ulegają pożądaniu seksualnemu.

Czyli w religiach trzeba uwzględniać tę plemienność?

Trzeba. Tylko że pojawia się pokusa, by ją wykorzystać – nie ma jednej religii, więc każdą religię, nawet o uniwersalistycznych ambicjach, można przedstawić jako plemienną: my, chrześcijanie, przeciw tamtym – muzułmanom. I na odwrót. ↦

Tak więc wydaje mi się, że uniwersalistyczne chrześcijaństwo jest przeciw doświadczeniu. Wymaga wzniesienia się ponad poziom codziennego, zwykłego funkcjonowania. Wątpię, czy istnieje uniwersalna miłość siostrzano-braterska. Potoczne doświadczenie przeczy raczej uniwersalnemu przesłaniu chrześcijaństwa, które mówi: nie kochaj tylko bliskich, ale wszystkich, także tych, którzy cię nie lubią.

Jeśli uniwersalne chrześcijaństwo wymaga wzniesienia się ponad ów plemienny poziom, to czy to jest tylko etyczny apel, czy też jest na to jakiś sposób? Coś, co by pomagało – także na poziomie psychologicznym – w tym przejściu?

Chrześcijańska krytyka wszelkiej postaci religii może się oprzeć na – dla mnie pociągającym – wątku, który można nazwać: „przeciw wszelkiemu rozumowi i wszelkiej logice". To zmusza do poddania refleksji podstawowych tożsamościowych określeń: „ja-oni", „my-oni", „nasze-wasze". Odwołuje się do obrazów sprzecznych z codziennym poczuciem bezpieczeństwa, sprawiedliwości, słuszności – zachęca do ich porzucenia na rzecz czegoś, co w najwyższym stopniu trudne, choć wydaje się pociągające na zasadzie wizji potężnego procesu transformującego całą naszą tożsamość. Weźmy choćby wezwanie Jezusa: „jak ktoś chce od ciebie płaszcz, daj mu dwa". Rozdaj wszystko, nie szukaj bezpieczeństwa, traktuj obcych i bliskich jednakowo, lokalne rzeczy są nieważne, a wszystko, czym jesteśmy tutaj, nie jest prawdą...

Są dwie możliwości. Albo to jest system wariata i powinien być zakazany – nic dziwnego, że nie jest w stanie nigdzie się przyjąć w takiej postaci, bo lokalne mutacje przerabiają go na jedną z plemiennych religii, w których „nasz Chrystus" jest np. Polakiem, a nie Żydem czy Niemcem, chodzi w szaliku kibica i w koszulce z żołnierzami wyklętymi, no i jest najsilniejszy. Żadnych obcych, chrześcijaństwo polega na tym, że się bijemy, z kim popadnie, i cierpimy.

A druga możliwość?

Przyjąć, że uniwersalistyczne chrześcijaństwo wynika z jakiegoś nieprawdopodobnego doświadczenia, z dostępu do rzeczywistości, którą trudno sobie wyobrazić, ale która pozwala komuś powiedzieć: istnieje możliwość przyjęcia pozycji wyzwalającej z tych plemiennych ograniczeń, które zawsze kończą się konfliktem, wojną, niesprawiedliwością i cierpieniem.

Potoczne doświadczenie przeczy uniwersalnemu przesłaniu chrześcijaństwa. Nauka mówi dziś, że mamy umysły z epoki plejstocenu – na wskroś plemienne.

Obrona lokalnych tożsamości jest obroną życia, jakie znamy, więc można powiedzieć, że chrześcijaństwo wymaga od nas śmierci.

W innych religiach też jest mowa o śmierci. A wyobrażenia światów pośmiertnych są bardzo pociągające: Walhalla, Arkadia itd.

One pociągają na tej zasadzie, że obiecują przetrwanie tego, co tu było.

Tak.

Są to więc próby uniknięcia śmierci. A chrześcijaństwo uczy zgody na nią.

PIOTR GUZIK / FORUM

BARTŁOMIEJ DOBROCZYŃSKI (ur. 1958) jest kierownikiem Zakładu Psychologii Ogólnej w Instytucie Psychologii UJ. Członek Kolegium Interdyscyplinarnego Centrum Etyki Wydziału Filozoficznego UJ oraz zespołu miesięcznika „Znak". Zajmuje się historią psychologii, psychopatologii i psychoanalizy, irracjonalizmem, a także sztuką i alternatywnymi ruchami kulturowymi. Publikował m.in. w „Charakterach", „NaGłosie", „Tygodniku Powszechnym", „Więzi", „Znaku" oraz czasopismach specjalistycznych. Ostatnio wydał „Czyje jest nasze życie?" (2017, z Olgą Drendą).

Na pewno. Choć nie jest to chyba kwestia tylko chrześcijaństwa, ale każdej autentycznej tradycji duchowej: musi umrzeć człowiek stary i narodzić się nowy; jak długo nie umrzesz, tak długo się nie narodzisz; ziarno, by wzejść, musi umrzeć.

Ale to prawda: w chrześcijaństwie widzimy to szczególnie mocno. Także dlatego, że ono nie tylko o tym mówi, ale dlatego, że głównym bohaterem tej religii jest ktoś, kto przeszedł przez śmierć. Opowieść o nim jest opowieścią o człowieku, który umiera w sposób zupełnie „niepociągający". Trudno jego śmierć przedstawić w jakiejkolwiek kulturze jako wyczyn bojowy, o którym by mówiono: „My też tak chcemy!".

Problem w tym, że wspominanie tej historii rozgrywa się na takim poziomie funkcjonowania jednostek, którego nie traktuje się jako poważnie określający całe życie. Co najwyżej sprowadza się raz do roku do udziału w zmitologizowanej postaci misteriów pasyjnych. A to nie jest żadna śmierć.

Dlaczego?

Tam, gdzie zaczyna się prawdziwa droga duchowa, kończy się zwykłe życie wspólnotowe. Wszystko, co znane, się kończy. Nie jesteśmy już na poziomie religii jako spoiwa tożsamości narodowej, plemiennej, grupowej. Nie sposób dużo o tym mówić, nawet jeśli to się rozgrywa w każdym. Bo chrześcijaństwo mówi, że każdego to czeka. Ale mówi także, że ta straszliwie zapowiadająca się śmierć nie musi być fatalna – że zapowiada też nowe życie i inną perspektywę egzystencjalną.

Człowiek jednak – jako cielesny – potrzebuje cielesnej strony drogi duchowej.

Istotnie, wybieranie pewnych gestów nawiązujących do codziennego doświadczenia pozwala wzbudzić w nas przeżycia, doświadczenia, emocje, których inaczej wzbudzić się nie da. Próbowałem w życiu praktyk różnych religii – np. medytacji, odosobnień – które mi uświadomiły, jak bardzo często rzeczy, o których współcześnie tylko wiemy, ale ich nie doświadczyliśmy, mogą wpłynąć na nasze funkcjonowanie.

Choćby proste zamknięcie na cały dzień w ciemnym pomieszczeniu albo odosobnienie w przyrodzie przed podjęciem ważnej decyzji. Przeciętny człowiek

ANTONIO MELITA / GETTY IMAGES

Droga Krzyżowa przy kościele S. Isidoro Agricola w Palermo, 25 marca 2016 r.

powie: „ha, co to za problem!", nie zdając sobie sprawy, co takie działania uruchamiają w organizmie na poziomie emocji, wyobrażeń, intelektu; że są w stanie doprowadzić człowieka do stanu, którego możliwości sobie wcześniej w ogóle nie uświadamiał.

Umiejętność wykorzystywania takich działań w ramach praktyk religijnych jest bardzo ważna. W Kościele zbyt pochopnie z wielu z nich zrezygnowano, np. z dorobku pokoleń praktyków takich jak Ojcowie Pustyni. To się czasami próbuje przywracać, ale na szerszą skalę się nie przyjmuje.

Nie można jednak zapomnieć, że dużo z tych rytów ma bardzo mocny wymiar wspólnotowy i wiąże się z życiem codziennym – w jego wymiarze partykularnej lokalności. Liczne ryty przejścia służą po prostu wejściu na pełnych prawach do lokalnej wspólnoty. Są społecznym klejem.

Czyli nie istnieje rytuał przejścia od człowieka plemiennego do człowieka powszechnego? Może mógłby nim być właśnie ryt wielkanocny – wejście w historię Jezusa jako kogoś, kto wyszedł poza plemienność?

Nie mamy dostępu do psychologicznej świadomości Jezusa. Pozostaje nam opowieść. I kwestia „jakości wykonania" rytuału – w jaki sposób konkretni ludzie wezmą w nim udział i co z tego wyniknie.

Chrzest miał być takim rytuałem przejścia. Urodziłeś się śmiertelny i w grzechu, uwarunkowany, a teraz możesz być, kim chcesz, nie masz nad sobą żadnych bogów, żadne moce nad tobą nie panują, kochaj i rób, co chcesz. I jeszcze ważniejszy komunikat, sformułowany przez Pawła: „Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus", a więc przestało żyć to, co skończone, a żyje to, co nieskończone. Ale te komunikaty rzeczywiście muszą funkcjonować w rzeczywistości psychologicznej. Oznacza to, że uniwersalne chrześcijaństwo musi się ukonstytuować w jakiejś wspólnocie i posługiwać jej gestami.

Trudno sobie wyobrazić, żeby się przy tym nie uwikłało w plemienną lokalność.

Inaczej prawie nikt za nim nie pójdzie – jedynie jednostki, jak Bonhoeffer. To jak z muzyką: wszyscy słuchają disco polo i wokół tego buduje się wspólnota, choćby nędzna. Wyrafinowanej muzyki na Warszawskiej Jesieni słuchają nieliczni i nie tworzy się wokół niej żadna wspólnota.

Być może miejscem, gdzie możliwe byłoby połączenie tego, co lokalne i uniwersalne, jest stan bycia nad granicą życia i śmierci.

Wiedzą to wszystkie tradycje duchowo rozwinięte: punktem wyjścia autentycznego doświadczenia duchowego jest zawsze kryzys i sytuacja graniczna. Ale jeśli wprowadzimy we wspólnotę ten element zbyt mocno, to nie będzie mogła realizować swych celów doczesnych. Trzeba wypośrodkować między tym, że człowiek zdaje sobie sprawę ze swej śmiertelności, a tym, że musi żyć. A religijność na świecie maleje i powstaje pytanie, czym sklejać społeczeństwo.

Choć – paradoksalnie – pewne zlaicyzowane idee i instytucje Zachodu, np. prawa człowieka i organizacje charytatywne w stylu Lekarzy bez Granic, to tryumf uniwersalistycznego chrześcijaństwa, idei odpowiedzialności, dbania o innych, szanowania ich niezależnie od koloru skóry, płci. „Wszyscy są równi" to powiedzenie innym językiem: „nie masz już Żyda ani Greka". Kiedy Jezus mówi do Piotra po zmartwychwstaniu o Janie: „co z nim będzie, to nie twoja sprawa, ty idź za mną", dopuszcza indywidualizm i wolność. Tego nie można oczywiście utożsamić, ale na przestrogę dla plemiennie nastawionego lokalnego kleru można powiedzieć: chrześcijańska to jest Bruksela.

Chrześcijaństwo uniwersalistyczne może przetrwać śmierć chrześcijaństwa jako religii?

Dokładnie. Prawdziwy – wielkanocny – tryumf chrześcijaństwa może nastąpić, gdy w zewnętrznych formach ono padnie.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

Jego prawa stopa

RYSZARD KOZIOŁEK

Chwilę przed świtem, zanim kobiety znajdą odwalony grób, Chrystus przysiada na kamieniu i robi bilans przed Wniebowstąpieniem. Krok po kroku.

Kiedy zbliżymy do siebie dwa najwspanialsze obrazy pasyjne – „Opłakiwanie zmarłego Chrystusa" (1480) Mantegni i „Zmartwychwstanie" (1465) Piera della Francesca – wzrok przyciągają od razu i w pamięci zostają na długo stopy Jezusa.

U Mantegni stopy zajmują pierwszy plan, dzięki ekstrawaganckiej perspektywie, która sprawia, że wzrok widza stojącego na wprost katafalku podąża „od stóp do głów" leżącego ciała. „Pokazał w znakomity sposób – pisze Giorgio Vasari – jak można skracać postać ludzką, patrząc na nią z dołu do góry. Było to swoiste odkrycie, trudne a pomysłowe" (przeł. Karol Estreicher). Stopy Chrystusa wystają poza „kamień namaszczenia" – marmurową płytę, na której leży muskularne martwe ciało, okryte od bioder po łydki całunem. Głowa spoczywa za to wygodnie na poduszce; bujne włosy okalają twarz o mocnych rysach i wydatnych nozdrzach. Nie widać już oczu, które nakryły ciężkie muszle powiek. Tylko stopy napierają na nas, dominują nad resztą ciała, prawie wychodzą z obrazu. Ni to sterczą, ni to zwisają w powietrzu; bardziej prawa, w której opadły cztery palce. Lewa natomiast jest nieco rozpłaszczona, jakby opierała się o taflę powietrza.

O lewej łydce i stopie Chrystusa z obrazu della Francesca nie da się zapomnieć od pierwszego spojrzenia. Zbigniew Herbert tak bardzo uległ fizycznej emanacji boskiej nogi, że pomylił lewą z prawą, pisząc o Zmartwychwstałym, że „prawą nogę wsparł na krawędzi grobowca, tak jak przygniata się szyję pokonanego w pojedynku" („Barbarzyńca w ogrodzie").

Bo też olśniewa namalowana motoryka ruchu tej nogi, podkreślona jeszcze przez swobodną nonszalancję gestu ręki opartej na kolanie. Nie ma w tej nodze żadnej śmiertelnej słabości ani duchowej eteryczności. Lewa stopa spoczywa na brzegu sarkofagu, prawa wciąż jest w grobie. Dzięki temu Chrystus nie jest jeszcze całkiem boski, mimo triumfalnej mocy, którą promieniują jego silne ciało i beznamiętny wzrok. Prawej nogi wciąż jednak nie ma na świecie ani w wieczności; pozostaje śmiertelna, a na obrazie na zawsze już nieobecna. Podobnie brakuje nóg czterem śpiącym żołnierzom. Doliczymy się tylko czterech, pozostałe są nienamalowane.

Choć Bóg i ludzie na obrazie dają wspólne znaki, że w ludzkim wcieleniu życie i śmierć są w ciągłym zwarciu, to kierunki ruchu ich ciał są przeciwbieżne. Strażników sen – brat śmierci – osuwa ku dołowi, a malarz pozbawił ich nóg, co zapowiada rychłą utratę całej reszty. Chrystus natomiast jest przebudzony i właśnie odzyskuje doskonałe ciało z umięśnionym brzuchem, muskulaturą bicepsa i łydki, które nie są całkiem z tego świata. Jest to „ciało uwielbione" – mówi o nim teologia, ale Piero zrobił wiele, abyśmy je również pozateologicznie uwielbiali.

Tajemniczy ten moment z punktu widzenia teologii malarz rozwiązał fenomenalnie. Oto wyobrażona chwila przed ostatecznym zwycięstwem życia nad śmiercią; efektowna pauza przed decydującym ruchem, szybkim odbiciem z lewej nogi, która przeniesie zaraz całe ciało z grobu do nieśmiertelności; skok w nadprzestrzeń. Triumf zmartwychwstania jest tu przede wszystkich fizyczną przewagą doskonałego ciała nad ciałem udręczonym torturami, dotkniętym śmiercią i początkiem rozkładu.

Zetknięte boskimi stopami obrazy mistrzów pozwalają zmącić nieco klarowność fundamentalnego konfliktu między życiem skończonym a wiecznym. Bóg martwy Mantegni i Bóg wiecznie żywy Piera tracą nieodwracalnie coś, co objawia sąsiedztwo nogi i marmuru. Stopa martwego Chrystusa jest poza kamie-

EAST NEWS // HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

niem, stopa Zmartwychwstałego – oparta na nim. Mimo różnicy jedno jest wspólne – żadna z Boskich stóp nie dotyka już ziemi.

Trza być w butach

Co najmniej dwa razy uwierzyłem literaturze tak bardzo, że natychmiast próbowałem wprowadzić ją w życie. O drugim opowiem kiedy indziej; pierwszy wywołały dwie ukochane powieści dzieciństwa: „Przygody Tomka Sawyera" (1876) i „Przygody Hucka" (1884). Obie mówiły jasno: człowiek jest wolny i szczęśliwy, kiedy chodzi boso.

„Huck chodził, gdzie chciał i kiedy chciał. Sypiał na schodach, gdy było ładnie, a w pustych beczkach, kiedy było brzydko. Nie musiał chodzić do szkoły ani do kościoła, do nikogo nie musiał mówić »proszę pana« i nikogo nie słuchał. Mógł chodzić na ryby i kąpać się, kiedy tylko miał na to ochotę; siedział nad rzeką, jak długo chciał. Nikt nie zabraniał mu się bić i nikt nie kazał mu chodzić wcześnie spać. Na wiosnę zawsze pierwszy chodził boso, a jesienią ostatni zakładał buty" (przeł. Krystyna Tarnowska).

„Tomek błyskawicznie zrzucił z siebie bluzę i spodnie, przepasał się szelkami, odgarnął na bok kupkę chrustu leżącą za pniem i wydobył z ukrycia łuk własnego wyrobu oraz strzałę, drewniany miecz i blaszaną trąbkę. Porwał to wszystko i boso, w rozwianej koszuli, popędził przed siebie" (przeł. Jan Biliński).

Nie wiem, czy od razu po przeczytaniu jednego z tych fragmentów, ale na pewno z ich powodu, a bardziej jeszcze popchnięty do tego ilustracjami, obciąłem spodnie poniżej kolan, wziąłem ulubiony kapelusz dziadka (doskonale poplamiony i wystrzępiony na brzegach), wyłamałem kij z orzecha laskowego i, rzecz jasna boso, ruszyłem w stronę rzeki, na której nie było parowców; nie zmieściłaby się w niej nawet tratwa.

Rzeka mojego dzieciństwa była podgórską rzeczką, w porywach do dwóch metrów szerokości. Po kilkunastu krokach ścięta koniczyna pokłuła mi stopy. Ruszyłem więc okrężną drogą, ale nie byłem wolny i beztroski jak Huck i Tomek. Bałem się kamieni, szkła, os i pszczół, poparzyły mnie pokrzywy. Wróciłem po sandały. Spośród ludzi znanych mi poza literaturą tylko babka Hela potrafiła chodzić boso od maja do września – równie swobodnie, jak inni w butach.

Krzyżują się w obrazach bosych stóp przeciwstawne sensy: ubóstwa i świętości, deklasacji i wolności. „Pieszy idzie boso, a nagiej stopie zbywa na wygodzie nie tylko dlatego, że uwierają ją ostre kamienie. Dokuczliwe jest i to, że nagość stopy oznacza także wejście w sferę tego, co święte. A skoro tak, to nie mamy nawet takiej »wygody«, by wyraziście i jednoznacznie zinterpretować nagość naszych stóp, nie wiadomo – wywyższonych czy ukaranych" – pisał Tadeusz Sławek („U-chodzić").

W kulturze Zachodu wybór się dokonał. Klimat i cywilizacja przekonały nas, że należy jak najlepiej uzbroić stopę przeciw ziemi, która zagraża naszej skórze, kościom i stawom. Gdy tylko przyjdzie nam do głowy wystawić stopę poza próg, troskliwe słowa ekspertów i sugestywne obrazy reklamowe ostrzegają, aby tego nie czynić bez uzbrojenia nóg w outdoorowy arsenał „technicznego" obuwia i skarpet. Żadnej części ciała moda i technika nie ubezpieczają równie starannie, co stóp.

Widzę w tym nie tylko cywilizacyjne wyrafinowanie, ale dalszy ciąg historii naszej dwuznacznej postawy wobec ziemi: przywiązania, adoracji wyrażanej w nieskończonym łańcuchu symboli oraz lęku, a nawet wstrętu do grudy, błota, gliny, prochu. Nie my jedni zapętlamy się w sprzeczności, chcąc zająć jednoznaczną pozycję wobec ziemi. W swojej najwspanialszej powieści, „Koniec »Zgody Narodów«", Teodor Parnicki umieszcza scenę, w której Dioneja na oczach ukochanego Heliodora dokonuje bluźnierczego aktu deptania bosymi stopami Świętej Matki Ziemi. „Zdumiał się: palcami nóg i piętami wdzierała się poprzez rzadką trawę w pulchną, wilgotną wiosenną czarną ziemię. Zaraz jednak przestał się zdumiewać: takie to bowiem proste i jasne, choć dziecinne: ten bunt w niej przeciw duchowi Iranu, którego chwilę temu tak dzielnie broniła".

Tylko Bogu przystoją bose stopy. Nic nie może ich zranić, nie dowodzą ubóstwa, przeciwnie – są znakiem świętości. Nie dziwi więc, że nawet jako człowiek Chrystus przedstawiany jest najczęściej boso.

Grób na urodziny

Ed Chigliak, bohater popularnego w latach 90. serialu „Przystanek Alaska", w jednym z odcinków kręci upragniony krótki film o swoim miejscu na Ziemi. Prowadzi w nim monolog zaczynający się tak: ↦

↦„Ziemia. Mój dom. Grawitacja nie pozwala mi ulecieć w przestrzeń. Mogę być tylko w jednym miejscu i w jednym czasie". Oczywistość tego spostrzeżenia nie przeczy doniosłości jego egzystencjalnej treści.

„Każdy krok sczepia nas z ziemią, stopa wciąż opada: co chwilę nacisk, potem wybicie, i uniesienie. Za każdym razem musimy opaść, by ruszyć dalej. Stopa ukorzenia się w tym powtarzalnym uścisku z ziemią. Każdy krok przywiązuje ją bardziej i bardziej. Nie da się być bardziej ziemianinem niż w akcie chodzenia" – pisze Frédéric Gross w „Filozofii chodzenia" (przeł. Ewa Kaniowska). Stopą człowiek (*humanus*) igra z ziemią (*humus*), do której należy na mocy najstarszego prawa („Z prochu powstałeś..."). Żyjąc nie powinniśmy jednak przedłużać bezpośredniego z nią kontaktu. Wiele stworzeń, zwłaszcza ptaki i ssaki, utrzymuje większą część ciała ponad ziemią. Człowiek dodatkowo napiętnował symbolicznie każdą próbę zwiększenia powierzchni, jaką nasze ciało przylega do gruntu. Bycie na czworakach, na kolanach, czołganie się, a nawet naturalne dla odpoczynku leżenie lub konieczne dla wielu prac siedzenie stanowią w powszechnym przekonaniu regres wobec właściwie ludzkiej postawy wyprostowanej. Więc „idź wyprostowany wśród tych co na kolanach" – mówi Herbert i „Jazda, jazda, jazda, w dzień, w nocy, w dzień. Jazda, jazda, jazda" – popędza Rilke („Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke", przeł. Adam Włodek).

Stopy Chrystusa miały co pamiętać. Dowodzi tego język ewangelicznych przypowieści, pełen obrazów i doznań wywołanych bliskim kontaktem z ziemią.

W symbolicznym powstrzymywaniu się od przylegania do ziemi większą powierzchnią ciała kryje się pierwotny lęk przed jej wnętrzem i jego niszczącym działaniem, które jest przeznaczeniem wszystkiego, co żyje. Pamiętam skuteczny strach, w jaki wprawił mnie dziadek Władek podczas jednej z wizyt na cmentarzu, przestrzegając, abym nie stawał na grobach, bo wpadnę do środka albo zmarły mnie tam wciągnie.

Atawistyczny lęk przed pogrążeniem się w ziemi za życia skutkuje rozlicznymi formami estetyki i technologii, które odwracają umysł od trawiącego brzucha ziemi. Krajobrazy, tafle jezior, ścieżki i drogi, asfaltowe i betonowe autostrady, miejskie chodniki i wiejskie trakty wzmacniają iluzję trwałej powierzchni, którą mamy pod stopami, niczym warstwę ochronną wspierającą nogi, aby nie pogrążyły się w głębi. Nie ufamy im jednak dostatecznie, ćwicząc się w lekkim chodzie, szybkim biegu lub w tańcach. Afirmując lekkie stopy pomagamy sobie w umykaniu tej głębi; w przemykaniu pomiędzy niewidzialnymi grobami, wśród których jest miejsce na nasz własny. ↦

Andrea Mantegna „Opłakiwanie zmarłego Chrystusa", Pinakoteka Brera w Mediolanie.

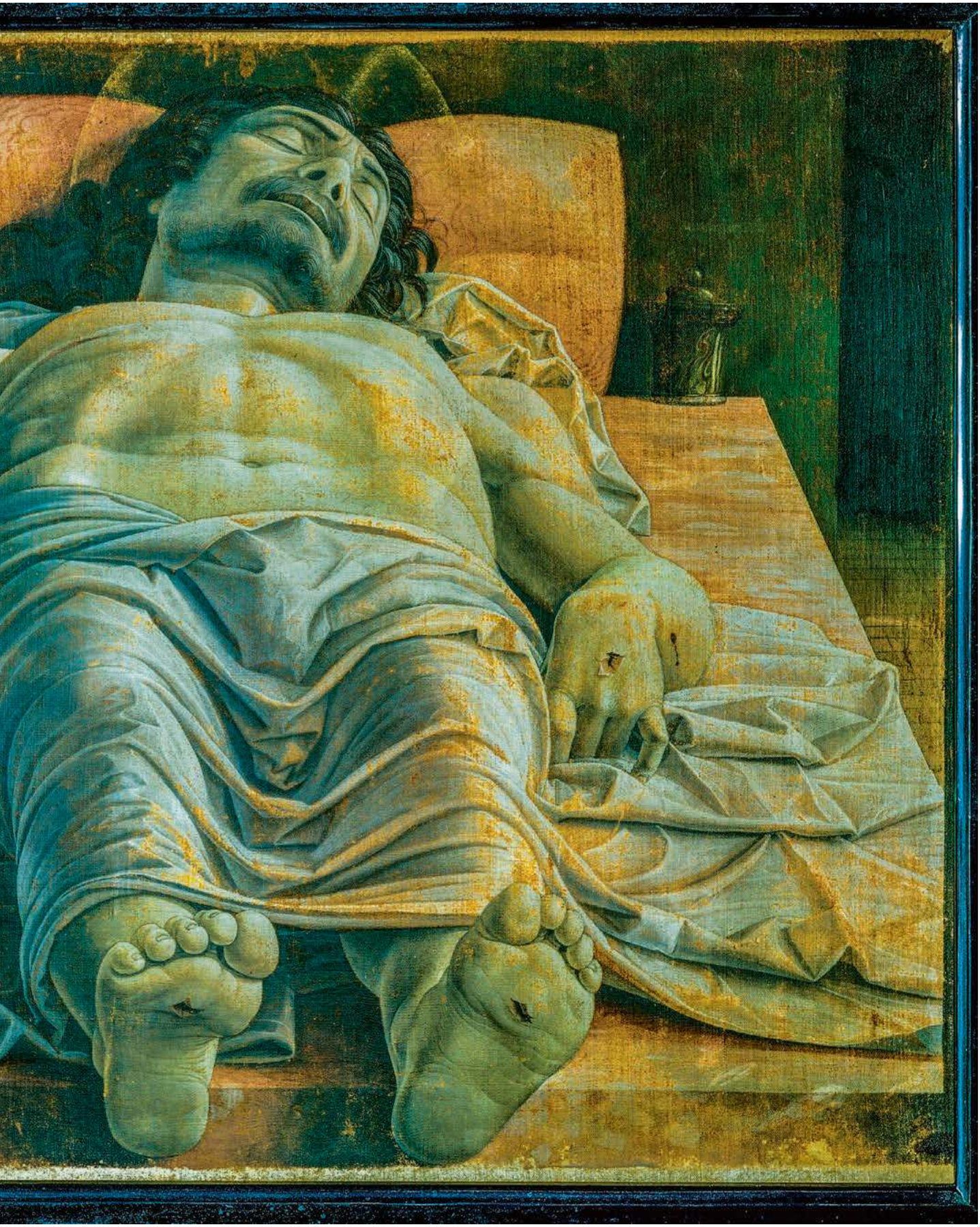

EAST NEWS

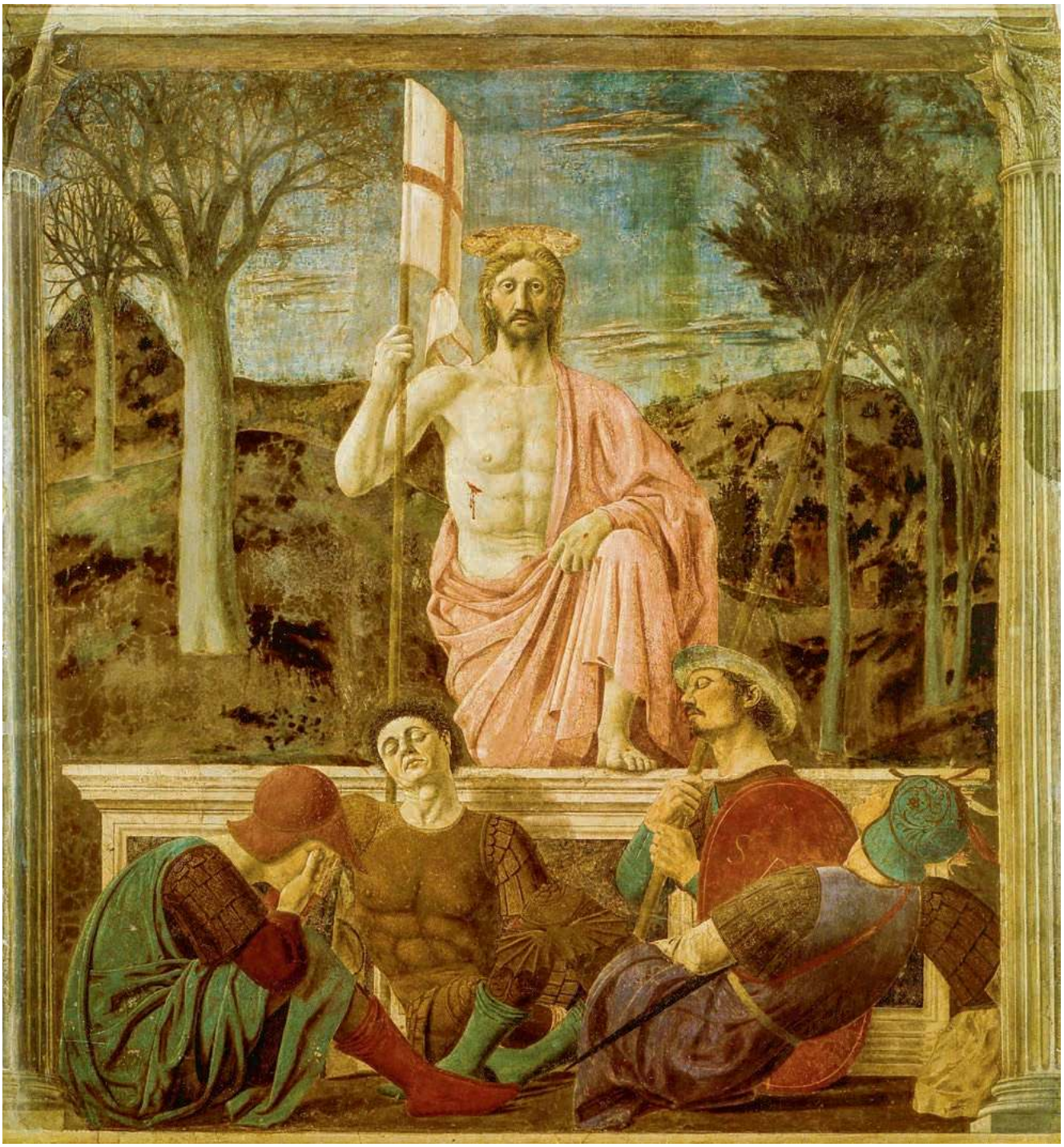

HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

Piero della Francesca „Zmartwychwstanie", Muzeum Publiczne w Sansepolcro.

↦ Ed Chigliak jeszcze raz wydobędzie symbolikę związku ziemi i stóp, kiedy ofiaruje swojej przyjaciółce i chlebodawczyni osobliwy prezent: słoik z ziemią zaczerpniętą z małej działki, którą dla niej kupił. Działki na jej grób. W kluczowej scenie widzimy bohaterów, jak dochodzą do urodzinowego cmentarza Ruth. Grobowa działka znajduje się na wzgórzu, z którego rozciąga się oszałamiający widok na dolinę przeciętą rzeką i porośniętą lasami. Bohaterka i widzowie trwają przez chwilę w konfuzji, gdy nagle w niezrozumiałym na pozór odruchu Ruth zaprasza Eda do tańca na swoim grobie. Długie ujęcie panoramuje coraz mniejsze postacie na tle przepychu alaskańskiej przyrody. Tańcząca, a więc lekka stopa starej kobiety rzuca wyzwanie grząskiemu gruntowi grobu. Stopa igra z grobem, czyli z ziemią, która w każdej chwili może się otworzyć i przejąć całe ciało. Trzeba więc pozostawać w ruchu, traktować powierzchnię ziemi jako oparcie dla odbicia.

Też bym chciał ulecieć nad lasem w Jaworznie, kiedy po basenie spacerowałem w Parku im. Polskich Lotników. Cóż

z tego, że pamiętałem wciąż przestrogę dziadka, aby nie deptać grobów, skoro nie miałem pojęcia, że pod moimi stopami leży kilka tysięcy „zabitych w stalinowskim obozie Niemców, Polaków i Ukraińców". A przecież może równie nieświadomie stąpałem po tych „w Wadowicach, Żywcu, Mysłowicach, Libiążu, Będzinie, Sosnowcu, Tarnowskich Górach, Głubczycach, Chorzowie i Bytomiu" (Marek Łuszczyna „Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne"). Jeszcze bardziej złudna jest przejrzystość wody. Pamiętam, jak mamiła mnie turkusowa powierzchnia Jeziora Trazymeńskiego, w którym pływałem wpław i statkiem, ani myśląc myśleć o tym, że po bitwie stoczonej 24 czerwca 217 r. p.n.e. między Rzymianami i Kartagińczykami wrzucono do wody piętnaście tysięcy rzymskich tylko trupów.

„– Nie ma szans, dziadku, abym żyjąc i chodząc nie podeptał jakiegoś grobu. I miałeś rację – wpadnę do niego wcześniej niż do własnego, nawet nie ruszając się zza biurka. Wszelka wiedza historyczna jest rodzajem ekshumacji". Doskonale uchwycił tę nekrofilię humanistyki Tadeusz Sławek: „Historia wzmacnia doznanie teraźniejszości, ale może się to dokonać wtedy, gdy *libido sciendi* zakotwiczy się w ciele, gdy zacznie nie tylko »dotyczyć«, lecz przede wszystkim »dotykać« ziemi, do tego zaś nieodzowne są stopy i skomplikowany mechanizm poruszających je mięśni i ścięgien. Dopiero wtedy »dzisiaj« będzie prawdziwie odczuwalne: wtedy, gdy wiedza historyczna wplecie się w tkankę mojego poruszającego się ciała" („U-chodzić").

I myśl, i ciało nieubłaganie kierują nas ku ziemi. Prawdziwie cudowna lekkość istnienia to nie jest zdolność do unoszenia się w powietrzu, ale do nieopadania w głąb. Taką posiada tylko Bóg-człowiek, który „o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze" (Łk 4, 24-25).

Czego Bóg nauczył się od człowieka

Wyobrażam sobie, że chwilę przed świtem, zanim kobiety znajdą odwalony grób, Chrystus przysiada na kamieniu i robi bilans przed Wniebowstąpieniem. Podsumowuje w nim, czego nauczył się żyjąc „po ludzku".

Przyznajmy, że niewiele dobrego. Głodu: „Wracając rano do miasta, uczuł głód. A widząc drzewo figowe przy drodze, podszedł ku niemu, lecz nic na nim nie znalazł oprócz liści" (Łk 21, 18-19); gniewu: „Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porozrzucał monety bankierów, a stoły powywracał" (J 2, 12); ironii, porównując do skały ucznia, który zaparł się Go w pierwszej próbie: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój" (Mt 16, 18); bycia zdradzonym: „Zaprawdę, powiadam wam: jeden z was Mnie zdradzi" (Mt 26, 21); samotności: „Tak, jednej godziny nie mogliście czuwać ze Mną?" (Mt 26, 40); strachu: „począł się smucić i odczuwać trwogę" (Mt 26, 3); bólu i śmierci.

Z rzeczy dobrych były na pewno: sen, opieka kobiet, jedzenie, picie, spacery, kontakty z dziećmi. Nie mamy jednak świadectw emocjonalnych reakcji na te doświadczenia. W bilansie życia Jezusa ani dla Niego, ani dla nas nie ma to wielkiego znaczenia. Ostatecznie dowodem zarówno jego boskości, jak i człowieczeństwa jest cierpienie, a człowiek nie zaufa zmartwychwstałemu Bogu, dopóki ten nie pokaże mu swoich ludzkich ran. Nie tylko Tomaszowi. Ci z drogi do Emaus ran nie widzieli, więc Go nie poznali.

Malarze wszystkich wieków są świadkami tej nieufności wobec Boga podającego się za człowieka. Martwy Jezus Mantegni ma ręce nienaturalnie wykręcone, żebyśmy dobrze widzieli dziury po gwoździach, namalowane ze starannością koronera, który z kształtu rany ma odgadnąć narzędzie zbrodni. Mocny Chrystus Piera też nosi na nodze i rękach dyskretne plamki i wciąż krwawiącą ranę w prawym boku. Człowiekiem w pełni może być tylko „brat w nieszczęściu". Nie może nim być nawet Bóg, jeśli nie zaznał cierpienia, nie „dotknął ziemi", „nie stał twardo na ziemi", nie „chodził po ziemi".

Zgodnym chórem powtarzamy za DZIEWCZYNĄ:

„Bo słuchajcie i zważcie u siebie, /
Że według bożego rozkazu: / Kto nie dotknął ziemi ni razu, / Ten nigdy nie może być w niebie.

↦

REKLAMA

pomoc doraźna
rehabilitacja
aktywizacja zawodowa
leczenie
opieka nad dziećmi
wsparcie specjalistów
dożywianie dzieci i dorosłych

przekaż 1% podatku

KRS 0000 274785
www.caritas.lodz.pl / caritas.lodz

Materiał promocyjny sfinansowany ze środków finansowych z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

caritas ARCHIDIECEZJI ŁÓDZKIEJ

↦ CHÓR: Bo słuchajmy i zważmy u siebie, / Że według bożego rozkazu: / Kto nie dotknął ziemi ni razu, / Ten nigdy nie może być w niebie" (Adam Mickiewicz „Dziady").

Skromne, śmiesznie małe podstawy, którymi chwiejnie czepiam się ziemi, urastają do rangi fundamentów, na których wspiera się reszta chwiejnych dowodów mojego człowieczeństwa.

„Ciało dostosowuje się do deptanej ziemi" – pisze Frédéric Gross w „Filozofii chodzenia", a my uzupełniamy, że z tego dostosowywania powstaje złożona choreografia chybotliwej egzystencji, czyli łapania równowagi między podnoszeniem się i upadaniem, swobodą chodu i biegu, godnością postawy wyprostowanej oraz potrzebą siedzenia lub leżenia – koniecznych wszak dla dziecka i starca, chorego i martwego.

Kiedy znikoma powierzchnia stóp nie wystarcza już dla utrzymania ciała w równowadze, wtedy ziemia przyciąga je całe do swojej powierzchni, lada podmuch mnie przewraca i, wbrew sobie, przylegam do ziemi, która otwiera mi gościnnie swoje wnętrze. Chwilę tylko jeszcze poleżę – podobnie jak przewrócony świerk odsłania swoje płytkie korzenie – odsłaniając swoje bezużyteczne już stopy.

Nie tylko stopy. Połączone obrazy, Chrystusowej śmierci i zmartwychwstania, ukazują splendor męskiego ciała. Uśpioną na zawsze siłę mięśni, zbędną funkcjonalność kończyn, ich nikomu już niepotrzebne piękno i witalność. Przesadzam? Poprowadźcie zatem na obrazie Mantegni linię od czubka nosa do czubka dużego palca u prawej nogi. Przebiegnie dokładnie przez zasłonięte tkaniną genitalia Jezusa, które – choć skromnie nieprzedstawione – odnajdujemy naśladowane w znajomym kształcie owego palca.

Nos, członek i stopa to – wedle odwiecznej, ludycznej symboliki – ekwiwalenty męskiej potencji. Mantegna podobno do śmierci trzymał „Opłakiwanie" w swojej pracowni, świadom jego kontrowersyjności. Niepotrzebnie. Cóż może być bluźnierczego w lamencie nad zagładą piękna stworzenia w pełni jego fizycznego rozkwitu? Doskonała precyzja i realizm odwzorowania ciała Jezusa to sumienny katalog zniszczeń dokonanych przez śmierć; dokumentacja dla potrzeb jedynego sprawiedliwego zadośćuczynienia, jakim jest rzetelna rekonstrukcja ciała w dzień zmartwychwstania.

Ale do czego potrzebne człowiekowi doskonałemu, zmartwychwstałemu i zbawionemu stopy i cała reszta przygotowana do wypełniana zadań prokreacyjnych („Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię" [Rdz 1, 22]), skoro wstać z martwych oznacza nigdy już nie dotknąć ziemi, a w każdym razie tej ziemi?

Niech sobie na tym zęby łamie teolog, podczas gdy filolog w krytycznym uwielbieniu może wyrażać wdzięczność Słowu, że pozwala mu myśleć i mówić o wszystkim, także o rzeczach świętych. Głównie dzięki sztuce, która na minimalistycznej partyturze Ewangelii kolejny raz wygrywa niekończące się improwizacje. Może się więc zdarzyć, że „W czas zmartwychwstania Boża moc / Trafi na opór nagłych zdarzeń" (Bolesław Leśmian „W czas zmartwychwstania"). A nawet wcześniej, bo u jeszcze żyjących chrześcijan opór wywołać może pragnienie powtórzenia w zaświatach tego, co w życiu było dobre. Moje bose stopy dobrze pamiętają nie tylko kamienie, rżysko czy kawałki szkła, ale także ciepło świerkowej deski w przedpokoju, zmianę górskich butów na sandały podczas zejścia z Morskiego Oka do Palenicy, miedzę z niską trawą przetykaną tymotką łaskoczącą łydki, piasek na plaży w Stilo, miękki asfalt na Cieszyńskiej w sierpniu, gładkie kamienie rześkich potoków: Jasieniczanki i Jurgowskiego, mokre po letnim deszczu trawy na Błatniej.

Niewątpliwie stopy Chrystusa też miały co pamiętać. Dowodzi tego język ewangelicznych przypowieści, pełen obrazów i doznań wywołanych bliskim kontaktem z ziemią, wodą, roślinami i zwierzętami. Nie wiemy, ile z tego dawało Mu przyjemność, ale jedno musiało: opisane w Ewangelii Łukasza dłonie kobiety, która, „dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanąwszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namaszczała je olejkiem" (Łk 7, 37-38).

Jeśli zmartwychwstanie nie kasuje pamięci naszych zmysłów, to myślę, że Chrystus z obrazu Piera della Francesca – wbrew kamiennej twarzy i spojrzeniu utkwionym w wieczności – jednak się waha. Czy prawą nogę, tkwiącą jeszcze w ziemi, postawić z powrotem na jej powierzchni, czy też od razu odbić się z lewej do skoku Wniebowstąpienia.

© RYSZARD KOZIOŁEK

TP

Zaproś Czytelników „Tygodnika"

25 kwietnia ukaże się podwójne, szeroko promowane, wyjątkowe wydanie „Tygodnika Powszechnego" – na majówkę. Chcemy w nim zaprezentować miejsca, które warto odwiedzić podczas długich weekendów, urlopu czy wakacji. Dokąd pojechać, gdzie zaplanować wizytę, czego nie pominąć?

Zapraszamy galerie, muzea, instytucje kultury i organizatorów festiwali: przygotowaliśmy specjalne ceny na ogłoszenia prasowe i internetowe. Na Państwa kontakt czekają Anna Pietrzykowska i Mateusz Gawron pod numerem 12 422 05 70 lub adresem: reklama@tygodnik.com.pl

Kulturalna majówka – tylko z „Tygodnikiem Powszechnym"!

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

RADOSNEGO CELEBROWANIA **WIELKANOCNEGO PORANKA!** A PÓŹNIEJ? WYTCHNIENIA I RADOŚCI KORZYSTANIA Z NIEOGRANICZONYCH MOŻLIWOŚCI INTERNETU,
ŻYCZY

S-NET GRUPA TOYA

WYCIĄGAMY Z SIECI ILE SIĘ DA.

INTERNET · TRANSMISJA DANYCH · USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

www.s-net.pl

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

PAWEŁ

Śpiewak:
Sens Syjonu

Psalm 84 jest pochwałą życia zgodnego z wymaganiami i nakazami z góry Syjon. Opowiada o tych, których serce i ciało „pochutliwa sobie do Boga żywego" (we współczesnym przekładzie: „pragnie i tęskni" – jakże skromnie i bezbarwnie to brzmi). Psalm otwiera obraz piękna przybytków Pana, a zamykają słowa o tych, którzy docierając do Świątyni, osiągają mistyczny spokój, „chodząc w niewinności" i mając całą nadzieję w Bogu.

Pieśń dotyczy przede wszystkim pielgrzymów zdążających „huf za hufem" na Syjon. Idą doliną morwową, jak ci, którzy szli i chodzą doliną śmierci oraz łez, a wroga się nie ulękli. Wstępowaniu na górę towarzyszy wysiłek fizyczny i duchowy, przemiana wewnętrzna. Jej spełnieniem jest obraz Boga na Syjonie. Bóg przyciąga swoich wiernych, bierze ich w posiadanie. Oddala od wszystkiego, co mogłoby od myślenia o Nim odwodzić.

Słowa psalmu brzmią jak zachęta do życia zakonnego, w całkowitym poświęceniu modlitwie. Judaizm czegoś takiego nie zna. Wręcz odrzuca. Żyd – jak oczekiwano i się oczekuje – ma żyć normalnie, posiadać dom, zdobywać pieniądze. Nie wolno mu nawet było zarabiać na uczeniu Tory. Owe zwykłe, pracowite życie ma być splecione ze studiami nad Torą i Talmudem, przestrzeganiem prawa. Nie ma tu wezwania do nieustającej kontemplacji Boga w odosobnieniu. Nic o oderwaniu od doczesności. Natomiast każdy powinien przestrzegać podstawowych zasad etycznych: nie kłamać, nie obmawiać, dbać o sieroty, wygnańców i najuboższych. O lepsze, niemal błogosławione życie należy się starać w zwyczajności i codzienności. Nigdy w opozycji do nich.

Obraz Syjonu powraca też w proroctwach Izajasza i Jeremiasza. Słowa proroka i świadka zniszczenia Jerozolimy i Świątyni tworzą obraz całkiem odmienny. Świątynia nie jest tu wiekuistym znakiem przymierza. Nie daje poczucia pewności i bezpieczeństwa. Może zostać zburzona, jak niegdyś świątynia w Siloh. Nie z kaprysu Boga, ale z przewrotności ludu Izraela. Jeremiasz łączy jej istnienie z obietnicami złożonymi praojcom, świętością ziemi i świętością samej Jerozolimy. Chce pokazać, że świętość na ziemi nie jest czymś danym, co tkwiłoby samoistnie w miejscach i obiektach. Przeciwnie, świętość jest związana z ludźmi, których Bóg wezwał do posłuszeństwa i życia etycznego.

Prorok zrywa z mitycznym obrazem góry Syjon. Nie jest ona dla niego pępkiem świata. Miejscem, pod którym szumią wody potopu. To góra, której blask i chwała są w zasięgu ludzi żyjących dobrze. Oni powinni nadać temu miejscu, miastu, górze, świątyni chwałę, by stała się siedzibą Boga i promieniowała na cały lud wybrany. Jeremiasz przenosi ciężar doświadczenia świętości na ludzi i wiąże ją z codzienną praktyką etyczną.

Tyle o górze Syjon. Powróćmy teraz do króla Salomona – budowniczego stajni, kopalń, miast, a przede wszystkim Świątyni, domu Pana. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Oczy Pana Boga

W Księdze Wyjścia czytamy: „Bóg wypowiedział wszystkie te słowa: (...) Nie zrobisz sobie bożka. I żadnej podobiźnie przedstawiającej to, co najwyżej na niebie, nisko na ziemi i w głębinach wód, nie będziesz oddawał czci ani nie oddasz się w niewolę. Ja jestem Panem, twoim Bogiem, Bogiem zazdrosnym. Za grzechy tych, którzy Mnie nienawidzą, wymierzam karę ich potomkom, nawet w trzecim i czwartym pokoleniu". Mocne słowa. Z czasem autorzy biblijni odstąpią od takiego rozciągania kary na potomków. Zdezaktualizuje się też zakaz plastycznego przedstawiania osób i rzeczy. Dlatego mógł powstać fresk „*Noli me tangere*" Fra Angelica, przedstawiający spotkanie Zmartwychwstałego z Marią Magdaleną. Z Pisma wiemy, że równa apostołom myli Jezusa z ogrodnikiem.

Czy myli? A może Jezus celowo w takiej postaci jej się pokazuje, by przypomnieć, po co zaistnieliśmy na świecie. Takie rozumienie tej sceny podpowiada papież Franciszek w encyklice „*Laudato si*". W przeszłości „Nieodpowiednia prezentacja antropologii chrześcijańskiej doprowadziła do promocji błędnego przekonania na temat relacji człowieka ze światem. (...) Tymczasem prawidłową interpretacją pojęcia człowieka jako »pana« wszechświata jest rozumienie go w sensie »odpowiedzialnego zarządcy«". Panem świata jest tylko Bóg, ale On zjawia się jako ogrodnik, a nie monarcha. Zjawia się wtedy, kiedy wszystko wskazuje, że już Go być nie powinno.

My jednak wiemy z historii Kościoła i życiowego doświadczenia, że to Jezus, przekonując nas do swojej wizji człowieka i jego roli w świecie, „ma rację", jak twierdzi Leszek Kołakowski. Mamy pielęgnować świat, a nie go wyniszczać i uśmiercać. Trzeba zatem połączyć przykazanie „Czyńcie sobie ziemię poddaną" z poleceniem, by człowiek „uprawiał ziemię i rów kopał w ziemi, aby w ten sposób nawadniać całą powierzchnię gleby".

Znamienna rzecz, wszystkie opisy spotkania Zmartwychwstałego z apostołami i nie tylko kończą się tak samo: Jezus – właśnie rozpoznany – znika. A pragnących, jak Tomasz Apostoł, widzieć Go takim, jakim był przed śmiercią, napomina: „Wierzysz, ponieważ Mnie ujrzałeś? Szczęśliwi ci, którzy nie zobaczyli, a uwierzyli". „I chociaż w ten sposób (znowu jak Tomasz, naocznie) poznaliśmy Chrystusa, teraz już nie tak Go poznajemy", mówi Paweł Apostoł. To znaczy, że Paweł, uwierzywszy w miłość Jezusa do niego, odmienił swój sposób patrzenia na Jezusa, na ludzi i na świat. „Odtąd więc już nie znamy nikogo według ludzkiej oceny", „według ciała", mówi Apostoł, a to znaczy, że nawrócony patrzy na świat oczami Syna Bożego, widzi Boga „we wszystkim i ponad wszystkim", a zwłaszcza tam, gdzie nie spodziewa się Boga znaleźć. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Nie ma Go tu

Zbawiciel pochłonął śmierć. Powstał i wchłonął to, co widzialne, przez to, co niewidzialne, i tak otworzył nam drogę do naszej nieśmiertelności. (...) Uwolnij się od podziałów i więzów, a wtedy już dostąpisz zmartwychwstania.

TRAKTAT O ZMARTWYCHWSTANIU

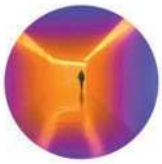

Z całego i niecałego, zbieżnego i rozbieżnego, zgodnego i niezgodnego: ze wszystkich jedno, z jednego wszystko.

HERAKLIT Z EFEZU

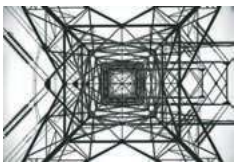

Wybrał PIOTR SIKORA

„Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego. Powstał, nie ma Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożyli. Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział" (Mk 16, 6-7).

Ściśle rzecz biorąc, Orędziem jest tylko ostatnie zdanie, które „Trzy Maryje" mają przekazać „uczniom i Piotrowi": „Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie!". Wszystko, co powiedziane jest wcześniej, skierowane jest jedynie do posyłanych kobiet. To do nich mówi anioł: „Nie bójcie się!". I to je zaprasza do wnętrza grobu – do zobaczenia miejsca, gdzie wcześniej leżało ciało Pana. Dlaczego? Gdyż kiedy szły do grobu, miały w sobie tylko jedno pytanie: „Kto nam odsunie kamień?". Tymczasem kamień zastały już odsunięty. To trzęsienie ziemi – wiemy to od św. Mateusza (zob. Mt 28, 2) – i Anioł Pański odsunął kamień. Nie po to, rzecz jasna, żeby „wypuścić" Pana, ale po to, by one mogły wejść do środka i zobaczyć: „Nie ma Go tu!".

Kamień nie był przeszkodą dla Pana. Był przeszkodą dla nich. Musiał zostać usunięty, aby mogły się otworzyć na prawdę Zmartwychwstania.

Z jakim sercem zbliżamy się do tajemnicy tej Nocy? Czy nie jest to serce przywalone jakimś głazem? Którego odsunięcie przekracza nasze siły. Tymczasem Bóg jest gotów poruszyć całą ziemię wokół nas, byle nas uwolnić od tego ciężaru. Wtedy możemy najpierw sami przyjąć Jego Orędzie, a następnie przekazać je innym. To znaczy Komu?

Już wiemy: Uczniom i Piotrowi. Tu oddajmy głos św. Grzegorzowi Wielkiemu: „Trzeba nam zapytać, czemu kiedy pada określenie uczniów, z imienia wyznaczony zostaje Piotr. Ależ gdyby anioł nie wywołał go po imieniu, wówczas ten, który zaparł się Mistrza, nie ośmieliłby się przybyć pośród innych uczniów. Zostaje więc wezwany z imienia, by nie utracił nadziei z powodu swojego zaparcia się" (Kazanie 21).

Kto jest więc adresatem Wielkanocnego Orędzia? Przede wszystkim jest nim grzesznik. Taki, który ma wszelkie prawo myśleć, że jego historia z Panem już się skończyła. Że ta relacja jest nie do odbudowania. Odszedł za daleko. Zabrnął za głęboko. Nie ma powrotu. A właśnie, że jest!

„Powiedzcie Piotrowi". To do niego – po imieniu – jest skierowane Orędzie, które nie jest jedynie informacją, „ogłoszeniem" (nawet uroczystym), że „zmartwychwstał". Ono jest zaproszeniem do spotkania. Więc najpierw do drogi. Wcale nie do pustego grobu – tam Go nie ma. Uczniowie nie mają iść do grobu. Mają iść do Galilei.

Do Galilei to znaczy do „początku" – tam gdzie Go najpierw usłyszeli. I gdzie poszli za Nim. To zaproszenie, by przejść tę drogę od nowa. Jeszcze raz. Albo dopiero teraz. Dopiero teraz bowiem mogą odkryć naprawdę sens powołania; teraz mogą pojąć każde z Jego słów – zwłaszcza tych, których wcześniej nie rozumieli, albo tych, o których zabraniał im mówić. Teraz zrozumieją dopiero niektóre z Jego czynów i sens Jego cudów. Dopiero teraz – w Jego zmartwychwstaniu – otrzymali klucz do zrozumienia Jego, siebie, świata, życia. I umierania. Tak, Ewangelię trzeba czytać od końca. Od Paschy Pana. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 IV)

Niedziela Wielkanocna:
Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9;
Poniedziałek
I Tygodnia Wielkanocnego:
Dz 2, 14. 22-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;
Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
2. Niedziela wielkanocna:
Dz 4, 32-35; Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31.

KRAJ

KRYTERIA NOWEJ POLSKOŚCI

Politycy Prawa i Sprawiedliwości chcą zdefiniować prawo do nazywania siebie Polakiem. Ich najważniejszym narzędziem jest rewizjonizm historyczny.

MATEUSZ MAZZINI

ŁUKASZ KOLEWIŃSKI / AG

Bez wątpienia ustawa o IPN-ie jest aktem prawnym fatalnej jakości. Niemniej nie powinno się o nim zapomnieć czy pogrzebać przy okazji kolejnej nowelizacji. Odsłonił on bowiem niebezpieczną prawdę na temat strategii Prawa i Sprawiedliwości w zakresie polityki historycznej, pamięci czy szerzej – polityki tożsamościowej. Dzięki awanturze wokół „polskich obozów śmierci" światło dzienne ujrzał cel ostateczny PiS-u politycy partii rządzącej dokonują redefinicji polskości i na nowo ustalają kryteria przynależności do narodu polskiego. Co więcej, redefinicja ta odbywa się nie tylko w politycznych deklaracjach, ale też w porządku prawnym naszego państwa.

Zdrada jako cecha wrodzona

Rewizjonizm historyczny PiS-u nie zaczął się w ubiegłym miesiącu. Już od pierwszych tygodni po zwycięskiej kampanii jesienią 2015 r. był systematycznie wprowadzany do debaty publicznej. Dlatego o nowelizacji ustawy o IPN-ie nie można mówić bez kontekstu. Poprzedzające ją dwa lata, a przede wszystkim to, co po niej nastąpiło, czyli wydarzenia ostatnich tygodni i podejście rządu do kwestii obchodów rocznicy Marca '68, nie pozostawiają wątpliwości co do intencji partii Jarosława Kaczyńskiego.

Wizja narodu przez nią propagowana jest ciasna, wykluczająca, redukcjonistyczna. Pełnoprawnym Polakiem jest dla PiS-u tylko ten, kto podpisuje się pod partyjną interpretacją historii Polski, spełniając przy tym konkretne kryteria ideologiczne, moralne, religijne i etniczne.

Pierwszym zwiastunem planu zdefiniowania polskości na nowo był znany wywiad Jarosława Kaczyńskiego z grudnia 2015 r., w którym podzielił Polaków na lepszy i gorszy sort. Ta figura retoryczna szybko stała się bytem niezależnym, używanym w oderwaniu od pierwotnego kontekstu, bezrefleksyjnie podchwyconym nawet przez opozycję. Jednak esencję tego podziału Kaczyński przedstawił w dalszej części wywiadu, o której dziś często się zapomina. Mówił o biologicznych predyspozycjach Polaków gorszego sortu do zdrady narodowej, sugerując, że „mają oni w genach" donoszenie na ojczyznę. Tym samym dał do zrozumienia, że istnieje według niego różnica namacalna, wręcz etniczna, między tymi, których stosunek do ojczyzny i narodu jest zgodny z wizją prezesa PiS-u, i tymi, którzy stoją po drugiej stronie barykady.

Od tego momentu rewizjonizm historyczny ruszył pełną parą. Widać to było podczas przemówienia prezydenta Dudy w Gdańsku, gdzie „wstydził się za III RP", w stopniowym przepisywaniu życiorysu Lecha Wałęsy z ikony demokratycznej opozycji na komunistycznego szpicla, w przypisywaniu Jarosławowi Kaczyńskiemu wyłącznych zasług za wprowadzenie Polski do NATO podczas szczytu sojuszu w lipcu 2016 r., czy w całkowitym pominięciu Solidarności w kontrowersyjnej animacji IPN-u pt. „Niezwyciężony" z września ubiegłego roku.

Nie ma sensu przywoływać w tej chwili wszystkich instancji, w których PiS na

Czwarta Pielgrzymka Młodzieży Narodowej na Jasną Górę. Częstochowa, 1 kwietnia 2017 r.

nowo pisał historię Polski. Ważniejsze i bardziej niebezpieczne jest to, że z tej historii, jak również z samego narodu, zaczął stopniowo wykluczać rzesze ludzi.

Gdzie Polacy, a gdzie naród?

Pytanie o granice pojęcia „naród polski" wróciło przy okazji nowelizacji ustawy o IPN-ie i jej artykułu wprowadzającego karę do trzech lat więzienia za „publicznie i wbrew faktom" przypisywanie „Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie". Gdzie jednak, w świetle zróżnicowanych postaw wobec Żydów w czasie II wojny światowej, kończy się „Naród Polski", a zaczynają „Polacy"? W którym momencie używanie tych dwóch pojęć jako synonimów jest prawnie dopuszczalne, a w którym stanowi naruszenie ustawy?

Teoretycznie odpowiedź można znaleźć w konstytucji, która naród definiuje jako „wszystkich obywateli RP". W praktyce jest to zapis pusty. Ciężko bowiem wyobrazić sobie owych „wszystkich obywateli RP", wykonujących chociażby tę samą czynność w życiu codziennym, nie mówiąc o kwestii tak złożonej jak stosunek do Żydów. Zupełnie inaczej niż konstytucja widzi to PiS, który uzasadnienie swojej redukcjonistycznej wizji narodu dostarczył ustami premiera.

Kiedy 11 lutego w Chełmie Mateusz Morawiecki powiedział, że Polska zasługuje „jako Naród" na drzewko w Yad Vashem, użył inkluzywnej interpretacji tego pojęcia. Uogólnił i podniósł do rangi postawy ogólnonarodowej bohaterskie czyny tych, którzy ratowali Żydów. W drugą stronę ten proces jednak nie działa. Gdyby dziś napisać lub powiedzieć publicznie, że Polska „jako Naród" dokonywała zbrodni na Żydach, należałoby się liczyć z odpowiedzialnością karną.

Pozytywne epizody z naszej historii są więc świadectwem odwagi wszystkich ↦

↦ Polaków i powodem do narodowej dumy, zaś zbrodnie przeciwko Żydom – wybrykiem zgniłych jabłek w koszyku z napisem „polskość". Taki dysonans może szokować, biorąc pod uwagę, że obie postawy były indywidualnymi decyzjami tych, którzy je przyjmowali.

Członkami narodu polskiego nie mogą być zatem szmalcownicy, ale do końca nie mogą być nimi też Żydzi. Politycy PiS-u nie są w pełni przekonani o słuszności interpretacji, na której oparł się w 2001 r. Radosław Ignatiew, naczelny pionu śledczego IPN-u w Białymstoku, odpowiedzialny za śledztwo w sprawie masakry w Jedwabnem. Dla Ignatiewa punktem wyjścia była optyka patrzenia na tę zbrodnię jako popełnioną przez Polaków na Polakach, w rozumieniu posiadanego przez obie strony obywatelstwa. Mieszkający w Jedwabnem Żydzi byli przecież, tak samo jak ich oprawcy, obywatelami Polski, z punktu widzenia prawa byli więc Polakami, którzy od instytucji swojego państwa mieli prawo oczekiwać ochrony. Dla PiS-u jednak przynależność prawna Żydów do narodu polskiego nie jest już tak oczywista.

Najdobitniej widać to było właśnie przy obchodach rocznicy wydarzeń marcowych. Kiedy 7 marca premier Morawiecki występował w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, podskórną, ukrytą tezą jego przemówienia było twierdzenie, że rdzenny, polski antysemityzm nigdy nie istniał. Przeprowadzając publikę przez historię nienawiści Stalina do Żydów, znowu pokazał, że ci ostatni nie mieszczą się w jego definicji polskości. Opowiadając o stalinowskich zbrodniach, powiedział o „przedstawicielach narodu Żydów polskich". Tym samym stworzył nową kategorię etniczno-narodową, hybrydę bez poparcia w rzeczywistości. A wszystko po to, żeby publicznie nie powiedzieć o Żydach jako członkach narodu polskiego.

Całe przemówienie Morawieckiego było zresztą, używając kategorii stworzonych przez ks. Józefa Tischnera, zlepkiem półprawd ukrywających jedno wielkie, przewodnie kłamstwo. Premier skrytykował m.in. tytuł poświęconej Marcowi wystawy „Obcy w domu", przygotowanej przez Muzeum POLIN. Mówił, że Żydzi w Polsce nigdy nie byli „obcy". Zawsze byli „swoi", bo gdyby byli „obcy", nie byliby w stanie „przez 800 lat żyć tutaj w pokoju".

Dla partii Kaczyńskiego pamięć zbiorowa nie jest wielokierunkowa, nie składa się z różnych, często wzajemnie skonfliktowanych historii. Polityka pamięci PiS-u jest jednowymiarowa, a przede wszystkim – wykluczająca.

Pomińmy w tym miejscu fakt, że premier, absolwent studiów historycznych, nie wie albo celowo ignoruje w takim momencie chociażby getta ławkowe czy systemowy antysemityzm II RP. Morawiecki stwierdził bowiem, że w czasie II wojny światowej, „jeśli Żyd spotkał Niemca, to nie żył", a bez pomocy Polaka nie mógł przeżyć wojny. Tutaj też zresztą minął się z prawdą, ponieważ badania historyków zajmujących się Holokaustem jasno pokazują, że większe szanse na przeżycie wojny miał Żyd niemiecki niż Żyd polski. Ten pierwszy wszak wciąż pozostawał obywatelem Rzeszy.

Skąd ci okupanci

Nie są też członkami narodu polskiego komuniści. Według PiS-u nie byli Polakami ludzie rządzący Polską w latach 50. i 60., nie byli nimi też inspiratorzy antysemickich protestów Marca '68. Posługując się niezwykle pokrętną argumentacją, uzasadniając, że „w PRL cenzura kontrolowała wszystko, nawet etykiety na butelkach z wodą sodową", Morawiecki stwierdził, że żaden protestujący nie mógł w czasie Marca napisać swojego transparentu bez uprzedniej zgody cenzury. Tym samym niemożliwe byłoby, by społeczeństwo polskie samo z siebie wypluło hasła takie jak „Syjoniści do Syjonu".

Dlaczego? Bo przecież nie było i nie ma czegoś takiego jak antysemityzm Polaków. Jeśli wówczas ktoś krzyczał na ulicy hasła przeciwko Żydom, był przedstawicielem władzy okupującej Polskę. Był komunistą, co automatycznie w optyce PiS-u pozbawia przynależności do narodu polskiego.

Podobne dychotomie obecne są nie tylko w słowach polityków. Widać je też w działaniach IPN-u, który w zaprezentowanym 7 marca na swoim kanale w serwisie YouTube spocie, poświęconym rocznicy Marca, umieścił na koniec planszę z hasłem „komuniści przeciwko obywatelom", która służyła za podsumowanie wideoklipu. W spocie IPN-u widać te same tematy, co w przemówieniach Morawieckiego. Polacy, tutaj występujący w charakterze obywateli, stanowią odrębną kategorię względem komunistów, będących elementem nieobywatelskim, niespołecznym, niepolskim.

Ten kurs na ciasną definicję narodu może zaskakiwać, zwłaszcza że staje w opozycji do spuścizny, którą pozostawił po sobie inny polityk PiS-u, Lech Kaczyński. Na jego sztandarach znajdowały się przecież takie hasła jak polityka jagiellońska czy nawiązywanie do inkluzywnej tradycji II RP. Jako prezydent potrafił wspólnie z Wiktorem Juszczenką „pochylić głowę nad wszystkimi ofiarami" akcji „Wisła", a do Donalda Tuska po wygranych wyborach 2005 r. mówił, że Polska „potrzebuje rozliczenia win, ale jeszcze bardziej potrzebuje zgody". Dziś o tych słowach w PiS-ie nikt zdaje się nie pamiętać.

Wykluczenie z narodu nie jest potrzebne tylko do wybielenia historii. To świadomy, z zimną krwią stosowany element bieżącej walki politycznej, skierowany przede wszystkim przeciwko opozycji. Swoje wystąpienie 7 marca Morawiecki podsumował przecież stwierdzeniem, że „jego rząd czuje się spadkobiercą Marca '68 jako zrywu wolnościowego". Jeśli więc przyjąć założenie przedstawione przez premiera na początku, że strajki sprzed 50 lat były aktem sprzeciwu wobec okupującej Polskę obcej władzy i walki o wyzwolenie kraju, a obecny rząd kontynuuje to dzieło, to należy uznać, że również ministrowie gabinetu Morawieckiego zmagają się z okupantem. Czyli że słowa premiera nie tylko podważają suwerenność III RP, co zresztą w retoryce PiS-u nie jest niczym nowym, ale też przypisują „obcość" i wypychają poza granice narodu obecnych przeciwników politycznych.

Akty prawne, akty partyjne

Niestety coraz jaśniej widać, że dyskurs polityków przenosi się na życie codzienne. Choć wojowanie polityką tożsamościową to praktyka stosowana prawie od zawsze, do tej pory jako społeczeństwo byliśmy na nią impregnowani. Potrafiliśmy tolerować strzelających gole dla polskiej kadry

Emmanuela Olisadebe i Rogera Guerreiro, kibicowaliśmy w biegach długodystansowych Yaredowi Shegumo, popularne stawały się kolejne zespoły inspirowane muzyką Ukrainy i Białorusi czy nawet częściowo stamtąd pochodzące. Dziś fakt, że nasze społeczeństwo przyjmuje czarno-biały podział według kryteriów Morawieckiego, najlepiej widać w historii alpinisty Denisa Urubki, który bohaterskiej akcji na Nanga Parbat dokonywał jako Polak, ale kilkanaście dni później po konflikcie z resztą zespołu z K2 schodził już jako „Ruski".

Ta zmiana rozumienia przynależności do narodu jest o tyle groźna, że po pierwsze – wpisana w polskie prawo, a po drugie – pcha Polskę coraz dalej od uznawanego na świecie porządku prawa międzynarodowego. Dotychczas funkcjonowaliśmy bowiem w kulturze definiowania przynależności narodowej za pomocą aktów prawnych. Ten, kto miał nadane obywatelstwo, posiadał paszport, spełniał szereg wymogów administracyjnych, miał pełne prawo nazywać się i czuć Polakiem bez względu na wiarę, poglądy czy pochodzenie etniczne. W tym też duchu napisana została obowiązująca konstytucja.

Dziś PiS przesuwa akcenty z legalnych na ideologiczne. Żeby być Polakiem pełnoprawnym, prawdziwym, trzeba reprezentować określony kręgosłup moralny, mieć konkretne poglądy i miejscami też wykazać pewnego rodzaju poprawność etniczną i religijną, katolicką. Przemówienia takie jak wystąpienie Morawieckiego mają wytyczyć granicę i wyznaczyć kryteria nowej polskości.

Narzędziem tej selekcji jest polityka pamięci, po raz pierwszy od 30 lat wykorzystywana z taką mocą w bieżącej rywalizacji partyjnej. Przed przejęciem władzy przez PiS, parafrazując słowa Pawła Dobrosielskiego z UW, nasza pamięć zbiorowa była swego rodzaju „rajem utraconym", w którym spokój naruszany był sporadycznie, przez pojedyncze „wybuchy pamięci", jak sprawa Jedwabnego, książki Jana Tomasza Grossa czy otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego. Poprzednie rządy politykę pamięci spychały na margines, uważając ją za płaszczyznę zbyt ryzykowną, w której politycznie więcej można było stracić, niż zyskać.

Powstała próżnia, w którą wszedł PiS ze swoją interpretacją historii i polskiej tożsamości. W światopoglądzie partii rządzącej nie można myśleć o przyszłości, jeśli przeszłość i wynikająca z niej teraźniejszość nie zostaną uprzednio we właściwy sposób zdefiniowane i uporządkowane. Dla partii Kaczyńskiego pamięć zbiorowa nie jest wielokierunkowa, nie składa się z różnych, często wzajemnie skonfliktowanych historii. Polityka pamięci PiS-u jest monopolistyczna, jednowymiarowa, a przede wszystkim – wykluczająca. Względem własnych obywateli, bo odbiera wielu z nich prawo do członkostwa w narodzie. I względem samego rządu, bo stosując ją, wyklucza się sam z międzynarodowej cywilizacji poszanowania prawa. © MATEUSZ MAZZINI

MATEUSZ MAZZINI *jest socjologiem pamięci, doktorantem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Absolwent Uniwersytetu w Oksfordzie.*

MATERIAŁ PROMOCYJNY

JACEK ŚWIDERSKI

ROZMOWA Z DR. HAB. ANDRZEJEM BETLEJEM, DYREKTOREM MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Pałac dla Damy

Najsłynniejsza Dama w Polsce wkrótce zyska nowy dom. Jaki on będzie?
Godzien nie tylko jedynego w Polsce obrazu Leonarda da Vinci. Myśląc o aranżacji Muzeum Książąt Czartoryskich, musieliśmy znaleźć złoty środek pomiędzy wyobrażeniem Pałacu Czartoryskich, jakie zachowaliśmy w pamięci sprzed roku 2010, a nowymi wymogami wystawienniczymi, konserwatorskimi, zasadami dostępności. Stara ekspozycja tworzyła niezapomniany klimat, ale nie pamiętamy już, że osoby niepełnosprawne nie miały szans, by ją poznać. Dziś chcemy stworzyć muzeum kompletne: dostępne, bardzo otwarte, ale nawiązujące do tradycji najstarszej w Polsce kolekcji muzealnej.

Remontu Muzeum Książąt Czartoryskich nie udawało się doprowadzić do końca przez ponad siedem lat. Dlaczego teraz jest to możliwe?
Kluczowa była tu decyzja ministra kultury prof. Piotra Glińskiego o wykupieniu Kolekcji XX. Czartoryskich od Fundacji ich imienia. Z chwilą, gdy Muzeum Narodowe w Krakowie zostało właścicielem, nie tylko opiekunem zbiorów oraz mieszczących je budynków, możliwe stało się napisanie projektu, który miałby szanse na dofinansowanie ze środków publicznych. Tak się też stało. Dzięki dofinansowaniu z UE realizujemy inwestycję za ponad 43 mln zł. Robimy to w bardzo krótkim czasie – zasadnicze prace potrwają od maja 2018 do grudnia 2019 r. To będzie prezent na gwiazdkę dla wszystkich, którzy są spragnieni kontaktu ze wspaniałą sztuką. A pamiętajmy, że w ostatnim roku działania Muzeum XX. Czartoryskich odwiedziło ponad 350 tys. turystów.

Jakie skarby zobaczymy w odnowionym Muzeum Książąt Czartoryskich?
Oprócz „Damy z gronostajem" – mnóstwo bezcennych dzieł: „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta, portrety Jagiellonów Cranacha, zabytki starożytnego Egiptu, Grecji i Rzymu. Zaprezentujemy także dzieła dotąd niepokazywane: mało kto zdaje sobie sprawę, jak bogaty jest gabinet rycin Kolekcji XX. Czartoryskich z grafikami i rysunkami najwybitniejszych artystów Europy. ©

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

PRZESZŁOŚĆ PRZYSZŁOŚCI. Remont i wyposażenie Muzeum Książąt Czartoryskich – Muzeum Narodowe w Krakowie w celu udostępnienia unikatowej kolekcji

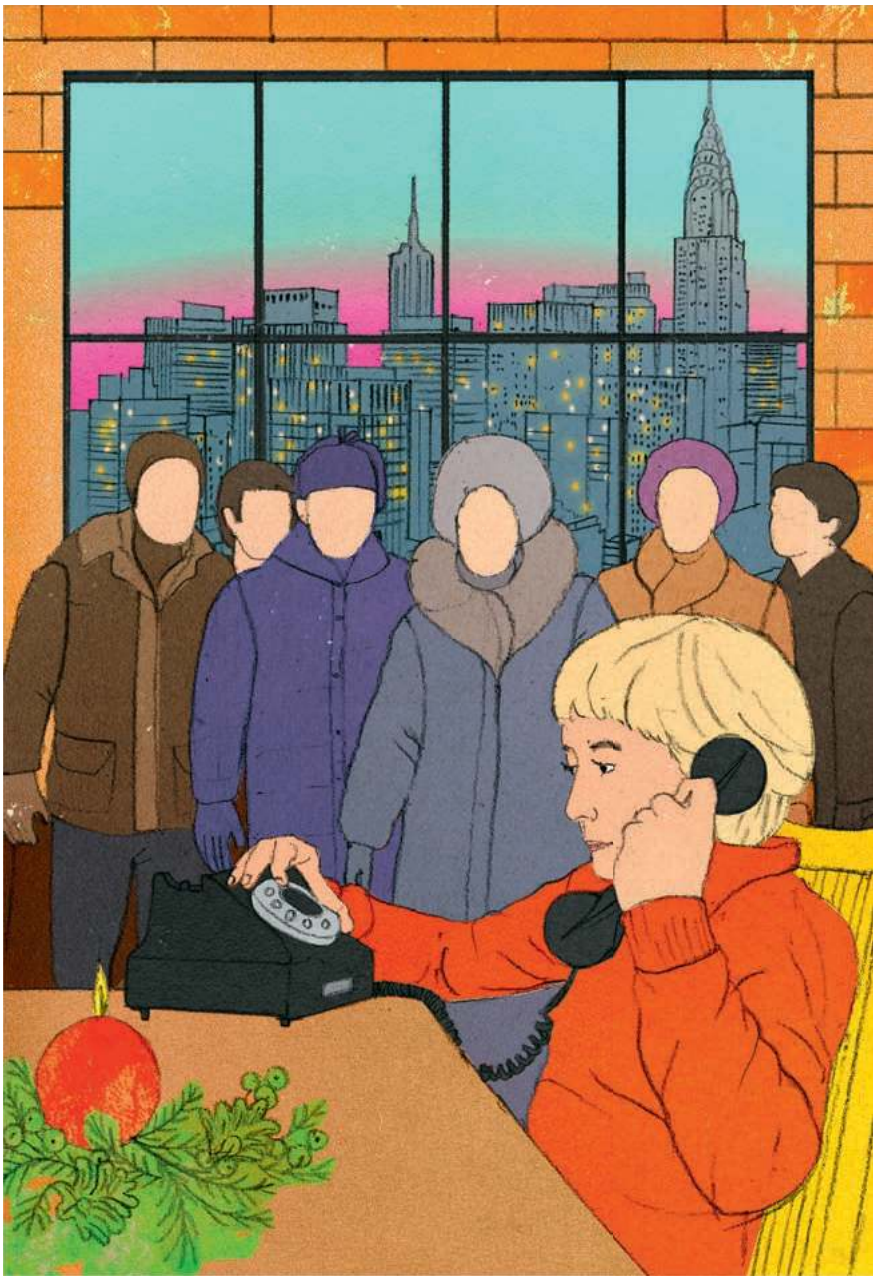

Moi rodzice są z innego kraju

TEKST ANNA GOC ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

Zaczynają być tłumaczami w wieku trzech lat. Choć nawet gdy kończą szkołę, nie znają podstawowych słów.

Są takie dziecięce listy, które nigdy nie zostały wysłane.

List 1

Szanowna Pani,

była Pani moją wychowawczynią do trzeciej podstawówki. Pewnego dnia nie przyszedłem do szkoły. Nie pierwszy raz.

Czasem uciekałem sprzed drzwi, częściej byłem potrzebny rodzicom.

Tamtego dnia rano mama chciała, żebym został w domu i poszedł z nią do lekarza. Poprzedniego wieczora widziałem, jak niesie wiadro z wrzątkiem do łazienki. Ale nie spytałem, po co.

Miałem jedno zadanie: powiedzieć lekarzowi, że mamę boli brzuch.

W przychodni od razu wezwano pogotowie. Podjechał fiat kombi. Radość, bo pierwszy raz jechałem karetką. I to na nielegalu, siedząc na złożonym tylnym siedzeniu.

Potem duża sala, kilka łóżek, ustawionych jedno obok drugiego, zasłoniętych parawanami. Wszystkie zajęte. Białe kafle i płynąca po nich krew. Czyjś krzyk. Stoję tyłem, widzę jedynie twarz mamy. Kiedy nie tłumaczę, mogę ją chwycić za rękę.

Ze wszystkich pytań, poleceń i informacji lekarskich, których nie było zbyt wiele, pamiętam: „Dziecka nie udało się uratować", potem: „Nie będziesz miał już nigdy brata ani siostry". I jeszcze: „Mama będzie żyła".

Chyba nie pomyślałem wtedy, że mogłaby umrzeć.

Po wszystkim mama dostaje szpitalną piżamę, a ja jej złożone w kostkę ubrania i buty. Pielęgniarka mówi: „Idź do domu".

Idę prosto do zakładu ojca. Przez park to pięć kilometrów. Już mnie tam znają. Przychodziłem, by być tłumaczem przy rozmowie o pracę ojca, wypisywaniu zwolnienia dla niego albo odbieraniu kartek na mięso. Portier daje przepustkę. Tata jest na końcu hali, ale i tak zauważa mnie od razu. Podobnie jak ubrania mamy. Gdy je odbiera, mogę migać. Idziemy do kierownika zmiany, tłumaczę, że mama jest w szpitalu. To samo portierowi. Wracamy do niej razem.

O tamtym wydarzeniu nigdy nie rozmawiałem ani z mamą, ani z tatą. Opowiedziałem o nim wiele lat później psychologowi. I żonie, jeszcze przed ślubem.

I teraz pewnie się Pani dziwi, dlaczego piszę o tym Pani.

Bo może gdyby choć raz spytała mnie Pani o mój dom, ułożyłoby się między nami inaczej.

Opowiedziałbym Pani o pudle, które – odkąd pamiętam – stało przy moim łóżku. Było wysokie na 20 centymetrów, z czerwoną szufladą na wierzchu. To dzięki niemu, dwóm podpiętym do pudła kablom i dwóm lampkom rodzice wiedzieli, kiedy płaczę.

Opowiedziałbym o tym, że jako czterolatek byłem tłumaczem rodziców, gdy kupowali nowe mieszkanie. Pamiętam jakieś zamieszanie z odbiorem kluczy i księdza z osiedla, który nam pomagał. Jako dwunastolatek, siedząc po raz kolejny z mamą w gabinecie lekarskim, musiałem jej przekazać, że ma raka piersi.

Gdy lekarze widzieli kilkuletnie dziecko, często wypraszali mnie z gabinetu. Nie pomagało mówienie, że będę tłumaczył, że mama nie słyszy. I dopiero, gdy się orientowali, że mówienie głośniej, a nawet krzyczenie, nic nie daje, wołali mnie z powrotem. Ale tylko po to, by przekazać kilka zdań i „do widzenia". Te kilka zdań tłumaczyłem mamie na korytarzu. Gdy o coś dopytywała, czekałem, aż wyjdzie kolejny pacjent, by wejść do gabinetu na minutę, zadać je lekarzowi, i znów przetłumaczyć jego słowa mamie na korytarzu.

Gdyby Pani o tym wszystkim wiedziała, może wtedy uniknęlibyśmy tamtej nocy na zielonej szkole. Pamięta Pani?

Dwie sale: w jednej śpią chłopcy, w drugiej dziewczynki.

– Czy mogę iść zrobić kupę? – spytałem.

– Kupę? – powtórzyła Pani.

Szmer, ktoś zaczął się śmiać.

– Tak, kupę.

W naszym domu, proszę Pani, używało się najprostszych słów. I dawało się znać, co się robi i gdzie. Bo ani mama, ani tata, ani babcia, która z nami mieszkała, nie mogli zawołać, nie mogli usłyszeć wołania.

I zanim Pani użyła nowego dla mnie słowa „ubikacja", minęło 15 minut, śmiech chłopców zmienił się w ryk, a moja pewność w płacz. „Ubikacja" – mądre słowo.

A wie Pani, że kiedy urodziła się moja córka, od razu kupiłem książkę „Poczytaj mi mamo"? Żona mówiła, że pamięta ją z dzieciństwa. W moim domu książek nie było. Ale teraz – pierwszy raz na głos, pierwszy raz bez stresu – czytam córce o „daktylach" i „orangutanach". Tak, moja córka zna już trudne słowa.

Może gdyby Pani o tym wszystkim wiedziała, nie dążyłaby Pani z takim uporem, by mnie przenieść do szkoły specjalnej. Nie mówiłaby Pani, że się do niczego nie nadaję. I nie wysyłałaby mnie Pani na testy sprawdzające poziom inteligencji. Uwierzyłaby Pani, że moje pierwsze wyniki z tych testów są dobre. I nie wysłałaby mnie Pani na te same testy jeszcze raz.

Może nawet spytałaby Pani, nie tyle z ciekawością, co z troską: „Arturze, w domu wszystko dobrze?". **ARTUR**

List 2

Wujku,

przesyłam Ci jedną z moich rozmów z mamą. Zapisuję ją tak, jak się porozumiewałyśmy. Jak pamiętasz, moja mama, Twoja siostra, starała się do mnie mówić i odczytywać to, co ja mówię, z ruchu warg. Czasem żartowałam, że rozmawiamy „po głuchemu". A wiesz, dziś, kiedy przypominałam sobie tę rozmowę, mówiąc bezgłośnie, znów mówiłam „po głuchemu", a używając głosu, przechodziłam na polski.

Mama: Ty szkoła dzisiaj była? [Byłaś dzisiaj w szkole?]

Ja: Tak, już [Byłam.]

Mama: Szkoła dziś było trudno? [Czy w szkole miałaś jakieś problemy?]

Ja: Ja kłopot czyta. [Miałam kłopot z czytaniem na głos].

Mama: Ja pomaga nie umie. Może Marian pomaga. [Nie potrafię ci pomóc, może wujek Marian mógłby].

No właśnie, Wujku. Dlaczego nigdy nie mogłeś?

Przecież byłeś jedynym słyszącym krewnym mieszkającym w naszym domu.

Musiałeś wiedzieć, jak to jest, gdy trzeba napisać na kartce kilka zdań, z którymi mama mogłaby sama iść do lekarza. Jak trudne dla mnie, kilkuletniej dziewczynki, jest przetłumaczenie zdania „Boli tu, kaszle dużo, katar twardy" na „Bolą mnie stawy, kaszlę, mam gęsty katar". Przecież biologia jest dopiero od czwartej klasy.

I nigdy naprawdę nie zauważyłeś, że nie mając z kim uczyć się czytania na głos w domu, w szkole bardzo się tego boję?

A może to jest tak, jak wtedy, gdy całą rodzinę zapraszano na wesele, a mnie i moich głuchych rodziców pominięto? Bawiliśmy się z Twoim synem i naszą kuzynką. Wyobrażaliśmy sobie to wesele. Oni poszli, a ja nie. Może przez cały ten czas byliśmy gorsi od Was, słyszących.

Tęskniłam wtedy za babcią. Moje pierwsze wspomnienia są właśnie z nią. Leżę w łóżku, w salonie. Babcia siedzi obok. Czyta mi książkę o krasnoludkach. Mam cztery lata i nagle okazuje się, że jest jeszcze jakiś inny świat. Kilka lat po tym, jak babcia zmarła, po mojej pierwszej komunii, kupiłam sobie nową książkę z bajkami. I kiedy urodziła się moja słysząca siostra, Wujku, nie musiała już liczyć na to, że słyszący krewny się nami zainteresuje. Mogłam jej czytać sama. **ANNA**

List 3

Mamo,

są sprawy, o których nigdy nie rozmawiałyśmy.

Gdy pytałaś, czy się wstydzę Ciebie i taty, skłamałam, że nie.

Nie słyszałaś przecież, jak mówią: „Ty, zobacz, małpy idą". Nie wiedziałaś, że sąsiad z dołu regularnie składał na nas skargi w administracji. A wiesz za co? Bo podobno byliśmy za głośni: za głośno przesuwaliśmy krzesła, za głośno zamykaliśmy drzwi. Za głośno żyliśmy.

Ale nie słyszałaś też, Mamo, odgłosów, które wydawał kolega taty, gdy próbował mówić. Wiesz, nazywałam je „szczekaniem". I może dzięki tej nazwie, gdy go spotykaliśmy, łatwiej mi było stanąć z boku i udawać, że nie znam ani ojca, ani jego. Tylko potem, gdy widziałam, że tata się przed nim chwali tym, że ma słyszącą córkę, było jakoś gorzej. I jeszcze te babska: „O Jezu, jakie biedne dziecko".

Tata. Pamiętasz, gdy urodziło się moje dziecko, przyjechał i pierwsze, co zrobił, to klasnął mu obok ucha. Jego radość, gdy zareagowało. I ten bezradny ruch rękami, gdy pokazywał nam, który to zresztą raz, że jest głuchy. Chyba nigdy się z tym nie pogodził.

Miałaś rację, byłam na Was wściekła.

O to, że zamiast grać w gumę z innymi dziećmi, musiałam iść do lekarza z młodszą siostrą. Że później, kiedy byłam w ósmej klasie, a ona w pierwszej, musiałam chodzić na jej wywiadówki i na akademie, podczas których mówiła wiersze. Że musiałam ją uczyć czytać i pisać. A może chciałam jej dać wszystko to, czego ja nie miałam? ↦

↦ Byłam wściekła o to, że wszystkim było wygodniej, gdy babcia, nawet jeśli przyszywana, była w pobliżu. Gdy mogła się mną zająć: nauczyć mnie mówić, czytać, powiedzieć „każdy kij ma dwa końce” albo „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Twoja mama nigdy nie nauczyła się języka migowego. A mimo to broniłaś ją, Mamo. Nie czułaś, że traktuje nas, jakbyśmy byli gorsi. Nie mogłaś tego usłyszeć: przyjechała w odwiedziny, jedyne w roku, z lizakiem. Wiesz, co powiedziała? „Miałam dla ciebie czekoladę, ale w końcu sama ją zjadłam, bo tak dawno się nie widziałyśmy”.

Kiedyś spytałaś, czy bardziej kocham moją przyszywaną babcię, czy Ciebie. Powiedziałam wtedy prawdę.

Ale najgorsze, Mamo, było to, że ciągle się obwiniałam.

Obwiniałam się, że nie udało mi się ustalić szczegółów śmierci dziadka w Auschwitz. Wiem, że tacie bardzo na tym zależało. Dopytywał o to jeszcze przed śmiercią. Ale może byłam za mała, żeby wiedzieć, jak bardzo to jest ważne? A może coś źle zrozumiałam, źle przetłumaczyłam, pod zły adres wysłałam?

Obwiniałam się, że nie wiem, co odpowiedzieć, gdy mnie pytano: „Dziewczynko, a kto ciebie nauczył mówić?”.

Gdy rodzice koleżanek zwracali uwagę: „A dlaczego ty tak głośno jesz?”.

Gdy mama mojego chłopaka spytała: „Czy twoje dzieci też będą głuche?”.

Obwiniałam się za każdym razem, gdy uciekałam z domu, by nie musieć tłumaczyć Tobie i tacie tego, co pokazywali w telewizji. By podglądać słyszące mamy koleżanek. Uczyć się od nich, co się mówi, gdy podaje się do stołu obiad. Uwielbiałam zajęcia techniczno-praktyczne w szkole: inne dziewczyny się nudziły, a ja łapałam wszystko, co powinno się wiedzieć: jak witać gości, co odpowiedzieć na komplement, jak nakryć do stołu.

Uciekałam, by oglądać domy, w których są książki.

Obwiniam się, że uciekłam z domu na dobre. **JOLA**

List 4

Tato,

to był dziwny czas. Warszawa, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Ilu nas tam wtedy żyło? Kilkudziesięciu trzymających się razem? Kilkuset znających się z widzenia? Od lat spotykający się w tych samych miejscach, o tej samej porze, w tym samym towarzystwie. Nieistniejąca już kawiarnia Szwajcarska przy Szpitalnej, Gong przy Rotundzie, Szampańska w Domach Towarowych Centrum Wars i Sawa.

Byliśmy pewni, jednogłośni, jak to my, głusi. I właśnie wtedy pojawiła się wiadomość: będzie wojna. O stanie wojennym nikt wśród głuchych nie mówił. Jeden drugiemu przekazywał informację: do Polski wejdą Rosjanie, będzie bieda. Trzeba uciekać.

Wielu głuchych zdecydowało się wtedy wyjechać.

W obozie dla uchodźców pod Wiedniem spotkaliśmy z mamą ponad 30 głuchych z Polski. Wszyscy uciekli z tego samego powodu.

Obóz jak obóz. Dawne koszary. Jeden wielki budynek dla mężczyzn, tuż przy wejściu, po prawej stronie. Drugi, po lewej, dla kobiet. Kilkanaście drewnianych baraków. I jeszcze jeden murowany budynek, dawny biurowiec, przydzielany rodzinom z dziećmi. Duża stołówka. Posterunek. Wszystko ogrodzone.

Od pierwszych dni się nie nudziłem. Na początku pomagałem głuchym, którzy chcieli wyjechać do USA, Kanady lub Australii. Potem pojawiło się ogłoszenie, że Norwegia przyjmie 20 głuchych z Polski.

Przedstawiciel organizacji norweskiej był na miejscu. Nie przeszkadzało mu, że miałem 12 lat, gdy zaproponował mi bycie tłumaczem.

Przez kolejne dwa tygodnie wypełniałem formularz za formularzem. Podchodziła głucha osoba, ja migałem pytania, ona odpowiadała, ja tłumaczyłem jej odpowiedź i wpisywałem w rubryki. Tak ze 20 osób. Potem jeszcze rozmowy kwalifikacyjne – każdy z osobna, pytania bardziej szczegółowe. I wiesz, cała dwudziestka szczęśliwie wyjechała do Norwegii.

Zabrałem się za nasze dokumenty.

W Nowym Jorku, do którego trafiliśmy z mamą, musiałem się nauczyć języka angielskiego i Amerykańskiego Języka Migowego. Tutejsza Polonia głuchych jest dość duża.

Najpierw zająłem się dokumentami potrzebnymi mamie w jej nowej pracy. Potem pomagałem innym głuchym w znalezieniu dla nich zajęcia.

Tu, podobnie jak w Polsce, głusi trzymają się razem. Przed świętami przychodzą do nas, czasem nawet kilkadziesiąt osób. Mama się złości, że nie pomagam jej w przygotowaniu Wigilii.

Ja siadam przy telefonie, głusi przy stole. Podchodzą kolejno. Każdy ma w Polsce co najmniej kilka osób, do których chce zadzwonić i złożyć im życzenia. Ostatnio to nasze wspólne dzwonienie trwało osiem godzin.

Poza tym jest wiele spraw, przy których tłumaczę im na co dzień. Najtrudniej jest u lekarza, bo jeszcze nie znam dobrze angielskiego ani amerykańskiego migowego. Właściwie jedynie w sklepie mnie nie potrzebują.

Przygotowałem już wszystkie dokumenty związane z twoim przyjazdem. Czekamy tu na Ciebie. **PAWEŁ**

List 5

Drodzy Sąsiedzi,

w ostatnich latach każdego dnia zajmowałam się głównie tłumaczeniem.

Gdy byłam w podstawówce:

– wzywałam karetkę pogotowia do dziadka;

– pobiegłam do warsztatu samochodowego, w którym był jeden z nielicznych w okolicy telefonów, by dowiedzieć się ze szpitala, że dziadek nie żyje, a chwilę później przekazać tę informację rodzicom;

– odbierałam akt zgonu dziadka w urzędzie, o istnieniu którego nie miałam wcześniej pojęcia;

– tłumaczyłam wizyty babci u kardiologa, mamy u reumatologa, cioci u okulisty;

– z mamą chodziłam też do ginekologa; wizyty były do siebie podobne: opisywałam objawy, o których mama mówiła mi już w domu (choć przy pierwszej wizycie nie wiedziałam, czym zajmuje się ginekolog), podczas badania odwracałam się na chwilę, tłumaczyłam pytania lekarza, także typu: „Jak często dochodzi do współżycia?”, i dbałam o to, by mama wiedziała, jak zażywać lekarstwa;

– kilka razy w tygodniu odwiedzałam w szpitalu ciotkę, którą w domu nazywaliśmy też babcią, tuż po tym, jak miała zawał; jeździłam busem z Krakowa do szpitala, który był w podkrakowskiej miejscowości, zajmowało to około 20 minut w jedną stronę; w szpitalu spędzałam zwykle ponad godzinę – przekazywałam lekarzom pytania cioci, a jej lekarskie polecenia; starałam się jeździć co drugi dzień, po szkole;

– obdzwaniałam wszystkie szpitale i posterunki policji w mieście, gdy się okazało, że córka sąsiadki zaginęła;

– wysyłałam pocztę, kupowałam bilety, załatwiałam formalności związane z bieżącymi opłatami;

– tłumaczyłam rodzicom korespondencję;

– dzwoniłam w imieniu rodziców do krewnych, gdy zbliżały się uroczystości rodzinne lub święta;

– przekazywałam rodzicom zapisane na kartkach uwagi mojej wychowawczyni, tłumaczyłam je, i odpisywałam jej w imieniu rodziców;

– organizowałam pogrzeb cioci;

– byłam pośrednikiem między mamą a jej zleceniodawcami, gdy pracowała chałupniczo w domu;

– chodziłam sama do pediatry.

Dlatego teraz, drodzy głusi Sąsiedzi, chciałabym przez chwilę zająć się sobą.

MARIA

List 6

Koledzy,

moja mama nigdy nie migała na ulicy. I mnie też na to nie pozwalała. Kiedy przychodziła po mnie do szkoły, uśmiechała się tylko. Na wywiadówki chodziła słysząca babcia. Ale musieliście kiedyś gdzieś usłyszeć nietypowy głos mojej mamy. I już nie odpuściliście. „Moi rodzice są z innego kraju", powiedziałam w końcu, żebyście się odczepili.

Uwierzyliście.

A ja skłamałam.

ELŻBIETA

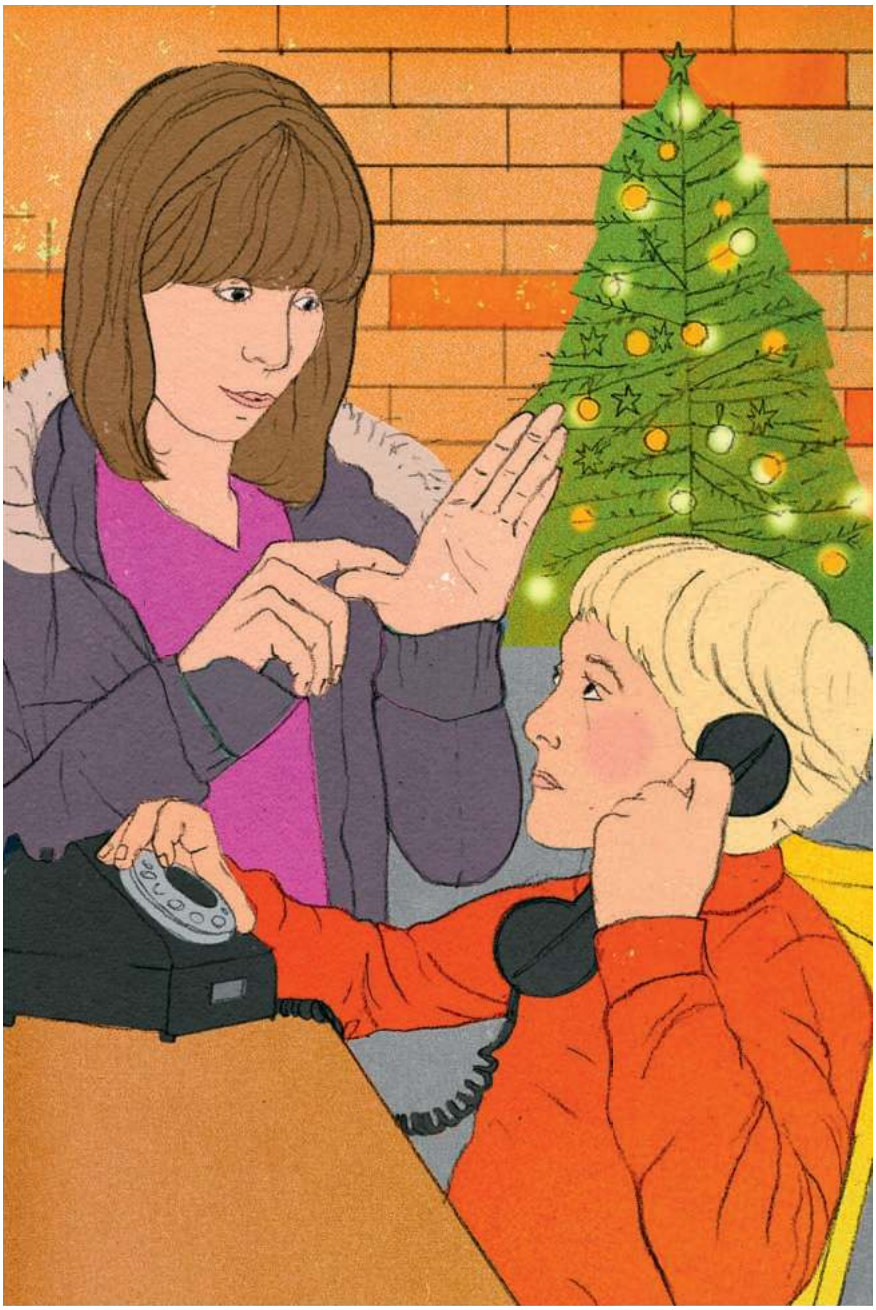

Wszyscy podpisaliby się pod swoimi listami CODA. Co znaczy Children of Deaf Adults – Słyszące Dzieci Głuchych Rodziców.

I dziś, już jako dorośli, dopisaliby postscriptum.

PS

CODA opuszczają lekcje, bo są tłumaczami dla swoich głuchych rodziców. Stają się nimi szybko, już w wieku trzech, czterech lat. Języka migowego uczą się obserwując rodziców. Języka polskiego – od słyszących krewnych, jeśli mają ich na co dzień obok.

ARTUR

PS

CODA są wykorzystywani jako tłumacze na salach sądowych (nawet podczas rozpraw rozwodowych), w gabinetach lekarskich, podczas spotkań terapeutycznych (także w czasie terapii grup AA), na wywiadówkach, w urzędach, banku, na weselach i pogrzebach.

MARIA

PS

Dyskryminacja osób głuchych – nazywanie ich „głupimi", „małpami", „niemowami" – to audyzm.

Audyzm dotyczy także, a może przede wszystkim, CODA.

JOLA

POST POSTSCRIPTUM

90 proc. głuchych małżeństw i par ma słyszące dzieci. Głuchych od urodzenia, którym nie udało się przywrócić słuchu, jest w Polsce – według różnych danych – od 50 do nawet 200 tys. Ile jest CODA? Tego nie udało się dotąd ustalić. Podobnie jak nie udało się opracować dla CODA programów wsparcia edukacyjnego i psychologicznego. Nie dostrzeżono też ich dwujęzycznego i dwukulturowego potencjału.

©℗ ANNA GOC

Imiona niektórych bohaterów na ich prośbę zostały zmienione.

Niech post się nie kończy

MONIKA KUCIA, PROMOTORKA KULTURY KULINARNEJ:

Niedosyt to chwila, w której możemy siebie samych zapytać, czym się chcemy wysycić.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Tort z czerstwego chleba to danie postne?

MONIKA KUCIA: To opowieść o resztkach, które marnujemy i traktujemy jak coś gorszego.

Pojawił się na „Uczcie »Bieda« Król", jednym z tegorocznych wydarzeń wielkopostnego festiwalu Nowe Epifanie, którego pasmo kulinarne Pani tworzy.

Tort chlebowy był rozbudowaną wersją francuskiego *pain perdu*, czyli tostu z czerstwej brioszki nasączonej w jajku. Był dostojny, szlachetny, wjechał na scenę, w snop światła przy akompaniamencie *Kyrie* z „Mszy Koronacyjnej" Mozarta z towarzyszeniem piły, prowadził do niego czerwony dywan. Pogardzane resztki zostały uwznioślone.

Może ten postny tort nie jest sprzecznością: bo post to czas święty, w którym wszystko, co powszednie, nabiera symbolicznych sensów. Również jedzenie.

Oraz głód. Kiedyś poszczenie nazywano „suszeniem". Psycholog i myśliciel James Hillman o sublimacji duszy i charakteru napisał, że dusza staje się coraz bardziej „sucha".

Wiedza kuchenna też poucza, że to, co suche, to bardziej skoncentrowane, esencjonalne.

Doświadczenia mistycznego nie da się przeżyć z pełnym brzuchem. Wszystkie diety, cały weganizm, obsesyjnie koncentrują się na ciele. A post to zapomnienie o ciele, porzucenie jego potrzeb, traktowanie go jak skorupy, w której zamknięta jest dusza. Może dlatego kochamy dziś weganizm, a nie post.

Ależ post bardzo mocno koncentruje się na ciele, tylko odwrotnie: bierze je w karby dyscypliny, a nie mu dogadza.

Tymczasem w weganizmie chodzi o dogadzanie ciału. Ma być pysznie. Oczywiście, weganizm jest zbawienny dla Ziemi, ale w wersji zachodniej skupia się głównie na tym, jak z roślin przygotować coś smakowitego. Znam tymczasem ludzi, którzy w Wielkim Poście poszczą ściśle, jedząc np. samą suchą kaszę.

Namawia Pani restauratorów, żeby w Wielkim Poście wprowadzali „menu postne". W tym, które mam przed sobą, widzę rosół grzybowy, stek z kalafiora, karpia, pieczone jabłko z chałwą słonecznikową – dania z postnych składników, ale restauracyjne. A większość restauratorów w ogóle nie daje się na to namówić. Post dziś odstrasza?

Może kiedyś łatwiej było pościć? W pewnym sensie dzisiaj post to wyrzeczenie znacznie większe, gdy w środku zimy mamy pomidory i truskawki. Rezygnacja z całej tej obfitości, która nas otacza, żeby jeść suchą kaszę, wymaga niezwykłego pionu moralnego. A z drugiej strony, również dzisiaj w większości stołówek szkolnych czy zakładowych w piątki jest ryba albo coś jarskiego.

Tę kaszę też zwykle pragniemy uwznioślić. To już nie kasza, to kaszotto.

Proszę kiedyś spróbować się pożywić suchą kaszą. Niedbale, łyżką z garnka, bez zasiadania do stołu. Po dłuższym czasie postu zupełnie inaczej odczuwa się smak takiej kaszy, jakby zmysły doznawały oczyszczenia. Jak wtedy, gdy pijemy samą wodę. Post jest o oczyszczeniu. Ma to głęboki sens, że Wielki Post przychodzi przed wiosną, gdy cała natura zaczyna od początku.

Te truskawki w środku zimy zaburzyły nam cykl, który kiedyś sprawiał, że przedwiośnie było czasem postu?

Tak, dlatego dzisiaj czas święty musimy wyznaczać sobie sami. Siłą kulinarnych wydarzeń festiwalu Nowe Epifanie jest rytuał: goście przechodzą przezeń, doznają poczucia wspólnoty, jakby przyszli głodni nie jedzenia, lecz rytuału właśnie.

Jak wyglądał tradycyjny post?

Post łączył się z biedą na przednówku: kończyły się zapasy, zostawały resztki, panował głód. W świecie, w którym Kościół dzierżył rząd dusz, dni postnych w roku było około 200. Ogromnie ważnym postnym pokarmem był śledź. Poza tym żur, który ratuje człowieka, bo jest bardzo odżywczy, a zakwas na żur zawiera tak nam potrzebne żywe kultury bakterii. A do tego ma wyrazisty smak i syci. Postna kuchnia to też jęczmienne kasze, ziemniaki, jednogarnkowe potrawy bez tłuszczu. Później pojawiają się powoli zielone zupy i rośliny, takie jak lebioda, podagrycznik, krwawnik, mlecz, rzeżucha. Wierzono, że przeganiają złe moce i dodają siły.

Ale podstawą postu było nie to, co się jadło, ale to, że się nie jadło. W wielkopostne środy i piątki pościło się ściśle. W pozostałe dni – jadło się mało.

Symbolika pokarmów wielkanocnych jest dla nas dość jasna, przypominamy sobie o niej, słysząc formułę ich święcenia. A symbolika tych postnych?

Śledź był pokarmem magicznym i symbolicznym. Na koniec postu wieszano śledzia, w śródpoście chodziło się z zepsutą głową śledzia albo podrzucało się ją niezamężnej dziewczynie. Podobnie żur – którego garniec zakopywano i rozbijano na koniec postu. Z postu bierze się symbolika chleba i soli, kompletnie zepsuta w komunizmie, zamieniona w weselny folklor pozbawiony głębi. Sól w poście jest niebywale ważna, bo chroni od zepsucia. Jest bezcenna, kiedyś była pieniądzem, trzeba jej było strzec. I chrzan – ten prawdziwy, rosnący dziko i tarty, który niósł zdrowie – jest cennym źródłem witaminy C i ma działanie bakteriobójcze. W Wielki Piątek dawano dzieciom do zjedzenia chrzanu, żeby poczuły Mękę Pańską. Jest w tym jakaś mądrość: to, co nas doświadcza, także nas odżywia. Od-żywia, czyli odnawia życie.

Z drugiej strony, pojawiały się też formy uatrakcyjniania postnego jedzenia, obchodzenia zakazów. Za postne jedzenie ucho-

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Święcenie pokarmów na krakowskim Rynku, 15 kwietnia 2017 r.

dziły bobry, bo przecież pływają w wodzie, jak ryby. A ryby na bogatych stołach były podawane po królewsku. Karpie jednocześnie na słodko, kwaśno, pieprznie i korzennie, co dzisiaj byłoby nie do przełknięcia. Albo przyrządzane tak, żeby udawały mięso, czego echa mamy i dziś w postaci sojowych kotletów, parówek czy pasztetów.

Czyli unikanie postu to wcale nie tylko dzisiejsze zjawisko?

Tyle że oni mieli 200 postnych dni, my mamy dwa.

Gdzie dziś uchowały się enklawy tradycyjnego poszczenia?

Wbrew pozorom – wcale nie tylko na wsi. Miałam przyjemność współuczestniczyć w przedsięwzięciach wspólnoty Sant'Egidio, pomagających warszawskim bezdomnym. Udziela się tam m.in. restrykcyjnie poszczące małżeństwo. Z budżetem zero złotych, dzięki wsparciu szefa kuchni Macieja Bartona i szkoły gastronomicznej na Komorskiej, zrobiliśmy warsztaty, które przygotowały m.in. 1600 pierogów dla podopiecznych wspólnoty. Z jednej strony było to, jak sądzę, ważne dla bezdomnych, że zobaczyli, iż każdy z tych pierogów jest inny, że nie wyszły z maszyny, tylko ktoś je dla nich ulepił. Z drugiej strony, dla uczestników warsztatów, którzy sami rozdawali przygotowane jedzenie, było to przeżycie rewolucyjne. Odnawiające. Post to też czas na dobroczynność czynną, coś więcej niż choćby nie wiem jak hojna wpłata na szczytny cel. Więc tak, tam spotkałam ludzi, którzy naprawdę poszczą.

Twierdzi Pani, że weganizm koncentruje się na przyjemności. Ale przecież mnóstwo ludzi wybiera go z przyczyn etycznych. Czy nowe trendy okołokulinarne: także freeganizm, zero waste, lokalność, foodsharing – nie biorą się z tęsknoty za etyką w świecie konsumpcji?

Jasne. Zwłaszcza *zero waste*, które było podstawą pomysłu na ucztę z odpadków. Zaprosiliśmy m.in. Michała Czekajłę, szefa kuchni, który stosuje tę regułę na co dzień w swojej restauracji. Z resztek po produkcji piwa piecze chleby, robi musztardy z brzeczką. Podziwiam stare przepisy np. Marii Ochorowicz-Monatowej, tam nic się nie marnuje, wykorzystuje się wszystko, do ostatniego okruszka. Ale też przypominają, że mięso to nie wyabstrahowana pierś z kurczaka kupiona na tacce, że żeby mieć gęś na obiad, trzeba zabić, oskubać, opalić, wypatroszyć i poćwiartować zwierzę.

Post to dobry czas na powrót do bardzo prostego jedzenia. A to daje szansę skoncentrowania się na jego wartości. Przy całej obfitości i nadmiarze, przy tej orgii możliwości można wrócić do zasadniczych spraw, sięgnąć głębiej, zrozumieć, co nas karmi.

Post może być czasem odzyskania kontroli nad tym, czym się karmimy?

I to w bardzo szerokim sensie: czego i kogo słuchamy, co czytamy, czym sycimy oczy. A doznanie głodu, które każdy z nas zna – choć nie jestem pewna, czy dziś ↦

MONIKA KUCIA jest dziennikarką kulinarną, kuratorką wydarzeń kulturalno-kulinarnych, promotorką polskiej kuchni regionalnej. Członkini Zespołu Festiwalu Nowe Epifanie w Warszawie i Rady Programowej Festiwalu Smaku w Lublinie. Autorka książek „Kuchnia polska, jakiej nie znacie" (z Kurtem Schellerem, 2005) i „Kurt Scheller. Bliżej sztuki kulinarnej" (2013) oraz publikacji „Cuisine PL" (2011), promującej polską gastronomię podczas Prezydencji Polski w UE.

MARTA ANKIERSZTEJN

Na zdjęciu: Monika Kucia rozdmuchuje złoty pył nad tortem z czerstwego chleba, Festiwal Nowe Epifanie, Warszawa, luty 2018 r.

↦ już każdy – to dotarcie tam, gdzie kończy się ciało i zaczyna to, co dalej.

W Polsce marnujemy 9 mln ton żywności rocznie, z czego 62 proc. to chleb. Czy to nie paradoks, że nasz najświętszy pokarm jest najbardziej marnowany?

Winię za to po pierwsze producentów pieczywa, które dziś jemy – supermarketowa bagietka niezjedzona od razu nadaje się tylko do wyrzucenia, podczas gdy pieczywo zrobione tradycyjnie nie pleśnieje i zachowuje świeżość nawet tydzień. Jemy jedzenie, które nie jest prawdziwe. Za sprawą przemysłu spożywczego jedzenie stało się produktem, a nie pokarmem, dobrem, świętością, symbolem.

Po drugie, kupujemy za dużo, bo mamy wokół siebie za dużo jedzenia. Koleżanka, która zajmuje się foodsharingiem, opowiadała mi, że gdy zaczęli odbierać z piekarni niesprzedane pieczywo dla potrzebujących, piekarnie w pewnym momencie zmniejszyły produkcję – bo zobaczyły, ile wyrzucają. Produkuje się nadmiar po to, żebyśmy widzieli pełne półki, a płacimy za to my.

Wróciło dziś pieczenie chleba w domu. To moda czy jednak powrót do szacunku dla chleba?

Nie oszukujmy się, nie uprawiamy sami zboża, nie młócimy i nie wozimy jego worków do młyna. A to z tej ciężkiej pracy brało się norwidowskie podnoszenie z ziemi kruszyny chleba „przez uszanowanie" – nawiasem mówiąc, pierwszy postulat ruchu *zero waste*. Zostaje nam samo przyjemne – bo zarabianie ciasta i kształtowanie bochna to cudowne doznanie, nie robi się tego dziś z obowiązku, tylko dla przyjemności. W dawnym gospodarstwie *zero waste* było czymś oczywistym – trzeba było zużyć zapasy, zanim się zmarnują przed kolejnym sezonem. Dzisiaj, wybici z rytmu, z cyklu, wobec obfitości wszystkiego, tracimy rozeznanie, ile i czego potrzebujemy.

Mam problem z naszą kulturą nadmiaru. Z zazdrością patrzę na swoich przyjaciół, którzy kupują tylko to, co powstało w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od ich miejsca zamieszkania, pieką chleb, kiszą, nie korzystają z puszek, plastików, nawet z worków na śmieci.

To taki rygoryzm, że większość z nas na wstępie stwierdzi, że nie da rady.

Jak mówią ci moi przyjaciele – każdy z nas jest w drodze. Nie ma się co karać za skorzystanie z supermarketu, gdy jest się zarobionym.

Ale może też niekoniecznie musimy kupować dzieciom każdą plastikową atrakcję, ulegać każdej czyhającej na nas pokusie. Choć sama ulegam pokusie we włoskich delikatesach, mimo że wiem, jaki szmat drogi przebyły te produkty, jaki ślad ekologiczny za sobą zostawiły. Możemy sobie stawiać pytania pośrednie: olej kokosowy czy rzepakowy? Kurczak fermowy codziennie czy zagrodowy dwa razy w tygodniu?

Gdy myślimy o poście, niemal automatycznie odwołujemy się do tradycji, do lepszego „kiedyś", gdy się naprawdę pościło, i gorszego „dziś". Ale właściwie dlaczego to „kiedyś" miałoby być lepsze? Papież Franciszek w adhortacji „*Evangelii gaudium*" też podkreślał, że są zwyczaje, choćby bardzo zakorzenione, które „dzisiaj nie są już interpretowane w taki sam sposób i których przesłanie zwykle nie jest właściwie odbierane. Mogą one być piękne, ale dzisiaj nie oddają tej samej posługi w dziele przekazu Ewangelii. Nie bójmy się dokonać ich przeglądu". Może dziś lepsza od tradycyjnej postnej ascezy jest dyscyplina stylu życia? Może post trzeba wymyślić od początku?

Może. Jesteśmy tak rozwarstwieni, że każdy musi znaleźć własny sposób na post. Wspólnota już tego za nas nie załatwi, bo to nie są czasy wspólnoty. Lubimy sięgać do mitycznej przeszłości, bo wydaje się nam, że wtedy wszystko było jasne. Dzisiaj musimy znaleźć coś na swoją miarę. Jestem zdania, że mamy obowiązek dobrze się traktować. Co nie oznacza dogadzania sobie na każdym kroku, lecz myślenie o swoim dobru.

Gdy pierwszy raz przygotowywałam menu postne, nazwałam je „menu postne, przednówkowe, oczyszczające". Bo post

nie jest tylko dla katolików, choć z katolickiej tradycji czerpałam inspirację. Ale korzenie postu sięgają wcześniej – mitów wspólnych dla nas wszystkich, o odnawiającym się świecie.

Więc może dobrze nie kończyć postu wraz z Wielkanocą, tylko pamiętać o nim przez cały rok?

Dobrze mieć w sobie pusty pokój, do którego można się czasem schować i skupić. Praktykowanie postu pomaga go w sobie wygospodarować. Albo może rodzimy się z tym pustym pokojem, tylko potem go zagracamy? Post to chwila niedosytu, w której możemy siebie zapytać, czym się chcemy wysycić.

Pusty pokój w aspekcie kulinarnym to pusta kuchnia – jak ją sobie mądrze wygospodarować?

Bardzo dobrym pomysłem jest planowanie, zastanowienie nad tym, czego potrzebuję, gdy robię zapasy, a niekupowanie na wyrost. Warto zrobić sobie w internecie kwestionariusz śladu ekologicznego, żeby zobaczyć, że jest się członkiem kilkuprocentowej, uprzywilejowanej części ludzkości, która korzysta z wszystkiego kosztem ubóstwa większości. To daje do myślenia. Poczytajmy statystyki dotyczące marnowania żywności, rozejrzyjmy się, gdzie jest najbliższa jadłodzielnia. Niezwykłym doświadczeniem jest wzięcie udziału w pracy jednej ze wspólnot karmiących bezdomnych – są w większości dużych miast. Pusta kuchnia to taka, która nakarmiła innych.

A o wszystkim tym rozmawiamy przy stole zastawionym pâté z zielonego groszku, pieczonymi warzywami z oliwą dyniową i miodem, pierogami z sandaczem i białym kawiorem. Jest jakaś płynna granica, poza którą wyszukane jedzenie staje się nieetyczne? Gdy fundujemy sobie za bajońskie sumy gałkę zdekonstruowanego anioła morskiego na emulsji z nasturcji?

Oczywiście. Ale zawsze tak było.

Tyle że sarni udziec albo kapłon we flaszy na magnackim stole służył jednak najedzeniu się. Kosztowny bąbel na środku wielkiego białego talerza to aby nie kpiny z jedzenia, którego tym kilkudziesięciu procentom ludzkości brakuje?

Mamy obowiązek dobrze się traktować.
Co nie oznacza dogadzania sobie na każdym kroku, lecz myślenie o swoim dobru.

Musimy znaleźć własne sposoby na post. Wspólnota już tego za nas nie załatwi, bo to nie są czasy wspólnoty.

Zdecydowanie tak uważam. Tyle że kuchnia konceptualna wyznaje pogląd, że ów bąbel nie służy temu, by się pożywić, tylko żeby olśnić, zadziwić, że to nie jedzenie, tylko wydarzenie, dzieło sztuki. I właściwie – dlaczego nie? Skoro materią sztuki może być farba, kamień czy dźwięk, to dlaczego nie jedzenie i smak?

Bo dzieci w Afryce głodują?

Dlatego odkryciem był dla mnie trend, który w wielkich światowych kuchniach zaczął się już lata temu, a w Polsce raczkuje: wymierzony przeciw konceptualizmowi, upominający się o to, że jedzenie jest do jedzenia, o szacunek dla zabijanych zwierząt i składników w ogóle. Szefowie kuchni fine diningowych są coraz bardziej świadomi ekologicznych i społecznych kosztów konsumpcji, edukują, ograniczają marnotrawstwo – a w restauracjach jest ono ogromne: z drogiego mięsa wycina się misterny kwadracik, a resztę się wyrzuca. Dziś nie tylko wykorzystuje się wszystkie, pogardzane dotąd części zwierzęcia, ale znajduje się też zastosowanie dla „podrobów mlecznych", np. serwatki, czy nawet dla obierków. Wybitny szef kuchni Massimo Bottura otworzył w 2015 r. w Mediolanie garkuchnię dla ubogich, wykorzystującą resztki żywności z wystawy Expo. Początkowo głupio to wyszło, jak rzucanie im resztek z pańskich stołów, ale to miejsce działa do dziś. Są też restauracje z własnym gospodarstwem albo korzystające wyłącznie z lokalnych dostawców. Szefowie kuchni to robią choćby dlatego, że wiedzą, iż będą o to pytani przez coraz bardziej świadomych konsumentów.

Kuchnia gourmet potrafi coś powiedzieć o poście?

Nie sądzę. Ona nie jest o tym. Taka kuchnia jest jak opera.

A wyobraża sobie Pani wysoką kuchnię, która nie jest operą, lecz chorałem gregoriańskim?

Jeszcze tam nie jesteśmy. Kuchnia, która byłaby chorałem, wymagałaby wielkiej pokory. Dobry pomysł, ale trudny do wyobrażenia zarówno w narcystycznym świecie fine diningu, jak i w tym naszym codziennym, w którym jedzenie stało się fetyszem. A jest przecież miłością.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

POŻEGNANIE

12 lutego 2018 roku, przeżywszy 104 lata, zmarła w Krakowie i została pochowana na cmentarzu w Zakopanem nasza Kochana Mama, Babcia i Prababcia

Ś.† P.

Władysława Wiecha

z domu Bukład

żołnierz Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej
pseudonim „Kalina"

więźniarka obozów koncentracyjnych Ravensbrück i Buchenwald,
omalże do ostatnich dni swego życia wierna czytelniczka „Tygodnika Powszechnego"

o czym zawiadamia pogrążona w smutku
RODZINA

ANDRZEJ SIDOR / FORUM

Sto lat Ochotniczej Straży Pożarnej w Sarnakach, 2009 r.

Hobby: strażak

ADAM ROBIŃSKI

Przeciętny obywatel nie odróżnia zawodowca od ochotnika. To zresztą nieistotne, o ile pomoc nadchodzi odpowiednio szybko.

Chciałby pan przyjechać do nas do remizy? To musimy umówić się na sobotę, bo tak na co dzień to wszyscy jesteśmy zajęci, swoje prace mamy – głos w słuchawce zaprasza, ale dopiero za kilka dni.

Baniocha, powiat piaseczyński, południowe przedmieścia Warszawy. Z jednej strony Piaseczno, z drugiej Góra Kalwaria, a pomiędzy nimi wieś z dwoma tysiącami mieszkańców, mnóstwem zakładów produkcyjnych i zamkniętym kilka lat temu największym w kraju składowiskiem odpadów. Płasko, niedaleko dziczejąca Wisła z łachami, mieliznami i ptasim rezerwatem. Do Pałacu Kultury i Nauki około 30 kilometrów ruchliwą drogą krajową nr 79. Przy jednej z bocznych dróg stoi parterowy pawilon z garażem na dwie ciężarówki i wieżą, na szczycie której zamontowano głośnik syreny alarmowej.

– Wiśniak? U nas co drugi Wiśniak – śmieje się na powitanie Jacek Wiśniak, naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej Baniocha. Siadamy w pomieszczeniu socjalnym remizy. Stół, ława, kilka krzeseł i aneks kuchenny. Na dworze słoneczne przedwiośnie, a w środku remont i nieznośny chłód.

Jednostka ochotniczej straży w Baniosze ma długą, choć dziurawą historię. Powstała w 1945 r., ale nikt już nie pamięta, w jakiej postaci. Po pewnym czasie pojawił się pożarniczy studebaker produkcji amerykańskiej. Z napędem na trzy osie i motopompą, ale bez kabiny, bo strażacy siedzieli w nim na zamontowanych z boku ławkach. Ale kiedy poszedł do remontu do Mińska Mazowieckiego, słuch po nim oraz po lokalnych strażakach zaginął. Wreszcie w 1968 r. Ryszard Wiśniak, dziś prezes, wraz z paroma sąsiadami reaktywowali OSP Baniocha.

– Urzędowaliśmy wtedy w budynku cegielni, trzymaliśmy tam samochód. Jechało się do pożaru wtedy, gdy zadzwoniła straż państwowa – wspomina.

– Dzwonili do pani, która siedziała w stróżówce, ona szła pod garaż, włączała syrenę, a myśmy przybiegali i pytali, gdzie się pali. Nie mieliśmy radiostacji, więc się jechało i albo trafiało do pożaru, albo nie.

Teraz na stanie, oprócz własnej remizy, są już dwa auta: niedawno wyremontowany star z 1986 r. oraz nowy renault kerax z 2015 r., kupiony na 70-lecie OSP Baniocha. 200 tys. zł dała gmina, pozostałe 100 tys. zł dołożyli sponsorzy. 18-tonowy kolos pomieści siedem osób i 2,5 tys. litrów wody. Osiąga do 90 km/h, choć jak mówią strażacy, nie chodzi o to, by go rozpędzić, ale by te wszystkie tony dać radę zatrzymać.

Młodzi się garną

Początków dzisiejszej straży ogniowej na ziemiach polskich trzeba by szukać w średniowieczu. Jednak zorganizowane jednostki, w których można upatrywać prekursorów nowoczesnego pożarnictwa ochotniczego, to już XIX wiek. Straże powstawały we wszystkich zaborach, ale

nie były ze sobą w żaden sposób skoordynowane. Każdy gasił w swojej okolicy, a kto we wsi żyw, to pomagał. W 1921 r. powstał Główny Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej skupiający w sobie mniejsze byty o zasięgu obejmującym po kilka województw. W 1992 r. przemianowano go na Związek Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej. W jego skład wchodzi dziś ponad 16 tys. jednostek. Zgodnie z obowiązującą od początku lat 90. ustawą o ochronie przeciwpożarowej obowiązek ich utrzymania spoczywa na gminach. Są też dotacje ministerialne, czasami pomagają sponsorzy.

– Średnia wieku w naszej jednostce to 25, może 27 lat – mówi Jacek Wiśniak, naczelnik OSP Baniocha, z jednostką związany od lat 80. – My tu jesteśmy starszyzna. Na akcje jeżdżą właściwie same dwudziestoparolatki. Młodzi się garną, sami do nas pukają z pytaniem, jak zostać strażakiem.

Przybudówką ochotniczych straży są tzw. młodzieżowe drużyny pożarnicze. Trafiają do nich kilkunastolatki. Ich zadaniem nie jest ratownictwo, ale edukacja dotycząca ochrony i profilaktyki przeciwpożarowej. Ćwiczenie sprawności fizycznej, kształtowanie odruchów społecznikowskich. Wreszcie zrobienie z nich strażaków – wolontariuszy, gdy osiągną 18. rok życia.

Baniochę szkoli Komenda Powiatowa Państwowej Straży Pożarnej w Piasecznie. Od podstaw: rozwijanie i przypinanie węży pożarniczych, gaszenie, wycinanie ludzi zakleszczonych w samochodach. Do tego dochodzą m.in. próby w komorze dymowej w komendzie w Kozienicach. Uzbrojony w aparat tlenowy kandydat na strażaka musi w zadymieniu i ciemności pokonać skomplikowany labirynt z przeszkodami. Ma znaleźć drogę do wyjścia i w tym czasie nie zgłupieć ze stresu. Podobnie jak w trakcie prawdziwych akcji tego typu ćwiczenia zawsze wykonuje się parami, aby w razie niedyspozycji jeden strażak mógł pomóc drugiemu. Butla z tlenem wystarcza na 45 minut.

Do uczestnictwa w akcjach potrzebny jest jeszcze zdany egzamin końcowy, który daje gwarancję, że wolontariusz będzie przydatny w terenie. Takich gotowych do akcji bojowych strażaków jest w OSP Baniocha siedemnastu, ale za chwilę będzie dwudziestu. Trzy osoby właśnie osiągnęły pełnoletność i po zakończeniu szkolenia dołączą do tej grupy. Na pokładzie są również kobiety, choć im – jak przyznaje Ryszard Wiśniak – trudniej związać się z ochotniczą strażą na dłużej.

– Młode dziewczyny prędzej czy później wychodzą za mąż, zakładają rodziny i mają inne sprawy na głowie – mówi.

– Zresztą zwykle jest tak, że jak ktoś przesłuży u nas rok i zostanie, to już na stałe. Nieraz trafia się zapaleniec, który pojawia się na każde wezwanie, ale po roku nie ma już po nim śladu.

Cztery sygnały – akcja, dwa – sprzątanie

Jak wygląda funkcjonowanie jednostki?

– Wszyscy mamy jakieś prace, z których się utrzymujemy, więc nikt tu nie dyżuruje na stałe. Jesteśmy do dyspozycji na odgłos syreny – tłumaczy naczelnik jednostki, po czym przyciskiem w ścianie uruchamia sygnał alarmowy. Podobno słychać go nawet siedem kilometrów stąd, więc kluczową sprawą jest, by wszyscy strażacy mieszkali i pracowali w jego zasięgu. Syrenę obsługuje Komenda Państwowej Straży z Piaseczna. Uruchamiana jest zdalnie, cztery ciągłe sygnały oznaczają interwencję. Kto może, zbiega się wtedy do OSP.

– Teraz nikt nie przybiegnie, bo zawyliśmy tylko raz. Zresztą czasami, jak zawyjemy dwa razy, to też nikt się nie zjawia, bo dwa sygnały oznaczają zbiórkę na sprzątanie w remizie – śmieje się naczelnik.

Ale nie każdy alarm oznacza od razu interwencję. Pierwszy przykład z brzegu: piątek, godzina 16, PSP załącza selektywną syrenę, bo niedaleko Baniochy pali się trawa. Do remizy zbiegają się strażacy, ale do Piaseczna idzie komunikat, że z wyjazdu nici, bo wszyscy kierowcy OSP Baniocha są jeszcze w pracy. Raz na jakiś czas można się z powodu akcji do pracy spóźnić, ale żeby z niej wychodzić, to nie – straż jest w końcu tylko ochotnicza.

Pożary traw to zresztą najczęstszy typ interwencji o tej porze roku. Aż do maja, kiedy okolica się wreszcie zazieleni. Poza tym klasyczne problemy wsi – pożar sadzy w kominach, wypadki i kolizje drogowe. Najczęściej na pobliskim Orlenie.

– Jesteśmy na specyficznym terenie. Dawniej była tu rolnicza spółdzielnia produkcyjna, zostało po niej mnóstwo nieużytków, na których pobudowały się różne zakłady produkcyjne – mówi Jacek Wiśniak.

– Jak tylko trawa zaczyna się palić, to zaraz któryś zakład dzwoni na 998 i jesteśmy wysyłani do pożaru. Trawy są co roku. Trafia się jakiś mądry i podpala. Boli nas, że potem w internecie ludzie wypisują, że my sami to robimy. Flaki sobie człowiek wypruwa przy sobocie czy niedzieli, lata zapocony z prądownicą po łące, a inny siedzi sobie z piwem nad wodą i wali takie teksty, że podpalamy, żeby sobie potem pogasić. Przestaliśmy się już właściwie tym przejmować.

Kto dojedzie szybciej

Ochotnicze straże są z zasady podległe służbom państwowym. Telefon na 998 lub 112 oznacza zgłoszenie dyspozytorowi powiatowej komendy PSP. To on analizując sytuację podejmuje decyzję, ile i które jednostki wysłać do zdarzenia. Zresztą gmina czy powiat nie stanowią wcale granicy działania. Chodzi o to, by czas reakcji był jak najkrótszy. Ochotnicze straże z założenia nie wykazują własnej inicjatywy. Nawet jeśli ktoś zaalarmuje OSP w swojej wsi, że się pali, ta w pierwszej kolejności przekaże informację straży państwowej. Do akcji ruszy dopiero wtedy, gdy pojawi się taka dyspozycja. Na miejscu też dowodzić będą strażacy zawodowi. Za wyjątkiem sytuacji, w których ich udział nie będzie konieczny, bo dyspozytor uzna, że ochotnicy poradzą sobie sami. Tak jest zwykle wtedy, gdy trzeba ściągnąć kota z drzewa lub zlikwidować gniazdo szerszeni.

W 2017 r. OSP Baniocha ruszała w teren 130 razy, w tym do ponad 90 pożarów i niemal 30 tzw. zagrożeń miejscowych. To trzeci w kraju i pierwszy w województwie wynik spośród jednostek wyłączonych z krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego (KSRG). System funkcjonuje od 1995 r. Podlega komendantowi głównemu PSP, a jego zadaniem jest przede wszystkim koordynacja straży państwowej z ochotniczymi. W systemie znajduje się 500 jednostek PSP oraz prawie 4,4 tys. z 16 tys. OSP. Baniocha do systemu nie należy, choć spełnia wszystkie jego wymagania szkoleniowo-sprzętowe. Ale w gminie Piaseczno jest razem siedem jednostek OSP, z czego cztery włączono do KSRG, więc na kolejne nie ma już miejsca. Różnica polega głównie na dostępie do pieniędzy. Kogo w systemie nie ma, dostaje ich mniej.

Kiedy zapytać ochotnika, dlaczego został strażakiem, słyszy się zwykle, że to po prostu fajne hobby. Wieś nie daje tylu ↦

atrakcji co miasto, trzeba sobie szukać zajęć dodatkowych, a ochotnicza straż nadaje im jeszcze wymierny sens – pomaganie innym.

– Na sztandarach mamy wypisane „Bogu na chwałę, ludziom ku pomocy". Ktoś to musi robić, państwówka sama nie dałaby rady ogarnąć całego kraju – przekonuje Jacek Wiśniak. – W naszym powiecie są 32 jednostki OSP i jedna państwowa straż. Co z tego, że PSP ma sześć samochodów? Co z tego, że do wyjazdu będą gotowi w minutę, skoro z Piaseczna do Góry Kalwarii jest 20 km, a ruch na drodze duży? OSP będzie gotowa w pięć minut od alarmu, ale i tak wyjedziemy w teren z dużą przewagą.

Jakub Deniszewski zna temat od obu stron. Na co dzień pracuje jako strażak zawodowy, a po zejściu ze służby wspomaga jeszcze OSP.

– Czasami można by było po robocie po prostu odpocząć, bo różne akcje się zdarzają, wiele bardzo męczących. Ale jak wróciłeś właśnie do domu i nagle słyszysz syrenę, to się nie zastanawiasz, tylko lecisz. Nieważne, zmęczony czy wypoczęty. To jest impuls – mówi.

A czym różni się strażak zawodowy od wolontariusza?

– Cel jest taki, żeby poziom wyszkolenia i sprzęt były takie same. OSP mocno się rozwijają – tłumaczy Deniszewski. – Ale wciąż trafiają się irytujące z punktu widzenia strażaka zawodowego sytuacje, gdy przyjeżdżamy do zdarzenia, oprócz nas również ochotnicy, i pierwsze, co oni robią, to witają się z PSP. Jest wypadek, są poszkodowani, a oni z wyciągniętymi rękami cześć, cześć. Albo zaczynają kierować ruchem drogowym, zamiast podejść do tych poszkodowanych i sprawdzić, co się stało. To oczywiście wynika z braku doświadczenia. Ale jeśli ktoś zgłasza zaangażowanie i chęć doskonalenia się, to będzie ciągle wysyłany na szkolenia, kursy. Trzeba tylko wykazać chęć do pracy. Nikt na nikogo nie patrzy z góry.

Deniszewski od małego chciał być strażakiem. I robił wszystko, żeby to marzenie zrealizować. Najpierw prawo jazdy, potem studium ratownictwa medycznego. Sprawdzał wymogi podczas naborów do szkoły strażackiej i odhaczał kolejne punkty. Przynależność do OSP nie jest przy rekrutacji obowiązkowa, ale pomaga, gdy komendant ogłasza nabór do pracy w komendzie. Bo świeżo upieczony absolwent, który ileś lat przesłużył jako ochotnik, ma już całkiem pokaźny zasób wiedzy i doświadczenie.

W Wielkanoc trzeba pilnować Grobu Pańskiego, w Boże Ciało wraz z policją zabezpieczać procesję.

– Prawdę mówiąc, przeciętny obywatel nie jest w stanie odróżnić strażaka zawodowego od ochotnika. Co z tego, że ci drudzy mają czasem starsze auta, skoro są one w pełni sprawne? – przekonuje Paweł Frątczak, rzecznik prasowy komendanta głównego PSP.

– Właściwie nie ma już zdarzeń, w których PSP nie spotykałoby się z OSP. Poza ratownictwem chemicznym, biologicznym i radiacyjnym wszystkie inne typy specjalizacji, włącznie z ratownictwem wodnym, są dziś często realizowane przez ochotników. Wskutek uchwalenia tzw. ustawy modernizacyjnej znalazły się w ostatnim czasie pieniądze na zakup 600 samochodów różnego typu dla OSP. Ochotnikom przekazywane są również samochody wycofywane ze służby w państwowej straży, ale wciąż sprawne. Wydaje mi się, że OSP raczej nie mają powodów do narzekania na wsparcie ze strony państwa.

Kiedy unikać remizy

W sobotnie przedpołudnie syrena milczy, więc w gminie Góra Kalwaria najwyraźniej nic się nie dzieje. Można w spokoju zatankować keraxa, przejrzeć sprzęt (choćby po to, żeby znaleźć przewróconą piłę, z której wylało się trochę paliwa), posprzątać zabrudzoną remontem remizę. Latem dla zabicia czasu rozkłada się jeszcze stół do ping-ponga.

– W weekendy raczej nikt tu nie zjawia się sam z siebie – mówi Mariusz Wiśniak, zastępca naczelnika. – Czasami w tygodniu po pracy się wpadnie pogadać przy papierosie. Ale są dni, kiedy z remizy się nie wychodzi, bo ciągle coś się dzieje. W sezonie na trawy po akcji nawet nie ma co wracać do domu, bo wiadomo, że za chwilę znowu będzie alarm. Więc kiedy już jest spokój, lepiej remizy unikać, żeby i rodzina nas widywała.

Tym bardziej że oprócz klasycznych interwencji strażacy mają też inne obowiązki. W Wielkanoc trzeba pilnować Grobu Pańskiego, w Boże Ciało wraz z policją zabezpieczać procesję. W ubiegłym roku dwukrotnie delegacja z Baniochy jechała do dotkniętej skutkami sierpniowej nawałnicy kujawsko-pomorskiej gminy Sośno. Po to, by pomóc w usuwaniu szkód, m.in. rozbierając zawalone budynki, oraz z darami dla poszkodowanych.

Czasami służba wyciąga z domu na dłużej. W 2010 r., kiedy Wisłą szła fala powodziowa, strażacy dwa tygodnie spędzili na wałach. Kto mógł, brał urlop, bo trzeba było dyżurować całą dobę.

– Byłem wtedy na rencie, pilnowałem wałów od 7 do 19, potem zmieniali mnie ci, którzy w dzień musieli być w pracy. Monitorowaliśmy poziom wody, układaliśmy worki z piaskiem. Sporo ludzi mieszka zaraz za wałem przeciwpowodziowym, trzeba było wypompowywać wodę, bo nasiąknięty wał chodzi jak galareta. Albo odstraszać bobry, bo mogły zniweczyć całą naszą pracę – wspomina prezes Ryszard Wiśniak.

Trzech to już wyjazd

– Choć w nazwie straży z oczywistych względów wciąż figuruje przymiotnik „pożarna", spektrum jej działań mocno się zmieniło – mówi rzecznik państwowej straży.

– Gaszenie pożarów to współcześnie mniej niż 30 proc. interwencji. Reszta to niezwiązane z ogniem sytuacje, w których zagrożone jest życie ludzi oraz środowisko. Prawa natury odgrywają istotną rolę, a lokalne zjawiska pogodowe, m.in. wichury, są coraz częstszym źródłem zagrożenia – dodaje Paweł Frątczak.

Z 520 tys. interwencji, jakie podejmowała straż w ubiegłym roku, aż jedna piąta wyjazdów dotyczyła właśnie usuwania skutków wichury.

– Staramy się rozwijać w kierunku ratownictwa medycznego i technicznego. Tego potrzebuje nasza okolica – mówi naczelnik OSP Baniocha. – Mamy ruchliwą drogę, na której już teraz zdarza się mnóstwo wypadków. W planach jest jej przebudowa, ruch się jeszcze zwiększy. To ratownictwo jest oczywistością. Dlatego przydałby się pewnie respirator, może jeszcze jeden samochód. I kierowca na etacie. Bo wystarczy kierowca i dwóch ratowników, żeby wyjechać na każde wezwanie.

© ADAM ROBIŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Fakty i akty (i mity)

Pamiętam, jak wiele lat temu moja mama, wysłuchawszy kolejnej porcji reklam w radiu, powiedziała ni to do mnie, ni to do siebie: „Nie mogę już tych kłamstw słuchać, wszyscy nas okłamują, nikomu nie można wierzyć". Kiedy zapytałam, o co jej chodzi, odpowiedziała, że ma po dziurki w nosie świata, w którym każdy chce ją oszukać, by mieć na tym jakąś korzyść dla siebie. Ale choć mama się zżymała na speców od reklamy, to wydawało się nam wtedy, że można się na ten potok kłamstw impregnować. Zresztą owe reklamy magicznych kremów wyprostowujących zmarszczki w jedną noc oraz proszków do prania, co dają ubrania jak ze sklepu, to był dopiero wstęp, uwertura do tej spektakularnej symfonii kłamstwa, jakiej słuchamy obecnie, i co najgorsze – nie słyszymy jej fałszywych tonów.

W związku z tym w dniu, gdy akcje Facebooka potaniały o – bagatela – 30 mld dolarów, w związku z niejasnościami dotyczącymi współpracy giganta z firmą Cambridge Analytica, która – jak się dowiadujemy – użyła nielegalnie danych milionów użytkowników portalu, by wpłynąć na ich preferencje wyborcze – nie znajdę dla państwa lepszej lektury niż książka brytyjskiego dziennikarza i publicysty Matthew d'Ancony „Postprawda", która właśnie ukazała się w księgarniach.

Najczęściej powtarzanym na jej kartach słowem jest nazwisko Donalda Trumpa, jednak – jak sam autor zaznacza we wstępie – to nie jest kolejna książka o nowej prawicy i jej irytujących nas sukcesach. To świetna i przystępnie napisana pozycja o tym, jak kategoria „prawdy" została zdezawuowana w dzisiejszym świecie. Trump bowiem to jedynie symptom toczącej świat choroby, a nie jej przyczyna. D'Ancona szuka więc źródeł schorzenia, często w miejscach, które mogą się nie spodobać liberalnej części sporu politycznego. Ot, choćby w postmodernizmie. Jak ujmowali to zdaniem autora przeciwnicy tego nurtu – był on niczym innym jak tylko błyskotliwie opakowanym starożytnym sporem między wierzącymi w prawdę a relatywistami („Człowiek jest miarą wszechrzeczy", rzekł w V wieku p.n.e. Protagoras, dodając: „wszystko jest dla mnie takim, jakim mi się zdaje, a dla ciebie takim, jakim tobie się zdaje". Co – zgodzicie się państwo – można śmiało uznać za profetyczną wizję wszelkich gównoburz na Facebooku).

D'Ancona pisząc o postmodernistach jako tych, którzy odświeżyli relatywizm, doprawiając go nieco „prestiżowym" cynizmem, czyni ich współodpowiedzialnymi za pierwsze „plamy rdzy na pancerzu prawdy". I tak oto niemający zapewne zielonego pojęcia o istnieniu modnych filozofów typu Derrida, Lyotard i inni Trump stał się – by znów użyć słów brytyjskiego dziennikarza – „niespodziewanym beneficjentem" ich filozofii, niejako naturalnie biegłym w tworzeniu lyotardowskiej hiperrzeczywistości – np. opowieści o tym, jak widział w TV muzułmanów tańczących na ulicach Jersey City z radości po upadku wież WTC. „Widziałem to gdzieś w telewizji wiele lat temu. I nigdy tego nie zapomnę". Protagoras byłby dumny.

Jednocześnie nowe media wpychają nas w bańki informacyjne, na zasadzie „homofilskiej segregacji", czyli pragnienia, by zbierać się w gronie sobie podobnych (*à propos* podobno pod Krakowem wyrasta właśnie osiedle wyłącznie dla ludzi wierzących), wzmacniając nasze ugruntowane już przekonania i zniechęcając do szukania przejawów złożoności świata.

Ta cieniutka książeczka niemal cała składa się ze smakowitych kąsków, które mogłabym tu cytować aż po wyczerpanie limitu przyznanych mi przez redakcję znaków. Ograniczę się jednak do kluczowej refleksji autora, który zastanawia się, co u diabła mamy robić w obliczu tego jakże autodestrukcyjnego zagrożenia, tak by wartości takie jak prawda, rzetelność i uczciwość przetrwały w świecie? Otóż musimy ich samodzielnie bronić i domagać się od systemu tego, by nauczył nasze dzieci, jak „wybierać i rozróżniać treści rozrzucane przez cyfrowe tornado". I to na poziomie szkoły podstawowej. Ucząc dzieci pisać i czytać, uczmy je również poruszania się po świecie informacji, które do nich przypłyną razem z wejściem w świat ludzi piśmiennych. Muszą się nauczyć czytać krytycznie, sprawdzać i podawać w wątpliwość. Inaczej czeka nas klęska.

„Idee zaniedbywane przez ludzi, którzy powinni się nimi zajmować – to znaczy wyćwiczonych w sztuce krytycznej analizy idei – wymykają się czasem spod kontroli i zdobywają tak przemożną władzę nad rozgorączkowanymi masami ludzkimi, że przestają do nich docierać racjonalne argumenty (...). Koncepcje filozoficzne pielęgnowane w zaciszach profesorskich gabinetów mogą zniszczyć cywilizacje" – napisał w swoich „ Dwóch koncepcjach wolności" Isaiah Berlin. Matthew d'Ancona mówi nam: nagradzając zwycięstwem politycznym kłamców, wyrzekamy się swoich obowiązków obywatelskich. Nie wzmacniajmy więc tego, co już niby wiemy, sprawdźmy to, nim klikniemy i podamy dalej. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

WARSZAWA
wtorek, 10 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „Hartwig. Wdzięczność".
Gośćmi będą: prof. Anna Legeżyńska, Anna Piotrowska oraz Maja Komorowska.
Miejsce: Państwomiasto (ul. Andersa 29).

ZIELONA GÓRA
wtorek, 3 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „A jeśli nie zmartwychwstał?".
Miejsce:
Piekarnia Cichej Kobiety
(ul. Fabryczna 13).

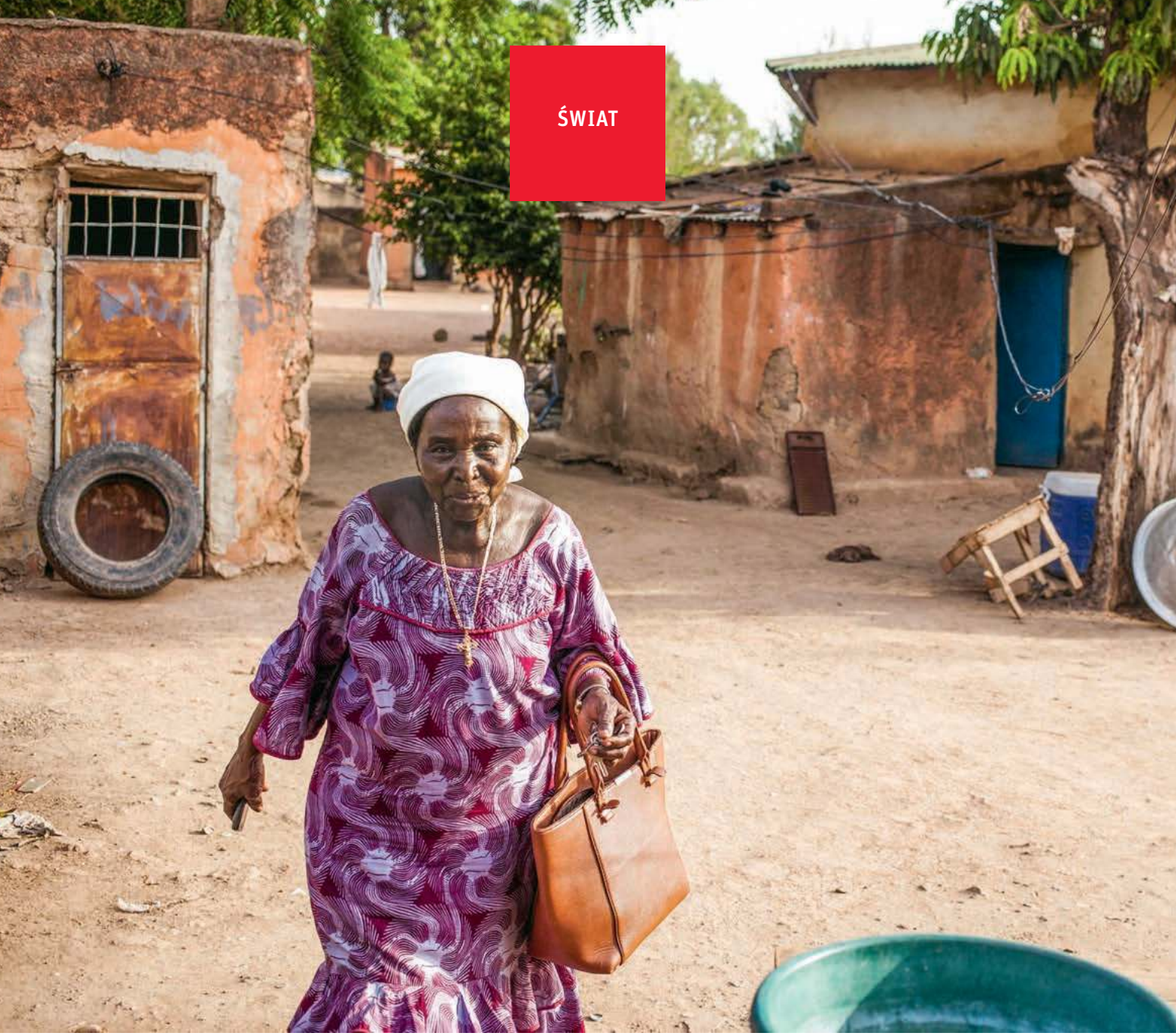

Irene pracuje i mieszka przy stołecznej katedrze w Wagadugu, marzec 2018 r.

ŚWIAT WIDZIANY Z SAINT-LÉON

Dla ludzi z Afryki Zachodniej, którzy wędrują za lepszym życiem, stolica Burkina Faso jest jak brama: nie sposób jej ominąć. Stąd prowadzą szlaki na północ. Także, koniec końców, ku Europie.

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA Z WAGADUGU (BURKINA FASO)

Cisza – po tym, gdy już umilkły bębny i śpiew – trwała krótko.

Przerwał ją ryk silników jakichś dwustu motocykli i skuterów. Uruchomionych, tak się przynajmniej wydawało, niemal równocześnie. Przez dobrych pięć minut cała ta kawalkada wyjeżdżała z placu przed stołeczną katedrą: kobiety w kolorowych sukniach, mężczyźni z instrumentami. Tak skończyła się wieczorna msza.

Gdy odjechały motocykle, spod kościoła wyszedł szczupły, lekko zgarbiony chłopak w niebieskim podkoszulku i z szarym plecakiem, przewieszonym przez jedno ramię. Szedł ku nam jeszcze w tumanie kurzu podniesionego przez pojazdy. Uśmiechnął się, zaproponował: przejdźmy się kawałek, porozmawiajmy.

Krawiec

Tutaj, w Wagadugu, stolicy Burkina Faso – 20-milionowego państwa w Afryce Zachodniej (kraju jak na warunki afrykańskiego niewielkiego, o powierzchni trochę mniejszej od Polski) – żyje od całkiem niedawna.

Mali: nazwę kraju sąsiadującego z Burkina Faso, z którego pochodzi, powtarza w czasie tego spaceru kilkadziesiąt razy. Najpierw wtedy, gdy pokazuje dokumenty. Imię: Yaya. Nazwisko: Dembelé. Urodzony w Bamako, stolicy Mali, w roku 1987. – W Mali przez osiem lat pracowałem jako krawiec. Jestem dobrym krawcem. Ale konkurencja jest duża. Mam maszynę do szycia, singera. Jednak żeby wyżyć, potrzebuję maszyny elektrycznej. Jestem sam, nie mam już rodziny – mówi Yaya Dembelé.

Rodzinę stracił, jak mówi, dokładnie rok temu – w kwietniu 2017 r., podczas ataku islamskich ekstremistów na miasto Gao, gdzie mieszkali. Zginęli wtedy rodzice i dwie siostry. Yaya pokazuje rękoma, jak dżihadyści zaganiali jego bliskich do kąta pomieszczenia i jak potem zabili ich serią z karabinu maszynowego.

Kiedy mówi o siostrach, płacze. Gdy o rodzicach – pokazuje dwa pierścienie, które po nich nosi. On cudem przeżył tamten atak, tylko na brwiach i czole do dziś nosi szramy po cięciach nożem.

Mali to jeden z tych krajów Afryki Zachodniej, gdzie bardzo aktywne jest zbrojne podziemie fundamentalistów islamskich. Wprawdzie nie udało im się stworzyć lokalnego odpowiednika tzw. Państwa Islamskiego – dzięki zagranicznej interwencji, która trwa tam do dziś, a w której obok wojsk malijskich z dżihadystami walczą żołnierze francuscy i kontyngenty z krajów sąsiednich (głównie z Czadu, regionalnego lidera w walce z islamskim ekstremizmem).

Ale dżihadyści nadal są silni. Zaś 40-tysięczne miasto Gao, blisko granicy z Burkina Faso, było jednym z głównych ośrodków ich quasi-państwa – zanim na początku 2013 r. wyparli ich stąd Francuzi i wojska malijskie.

Brama

Do Wagadugu, gdzie się spotykamy, Yaya przyjechał osiem dni temu. Z nadzieją, że zarobi na nową maszynę na szycia.

Do tej pory jednak pracy nie znalazł, pieniądze już się skończyły i musiał zacząć sypiać na ulicy. Jedną noc spędził w areszcie za włóczęgostwo. Jest załamany – najchętniej wróciłby już do domu. Palcem na piasku pisze rzędy cyfr – to godziny odjazdu autobusów do Bamako. Ale na razie jest tutaj, jak uwięziony.

W ponaddwumilionowym Wagadugu można odbyć dużo takich rozmów. Bo to rozległe, zabudowane w większości parterowymi domami, sklepami i warsztatami miasto tylko z pozoru leży na uboczu szlaków migracyjnych.

W rzeczywistości od dawna jest dla całej Afryki Zachodniej bramą do saharyjskich miast i szlaków Mali czy Nigru. Podróżując na północ z Gambii, Liberii, Wybrzeża Kości Słoniowej czy Ghany – nie sposób ominąć Wagadugu.

Miejscowe dworce autobusowe przez ostatnie lata znaczyły ostatnie „regularne" etapy podróży migrantów zdążających do Libii – i dalej do Europy. Także dziś wsiadają tutaj do autobusów odjeżdżających na pustynię. Do Niamey, stolicy Nigru, jest stąd niecały dzień drogi. Potem do Agadesu, gdzie trzeba się już przesiąść na pick-upy i na ciężarówki szmuglerów, są jeszcze kolejne dwa dni.

Muzyka

Ale Yaya Dembelé wcale nie chce jechać aż do Europy – podobnie jak dziesiątki tysięcy młodych ludzi z Afryki Zachodniej, jednej z najszybciej się dziś rozwijających części kontynentu, którzy krążą w poszukiwaniu pracy po tych byłych francuskich koloniach.

Jeszcze w latach 70. XX stulecia w regionie powstała Wspólnota Gospodarcza Państw Afryki Zachodniej (ECOWAS). A kilka krajów, w tym Burkina Faso, przyjęło nawet wspólną walutę – franka zachodnioafrykańskiego. Na papierze wszystko działa, lecz w codziennym życiu obywateli Wspólnota zmieniła niewiele – nie wpłynęła choćby na złagodzenie surowych reżimów granicznych.

Yaya Dembelé wyjmuje gruby kalendarz w niebieskiej oprawie, który dostał kilka lat temu w Bamako od wolontariuszy z organizacji Lekarze bez Granic. Trzyma w nim swoje dokumenty, fotografie rodzinne, poświadczenie obywatelstwa (wystawione przez konsula Mali w Wagadugu). A nawet – dokument podróży, rodzaj regionalnego paszportu. Pokazuje to wszystko z rosnącym zniechęceniem. ↦

↦ Rozpromienia się tylko raz – gdy rozmowa schodzi na malijską muzykę. Nalega, aby zapisywać nazwiska muzyków, o których w Europie pewnie nie słyszeliśmy. – Ali Farka Touré? – uśmiecha się na moment, na wspomnienie najsłynniejszego muzyka ze swej ojczyzny. – Kiedy przyjedziecie do Mali, zawiozę was do Niafunké, wsi, z której on pochodził.

Yaya nuci jeszcze dwie piosenki. Opowie przez chwilę o *Festival au Désert*, legendarnym Festiwalu Pustynnym – spotkaniu muzyków tuareskich pod Timbuktu. Opowie także o tym, jak podczas jednego z koncertów, wiele lat temu, zrobił sobie wspólne zdjęcie z Manu Chao... Ale potem wraca kalendarz, zdjęcia sióstr. Yaya pochmurnieje, potem znów zaczyna płakać.

– Nie wyjadę stąd już nigdy, nie mam za co jechać. Mali, Mali...

Krawiec Yaya Dembelé z Mali, marzec 2018

Zamach

W Wagadugu obowiązują w tych dniach zaostrzone środki bezpieczeństwa. Żandarmi i żołnierze patrolują miasto z odbezpieczoną bronią, na ulicach ustawiono punkty kontrolne, przed urzędami i ambasadami – mechaniczne bariery.

To konsekwencja dwóch ataków, które 2 marca przeprowadzili tutaj przybyli z Mali terroryści. Zaatakowali sztab armii Burkina Faso oraz ambasadę francuską. Zginęło pięciu żołnierzy, 64 zostało rannych; śmierć poniosło też dwóch żandarmów pilnujących ambasady. Francuski prezydent Emmanuel Macron uznał ten atak za zamach na Francję.

Był to trzeci taki zamach w Wagadugu w ciągu ostatnich dwóch lat. Poprzednie – w sierpniu 2017 r. i styczniu 2016 r. – przeprowadziły regionalne grupy związane z Al-Kaidą. Również o dokonanie ostatniego ataku oskarża się grupy dżihadystyczne, działające z terytorium sąsiedniego Mali. Pustynna granica z tym krajem jest w praktyce niechroniona. Jednak w ostatnich dniach sensację wzbudziła wiadomość, że w atak miał być zamieszany emerytowany żołnierz z armii Burkina Faso – miejscowa prasa pyta teraz o stopień infiltracji miejscowego wojska przez islamskich radykałów.

Zamachy na sztab i na francuską ambasadę miały być reakcją na udział Burkina Faso w regionalnej sile wojskowej G5 Sahel, która zainaugurowała działalność pod przewodnictwem Francji w listopadzie 2017 r. A także symboliczną odpowiedzią terrorystów na „nową politykę afrykańską", której główne cele – w tym walkę z islamskimi ekstremistami – francuski prezydent ogłosił wtedy właśnie podczas wizyty w Wagadugu.

Francja nie zamierza się wycofać: po jej lobbingu Unia Europejska przeznaczyła na G5 Sahel dodatkowych 50 mln euro, zaś Międzynarodowy Fundusz Walutowy zaproponował Burkina Faso linię kredytową o wartości 158 mln dolarów – pieniądze mają zostać przeznaczone głównie na wzmocnienie bezpieczeństwa.

Dynamika

W piątek, 16 marca, do Wagadugu przyleciał szef francuskiej dyplomacji Jean-Yves Le Drian. Pracownikom zaatakowanej ambasady przywiózł list od prezydenta Macrona, a władze Burkina Faso zapewnił o wsparciu, którego w walce z dżihadystami będzie udzielać im dawna kolonialna metropolia. Ministrowi towarzyszył szef Francuskiej Agencji na rzecz Rozwoju (AFD).

Miejscowa prasa obu aspektom – wojskowemu i rozwojowemu – poświęciła jednakowo dużo miejsca. Ale nikt nie ma wątpliwości, że to walka z dżihadystami oraz powstrzymanie masowej migracji na północ są teraz jedynymi interesami, które w Burkina Faso chce realizować dziś Francja. Oba są zresztą ze sobą powiązane, bo dla niektórych organizacji dżihadystycznych ważnym źródłem dochodu jest przemyt migrantów.

Zanim przyleciał do Burkina Faso, minister Le Drian odwiedził Niamey, stolicę sąsiedniego Nigru – odbywał się tam kolejny regionalny szczyt poświęcony migracji. Wcześniej, jesienią 2017 r., francuski minister zapowiedział, że siły G5 Sahel powinny w przyszłości zajmować się również zwalczaniem przemytu ludzi. Francja zabiega teraz o to, aby misja błękitnych hełmów w Mali (skrót: MINUSMA) zapewniała G5 Sahel wsparcie logistyczne.

Choć wszystkie te wizyty, deklaracje i zabiegi z perspektywy zwykłych Europejczyków pozostają praktycznie niedostrzegalne, to pouczają oni koniec końców, ich konsekwencje – jakiekolwiek by one były.

Dynamika związku demografii (tj. szybkiego przyrostu naturalnego w regionie) z sytuacją gospodarczą (gdy rynek pracy nie jest w stanie zapewnić zajęcia kolejnym pokoleniom młodych ludzi) jest bowiem nieubłagana. To ona przede wszyst-

Na ulicach Wagadugu, stolicy Burkina Faso, marzec 2018 r.

kim – bardziej nawet niż wojna czy terroryzm – sprawia, że młodzi ludzie z Afryki Zachodniej (a także z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu) opuszczają rodzinne strony. Eksperci twierdzą, że w kolejnych dekadach te procesy migracyjne będą się nasilać – i to nawet wtedy, jeśli lokalne gospodarki będą się rozwijać. Po prostu: rynki pracy nie będą w stanie wchłonąć kolejnych młodych pokoleń.

Wiatr

W Burkina Faso wyznawców islamu jest tylko nieco ponad 60 proc., zaś chrześcijan – ponad 30 proc. (większość to katolicy).

Nad stołeczną dzielnicę Saint-Léon, położoną przy katolickiej katedrze, dotarł właśnie harmattan – suchy wiatr znad Sahary, który rozpyla nad ziemią piasek. Gdy przy takiej pogodzie wschodzi słońce, ledwo je widać. Poranki są wówczas zawieszone w żółtawej mgle, świat ma kolor pasteli, nikną kontrasty. Jest też chłodno – to ulga dla wszystkich, bo o tej porze roku średnia temperatura dochodzi tu do 40 stopni Celsjusza.

Dopiero jakieś dwie godziny później słońce wystrzeli ponad chmurę piasku i w ciągu minuty nastanie upał. Ludzie chowają się w cień, kładą się, czasem choćby na siodełkach zaparkowanych motocykli.

I czytają gazety. Oto przegląd wiadomości z zagranicy – w kolejności od najważniejszych newsów do ciekawostek – wydawanego w Wagadugu dziennika „Sidwaya" z poniedziałku, 19 marca 2018 r. Temat pierwszy: w Mali udało się doprowadzić do ugody między przedstawicielami Dogonów i Fulanów. Temat drugi: po trwającym miesiąc impasie policja zakończyła protest studencki w Nigrze. Temat trzeci: w północno-wschodniej Nigerii, na jednej z wysp jeziora Czad, członkowie islamskiej grupy terrorystycznej Boko Haram zabili pięciu rybaków. Temat czwarty: zaostrza się konflikt w angielskojęzycznej części Kamerunu. Temat piąty: ciąg dalszy afery korupcyjnej byłego już prezydenta RPA. I wreszcie temat szósty w hierarchii: Władimir Putin ponownie prezydentem Rosji.

Cały przegląd wiadomości ze świata zajmuje jedną stronę. Na kolejnych dwóch – ilustrowana relacja z wizyty delegacji Burkina Faso w Chinach, w fabrykach autobusów marki Yutong i ciężarówek Howo. Kojarzące się z Afryką białe pick-upy toyoty czy używane mercedesy, choć wciąż obecne, ustępują powoli miejsca nowym markom – chińskim. Globalny proces chińskiej ekspansji w Afryce, widziany z perspektywy Burkina Faso.

Skarby

Burkina Faso należy do najuboższych krajów świata – zajmuje dopiero 185. miejsce w rankingu *Human Development Index* OECD; jedna trzecia mieszkańców nie dożywa czterdziestki. Ale spośród państw Sahelu – jak zbiorowo określa się południowe obrzeża Sahary – ma przynajmniej perspektywy rozwoju. W tym roku wzrost gospodarczy, napędzany przez produkcję bawełny i przemysł wydobywczy, ma wynieść 6 proc. Wszystko za sprawą bogactw, które kryje tu ziemia.

Ze wsparciem francuskiego koncernu Total w minionym tygodniu otworzono w Burkina Faso największą w Afryce elektrownię słoneczną. Ma zasilać kopalnię złota w miejscowości Essakane, która dotąd pozbawiona była prądu. Szacuje się, że z pomocą inwestujących tu w technologie firm kanadyjskich, do końca roku zostanie wydobytych 55 ton złota.

Teraz kraj szuka partnera do największego od lat projektu wydobywczego. Jego wartość szacuje się na miliard dolarów. W miejscowości Tambao odkryto największe na świecie złoża manganu (100 mln metrów sześciennych) – pierwiastka, który dodaje się do stopów, aby poprawiał właściwości mechaniczne stali.

Rząd w Wagadugu niedawno wytypował też trzy regiony, w których mogą znajdować się pokłady ropy, i pracuje nad pakietem ustaw mających zachęcić do inwestycji duże firmy wydobywcze. Dla władz to łatwe pieniądze: inaczej niż jeszcze 20-30 lat temu, kiedy swój udział w wydobyciu złóż miały głównie dawne metropolie, dziś Burkina Faso może wybierać. O kontrakty ścigają się tutaj firmy z Dubaju, z Chin, a nawet z Ameryki Południowej, coraz bardziej aktywne w Afryce.

Ulica

Farouk, pogodny 28-latek, przychodzi pod katedrę w stroju burkińskiej reprezentacji piłkarskiej, aby posiedzieć w cieniu i poczekać na znajomych. Pochodzi z Wybrzeża Kości Słoniowej, ale sześć lat temu przeniósł się tutaj, do krewnych. Mówi, że szuka dla siebie zajęcia, lecz wciąż jeszcze nie zdecydował, co robić w życiu.

Obok, na skrzyżowaniu ulic, swoje stanowisko ze świeżymi bagietkami rozłożyła już Rita. Aby kupić świeże pieczywo, kobiety – chrześcijanki i muzułmanki, które odwożą dzieci do szkoły – nie muszą nawet schodzić ze skuterów (popularnego tu środka miejskiej komunikacji). Dziś nie będzie mięsa, ostrzega Rita. Dziś bagietki tylko z awokado!

Jeszcze dalej, w głębi ulicy, mieszka Irène. Kobieta na co dzień opiekuje się wnętrzem katedry w Wagadugu. Wczoraj opowiadała, jak boi się coraz bardziej aktywnych w Burkina Faso ekstremistów islamskich.

Dziś harmattan nie dopisał, upalnie zrobiło się od samego rana. Jeśli zajdą do niej jacyś niezapowiedziani goście, Irène, choćby była dopiero ósma rano, poczęstuje każdego butelką zimnego piwa. Także przybyszów z Europy.

Tak po prostu, z życzliwości.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Trutka na zdrajców

ANNA ŁABUSZEWSKA

Próba otrucia Siergieja Skripala to nie jedyny w ostatnich latach przypadek, gdy Rosjanie mieszkający na Zachodzie – głównie w Wielkiej Brytanii – umierali w tajemniczych okolicznościach.

4 MARCA, CICHA LENIWA NIEDZIELA W BRYtyjskim Salisbury. Na ławeczce obok centrum handlowego leżą dwie nieprzytomne osoby. Ktoś wzywa pomoc. Nad starszym mężczyzną i młodą kobietą pochyla się wezwany policjant. Szybko osuwa się nieprzytomny. Zdezorientowane służby medyczne zabierają poszkodowanych do szpitala. Policja ogradza teren...

Tak zaczyna się głośna „sprawa Skripala" – byłego podwójnego szpiega, pracującego dla rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU i w połowie lat 90. XX w., zwerbowanego przez wywiad brytyjski. Okoliczności otrucia Siergieja Skripala i jego córki Julii nadal ogniskują uwagę brytyjskich oraz światowych mediów i powodują poważne turbulencje w stosunkach międzynarodowych. Brytyjskie władze zareagowały ostro: Skripalowie zostali otruci środkiem o nazwie nowiczok, zaliczanym do grupy paralityczno-drgawkowych, produkowanym w Rosji. A więc to Rosja jest winna. Nie tylko tytuły prasowe, także politycy mówili o rosyjskim ataku chemicznym na terytorium Wielkiej Brytanii.

Herbata z polonem

W kolejnych dniach Wielka Brytania i Rosja wymieniły się ciosami: z Wysp wydalono 23 rosyjskich dyplomatów, Moskwa odpowiedziała tym samym. Londyn próbuje namówić sojuszników do wyrażenia solidarności w tym trudnym czasie. Tymczasem rosyjska dyplomacja przeszła do ataku i żąda od Brytyjczyków nie tylko dostępu do prowadzonego przez Scotland Yard śledztwa, ale niezbitych dowodów na udział rosyjskich sprawców. Głos zabrał też stary-nowy prezydent Putin: stwierdził, że teza o zastosowaniu środka bojowego nie wytrzymuje krytyki, ponieważ gdyby Skripalów potraktowano środkiem bojowym, toby tego nie przeżyli.

Otruciem zajął się również brytyjski parlament. W toku debaty wyciągnięto kilkanaście przypadków nagłych zgonów, do jakich w ostatnich latach doszło na terytorium Wielkiej Brytanii. W dziwnych okolicznościach życie straciły osoby, które miały na pieńku z Kremlem.

Najgłośniejszą sprawą było otrucie w 2006 r. byłego funkcjonariusza Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) Aleksandra Litwinienki izotopem polonu. Litwinienko na oczach świata umierał w męczarniach przez kilka dni, na łożu śmierci przeklinając Putina i jego mściwość. Sprawa Litwinienki została skrupulatnie zbadana przez brytyjskiego sędziego Roberta Owena. Zawarł on w swoim raporcie kluczowe stwierdzenie: sprawcami śmierci Litwinienki są byli oficerowie FSB Andriej Ługowoj i Dmitrij Kowtun, którzy działali na polecenie z góry, „najprawdopodobniej" Nikołaja Patruszewa (ówczesnego szefa FSB) i prezydenta Putina. Śledztwo Owena stanowiło rysę na wizerunku kremlowskich „profesjonalistów" – Owen na cały świat zawołał: rosyjskie służby wykonały zleconą odgórnie egzekucję. I to egzekucję jednocześnie i pokazową, i skrytobójczą.

Według ustaleń śledztwa Owena Litwinienko pracował jako konsultant dla brytyjskich służb specjalnych, przyglądał się poczynaniom rosyjskiej mafii w Hiszpanii i zbierał materiały kompromitujące Putina. Dotarł do ważnych informacji. Czy to był powód skazania go na śmierć? Tego do dziś nie wyjaśniono.

Jak u Agathy Christie

W programach publicystycznych rosyjskiej telewizji sprawa Skripala jest wałkowana na wszystkie strony. Zastępy polityków, dziennikarzy, politologów i ekspertów załamują ręce nad stanem umysłów w Wielkiej Brytanii, wskazując na bezpodstawne ich zdaniem oskarżenia wobec Rosji.

Wśród gości jednego z programów znalazł się też wspomniany Ługowoj. Od kilku lat jest deputowanym Dumy Państwowej. Choć był wzywany przed oblicze brytyjskiej Temidy, Ługowoj nigdy się przed tamtejszym sądem nie stawił. A rosyjskie władze na wnioski Londynu o ekstradycję oskarżonego nieodmiennie odpowiadały, że nikogo nie wydadzą. Teraz oczom telewidzów Ługowoj ukazał się jako... ekspert od trucia. Niezła ostentacja.

Inny uczestnik telewizyjnej dyskusji próbował dowieść, że otrucie to tradycyjny brytyjski sposób załatwiania trudnych spraw: „Moja żona pasjami ogląda brytyjskie seriale kryminalne, nakręcone na podstawie powieści Agathy Christie. Toż tam w co drugim odcinku ktoś kogoś truje" – dowodził. Rzeczywiście, to dowód niezbity na zamiłowanie Brytyjczyków do trucizn.

Niemniej omawiane w brytyjskim parlamencie tajemnicze zgony adwersarzy Putina nie zawsze wiązały się z otruciem. Przykładowo, 23 marca 2013 r. w willi niedaleko Ascot w hrabstwie Berkshire znaleziono w łazience ciało Borysa Bieriezowskiego. Miliardera, który w okresie rządów Borysa Jelcyna wpływał na kluczowe decyzje, w tym – jak sam twierdził – na wybór następcy Jelcyna. Czyli Putina.

Jeszcze w Rosji Bieriezowski obnosił się z tym, ile Putin mu zawdzięcza. Zapewne była to jedna z okoliczności, które stały się powodem rozłamu między nimi. Bieriezowski nie zrozumiał nowych reguł gry wprowadzonych przez Putina. Jak niepyszny musiał unosić głowę z Rosji – przeciw niemu wszczęto kilka postępowań o malwersacje. W 2003 r. uzyskał azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. I walczył z oddali z „krwawym reżimem Putina".

Samobójcy i sercowcy

Już na emigracji Bieriezowski próbował stosować dalej swoją maksymę „Kupić można wszystko, trzeba tylko znać cenę". Płacił za pomysły, które miały poderwać władzę Putina. Chwalił się, że finansuje przeciwników Kremla. W 2005 r. utrzymywał, że przekazał pokaźne sumy na sfinansowanie pomarańczowej rewolucji na Ukrainie, też na złość Kremlowi.

W kwietniu 2012 r. Bieriezowski ustanowił nagrodę w wysokości 50 mln rubli za aresztowanie Putina, później zwiększył kwotę do 500 mln. Ciągle się z kimś sądził. W sierpniu 2012 r. zakończył się proces, w którym pozwał on Romana Abramo-

BEN STANSALL / AFP / EAST NEWS

Eksperci w kombinezonach przeciwchemicznych badają miejsce, gdzie znaleziono nieprzytomnych Skripalów. Salisbury, Wielka Brytania, 8 marca 2018 r.

wicza, zarzucając mu oszustwo i złamanie umowy dżentelmeńskiej w sprawie sprzedaży firmy Sibnieft' i domagając się zadośćuczynienia: 5,6 mld dolarów. Bieriezowski był pewien wygranej. Bez żenady opowiadał o porządkach panujących w szalonych latach rosyjskiej prywatyzacji, na widoku publicznym odbywało się pranie politycznych i biznesowych brudów Rosji.

Ale proces przegrał. A po przegranej popadł w depresję i tarapaty finansowe. Czy jednak na tyle, by targnąć się na życie? Śmierć nastąpiła na skutek powieszenia, policja nie stwierdziła śladów przemocy. Śledztwo zamknięto jednak konkluzją, że nie sposób ustalić, czy było to samobójstwo, czy morderstwo upozorowane na samobójstwo. Wielu rosyjskich opozycjonistów twierdziło, że w tym powieszeniu na lichym łazienkowym haczyku ktoś Bieriezowskiemu musiał pomóc.

Podejrzenia towarzyszyły też śmierci w grudniu 2014 r. bliskiego znajomego Bieriezowskiego, Scotta Younga. Miał wyskoczyć z okna. Po jego zgonie spekulowano, że samobójstwo to tylko jedna z wersji i może Young nie wyskoczył, lecz został wypchnięty.

Dalej: najbliższy współpracownik Bieriezowskiego i jego partner biznesowy Badri Patarkaciszwili zmarł w Anglii w 2008 r. na serce. Tak przynajmniej głosił oficjalny komunikat. Ale wątpliwości i w tym przypadku pozostały.

Z kolei kilka dni temu – już po ataku na Skripalów – znaleziono ciało Nikołaja Głuszkowa, byłego współpracownika Bieriezowskiego i kiedyś wicedyrektora Aerofłotu. Od lat mieszkał w Anglii, trzymał się na uboczu. Został uduszony smyczą. Jak spekulują brytyjskie brukowce – w czasie wyuzdanej gry erotycznej z młodym partnerem (Głuszkow był homoseksualistą). Na razie brak oficjalnego potwierdzenia tej wersji.

Brytyjska minister spraw wewnętrznych zapowiedziała teraz wznowienie śledztw w sprawie wyjaśnienia okoliczności śmierci 14 osób. Wiele związanych było z Bieriezowskim.

Azjatycki zabójca

10 listopada 2012 r. niejaki Aleksandr Pieriepieliczny wybrał się jak zwykle na wieczorną przebieżkę w pobliżu swego domu w Weybridge, w hrabstwie Surrey. Gdy dobiegł do parku, nagle zasłabł, przewrócił się na parkową ścieżynkę w kałużę własnych wymiocin. W ciągu kilku minut skonał. Jego nazwisko nic nikomu nie mówiło. Śledztwo zadowoliło się stwierdzeniem medyków, że przyczyną śmierci 44-latka była niewydolność serca.

Pieriepieliczny zajmował się w Rosji doradztwem finansowym, obsługiwał tuzy finansjery, pomagał w wyprowadzaniu pieniędzy z Rosji i korzystnym lokowaniu aktywów na Zachodzie.

W materiałach prasowych po jego śmierci pojawiły się też informacje o jego powiązaniach z mafią. Był też informatorem fundacji Hermitage Capital Billa Browdera (zachodniego inwestora działającego w latach 90. w Rosji, a potem uznanego za *persona non grata*).

To właśnie prawnik tej fundacji Siergiej Magnitski wykrył schemat przekrętów, z którego korzystali rosyjscy urzędnicy, wyciągający miliony z budżetu. Magnitski został aresztowany i zmarł w areszcie. Jego sprawa stała się głośna. Najpierw USA, a potem inne kraje zachodnie wprowadziły sankcje wobec osób winnych śmierci Magnitskiego. Rosja uznała „akt Magnitskiego", na podstawie którego wprowadzono sankcje, za działanie wrogie.

W 2010 r. Pieriepieliczny przeniósł się z rodziną do Wielkiej Brytanii. Popadł w tarapaty, jego klienci stracili mnóstwo pieniędzy podczas kryzysu finansowego. Pracownicy Hermitage Capital twierdzą, że Pieriepieliczny sam się do nich zgłosił i przekazał wiele cennych informacji, dzięki którym udało się odtworzyć łańcuch przepływów finansowych z rosyjskiego budżetu na zachodnie konta urzędników, potwierdzając przypuszczenia Magnitskiego.

Działalnością Pieriepielicznego interesowały się rosyjskie służby specjalne, które podjęły w tej sprawie współpracę z brytyjskimi kolegami. Chodziło o wyjaśnienie powiązań finansisty z bossem mafijnym o pseudonimie „Validol", wykonującym egzekucje na niewygodnych świadkach. Według jednej z wersji Pieriepieliczny mógł zostać otruty, a związek z tym mógł mieć „Validol". Na czyje zlecenie? Tego nie udało się ustalić.

A co do trucizny, która w pewnym momencie wypłynęła we wznowionym w 2015 r. śledztwie, to mogło nią być *Gelsemium elegans*, azjatycka roślina. „Ulubiona trucizna chińskich i rosyjskich killerów" – stwierdzono podczas przesłuchań w sądzie. Skąd się wzięła w organizmie Pieriepielicznego, tego nie ustalono. Prace nad wyjaśnieniem przyczyn jego śmierci wstrzymano, a wyniki utajniono.

Czy w nowych okolicznościach brytyjscy śledczą podejmą zarzucone kiedyś tropy? ©

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

MONIKA ANDRUSZEWSKA

W szpitalu psychiatrycznym w Swatowie, 2018 r.

Już prawie nie strzelają

MONIKA ANDRUSZEWSKA
ZE SWATOWA (DONBAS, UKRAINA)

„Kontakty z Polakami zmieniają nas. Nie tylko dzięki pomocy materialnej" – uważa Lena, ordynatorka ze szpitala psychiatrycznego w Donbasie. Korespondentka „Tygodnika" była tam już kolejny raz.

Z dziecięcą niecierpliwością zaglądają z korytarza, gdy pielęgniarki rozkładają na stołach przywiezione przez nas słodycze. Ci, którzy wiedzą już, co oznacza przybycie gości, podskakują z radości. Jeszcze bardziej cieszy ich widok zabawek. Starszy mężczyzna chwyta największego misia i kryje się w pokoju. Tam schowa się przed światem, pod naciągniętą kołdrą.

Na pacjentach szpitala psychiatrycznego w Swatowie – to jeden z większych takich szpitali w Donbasie, położony w jego części kontrolowanej przez Ukrainę, kilkadziesiąt kilometrów od okupowanego Ługańska – nie robi już wrażenia trwająca wojna. Zdążyli zapomnieć, że może istnieć inny świat. Naśladują rozmowy, które słyszą. – Ile na Ukrainie kosztuje masło? Ile w Rosji? – porównują. – Żołnierze stojący w moim mieście mają lepszy sprzęt od twoich! – licytują się.

DOKTOR LENA, ordynatorka oddziału, opowiada, że jeszcze rok temu wszyscy śmiertelnie bali się fajerwerków. Za bardzo przypominały wojnę, eksplozje. Lena wspomina, że gdy noworoczną noc rozświetliły sztuczne ognie, wychodzili, aby popatrzeć. – Słabo walą – komentowali. – Jak strzela Grad, to dopiero widać! Kilka bum-bum i całe niebo płonie.

Lena pokazuje wysokiego chłopaka o nieruchomej twarzy. Bez emocji, grymasów.

Chłopak cierpi na głęboką amnezję, której przyczyn nie potrafią zdiagnozować. Nie dałoby się zauważyć, że ma problemy psychiczne, gdyby nie to, że gdy obok coś upadnie, on od razu rzuca się na ziemię. Kilka miesięcy lata 2014 r., gdy tutaj, w Donbasie, zaczynała się wojna, spędził w przyfrontowej miejscowości. To lekarze wiedzą od wojskowych, którzy go przywieźli. Strach przed wojną tkwi w nim w wyuczonych reakcjach organizmu.

– Boję się, choć nie pamiętam czego – próbuje tłumaczyć. – Wiem, że było coś złego i się skończyło. Ale we mnie jakby to trwa nadal.

MASZ DOKUMENTY? – upewnia się pan Aleksander, lat 80. Jego papiery ukradła sąsiadka, która pobiera teraz za niego rentę. Wyrabianie nowych dokumentów lub odzyskiwanie straconych to problem pacjentów. Są wśród nich nawet Rosjanie, którzy nie mogą wrócić, bo nie mają paszportów. Większość pacjentów nie pamięta nazwisk ani adresów. – Czasem udaje się

pomóc, ale nie mamy możliwości jeżdżenia z pacjentami po froncie i szukania ich rodzin – rozkładają ręce pracownicy.

Do rangi zbiorowej tragedii urosło wyłączenie ukraińskich sieci na terytorium obu rosyjskich „republik". – Spróbujemy? Może telefon już działa? – proszą raz po raz pacjenci, których rodziny zostały po tamtej stronie.

Lena pozwala im dzwonić. W końcu też ma krewnych pod Ługańskiem. Wprawdzie nazywają ją „ukraińską banderówką", ale rodzina to rodzina. Także Lena martwi się, że nie może się z nimi skontaktować. Płaczą ci, którzy bezskutecznie wpisują numery bliskich. Płaczą ci, którzy nie mają krewnych. Może jeśli więcej z nich będzie płakać, jest szansa, że telefon zadziała?

Nie wiedzą, że w miejsce wyłączonych ukraińskich sieci w „republikach" utworzono nowego operatora o nazwie Feniks. Z Feniksa można zadzwonić na Ukrainę, ale kosztuje to dwa razy więcej niż do USA. Bliskim, którzy nie dają znaku życia, pewnie po prostu szkoda pieniędzy. Niektórzy mówią wprost: – Nie dzwońcie. Jak umrze, przyjadę na grób.

CZASEM RODZINA SIĘ STARA. Dzwoni do lekarzy: – U nas jest spokojniej, niech wróci do domu. Już prawie nie strzelają.
Taki telefon od bliskich to szczęście, którego wszyscy w szpitalu zazdroszczą.

Pacjent pakuje wtedy swoje rzeczy, pielęgniarki wyszukują mu wśród darów najlepsze ubrania. Jest gotów do drogi. Gdy pochodzi z terenów, które są pod kontrolą Ukrainy, rodzina po niego przyjedzie. Jeśli z tych, które Ukraina straciła – czeka go podróż przez front, samodzielna.

Niektórzy pokonywali tę trasę wiele razy. Lena odstawia pacjentów do autobusu, który dowozi ich do Stanicy Ługańskiej. Tam jest najbliższy punkt „graniczny" między Ukrainą i tzw. Ługańską Republiką Ludową. Lena uprzedza kierowców, aby nie pozwolili pacjentom wysiąść wcześniej, niż powinni.

Na wojnie jest teraz ciszej. Wprawdzie niemal codziennie ktoś ginie, ktoś zostaje ranny. Ale jak na kilkaset kilometrów – to niewiele. Przynajmniej z perspektywy dnia czy tygodnia. Dopiero potem, w skali miesiąca czy roku, statystyki pokażą liczbę zabitych i rannych, która robi wrażenie.

W STANICY ŁUGAŃSKIEJ sprzątnięto gruz z ulic, po których trzy lata temu można się było tylko czołgać pod kulami. Mieszkańcy remontują domy z nadzieją, że nie spadną już pociski.
Tutaj pacjent wysiada. Ma pamiętać, by iść „tam, gdzie wszyscy".

O to nietrudno: codziennie przechodzi tu „granicę" nawet po kilka tysięcy ludzi. Czasu jest mało, zimą przejście zamykają o siedemnastej. Gdy nadchodzi zmierzch, kolejka nerwowo nasłuchuje, bo pod wieczór może się zacząć ostrzał.

Miejscowi wracają do Ługańskiej Republiki objuczeni torbami z jedzeniem. Większość była na zakupach. Albo żeby pobrać z bankomatu emeryturę, wypłacaną przez Ukrainę. – Chcecie żyć w ruskim mirze, ale po kasę to do nas idziecie? – ironizują ukraińscy żołnierze.

Gdy zmęczony pacjent dotrwa do pierwszego posterunku, czeka go podwójna kontrola ukraińskich służb. Żołnierze krzyczą na ludzi, którzy dziwnie się zachowują. Chorzy płaczą, zdezorientowani. Wojskowi nie rozumieją.

JEŚLI PRZEJDĄ KONTROLĘ, przed nimi kilkaset metrów pieszo do mostu, nad którym wiszą flagi „Ługańskiej Republiki". Tu sytuacja się powtarza. Separatyści krzyczą dokładnie tak jak Ukraińcy.

– Czasem potrafią się okrutnie zabawić – mówi Lena. – Znamy przypadki, gdy wciskali chorym granaty do rąk i mówili: „No, głupku, zanieś prezent na tamten posterunek". Czy to ważne, czy Ukraińcy, czy separatyści? Młodzi, zdrowi faceci robią tak osobie bezradnej i chorej. Tak kilku naszych pacjentów wzniosło się do nieba... Brak tolerancji wobec psychicznie chorych to bagaż, który po czasach Stalina odziedziczyły dawne republiki sowieckie.

Jeśli wszystko pójdzie bez problemu, w rodzinnym domu chory przeżyje kilka tygodni, może miesiąc szczęścia. Aż do momentu, gdy jego bliscy zadzwonią do Leny. – On podnosi wszystko z ziemi i przynosi do domu. A u nas po krzakach leży pełno niewybuchów! – tłumaczą zdenerwowani. Albo po prostu: – Nie przysyłajcie go więcej! Nie mamy go za co utrzymać!
Pacjent wraca więc do szpitala. Czasem z eskortą krewnych, czasem sam. Przybity, dopóki jego tęsknoty nie uciszą lekarstwa.

PACJENCI MONTUJĄ nowy stół do ping-ponga, dar z Polski.

Lena: – Wcześniej tylko leżeli i pili herbatę. Teraz mają się czym zająć. Ale kontakt z Polską pomógł nam nie tylko ze względu na pomoc materialną. Z wieloma Polakami rozmawiam stale na Facebooku. U was podejście do chorych psychicznie jest inne niż tutaj. Zrozumiałam, że społeczeństwo nie zmieni się, dopóki trzymamy pacjentów zamkniętych. Dlatego zaczęłam im organizować wycieczki. Chodzimy na przedstawienia w domu kultury. Niedawno byliśmy w stadninie. Niektórzy pacjenci pierwszy raz widzieli konia!

Waldek, który pochodzi z okupowanego dziś Alczewska, tak jak rok, dwa i trzy lata temu znów pochyla się nad rysunkiem. Nadal nie wiadomo, co stało się z jego rodzicami.

Wcześniej Waldek rysował ogryzkami tanich kredek. Teraz pokazuje lśniące pudełka z flamastrami, przysłane przez darczyńców z Polski. – Mam tu wszystkie kolory, zobacz! Teraz mogę namalować cały świat.

– A to dla mojej cioci Ani – pokazuje wozy pancerne, namalowane zielonym flamastrem.

Anna, czytelniczka „Tygodnika", wysyła do szpitala kartki pocztowe tak często, że Waldek uwierzył, że jest jego prawdziwą ciocią.

Tak jak inni pacjenci, do których przychodzą pocztówki z Polski, Waldek trzyma swoją zawsze przy łóżku, na stoliku. – Rodzinna pamiątka – wyjaśnia poważnie. – Jedyna, jaką mam. ©

Poprzednie trzy korespondencje ze Swatowa, które ukazały się w „Tygodniku", są dostępne na stronie: **powszech.net/swatowo**
Osoby zainteresowane kontaktem z pacjentami szpitala prosimy o wiadomość do redakcji.

Dla szpitala w Swatowie

Stowarzyszenie Pokolenie (skupiające ludzi z dawnej opozycji w PRL) organizuje pomoc dla szpitala w Swatowie. Przelewy (ze „Swatowo" w tytule) można przekazywać na konta:
Przelew krajowy:
ING Bank Śląski
89105012141000002319853707
Przelew zagraniczny:
SWIFT/BIC: INGBPLPW IBAN:
PL89105012141000002319853707
Adres: Stowarzyszenie Pokolenie, ul. Drzymały 9/4, 40-059 Katowice.

MATHE KEBOFHE / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Ceremonia zaprzysiężenia Iana Khamy na drugą prezydencką kadencję. Gaborone, Botswana, październik 2014 r.

Książę żebraków z krainy diamentów

WOJCIECH JAGIELSKI

Pustynna Botswana od lat stawiana jest Afryce za wzór do naśladowania. Jej prezydenci nie zmarnowali diamentów, którymi natura obdarzyła ten kraj, a władzę oddają następcom po dobroci i nawet przed terminem.

Na afrykańskim kontynencie takie zachowanie znów staje się rzadkością. Dziś, po ćwierćwieczu panowania liberalnych porządków przywleczonych z Zachodu, coraz więcej przywódców Afryki nie chce oddawać raz zdobytej władzy tylko dlatego, że wymaga tego jakiś zapis w konstytucji.

Na liczby i terminy prezydenckich kadencji przestano zwracać uwagę w Czadzie, Sudanie, Erytrei, Ugandzie, Rwandzie i Burundi, a także w Kamerunie, Gabonie, Gwinei Równikowej i Kongu Brazzaville. W Angoli panujący od 40 lat prezydent ustąpił w zeszłym roku tylko z powodu kiepskiego zdrowia. W Zimbabwe prawie stuletniego i rządzącego czwartą dekadę prezydenta Mugabego od władzy odsunęło wojsko. W Kongu Kinszasie prezydentura Josepha Kabili przedawniła się półtora roku temu.

Tymczasem w Botswanie prezydent Ian Khama już zapowiedział, że ustąpi z końcem marca, na półtora roku przed upływem przysługującej mu kadencji. A kolegom przywódcom powtarza: „Nie jesteśmy jakimiś królami. 10 lat, góra... dłużej rządzić nie powinno być wolno. Zwłaszcza, gdy się jest w pewnym wieku. To nie jest nawet kwestia zasad, tylko zdrowego rozsądku". Mugabe w jego wieku nie nadawał się już do rządzenia i doprowadził kraj do ruiny.

Afrykański odmieniec

Jako jedyny w Afryce Khama krytykował Mugabego, w Zimbabwe (i nie tylko) uważanego za patriarchę. Tymczasem prezydent Botswany nie uznawał go nawet za prawowitego władcę. Wytykał Mugabemu nie tyle dyktatorskie zapędy, co fatalne rządy, które sprawiły, że do Botswany – liczącej niespełna 2,5 mln ludności – zjechało za chlebem ćwierć miliona Zimbabweńczyków. Za to samo krytykował Kabilę, który doprowadził Kongo do ruiny.

Zresztą Khama znany jest z tego, że nie przebierał w słowach i wytykał, co mu się nie podobało – i dużym, i małym. Krytykował Chińczyków za kiepską jakość ich towarów i budowanych przez nich dróg i kolei, a także za zwyczaj sprowadzania z Chin robotników na budowy w Afryce. Krytykował też prezydenta RPA Jacoba Zumę i odwoływał swoje wizyty, gdy w RPA oskarżano Zumę o korupcję i próbowano odsunąć go od władzy (w lutym ustąpił w końcu ze stanowiska). Odmowę wsparcia dla Zumy inni prezydenci i premierzy uznali za kolejny przejaw wiarołomstwa przywódcy Botswany. I kolejny dowód tego, jakim jest dziwakiem i odmieńcem.

Ale Khama nic sobie z tego nie robił. Jak tylko mógł, unikał narad przywódców Unii Afrykańskiej, uważając je za stratę czasu. Ku zgorszeniu innych mówił, że jedność Afryki uważa za mrzonkę. Gdy inni przywódcy krytykowali Międzynarodowy Trybunał Karny, Khama brał go w obronę. Gdy pouczali ostatniego na kontynencie jedynowładcę – Mswatiego VI, króla Suazi – o potrzebie demokracji, Khama mówił, że podziwia poddanych

Mswatiego, którzy nie zgadzają się zastąpić go rządami pospólstwa. Zaraz potem wizytował w Waszyngtonie pierwszego czarnoskórego prezydenta USA Baracka Obamę, który nie mógł się nachwalić Botswany jako „przykładu sukcesu odniesionego w Afryce".

Ale Obamy, zrodzonego z czarnego ojca i białej matki, w Afryce nie uważano za swego (z wyjątkiem pewnej wioski nad Jeziorem Wiktorii, skąd pochodził jego ojciec). Chodzi tu nawet nie o odcień skóry, który w Afryce – ze względu na jej historię, podbój i zniewolenie – ma większe znaczenie niż gdziekolwiek na świecie, lecz o maniery, sposób myślenia i wartości. O byłym prezydencie RPA Thabo Mbekim, wykształconym na Zachodzie i zapatrzonym w brytyjski konserwatyzm oraz wolny rynek, w Afryce mawiano, że choć skórę ma czarną, to serce białe.

Teraz młody radykał z RPA Julius Malema, nawołujący do odebrania tamtejszym białym ziemi, kopalń i banków, nazywa prezydenta Botswany pachołkiem zachodnich imperialistów. Mówi, że skoro oni tak go chwalą, to inaczej być nie może. A w dodatku Khama jest mieszanej krwi: jego ojciec był afrykańskim wodzem, a matka białą Angielką.

Seretse i Ruth

Seretse Khama, rocznik 1921, był dwudziestoparoletnim młodzieńcem, gdy na studia prawnicze do Oksfordu wysłał go stryj Tshekedi, który jako regent przejął opiekę nad chłopcem, osieroconym przez ojca-wodza. Seretse był bowiem synem wodza Bamangwatów – największego szczepu ludu Tswana, zamieszkującego Beczuanaland (wtedy pustynną brytyjską posiadłość na południu Afryki). Ruth Williams była dwa lata od niego młodsza. Jej ojciec był konserwatystą, jak większość ojców w ówczesnej Anglii. Dorobił się na handlu herbatą.

Gdy Ruth – szczupła wysoka blondynka – poznała czarnoskórego przystojniaka Seretsego, zarabiała na życie jako urzędniczka w towarzystwie ubezpieczeniowym Lloydsa w Londynie, podnoszącym się ze zniszczeń II wojny światowej. Spotkali się na potańcówce w londyńskim Towarzystwie Misyjnym, gdzie grywały jazzowe kapele. Oboje lubili tę muzykę. Afrykański książę zrobił na Angielce wielkie wrażenie. Gdy po trwającej niespełna rok znajomości poprosił ją o rękę, przyjęła oświadczyny.

Ale na ślub nie zgodziły się ani rodziny młodych, ani brytyjski rząd (bo i on miał tu coś do powiedzenia). Ojciec Ruth oznajmił, że nie wyda córki za czarnego. A gdy powiedziała, że i tak wyjdzie za Seretse wydziedziczył ją i kazał jej wynosić się z domu. Z kolei stryj-regent oświadczył, że nie zgadza się na ślub bratanka z białą dziewczyną i że szczep Bamangwato nie przyjmie takiej żony swojego wodza. Na żądanie regenta brytyjskie władze Beczuanalandu i Londyńskie Towarzystwo Misyjne nie udzieliły młodym kościelnego ślubu.

Seretse i Ruth wzięli więc ślub cywilny. Zaraz potem Seretse wrócił do Afryki i – mimo intryg stryja – przekonał starszyznę Bamangwatów, aby uznała w nim wodza i przyjęła jego białą żonę.

Wygnaniec prezydentem

Wtedy do akcji wkroczyły rządy Wielkiej Brytanii i Południowej Afryki.

W RPA wprowadzano właśnie ustrój rasowej segregacji (apartheid) i jej rządzący nie życzyli sobie, aby tuż za miedzą afrykański wódz plemienny żył z białą żoną. Londyn ugiął się pod presją białych władz z RPA, której surowców Wielka Brytania potrzebowała, żeby stanąć na nogi po wojnie. Nie mogąc jednak zapobiec mezaliansowi, Londyn postanowił nie dopuścić przynajmniej do tego, aby mieszane małżeństwo zamieszkało w Beczuanlalandzie – w 1951 r. brytyjski rząd skazał Seretse i Ruth na wygnanie do Anglii.

W brytyjskiej stolicy stali się sławni. Gazety rozpisywały się o ich „*love story*", o przeszkodach i krzywdzie, jakie ich spotkały.

W 1953 r. w Londynie przyszło na świat ich drugie dziecko i zarazem pierworodny syn – Ian, dzisiejszy prezydent Botswany (państwo Khama dochowali się czworga dzieci: najstarszej córki Jackie, Iana i dwóch młodszych bliźniaków, Tshekediego i Anthony'ego). Dopiero po pięciu latach i kilku proszalnych wizytach starszyzny Bamangwatów u brytyjskiej królowej Seretsemu i Ruth pozwolono wrócić do Afryki.

Seretse zrzekł się tytułu wodzowskiego, który przyniósł mu tyle kłopotów, zajął się za to polityką. A kiedy Brytyjczycy, porzucający posiadłości kolonialne w Afryce i Azji, postanowili obdarować niepodległością także Beczuanaland, wtedy młody Khama zgłosił się jako pretendent do władzy.

Pochodzenie, zdobyte za granicą wykształcenie i sława, jaką przyniosło mu małżeństwo z białą kobietą, sprawiły, że w wyborach w 1965 r. Seretse Khama nie dał rywalom szans. Rok później został ogłoszony pierwszym prezydentem niepodległej Botswany, a brytyjska królowa nadała mu tytuł szlachecki.

Niedoceniona ziemia

Dostało mu się państwo tak marne, że śmiano się, iż w całej Afryce nie znajdzie się śmiałek, który zechce je wziąć we władanie. Niepodległa Botswana była wprawdzie dwa razy większa od obecnej Polski, ale składały się na nią głównie piaski pustyni Kalahari i bagna delty rzeki Okawango. Zamieszkiwało ją wtedy niewiele ponad ćwierć miliona Tswanów (stanowili większość ludności) oraz Sothów i Szonów.

Tutejsza ziemia nie tylko rodziła kiepsko, ale nie kryła – jak sądzono – żadnych skarbów. Nie było tu nic. Kilka kilometrów bitej drogi, trzy szkoły, kawałek linii kolejowej i niewielka stacja kolejowa w Gaborone – kilkunastotysięcznej mieścinie, którą trzeba było ogłosić stolicą, bo Mafikeng, największe miasto Tswanów, leżało już po południowoafrykańskiej stronie granicy. W dniu swoich narodzin niepodległa Botswana uchodziła więc za jeden z najuboższych i najbardziej zacofanych krajów świata.

Wszystko to zmieniło się rok po ogłoszeniu niepodległości, gdy geologowie z południowoafrykańskiego koncernu De Beers odkryli tu złoża diamentów. Jedne z najbogatszych na świecie.

Bogactwa natury, diamenty, cenne metale czy ropa – odkrywane w młodych afrykańskich krajach – zamiast stać się ich błogosławieństwem, okazywały się zwykle przekleństwem. Zapewniając łatwy zarobek, uśmiercały wszystkie inne gałęzie gospodarki, ściągały wojny i korupcję, dobrych władców przemieniały w chciwych łotrów i krwiożerczych tyranów. Zamiast opływać w bogactwa, Angola, Gabon, Nigeria czy Kongo-Kinszasa/Zair stały się satrapiami, których skarby zagarniali przywódcy, ich krewni i przyjaciele.

Botswana jako jedyna, a przynajmniej jako jedna z nielicznych, uniknęła przekleństwa nadmiaru. A diamenty okazały się jej prawdziwymi przyjaciółmi. Szczęście miała też do przywódców, którzy jako nieliczni w Afryce uważali władzę za służbę, a nie trofeum. ↦

Zdrowy chłopski rozsądek

↦ Seretse Khama – pierwszy prezydent – zyski ze sprzedaży drogocennych kamieni kazał zamykać w państwowym skarbcu. Botswana, która szybko wyrosła na największego producenta diamentów na świecie (dopiero niedawno, bo trzy lata temu wyprzedziła ją Rosja), dobiła korzystnego targu z koncernem De Beers, dzieląc się z nim zyskami po połowie, a do tego ściągając z niego 25-procentowy podatek.

Zadanie strzeżenia diamentowego bogactwa w państwowym skarbcu otrzymywali kolejni ministrowie finansów, którzy – tak się złożyło – najpierw awansowali na wiceprezydentów, aby po ustąpieniu prezydenta zająć jego miejsce. I tak, po śmierci Seretsego Khamy w 1980 r. zastąpił go były minister skarbu Ketumile Masire. A gdy ten złożył urząd w 1998 r., jego miejsce zajął dawny minister finansów Festus Mogae. Tradycja została złamana dopiero w 2008 r., gdy Mogae oddał władzę Ianowi Khamie, który wcześniej zajmował się wojskiem.

Zdrowy rozsądek, przezorność i cierpliwość botswańskich przywódców tłumaczono czasem ich wiejskim pochodzeniem, wychowaniem w przywiązaniu do tradycji, porządku i spokoju, niechęcią do rewolucji i obcych nowinek.

Tak czy inaczej – Seretse Khama, Masire i Mogae starali się, jak mogli, aby zarobione na diamentach pieniądze odkładać, a nie wydawać na pałace dla siebie czy podwyżki płac dla poddanych. W rezultacie w 50. rocznicę niepodległości Botswana zaliczana była już do krajów średnio zamożnych (jej statystyczny obywatel był zamożniejszy od statystycznego mieszkańca RPA), a jej gospodarka rozwijała się w takim tempie, że kroku dorównywały jej tylko azjatyckie tygrysy.

Sposób na spokojne rządy

Nie znaczy to, że wszyscy mieszkańcy Botswany z żebraków stali się bogaczami. Jedna trzecia ludności wciąż klepie biedę, a co czwarty nie może znaleźć pracy. Pod koniec XX stulecia botswańska gospodarka zwolniła, a na początku nowego wieku – wyhamowała.

Jednak gdy Afryka zaciągała długi, Botswana odkładała do skarbca zarobione pieniądze, kilkanaście miliardów dolarów. Sięgano po nie tylko po to, by sfinansować kolejne inwestycje, z których korzyść mieli wszyscy, a nie, jak gdzie indziej, wyłącznie uprzywilejowani.

PER-ANDERS PETTERSSON / GETTY IMAGES

Sortownia diamentów w Gaborone, marzec 2008 r.

Gdy Botswana uzyskała niepodległość, cała Afryka śmiała się, że żaden śmiałek nie weźmie we władanie państwa tak ubogiego. Rok później odkryto tu złoża diamentów, jedne z najbogatszych na świecie.

Diamenty szły na powszechną i bezpłatną naukę w szkołach podstawowych i średnich, na dopłaty do studiów, na bezpłatną opiekę zdrowotną i weterynarię, na budowę dróg, nawożenie i nawadnianie pól i pastwisk, na szpitale, urzędy pocztowe, nowe linie telefoniczne i elektryczne. W rezultacie w niepiśmiennym kiedyś kraju zlikwidowano analfabetyzm, a dzięki rozdawanym za darmo lekom antywirusowym opanowano epidemię AIDS, która w latach 90. XX w. groziła zagładą całej ludności – nosicielami wirusa była prawie połowa mieszkańców, a średnia długość życia spadła poniżej 30 lat.

Od pół wieku Botswana niezmiennie plasuje się też w piątce najmniej skorumpowanych (według Transparency International) i najlepiej zarządzanych (według Fundacji Mo Ibrahima) państw w Afryce, a Międzynarodowy Fundusz Walutowy chwali dyscyplinę finansową i wypłacalność jej rządów.

Botswana uniknęła też powszechnej swego czasu w Afryce mody na jednopartyjne dyktatury, a opozycję dopuszczano do regularnie rozpisywanych wyborów. Prezydent Ketumile Masire znalazł sposób, jak zapewnić Partii Demokratycznej długie i spokojne rządy: wymyślił, aby wybierany przez parlamentarną większość prezydent ustępował na rok, a nawet na półtora roku przed upływem przysługującej mu drugiej kadencji (nominalnie pięcioletniej) i przekazywał władzę zastępcy. W ten sposób do nowych wyborów stawałby urzędujący szef państwa, z którego panowaniem poddani zdążyliby się już pogodzić.

Generał na ciężkie czasy

Oszczędzając pieniądze, Masire nie wydawał ich nawet na wojsko. Dopiero w 1977 r. kazał utworzyć kilkutysięczną armię. Na zastępcę jej dowódcy wyznaczył 24-letniego brygadiera Iana Khamę – pierworodnego syna pierwszego prezydenta kraju.

Kiedy 30 lat później rządząca partia wyznaczała Iana Khamę na wiceprezydenta, a potem nowego prezydenta, wielu kręciło nosami, że nie jest to najlepszy pomysł. Mówiono, że przywykły do wydawania rozkazów generał porucznik będzie rządził jak wojskowy dyktator. Ale elita rządząca przekonywała, że Botswana potrzebuje właśnie kogoś takiego jak Ian Khama: energicznego, z pomysłem na przyszłość.

Jako syn ojca niepodległości Ian Khama dawał też nadzieję na ponowne zjednoczenie rodaków wokół przywódcy, na przezwyciężenie rosnącej niecierpliwości młodych i spadającej popularności rządzącej partii oraz rozsadzających ją podziałów frakcyjnych. Uznano, że to właśnie gene-

rał porucznik, a nie minister skarbu potrzebny jest na trudny czas.

Bo po latach tłustych w kraju nadeszły lata chude. A w każdym razie chudsze. Wraz z początkiem kryzysu w światowej gospodarce w 2008 r. w Botswanie nastała pierwsza w jej dziejach recesja. Zaczęły też bardzo spadać ceny diamentów. Aby temu zaradzić, koncerny górnicze zmniejszały wydobycie, zamykały kopalnie, zwalniały robotników. Uzależniona od diamentowych zysków Botswana znalazła się w pułapce. Gospodarka przestała się rozwijać, rosło bezrobocie – zwłaszcza wśród młodych, o których wykształcenie tak dbały władze. Na dodatek dotkliwa susza przygnała chłopów i pasterzy z wiosek do miast, zwiększając jeszcze rywalizację o miejsca pracy.

Jakby tego było mało, ekonomiści wyliczyli, że diamentów wystarczy Botswanie na 30-40 lat, a potem się po prostu skończą. Niby wiadomo to od dawna, ale jak dotąd niewiele w tej sprawie robiono, poza słowami o konieczności szukania nowych źródeł dochodów.

Ian Khama miał temu wszystkiemu zaradzić, wstrząsnąć krajem i jego mieszkańcami, wyrwać ich z letargu oraz z diamentowej pułapki.

Afrykański Chuck Norris

Życie potwierdziło obawy sceptyków widzących w Khamie dyktatora. Ledwie złożył prezydencką przysięgę, zapowiedział, że hasłem jego rządów będzie dyscyplina.

Na początek podwyższył o jedną trzecią ceny napojów alkoholowych i skrócił godziny otwarcia barów. Zaraz potem wyrzucił z partii i rządu dygnitarzy, którzy się z nim nie zgadzali. Do parlamentu prawie nie zaglądał, nie występował w telewizji, nie udzielał wywiadów. „Wiem, że nazywają mnie dyktatorem” – tłumaczył dobrotliwie zagranicznym dziennikarzom. „A ja jedynie nie potrafię znieść lenistwa ani fuszerki”.

Ian Khama nie znosił sprzeciwu i nie przyznawał się do błędu.

Tutejsi dziennikarze mówili, że zachowuje się jak filmowy Chuck Norris: w pojedynkę chciał rozwiązywać wszystkie problemy, być jedynym sprawiedliwym.

Szukając nowych źródeł dochodów państwa, postawił na rolnictwo i turystykę, parki narodowe Chobe i Moremi, gdzie żyją najliczniejsze na świecie stada słoni. Naraził się zachodnim obrońcom przyrody, bo – zarzucając kłusownictwo Buszmenom – wypędził ich z rezerwatów na pustyni Kalahari. A pozwalając zagranicznym wycieczkom zwiedzać deltę Okawango łodziami motorowymi, które wyparły niewygodne dłubanki *mokoro*, przyczynił się do zdewastowania tamtejszego środowiska naturalnego.

Nie znosił sprzeciwu i nie przyznawał się do błędów. Botswańscy dziennikarze narzekali – w prywatnych rozmowach – że Khama zachowuje się jak filmowi bohaterowie odgrywani przez Chucka Norrisa. W pojedynkę chciał wygrywać wszystkie wojny, rozwiązywać wszystkie problemy, być jedynym sprawiedliwym. „Cóż, jest żołnierzem i działa jak żołnierz” – powiedział o nim kiedyś Dithapelo Keorapetse, wykładowca z Uniwersytetu Botswany w Gaborone. „Polityki nie cierpi, a wszelką dyskusję uważa za stratę czasu”.

Ufając jedynie najwierniejszym zausznikom, uczynił ich niechcący udzielnymi panami na botswańskich włościach. Bracia bliźniacy Tshekedi i Anthony dorabiali się na rządowych zamówieniach zbrojeniowych, a Tshekediego prezydent próbował uczynić nawet swoim zastępcą (wtedy ten jeden, jedyny chyba raz ugiął się wobec protestów partyjnych towarzyszy i posłów). Kuzyn Ramadeluka Seretse został ministrem obrony, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, a przyjaciel z dzieciństwa Issac Kgosi – wszechwładnym i złowrogim szefem wywiadu i tajnej policji.

Prezydent oddaje władzę

Surowe rządy generała porucznika i sobiepaństwo jego zauszników sprawiły, że w ostatnich wyborach w 2014 r. rządząca od zawsze Partia Demokratyczna po raz pierwszy nie zdobyła nawet połowy głosów. Zachowała władzę tylko z powodu podziałów wśród opozycji. Ta wyciągnęła wnioski – i do następnej elekcji w 2019 r. zamierza pójść już razem. Przeciwko niej stanie nowy prezydent Mokgweetsi Masisi, któremu 1 kwietnia tego roku – na półtora roku przed terminem, zgodnie z dotychczasowym obyczajem – Ian Khama przekazuje władzę.

„Sądzę, że chciał jak najlepiej” – powiedział o nim Sidney Pilane, jeden z jego dawnych partyjnych rywali do władzy. „To dobry człowiek i szczerze przejmuje się tym, jak żyją jego poddani. Ale jednocześnie chce wszystko kontrolować, ma na tym punkcie obsesję. A stanowisko prezydenta, jakie mu powierzyliśmy, daje mu absolutną niemal władzę. Jeśli więc mówią o nim, że jest dyktatorem, to samiśmy go nim zrobili”. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania”

NORWID W CZŁUCHOWIE

W **poniedziałek 26 marca o godz. 9.00** MICHAŁ MIZERA
spotka się z uczniami klas humanistycznych
z Zespołu Szkół Gimnazjalnych i Ogólnokształcących przy ul. Kusocińskiego 1 w Człuchowie.
Uczestnicy przeczytają wspólnie „Słodycz” Cypriana Kamila Norwida.

▪ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: **lekcjeczytania@tygodnik.com.pl**

Fundacja Tygodnika Powszechnego · Tygodnik Powszechny · Uniwersytet Łódzki · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation · Operator Programu Kraków Miasto Literatury UNESCO kbf · Kraków UNESCO City of Literature

Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

Najbiedniejszy człowiek świata

MAREK RABIJ Z BANGLADESZU

Co wieczór walczy o miejsce do spania z bezdomnymi psami. W dzień Sali Ahmed liczy ciężarówki wiozące żywność do pobliskich obozów dla Rohingów w Kutupalong i Balukhali. Od tego liczenia robi się głodny, ale jemu nikt jedzenia nie daje.

W przydrożnym tłumie drobnych handlarzy i najemnych pracowników czyhających na zlecenie Sali Ahmed jest tym najchudszym i najbardziej onieśmielonym.

Nie krzyczy ani nie gestykuluje jak reszta, próbująca za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę pasażerów przejeżdżających samochodów. On po prostu siedzi na poboczu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nawet gdy dosiadam się obok po turecku, próbując zachęcić go do rozmowy, odwraca twarz.

Sali Ahmed nie ma podkoszulka, widocznie nie istnieją podkoszulki znoszone i niepotrzebne na tyle, by mogły stać się jego własnością. Tylko dla siebie ma dwa wymiętoszone kawałki materiału, które służą mu jednocześnie za pościel i ubranie, plastikową plandekę na wypadek deszczu, umorusaną tekturę, na której sypia, i zakurzone lungi – bengalską hybrydę spodni i spódnicy noszoną przez tutejszych mężczyzn.

Dyskusyjne jest już prawo do fragmentu pobocza między drzewem a murkiem, upstrzonym reklamami lokalnego producenta cementu, gdzie za dnia Sali rezyduje. On sam nie ma wątpliwości, że jest u siebie. Ale policja, która czasem staje właśnie w tym miejscu, by dyrygować ruchem i tłuc zielonymi pałkami po łbach rikszarzy, dopuszcza się wobec niego incydentów granicznych, a czasem ostentacyjnie przegania w inne miejsce.

Cała żebracza geografia fragmentu pobocza, przy którym na jałmużnę czeka prócz Salego jeszcze kilka starych kobiet i brodaty mężczyzna bez obu nóg, bierze wówczas w łeb. Ostatecznie walkę o lepsze lokalizacje wygrywają silniejsi. Kobiety działają razem. Beznogi mężczyzna opiera się rękami o ziemię na dwóch przedmiotach przypominających żelazka, które sprawdzają się także w działaniach zaczepno-obronnych.

Sali ma tylko szmaty i tekturę, prędzej czy później zbiera więc znów dobytek i czołgając się na wciąż zdrowych rękach, ciągnie resztę bezużytecznego ciała kilkaset metrów od drogi, pod cuchnące uryną arkady niedokończonego budynku. Po zmierzchu złażą się tam z okolicy bezpańskie psy, z którymi trzeba czasem powalczyć o wygodne miejsce do snu. Ale przynajmniej nie zaglądają tu wredne dzieciaki z sąsiedztwa, które śpiącemu biedakowi potrafią nasikać na twarz albo nawet podpalić ubranie.

Słowem – gdyby jakiś kolorowy magazyn stworzył ranking stu najbiedniejszych ludzi świata, Sali Ahmed z pewnością uplasowałby się w nim wysoko.

Niespełna 10 kilometrów za miasteczkiem Salego zaczynają się obozy dla Rohingów, muzułmańskich uciekinierów z Birmy, których ONZ nazywa najbardziej prześladowaną mniejszością etniczną świata. Szkopuł w tym, że blisko 800 tysiącom uchodźców społeczność międzynarodowa zapewnia tam bezpieczeństwo, dach nad głową, opiekę medyczną i wyżywienie.

O istnieniu Salego Ahmeda potężna ONZ nie ma natomiast bladego pojęcia – choć jej rozmaici komisarze i wysłannicy w drodze do Rohingów mijają go codziennie.

Mapa drogowa

Pierwsze samochody z zagranicznymi dostojnikami, personelem medycznym i prowiantem dla uchodźców wyruszają z Cox Bazaar, największego miasta regionu, najczęściej koło dziewiątej rano.

Zanim dotrą do Ukhii, w której mieszka Sali, 35 kilometrów na południe, minie co najmniej godzina. Kierowcy strawią ją na przeciskaniu się przez korek na ciasnej wylotówce, a potem na kolejnych ryzykownych mijankach z innymi autami na wąskich dróżkach, biegnących szczytami wałów między obsianymi ryżem polderami.

Wielki TIR nie przejedzie tędy nawet z wirtuozem kierownicy w kabinie – szerokość asfaltu, z poboczem, jest z reguły mniejsza od rozstawu osi takiego auta, co nieuchronnie prowadzi do katastrofy. Mniejsze ciężarówki i wozy terenowe, balansując na krawędzi polderów, mijają się dosłownie na milimetry – w czym pomagają specjalne pręty zamontowane pionowo na przednich zderzakach, pokazujące kierowcy szerokość auta.

Zagraniczni oficjele, zwłaszcza ci świeżo przybyli, śledzą te manewry z tylnych siedzeń z pobladłymi twarzami. Po szczęśliwym wyminięciu jadącego z naprzeciwka auta odreagowują stres kąśliwymi uwagami na temat bangladeskich porządków drogowych.

Architekci tej malowniczej siatki drogowej nie mogli jednak przewidzieć, że cichy zakątek kraju na południe od Cox Bazaar, zamieszkany przez 300 tys. rolników i rybaków, zaludni się nagle ponad 140 tysiącami rodzin Rohinga, którym co dwa tygodnie trzeba będzie dostarczyć po 25 kg ryżu i dwa litry oleju do smażenia. Miesięcznie – jakieś 7 tys. ton ryżu.

Logistyka na co dzień

Zatem każdego dnia – odliczając piątki i soboty na muzułmański weekend, którego kurczowo trzymają się zwłaszcza lokalni urzędnicy – wąskim gardłem drogi biegnącej przez Ukhię na południowy

Ekspedycja reporterska „Tygodnika" jest możliwa dzięki zbiórce społecznościowej naszych Czytelników. Teksty, wideo i materiały fotograficzne, a także listę osób, które wsparły projekt, publikujemy w specjalnym bezpłatnym serwisie pod linkiem: powszech.net/bangladesz

MAREK RABIJ

Sali Ahmed na poboczu drogi prowadzącej do obozów Rohingów, Bangladesz, marzec 2018 r.

wschód od wybrzeża musi przejść ponad 6,3 tys. worków z ryżem (każdy waży 50 kg). Nic dziwnego, że kto w okolicy ma w miarę sprawne i pakowne auto, ten wystawia go na wynajem organizacjom pomocowym. A samochodów i tak brakuje. Od jesieni zeszłego roku stawka za dzień najmu wzrosła prawie pięciokrotnie.

Bo przecież obozy to nie tylko jedzenie! Szałasy dla Rohingów buduje się wprawdzie z bambusu, wycinanego w rabunkowym tempie z okolicznych lasów. Ale do wykończenia setek nowych schronisk potrzeba tysięcy metrów kwadratowych twardego materiału o fakturze plandeki, który biuro wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców UNHCR zamawia w Korei Południowej. Syntetyczny sznurek, skutecznie zastępujący tu gwoździe i inne mocowania, przyjeżdża w olbrzymich belach z Chin. Podobnie jak blacha falista, z której powstaną latryny dla uchodźców. Z przedmieść Dhaki jadą z kolei betonowe kręgi i rury z tworzywa sztucznego, służące do budowy zalążków obozowej kanalizacji. Indie dostarczają metalowych cystern i pomp. Japończycy – na razie w ramach ograniczonego terytorialnie eksperymentu – ulicznych latarni, zasilanych akumulowaną za dnia energią słoneczną.

Wszystko to można dostarczyć na miejsce jedynie samochodami. A jedyna asfaltowa droga rozsądnej szerokości prowadzi w tej okolicy właśnie przez Ukhię.

Członek społeczeństwa

Gdy około godziny dziesiątej pierwsze auta docierają do miasteczka, Sali jest już na stanowisku za drzewem. Leżąc lub siedząc, w zależności od samopoczucia, na swojej tekturce i czekając, aż jakiś pobożny muzułmanin posłucha wreszcie Koranu, który aż 82 razy wspomina o obowiązku jałmużny.

Doczołganie się z oddalonej o kilkaset metrów sypialni pod arkadami zajmuje mu zwykle 20-30 minut. Ale nie ma lepszego miejsca na żebranie niż pobocze głównej jezdni. Poza tym Sali przy drodze czuje się bardziej członkiem społeczeństwa, a mniej bezdomnym wyrzutkiem. Kilkadziesiąt lat przepracował w końcu jako rikszarz.

Do Cox Bazaar przyjechał na początku 2005 r. z rodzinnej Kumilli, dużego miasta niespełna 300 km na północ, przy granicy z Indiami. Był to – jak dziś twierdzi – życiowy błąd. Wydawało mu się, że w turystycznym Cox Bazaar, dokąd ściągają z całego Bangladeszu zamożni letnicy zwabieni najdłuższą piaszczystą plażą świata, łatwiej będzie się utrzymać z powożenia rikszą.

Dużych wymagań nie miał nigdy. Byle wystarczyło na 200 taka (waluta Bangladeszu; 200 taka to równowartość ok. 10 zł) dziennej stawki najmu pojazdu i kilkadziesiąt taka na jedzenie, a co miesiąc – na 800 taka (ok. 32 zł) na czynsz w izbie, którą wynajmował w slumsach koło lotniska z dwoma innymi rikszarzami.

W swoim biznesplanie Sali Ahmed nie uwzględnił tylko, że pewnego wieczoru na skrzyżowaniu w Cox Bazaar z siodełka rikszy zmiecie go rozpędzone auto, że siła uderzenia strzaska mu biodro po lewej stronie, a kolejne uderzenie bezwładnego ciała o wysoki krawężnik przestawi mu coś w kręgosłupie.

Druga natura

Kolejna kawalkada ciężarówek, wypakowanych białymi workami z niebieskim logotypem UNHCR, mija drzewo, przy którym siedzi Sali. Obsypuje jego i mnie warstwą żółtego kurzu.

Gleba w okolicy obozów to głównie piaski, które przez kilka miesięcy od ostatniego sezonu deszczowego wyschły na pieprz. Wszędzie osiadają teraz drobnym żółtawym nalotem. Nawet dorodne liście ↦

drzew, na których zaczyna właśnie dojrzewać mango, najważniejszy eksportowy produkt spożywczy Bangladeszu, wyglądają przez to jak zwiędłe.

Ostatnia ciężarówka w konwoju przetacza się kołami niemal po stopach Salego, na pożegnanie strzelając w jego kierunku fontanną pyłu. Mężczyzna jedynie mruży oczy. Przyzwyczajenie to rzeczywiście druga natura.

Sali przyzwyczaił się także do tego, że bataliony lekarzy i sanitariuszy defilujące mu codziennie pod nosem w drodze do oraz z obozów Rohingów nie zatrzymują się przy nim nawet pod wieczór, gdy czołga się w stronę arkad jak żółw, transportując na popsutych nogach cały dobytek. Lewą może zgiąć lub założyć na prawą. Za to prawa nie słucha go wcale. Poza tym stracił w niej czucie, dlatego ciągle kaleczy ją o walające się przy drodze szkło, blachy i druty. Rana na łydce ropieje i brzydko pachnie, przydałaby się pomoc lekarza lub choćby pielęgniarki.

Ale ostatni raz doktor oglądał Salego Ahmeda w szpitalu w 2007 r. po wypadku. Zwozili tam wówczas rannych biedaków z okolicy, bo placówka miała na to grant od jakiejś fundacji i to był – jak mówi Sali – dar niebios.

Lekarz, który się nim zajmował, okazał się dobrym człowiekiem. Po kuracji przygarnął go pod swój dach, pozwalając zamieszkać w ogrodzie, w budce na narzędzia ogrodnicze. W ten sposób w 2007 r. Sali trafił z Cox Bazaar do Ukhii.

Sześć lat później dobry doktor Muhammad zmarł jednak na serce, a jego synowie – rezydujący na stałe w Dhace – sprzedali rodzinny dom sąsiadowi, któremu marzyła się od dawna rozbudowa posesji. Sali dostał od niego 5 tys. taka (około 200 zł), wraz z nakazem natychmiastowej eksmisji.

Odsetek (nie)oficjalny

W ten sposób pobocze między drzewem a murkiem zyskało nowego lokatora. Nie da się bowiem wykluczyć, że przed Salim zajmował to miejsce inny bezdomny żebrak.

Bangladeski urząd statystyczny podaje, że poniżej granicy skrajnej biedy, czyli za mniej niż dwa dolary dziennie, żyje w tym kraju ok. 28 mln ludzi (jakieś 18 proc. populacji). Od początku tego stulecia odsetek ten spadł rzekomo z pułapu aż 63 proc., co ma dowodzić, jak skutecznie kraj wychodzi teraz z odwiecznej nędzy.

Lokalne organizacje humanitarne uważają jednak, że władze doprawiają statystyki solidną porcją propagandy. Rząd Sheikh Hasiny Wajed uwielbia prezentować społeczności międzynarodowej kolejne rekordy przyrostu PKB, spadku analfabetyzmu czy wzrostu przeżywalności niemowląt. Polityczną tajemnicą poliszynela są noblowskie aspiracje pani premier, która podobno zazdrości tej pokojowej nagrody sąsiadce z Birmy, Aung San Suu Kyi.

Dlatego Dhaka woli przemilczać, że statystyczną średnią krajową winduje przede wszystkim rosnąca jakość życia w dużych miastach, do których napływa co roku prawie 30 mld dolarów od klientów zagranicznych firm odzieżowych, rozmiłowanych w tanich T-shirtach „*made in Bangladesh*".

Tymczasem wieś, będąca nadal domem ok. 80 proc. obywateli kraju, unowocześnia się bardzo powoli. W stolicy problem analfabetyzmu nie wykracza już poza najbiedniejsze slumsy. Na wsi z czytaniem nie radzi sobie wciąż blisko 40 proc. mieszkańców. Z zarabianiem na chleb podobnie. W efekcie większości niezależnych badaczy problematyki tutejszego ubóstwa bliższa jest diagnoza Asian Development Bank, według której poniżej granicy skrajnego ubóstwa żyje ponad 49 mln mieszkańców Bangladeszu, czyli niemal 32 proc. populacji.

Równania z niewiadomymi

Sali Ahmed oczywiście nie zna tych statystyk – należy do tych mieszkańców Bangladeszu, którzy już zapomnieli, czego nauczyli się podczas góra trzech-czterech lat nauki w szkole, zanim życie wygnało ich ze szkolnej ławki do pracy lub na ulicę. Nie może również zdawać sobie sprawy, że ONZ-owski World Food Program, główny organizator dostaw do obozów, szacuje miesięczny koszt zakupu żywności dla Rohingów na 13,7 mln dolarów. A licząc z logistyką – już na co najmniej 20 mln dolarów.

W wielkiej polityce nie są to duże sumy. Dlatego jesienią ubiegłego roku, gdy bangladeskie pogranicze w rejonie Cox Bazaar zalały setki tysięcy przerażonych uchodźców z Birmy, społeczność międzynarodowa szybko zadeklarowała łącznie ponad 340 mln dolarów na pomoc dla Rohingów.

Niestety, część darczyńców poprzestała potem na deklaracjach albo wpłaciła mniej i pieniądze powoli się kończą. Christa Räder, szefowa bangladeskiej misji WFP, ostrzega, że spadek zainteresowania losem Rohingów wśród bogatych zachodnich społeczeństw może mieć katastrofalne skutki dla uchodźców.

Finansowy ciężar utrzymania obozów jest zbyt duży, by Bangladesz wziął go w całości na siebie. Zachodni politycy nie kwapią się z kolei do realizacji finansowych obietnic, gdy nie czują na sobie czujnego wzroku wyborców.

Na końcu tego politycznego równania ze zbyt dużą liczbą niewiadomych znajdują się punkty rozdawnictwa żywności, w których wolontariuszom WFP kończą się zapasy. Coraz częściej muszą selekcjonować czekających w kolejce po żywność. Pierwszeństwo mają rodziny wielodzietne i kobiety w ciąży.

Kilka dni temu ONZ przeznaczyła na pomoc dla Rohingów kolejną transzę: 960 mln dolarów, na łączne koszty utrzymania obozów. To wiadomość optymistyczna. Ale chyba także sygnał, jak ludzie z ONZ oceniają przyszłość. Czyli – na ile realny jest, w ich ocenie, powrót Rohingów do Birmy.

Do trzydziestu

Sali Ahmed słyszał o problemach z jedzeniem, bo temat żywności zawsze go porusza. A część Rohingów omija jakimś cudem policyjne posterunki na rogatkach Ukhii i na miejskim bazarze opodal handluje wiadrami, matami i pojemnikami z logo UNICEF i UNHCR, które dostają w obozach.

Handlujący Rohingowie skarżą się, że w obozowych kolejkach po ryż są teraz równi i równiejsi. Ale Sali uważa, że to uczciwe rozwiązanie, bo dzieciom i kobietom należy pomagać w pierwszej kolejności. On sam nie liczy już nawet na równe traktowanie bangladeskich biedaków i tych nieszczęśników w obozach, choć przecież jedni i drudzy mają identyczne żołądki. I choć początkowo miał nadzieję, że coś z międzynarodowej pomocy trafi także do takich jak on.

Teraz już o tym nie myśli. Kiedy jest się głodnym, dobrze jest zająć czymś głowę. Sali liczy więc ciężarówki, które jadą z ryżem w stronę Kutupalong i Balukhali.

– Do trzydziestu – wyjaśnia głosem, który ledwie przebija się przez przydrożne *unisono*. – A potem zaczynam od początku. Wtedy się wydaje, że jeździ ich mniej.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

▪ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

MIKALAI ANISHCHANKA / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

„Dzień Wolności": tradycyjny protest opozycji białoruskiej w rocznicę deklaracji niepodległości. Mińsk, 25 marca 2016 r.

W POGONI ZA POGONIĄ

Sto lat temu powstała Białoruska Republika Ludowa: raczej idea państwa niż państwo. Ale bez niej nie byłoby Białorusi sowieckiej, a dziś niepodległej. Niewielu jednak wie o jej istnieniu.

ZBIGNIEW ROKITA

Jakkolwiek zabrzmi to dziwnie, na Białorusi jest kilka świąt niepodległości. Przez pierwszych parę lat po 1991 r. obchodzono ją 27 lipca, na pamiątkę uniezależnienia się od Związku Sowieckiego. Później, po dojściu do władzy Aleksandra Łukaszenki, prezydent – urzędujący do dziś – z życzliwością odniósł się do symboliki sowieckiej i wybrał nową datę: 3 lipca, na pamiątkę odbicia Mińska przez Armię Czerwoną z rąk Niemców.

Jest jeszcze białoruska opozycja. Ona za święto niepodległości uznaje 25 marca: dzień proklamowania w 1918 r. Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL). Tworu, któremu Białorusini zawdzięczają zapewne dzisiejszą państwowość, ale który został wymazany z ich pamięci.

W przeciągu historii

Rok 1918 był jednym z nielicznych momentów w XX-wiecznej historii Białorusinów, gdy mogli być nie tylko świadkami swej historii, lecz także jej kowalami – choć tylko w symbolicznym zakresie. Rok 1918 to również jedna z licznych kart w dziejach białoruskich ziem, gdy toczyły się na nich ważne wydarzenia. I także podczas I wojny światowej zasłużyły na miano „skrwawionych ziem": przebiegał przez nie front, wędrowały miliony żołnierzy i uchodźców.

W Rosji po rewolucji lutowej roku 1917, która zmiotła carat, i po październikowym puczu, który położył kres paromiesięcznym rządom republikańskim, po władzę sięgają bolszewicy. Wkrótce przystępują do rozmów pokojowych z cesarstwem niemieckim. Lew Trocki, który staje na czele bolszewickiej delegacji, prosi Niemców, aby do negocjacji nie dopuścili przedstawicieli białoruskiego ruchu narodowego – i tak się dzieje. Bolszewikom wystarczy kłopotów z Ukraińcami, których powstające państwo, Ukraińską Republikę

Ludową, Berlin i Wiedeń właśnie uznały [patrz „TP" nr 5/2018 – red.].

W tym czasie wojska niemieckie kontrolują białoruskie ziemie. Zachar Szybieka w „Historii Białorusi" pisze: „Zgodnie z pokojem brzeskim [zawartym wtedy z bolszewikami – red.] Niemcy zobowiązali się do nieuznawania żadnych nowych państw, których powstanie ogłoszono po 3 marca 1918 roku, a więc także BRL. Uważano ją za część terytorium Rosji Radzieckiej i traktowano jako swoistego zakładnika w zamian za kontrybucję nałożoną na Rosję, którą rząd Lenina obiecał Niemcom zapłacić".

Papierowa republika

Ale część białoruskiej inteligencji uważa, że nastał dziejowy moment i że skoro naokoło powstają państwa narodowe, to trzeba budować własną państwowość – w oparciu o Berlin, na którego wstawiennictwo mimo wszystko liczą. Proklamują Białoruską Republikę Ludową. Czynią to 25 marca: w dniu, w którym dekady później opozycjoniści na ulicach Mińska będą organizować manifestacje, by upamiętnić BRL, a łukaszenkowska milicja będzie ich za to pałować i aresztować.

Niemcy nie zamierzają uznawać Białorusi. Ale po jakimś czasie przystają na uznanie Ludowego Sekretariatu Białorusi (organu BRL) jako „przedstawicielstwa narodowego" – dla łatwiejszego zarządzania tymi ziemiami. Przekazują mu pewne, choć nieliczne prerogatywy.

BRL staje się bardziej formą niż treścią, raczej ideą państwa niż państwem. Ale jest też impulsem do rozwoju białoruskości. Pojawiają się zasady białoruskiej gramatyki. Język białoruski można usłyszeć w świątyniach. Jest białoruski alfabet. Przyjmuje się też flagę: biało-czerwono-białą. Różnie później będą mówić: że używano jej już w bitwie pod Grunwaldem, że to nawiązanie do kolorystyki białorusko-litewskiej Pogoni, a może do sztandaru św. Jerzego (patrz: flaga Gruzji). Jest i godło: owa Pogoń właśnie – rycerz na koniu.

W tym okresie cesarz Wilhelm II uznaje niepodległość Litwy, która również powstaje na ziemiach upadłego imperium carskiego [patrz „TP" nr 10/2018 – red.]. To Królestwo Litwy – istniejąca przez kilka miesięcy i zależna od Berlina monarchia, w której na tronie zasiada hrabia Wirtembergii, przyjmując tytuł Mendoga II. W Białorusinów raz jeszcze wstępuje nadzieja, że również dla nich znajdzie się miejsce w niemieckich planach, i wysyłają telegram do cesarza z prośbą o pomoc w umacnianiu własnej państwowości. Ale pozostaje on bez odpowiedzi.

Zabrakło poparcia mas

Tymczasem białoruska inteligencja powołała wprawdzie do życia Białoruś, lecz poparcie, jakim cieszy się wówczas ten fakt polityczny wśród białoruskich mas, jest znikome. Lud, który od XVIII-wiecznych rozbiorów Pierwszej Rzeczypospolitej żył w cesarstwie rosyjskim, w zdecydowanej większości pozostaje obojętny wobec abstrakcyjnej koncepcji białoruskiej niepodległości. Ogromny odsetek chłopstwa czuje się po prostu „ludźmi tutejszymi" – identyfikują się oni ze swoją wąsko pojętą lokalną ziemią rodzinną albo z wyznaniem.

Budziciele narodowi nie zdążyli tu na czas. Wywalczenie bądź otrzymanie trwałej niepodległości przez Białorusinów w 1918 r. okazuje się niemożliwe. Dziś można spekulować, ile czasu zabrakło elitom, aby przekonać do tego pomysłu przynajmniej część ludu. Kilkunastu, kilkudziesięciu lat?

Białoruskie społeczeństwo jest wtedy w znakomitej większości wiejskie i niepiśmienne (w carskiej Rosji nie było obowiązku szkolnego; na samym początku II Rzeczypospolitej w zamieszkanym głównie przez ludność białoruską województwie poleskim odsetek analfabetów przekraczał 70 proc.). Dla tych chłopów ważniejsza od narodowej jest kwestia agrarna, ale rodzima inteligencja ziemi ofiarować nie może. Poza tym idee na wieś docierają trudniej niż do miast.

Białoruskim masom brakuje też cech, które w ich samoświadomości wyraźnie oddzielałyby ich od sąsiadów: religijnie są katolikami bądź prawosławnymi (Kościół unicki, wcześniej bardzo tu popularny, został zlikwidowany przez cara). Językowo również są „pomiędzy". Nie sprzyja to budowaniu poczucia tożsamości narodowej.

BRL życie po życiu

Zresztą, co tam chłopi, skoro u progu I wojny światowej nawet białoruska elita nie mówiła o niepodległości, lecz na ogół o autonomii w ramach Rosji. Elita ta wykształcała się w bólach: co zdolniejsi często się polonizowali bądź rusyfikowali, co stanowiło ścieżkę awansu.

Elita białoruska była podzielona, tylko część opowiadała się za sojuszem z Niemcami. BRL nie kontrolowała własnego terytorium, nie miała granic, nie była uznana międzynarodowo. Szybieka zwraca uwagę, że jej władze miały też problem prozaiczny: brak funduszy. „Mogli je dać właściciele ziemscy, ale oni wiązali swoje nadzieje z odrodzeniem Rzeczypospolitej. Mogli ich dostarczyć żydowscy przedsiębiorcy, ale byli oni obojętni wobec ruchu białoruskiego i, podobnie jak białoruscy chłopi, bardziej liczyli na rosyjski bolszewizm".

W listopadzie 1918 r. wiatr historii znów zawieje Białorusinom w twarz: Niemcy zaczynają ewakuację swych wojsk. Oznacza ona też ewakuację władz BRL, które przez jakiś czas będą peregrynować po regionie, aż się rozejdą. Ziemie białoruskie będą areną walk polsko-bolszewickich, zakończonych w 1921 r. pokojem ryskim, i na jego mocy zostaną podzielone między Polskę i Sowiety („część polską" Sowieci zajmą w 1939 r.). Ryga kładzie też kres nadziejom tych Białorusinów, którzy wierzyli w federalistyczne plany Piłsudskiego. Słowa: „Ja was przepraszam Panowie, ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być", które Marszałek powiedział do Ukraińców, mogłyby odnosić się też do Białorusinów. W Rydze Polska uznaje Białoruską Socjalistyczną Republikę Sowiecką.

A jednak... Historyk Eugeniusz Mironowicz twierdzi, że BRL stała się katalizatorem prowadzącym do powstania białoruskiej sowieckiej państwowości (bo formalnie Związek Sowiecki utworzyły trzy państwa-republiki: rosyjska, ukraińska i właśnie białoruska). Oczywiście, bolszewicy nie uczynili tego z sympatii. Mironowicz: „Eksport rewolucji do Europy potrzebował (...) uwiarygodnienia bolszewickich haseł o samostanowieniu narodów".

Zgadza się z tym dziś białoruski opozycjonista Lawon Barszczeuski: – Przed proklamowaniem BRL zdecydowana większość bolszewików nie uważała Białorusinów za odrębny naród. Dopiero pod koniec 1918 r., reagując na działalność BRL, uznali za konieczne powołanie białoruskiej republiki. Stała się ona potem członkiem ONZ, obok republik rosyjskiej i ukraińskiej. To bardzo nam pomogło w 1991 r. – mówi „Tygodnikowi" Barszczeuski.

W istocie: gdyby nie proklamowano BRL, zapewne nie powstałaby białoruska republika sowiecka, a w grudniu 1991 r. – po rozwiązaniu Związku Sowieckiego ↦

↦ przez przywódców trzech republik „założycielskich" – nie powstałaby współczesna Białoruś.

Powrót i wygnanie Pogoni

Sto lat po proklamowaniu BRL idę do biblioteki. Otwieram wydaną w 1979 r. książkę „Historia Białorusi", aby zobaczyć, jak wówczas w Polsce opisywano BRL. W sekcji „Proniemiecki ruch nacjonalistyczny" czytam: „Na Białorusi, podobnie jak na Litwie i na Ukrainie, z szeregów klas posiadających wychodziły inspiracje nacjonalistyczne o reakcyjnym nastawieniu, inspirowane przez propagandę niemiecką". BRL przedstawia się tu jako incydent, nazwa pierwszego białoruskiego państwa w XX stuleciu pada bodaj raz (czy takie książki powinny wciąż leżeć w publicznych bibliotekach?).

Także na sowieckiej Białorusi pamięć o BRL była zwalczana. Historyk Uładzimir Arłou wspominał, że gdy studiował w latach 70. XX w., ani on, ani jego koledzy nie mieli pojęcia o wielu momentach z przeszłości Białorusinów, w tym o BRL. Barszczeuski jest nieco innego zdania: uważa, że owszem, pamiętano o BRL, ale mówiono o niej szeptem i wśród inteligencji.

Po 1991 r., gdy Białoruś otrzymała niepodległość, przez kilka lat elity próbowały zmienić pamięć Białorusinów, przyjęto narodową symbolikę, mówiono o BRL. Uznanie biało-czerwono-białej flagi BRL było inicjatywą Białoruskiego Frontu Ludowego, odpowiednika litewskiego Sąjūdisu (choć o mniejszym zasięgu). Barszczeuski wspomina: – Na placu przed Radą Najwyższą zgromadziło się kilka tysięcy aktywistów. To zadecydowało o wyniku głosowania. Na sesji Rady 18 września 1991 r. flagę przyjęła wymagana większość dwóch trzecich posłów – przypomina dawny lider Frontu.

Po rozpadzie Sowietów językiem państwowym uczyniono białoruski, a godłem – białorusko-litewską Pogoń, godło Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Ale prezydentowi Łukaszence, który objął władzę w 1994 r., wystarczyły dwa lata, by zmienić państwową symbolikę, cofając ją do czasów sowieckich. Drugim językiem państwowym uczyniono rosyjski, co skazało białoruski na marginalizację. Pamięć o Wielkim Księstwie i BRL w herbie i fladze (oraz w podręcznikach) została znów zwulgaryzowana, a ich symbole *de facto* zakazane. Zmieniono też datę święta niepodległości.

DOMENA PUBLICZNA

Członkowie Ludowego Sekretariatu (rządu) niepodległej Białorusi pod przewodnictwem Jazepa Waronki, premiera od lutego do lipca 1918 r. Siedzą od lewej: Alaksandr Burbis, Iwan Sierada, Jazep Waronka, Wasil Zacharka. Stoją od lewej: Arkadź Smolicz, Piotr Kraczeuski, Kanstancin Jezawitau, Antoni Owsianik i Leanard Zajac. Część z tych polityków wybrała emigrację. Z tych, którzy znaleźli się w Związku Sowieckim, prawie wszyscy zostali zamordowani przez NKWD.

Skradziona pamięć

Białoruska pamięć pełna jest mitów. Zniekształcono narrację nie tylko o BRL, ale też o Księstwie Połockim (jego stolicą był leżący na dzisiejszej Białorusi Połock – obok Kijowa i Nowogrodu jedno z centrów u zarania dziejów wschodnich Słowian), o Wielkim Księstwie Litewskim (umniejszając w nim rolę Białorusinów). Wmawiano Białorusinom, że zawsze byli prawosławni, a przez to bliscy Rosji.

Przykłady można mnożyć, a wszystkie pokazują jedno: narracje sowiecka i dziś łukaszenkowska przedstawiają Białorusinów jako wariant Rosjan (i to wariant gorszy), a ich dzieje malują jak polowanie ujęte z perspektywy zwierzęcia. W narracji Łukaszenki dzieje białoruskiej państwowości skracano o wiele stuleci, za ich początek uważając rok 1919 i powstanie sowieckiej republiki.

Białorusinów okradziono więc z pamięci i ze świadomości cech, które mogłyby odróżniać ich od sąsiadów, głównie Rosjan. To utrudniało umocnienie się własnej tożsamości i ułatwiało Łukaszence kontrolę obywateli. Naród podzielił się – by sięgnąć po opis Alaksandra Ryhorawicza – na posługującą się narodową symboliką opozycję, dziś już marginalną, oraz na „normalnych" Białorusinów. Pogoń i flaga BRL padły ofiarą walki reżimu z opozycją – ta ostatnia wzięła narodową symbolikę na sztandary. Formalnie symbole te nie są dziś zakazane, ale w praktyce od lat nie można się nimi posługiwać.

A czy naród wie dziś, czym była BRL? – Wiedzą o tym wtajemniczeni. Dla większości ten skrót nic nie znaczy – mówi Max Rust, ekspert ds. Białorusi.

Łukaszenka pozostawił niewiele narodowych symboli, choć chętnie przy nich majstruje. W Baranowiczach dostałem album pt. „Białoruś – nasza ojczyzna. Podarunek prezydenta Białorusi A.G. Łukaszenki dla pierwszoklasisty". Kartkując, trafiłem na portret Franciszka Skaryny, który w XVI w. przełożył Biblię na białoruski. Twarz tłumacza dziwnie przypomina lico Łukaszenki...

Projekt Łukaszenki

Prezydent, z wykształcenia zresztą historyk (co nie przeszkadza mu popełniać liczne gafy, np. twierdzić, że jego ojciec zginął na froncie II wojny światowej, choć on sam przyszedł na świat w 1954 r.), przeinaczając białoruskie dzieje, często jest koniunkturalny. Ale jego pragnienie, aby Białorusini mówili po rosyjsku i czerpali z kultury rosyjskiej, ma też głębsze znaczenie.

Łukaszenka pochodzi ze wsi, z pokolenia, które masowo migrowało do zrusyfikowanych miast, starając się wyzbyć swojej „wiejskości", kojarzonej z językiem białoruskim i miejscową pamięcią. Jest przekonany, że białoruskość jest czymś niż-

szym od rosyjskości, a ze swoich obywateli chce uczynić kulturalnych ludzi.

W istocie tworzy on projekt tożsamościowy, projekt stworzenia nowego człowieka, choć może o tym nie wie. Bo jest to człowiek o kompetencjach dyrektora sowchozu „Haradziec" w rejonie szkłowskim, którym był trzy dekady temu. W ten sposób nie tylko język białoruski, ale także pamięć o BRL padają ofiarą łukaszenkowskich kompleksów (i cwaniactwa).

W cieniu rosyjskiej agresji

Aneksja Krymu i wojna w Donbasie przeraziły Łukaszenkę. Białoruś zaczęła być wymieniana jako miejsce, po które Rosja może sięgnąć w następnej kolejności. Prezydent widział, jak rosyjskie wpływy na Krymie i w Donbasie ułatwiły oderwanie ich od Ukrainy. Tymczasem przez 20 lat on sam wpychał Białoruś do „ruskiego świata". Miesiąc po aneksji Krymu ośrodek NISEPI zapytał Białorusinów, czy poparliby „zjednoczenie z Rosją" (co w praktyce również oznaczałoby aneksję): niemal 30 proc. byłoby na tak, przeciw tylko 48 proc. Łukaszenka zareagował, sprzeciwiając się aneksji Krymu, zaczął też podkreślać, że „Białoruś to nie Rosja", i ustawił się w roli pośrednika – rozmowy na temat konfliktu rosyjsko-ukraińskiego toczą się w Mińsku.

Wprawdzie lekkie ocieplenie nastawienia reżimu do narodowych symboli i języka nastąpiło już wcześniej, lecz Krym nasilił ten proces. Nie doszło do zasadniczej zmiany, była ona raczej fasadowa. – Zmiana retoryki to „produkt" na teraz, to demonstracyjne dystansowanie się od Moskwy – mówi Rust. – Jeśli chodzi o BRL, nie przedstawia się już jej negatywnie, za wspominanie o niej nie ma kar. Łukaszenka kilka razy dał do zrozumienia, że białoruska historia to także okres przed powstaniem sowieckiej Białorusi, ale nie powiedział wprost o BRL.

Białoruski ruch narodowy jest dziś nieliczny i podzielony, a białoruskie masy odnoszą się do niego zazwyczaj obojętnie. Bardzo przypomina to sytuację sprzed stu lat.

Głos na ten temat zabrały za to państwowe media. W reżimowej gazecie „Bielarus Siegodnia" ukazały się artykuły, w których twierdzono, że bez BRL nie narodziłaby się białoruska republika sowiecka. To nowość.

Jednak to nie język czy historia są głównymi elementami tożsamości wielu Białorusinów. Być może swoisty geniusz Łukaszenki polega na tym, że takim czynnikiem narodowotwórczym jest dziś sam fakt istnienia Republiki Białoruś. Po niemal ćwierćwieczu jego rządów można nazwać ją Białorusią łukaszenkowską. Już drugie pokolenie wzrasta tu w poczuciu, że Łukaszenka jest endemiczny niczym żubry: wielu młodych nie pamięta innej rzeczywistości.

Łukaszenka umocnił tożsamość białoruską przez sam fakt utrzymania białoruskiej niepodległości. Ale nieustannie stąpa po cienkim lodzie. A wszelkie dane i obserwacje pokazują, że Białorusini w swej masie raczej nie byliby skłonni walczyć o Białoruś w czarnej godzinie.

Sto lat później

Także w tym roku, 25 marca, opozycja świętuje swój dzień niepodległości, wspominając proklamację sprzed stu lat. A Łukaszenka po raz kolejny rozegrał adwersarzy. Zezwolił na wiec i koncert – po czym opozycjoniści zaczęli się spierać (już tradycyjnie). Ci, którzy przystali na wiecowo-koncertową ofertę władz, usłyszeli, że są oportunistami. Inni postanowili zorganizować nielegalną demonstrację. Co jest lepsze: zrobić bezpieczny koncert, na który przyjdą tysiące mieszkańców Mińska, i w ten sposób wyjść poza wąski świat środowiska dysydenckiego, czy też etosowo ryzykować spałowanie na nielegalnym marszu? To pytanie bez tezy.

Białoruski ruch narodowy jest dziś podzielony, a białoruskie masy odnoszą się do niego zazwyczaj obojętnie. Bardzo przypomina to sytuację sprzed stu lat.

© ZBIGNIEW ROKITA

Korzystałem z: E. Mironowicz „Białoruś" (1999), Z. Szybieka „Historia Białorusi" (2002), A. Brzeziecki, M. Nocuń „Ograbiony naród" (2007), P. Rudkouski „Miękka białorutenizacja" (2017).

Autor jest sekretarzem redakcji dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia" i współpracownikiem „TP". 28 marca w wydawnictwie Czarne ukazuje się jego książka „Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium".

TP

Premiera Biblioteki „Tygodnika Powszechnego"

TADEUSZ JAGODZIŃSKI „ŻYCIE TO CHWILA JAWY"

Reportaże i eseje wybitnego dziennikarza Tadeusza Jagodzińskiego, redaktora BBC, korespondenta, podróżnika – ze wstępem Wojciecha Jagielskiego, Piotra Mucharskiego i Dariusza Rosiaka w wyborze Janusza Poniewierskiego.

Ks. Adam Boniecki: Niezależnie od tego, czy Tadeusz Jagodziński pisał o tym, o czym chcieli przeczytać jego wydawcy, czy o tym, co sam uznał za ważne, zawsze pisał z pozycji tego, kto odkrywa, obserwuje, wciąż umie się dziwić i chce – a właściwie musi – opowiedzieć.

Książka do nabycia w księgarniach lub przez stronę **wydawnictwowam.pl**; e-book do kupienia na stronie **powszech.net/jagodzinski**.

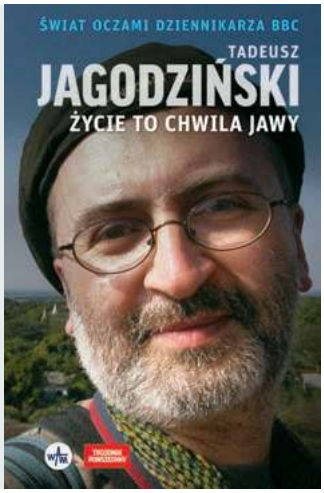

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

WIECZNIE ŻYWI

Mimo ogromnego postępu technologii i medycyny wciąż nie potrafimy uciec śmierci. W przyrodzie występują jednak organizmy w zasadzie nieśmiertelne. Co takiego mają, czego brakuje nam?

SZYMON DROBNIAK

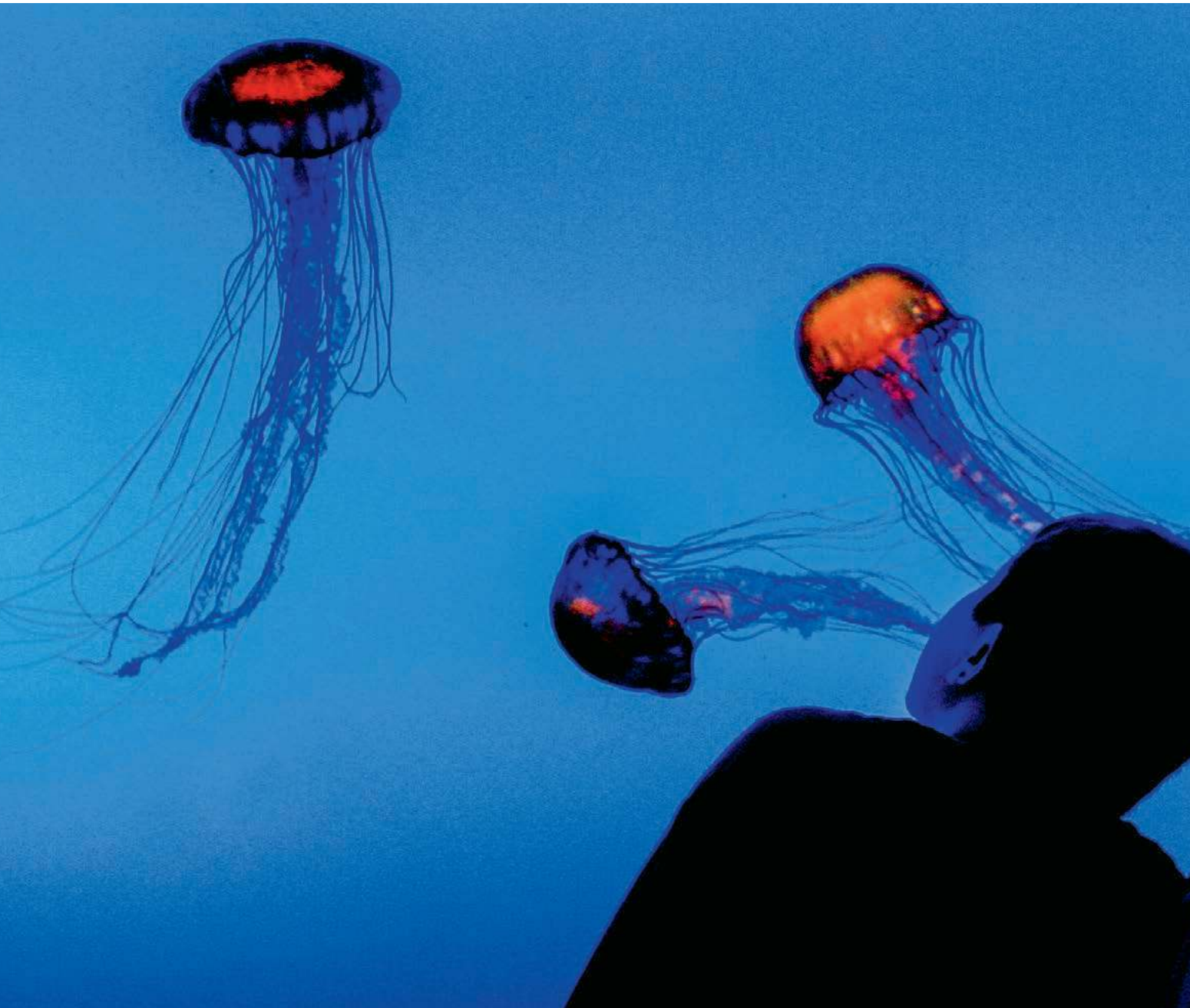

122 LATA I 164 DNI – TO MAKSIMUM, na jakie możemy sobie w tej chwili pozwolić. Rekord długości życia należy do Francuzki Jeanne Calment, która w 1997 r. zmarła z bliżej nieokreślonych przyczyn (oficjalne raporty podają spowodowane starością nagłe pogorszenie stanu zdrowia), przeżywszy przeszło 12 dekad. Ogromna większość z nas nie zbliży się nawet do tego wyniku – przeciętna oczekiwana długość życia człowieka wynosi obecnie na świecie około 71,5 roku, a w najbardziej rozwiniętych krajach świata waha się od 75 do 80 lat dla mężczyzn i 80-90 lat dla kobiet.

Wizja utrzymywania swojej osobowości w stanie wiecznego istnienia – przedstawiona choćby w popularnej powieści „Modyfikowany węgiel" Richarda Morgana, w której osobowość i wspomnienia można powtarzalnie przeszczepiać na specjalnym chipie do nowych lub sklonowanych cielesnych „powłok" – dla wielu byłaby kusząca. Nawet jednak świat „Modyfikowanego węgla" nie oferował całkowitej ucieczki od starzenia się, a jedynie technologię pozwalającą oddzielić świadomość od niszczejącego ciała. Dlaczego starzenie się jest tak nieuniknione i czy przyroda solidarnie z nami skazała wszystkie organizmy żywe na postępujące biologiczne „psucie się" ich ciał i śmierć?

STREETER LECKA / GETTY IMAGES

Ewolucyjna krótkowzroczność

Biolodzy, mówiąc o śmiertelności, wyróżniają dwie grupy jej przyczyn: wewnętrzne, związane ze starzeniem się, oraz zewnętrzne. Ucieczka przed tymi drugimi jest praktycznie niemożliwa – w końcu śmierć mogą w dowolnym momencie wywołać losowe zdarzenia, takie jak spotkanie z drapieżnikiem, atak ciężkiej choroby, wypadki czy katastrofy naturalne. Z tego względu w dowolnej populacji organizmów – nawet teoretycznie niestarzejących się – stopniowo będzie ubywać żywych osobników z czysto przypadkowych przyczyn.

Patrząc na to przez pryzmat fantastycznego świata „Modyfikowanego węgla", możemy sobie wyobrazić, że nawet przy stałym dopływie dostępnych nam nowych „powłok cielesnych" (analogia braku starzenia się) możemy zginąć przez przypadek, jeśli ktoś lub coś zniszczy chip przechowujący naszą świadomość. Biologiczna nieśmiertelność nie będzie więc oznaczać całkowitej odporności na śmierć, ale raczej pozbycie się wewnętrznych, wywołujących starzenie się ciała, przyczyn umierania.

Dlaczego jednak w ogóle się starzejemy? Czy ewolucja nie mogła ukształtować nas i większość żywych organizmów tak, by ten przykry proces usunąć? W końcu jeśli istnieją jakiekolwiek „geny na starzenie się", ewolucja powinna od razu je wyeliminować jako skracające nasze życie i tym samym zmniejszające liczbę potomków, jakich potencjalnie moglibyśmy mieć. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że starzeją się niemal wszystkie organizmy – od roślin i drobnych bezkręgowców, poprzez kręgowce, skończywszy na człowieku. Paradoksalnie proces, który powinien prowadzić do maksymalizacji przeżycia i płodności, sam stworzył psujące się ciała, niepotrafiące uniknąć śmierci ze starości.

Wszystko przez daleko idącą „krótkowzroczność" selekcji naturalnej – jedynego procesu, który jest w stanie oczyszczać populacje organizmów żywych z niekorzystnych, pogarszających przeżycie cech. Selekcja naturalna jest bardzo skuteczna, ale tylko w odniesieniu do cech, które realnie mogą wpłynąć na liczbę pozostawionego przez osobniki potomstwa. Cechy uwidoczniające się późno w ciągu życia osobnika, czyli kiedy zdążył on już się rozmnożyć, są w dużej mierze „niewidzialne" dla selekcji i tym samym mogą gromadzić się w populacjach, prowadząc do nieuniknionego starzenia się.

Co więcej, do wszystkiego dokłada się nieubłagana ekonomia życia. Jak w każdym podobnym systemie, „przychody" (dostępne organizmowi zasoby) muszą bilansować się z „kosztami działalności" (czyli życia). Organizm musi umiejętnie dzielić zasoby pomiędzy utrzymywanie i naprawę własnego organizmu a rozmnażanie, czyli przekazywanie do kolejnych pokoleń swoich genów. Oszczędzanie na naprawie własnego ciała może pozwolić na większy ewolucyjny sukces (większa inwestycja w potomstwo), ale kończy się szybszym „zużyciem" ciała i nieuniknioną śmiercią.

Cała ta logiczna układanka była jednym z największych teoretycznych sukcesów nowoczesnej biologii ewolucyjnej. Dziś jednak wiemy, że biologiczna nieśmiertelność jest faktem i spotkać ją można u kilku dość odległych od siebie ewolucyjnie organizmów. Jeden z nich dosłownie wstrząsnął biologicznym światem naukowym.

Poznajcie nieśmiertelną meduzę.

Życie jako polip

Chyba większość z nas meduzy kojarzy z trzęsącym się, galaretowatym ciałem zbudowanym głównie z wody. Trudno sobie wyobrazić, by nieśmiertelność mogła być cechą tak efemerycznego stworzenia, które nawet swój kształt łatwo traci po wyjęciu ze swojego naturalnego, wodnego środowiska. Faktycznie, meduzy (w tym nasza rodzima bałtycka chełbia modra) to na ogół organizmy stosunkowo krótko żyjące. Większość z nich żyje maksymalnie kilka lat, a najczęściej nie dłużej niż kilka dni do kilku tygodni. Choć dużą część tego czasu spędzają w toni wodnej jako parasolowate twory poruszające się dostojnie ↦

↦ dzięki skurczom swojego ciała, ich życie jest ciekawsze, niż mogłoby się wydawać.

Rozpoczyna się ono pod postacią tzw. polipa, czyli przypominającej ruchomy kwiat struktury przytwierdzonej do dna zbiornika wodnego, która rozwija się z meduziego jaja i po krótszym lub dłuższym osiadłym etapie życia produkuje przez podziały samej siebie młodociane, pływające parasole dojrzałych meduz. Nieśmiertelna meduza – gatunek *Turritopsis dohrnii* – niczym się tutaj nie wyróżnia. Również rozpoczyna życie jako polip (choć faktycznie nieco większy i rozgałęziony, przypominający budową niektóre koralowce). W odpowiednim momencie od polipa zaczynają się oddzielać małe meduzy (średnica dorosłych form to raptem 0,5 cm), które szybko rosną i osiągają dojrzałość płciową. To one są faktycznymi „reproduktorami" – zawierają w swoich parasolach gonady produkujące jaja i plemniki, które dają początek nowym pokoleniom polipów. Cały proces zachodzi dość szybko, a ponieważ gatunek ten ma dość sporą tolerancję na zmieniające się warunki środowiska, nieśmiertelna meduza szybko wydostała się ze swojego oryginalnego, pacyficznego zasięgu i dotarła w zbiornikach balastowych statków do Atlantyku i dalej, aż do Morza Śródziemnego.

Transdyferencjacja

Nieśmiertelną meduzę wyróżnia unikalna zdolność do tzw. transdyferencjacji. Choć brzmi to mocno ezoterycznie, transdyferencjacja to stosunkowo dobrze poznany proces komórkowy. Polega na całkowitej zmianie stopnia zróżnicowania komórek i przekształceniu ich w zupełnie nowy typ. Unikatowość tego zjawiska zasadza się na pominięciu tzw. odróżnicowania się komórek: normalnie, by zmienić swój typ, komórka musi najpierw wrócić do bardziej pierwotnego, macierzystego stanu, by dopiero w następnej kolejności nabrać nowych cech i wyspecjalizować się w innym kierunku.

Transdyferencjacja omija etap niezróżnicowanej komórki macierzystej. Przed odkryciem tego procesu u nieśmiertelnej meduzy znana była ona tylko w laboratorium, gdzie możliwe było jej osiągnięcie poprzez odpowiednie potraktowanie komórek w specjalnej hodowli. Meduzy *Turritopsis dohrnii* przeprowadzają transdyferencjację samodzielnie – i dzięki niej osiągają praktyczną nieśmiertelność. Cały

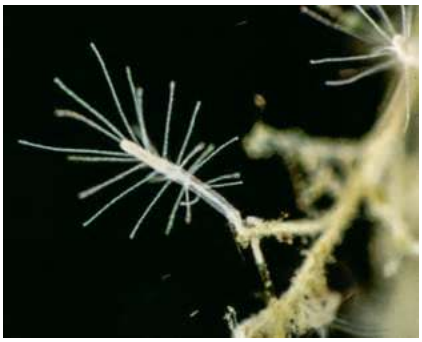

WORMS EDITORIAL BOARD / EOL

Turritopsis dohrnii w formie polipa. Wkrótce podzieli się na meduzy.

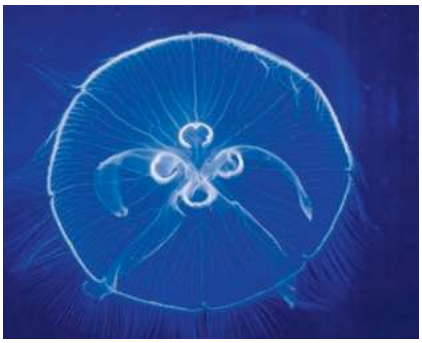

LUCIA HRDA / ALAMY STOCK PHOTO

Meduza Turritopsis dohrnii. Pod wpływem stresu może znów przekształcić się w polipa.

proces zachodzi dość szybko. Pod wpływem trudnych warunków środowiska komórki meduzy ulegają przekształceniu w komórki polipa, ten osiada na dnie zbiornika, zaczyna rosnąć i w krótkim czasie odtwarza strukturę analogiczną do tej, która rozwija się pierwotnie z meduziego jaja.

Polip zaczyna następnie produkować nowe kopie małych meduz, które wracają do toni wodnej i mogą z jednej strony normalnie się rozmnażać, a z drugiej strony – ponownie przejść przez transdyferencjację, unikając śmierci i odmładzając się przez powrót do wczesnych etapów cyklu życiowego. Ponieważ jedyną sytuacją, w której meduza ta może zginąć, jest jej pożarcie przez drapieżnika, infekcja czy inne zdarzenie losowe – jest ona *de facto* nieśmiertelna.

W stułbiowym raju

Jamochłony (do których należą m.in. meduzy) najwyraźniej są predysponowane do nieśmiertelności. Choć transdyferencjacja została jak na razie odkryta tylko u nieśmiertelnej meduzy, inni przedstawiciele jamochłonów też zdają się sprytnie wymykać śmierci. W 2015 r. opublikowane zostały wyniki badań, w czasie których hodowano w idealnych warunkach populację stułbi, czyli jamochłona z rodzaju *Hydra*, znanego ze słodkich wód całego świata. Stułbie w istocie mają w sobie coś z potworów. Nie tylko wszystkie ich komórki mogą się dzielić, dając początek pączkującym nowym osobnikom potomnym, co więcej pokrojone na kawałki stułbie odrastają, odtwarzając kompletne osobniki (zupełnie jak mityczna Hydra, której na miejscu odciętej głowy wyrastały dwie nowe).

Okazało się, że hodowane w stułbiowym raju osobniki umierały tylko w wyniku losowych zdarzeń – szansa utraty życia (czyli śmiertelność) nie rosła u nich wraz z wiekiem (w ogóle się nie zmieniała). Jak wyliczyli autorzy badania, w takich idealnych warunkach stułbia mogłaby żyć ponad 1000 lat – a możliwe, że nawet jeszcze dłużej. Wszystko dzięki temu, że stułbiowe komórki są w istocie komórkami macierzystymi – analogicznymi do ludzkich macierzystych komórek odpowiedzialnych za produkcję wszystkich innych, bardziej wyspecjalizowanych tkanek. To właśnie prostota konstrukcji stułbiowego i meduziego ciała jest najprawdopodobniej kluczem do nieśmiertelności tych organizmów – słabo zróżnicowane i potencjalnie uniwersalne komórki łatwo jest utrzymywać w stanie ciągłej gotowości do życia, nie ponosząc zbyt wielu związanych z tym kosztów.

Cena złożoności

Czy oznacza to, że wszystkie wyższe organizmy skazane są na życie w mrocznym limbo śmiertelności i przemijania? Historia naturalna świata nie jest optymistyczna – choć z pewnością nie jest też bezwzględnie brutalna. Np. homary: w przeciwieństwie do większości zwierząt nie tylko nie tracą one płodności z wiekiem, ale stają się wręcz bardziej płodne! Mało tego – potrafią w swoich komórkach odbudowywać telomery, czyli posiadane przez wszystkie niebakteryjne organizmy „końcówki" DNA, które w ciągu życia osobnika z reguły nieuchronnie się skracają i są swego rodzaju „tykającym" zegarem mierzącym uciekający każdej komórce czas. Niestety, obydwie te cechy nie są w stanie zapewnić homarom nieśmiertelności absolutnej – homar z reguły ginie z wycieńczenia przy którejś z kolei wylince, nie będąc w stanie jej dokończyć (choć trzeba przyznać, że żyjące nawet 30-50 lat homary biją rekordy długowieczności w świecie bezkręgowców).

Pnąc się w górę metaforycznej drabiny życia i dochodząc do zwierząt kręgowych, znajdujemy niestety coraz mniej długowiecznych kandydatów do nieśmiertelności. Każdy zna długożyjące gatunki żółwi z Galapagos czy Seszeli, które potrafią osiągać wiek 170 lat i więcej. Z kolei w wodach Arktyki spotkać można rekina grenlandzkiego, który w 2016 r. okrzyknięty został najbardziej długowiecznym kręgowcem. Radioizotopowe datowanie z użyciem soczewek ocznych tej ryby pozwoliło wskazać osobnika żyjącego na tym świecie prawdopodobnie nawet 500 lat. Przy takim wyniku nie dziwi fakt, że ryba ta potrzebuje aż 150 lat, by osiągnąć dojrzałość płciową. W obydwu przypadkach trudno jednak mówić o nieśmiertelności, choć z naszej perspektywy zarówno żółw, jak i rekin dożywają wieku absolutnie abstrakcyjnego. Żaden człowiek nie byłby w stanie pójść podobną ścieżką ku długowieczności. Podstawowym biologicznym mechanizmem jest w przypadku tych żółwi i rekinów obniżenie kosztów utrzymania organizmu poprzez obniżenie tempa metabolizmu (życie w lodowato zimnej wodzie czy żółwia powolność robią swoje) oraz maksymalne spowolnienie wzrostu. Ciało w takich warunkach zużywa się znacznie wolniej.

W przypadku ludzi nieśmiertelność – sen alchemików i filozofów – to najwyraźniej nie tylko nierealne marzenie, ale wręcz biologiczna niemożliwość. Jako bardzo rozwinięte eukarionty zapłaciliśmy sporą cenę za zdolność do podbijania i podporządkowywania sobie świata. Nasza biologia, utrzymująca bardzo jaskrawy rozdział tkanek na te „codziennego użytku" (somatyczne) oraz płciowe, czyli te dające początek komórkom jajowym i plemnikom – jeszcze bardziej zdeterminowała zużywalny, jednorazowy charakter naszych ciał. Wiele naszych cech to wręcz szkodliwe fanaberie z punktu widzenia długowieczności. Choćby mózgi – potężne komputery pozwalające nam rozwiązywać tajemnice rzeczywistości to na starość tylko balast proszący się o awarię i narażający nas na szybszą utratę życia.

Korzyści z posiadania babci

Oczywiście ewolucja człowieka wiele zrobiła także w drugą stronę, w kierunku wydłużenia naszego życia. Np. utrzymywanie w populacji starszych osobników, a zwłaszcza kobiet w wieku poreprodukcyjnym, było ewolucyjnie trudne do wyjaśnienia. Okazało się jednak, że miało ogromny sens dzięki wkładowi takich osób w opiekę nad kolejnymi, młodocianymi pokoleniami oraz magazynowanie przekazywanej ustnie wiedzy i tradycji.

Jeszcze więcej zrobiliśmy sami, świadomie kształtując naszą niszę ekologiczną (a raczej stopniowo usuwając jej ograniczenia), tworząc technologię i medycynę – wszystko po to, by uciec bezlitosnej presji selekcji naturalnej. Efekty widać jak na dłoni: średnia przewidywana długość życia nowo narodzonych ludzi wydłużyła się od paleolitu o ponad 50 lat – i wszystko wskazuje na to, że rośnie nadal. Może więc w bliżej nieokreślonej przyszłości, będziemy wiecznie żywi?

Xiao Dong i współpracownicy niestety i tę nadzieję brutalnie pogrzebali, publikując w 2016 r. w „Nature" wyniki swoich analiz demograficznych. Spojrzeli na częstość pojawiania się oraz średnią maksymalną długość życia stulatków w różnych ludzkich populacjach. Okazało się, że mniej więcej od lat 80.-90. ubiegłego wieku stopniowo słabnie trend wzrostowy długowieczności ludzkich społeczeństw. Wiek 120 lat może więc być biologiczną barierą nie do przejścia dla naszego gatunku. Oczywiście – jak każdą barierę biologiczną, tak i tę możemy próbować forsować. Technologią, inżynierią genetyczną czy innymi sposobami rodem z literatury *science fiction*. „Modyfikowany węgiel" podpowiada nam jedną z wersji takiej przyszłości – każdy, kto czytał tę książkę lub ogląda serial, wie jednak, że wraz z nieśmiertelnością wychodzą na wierzch zupełnie nowe, jeszcze mroczniejsze cechy naszych umysłów. Czy warto?

Badając meduzy, stułbie i rekiny, nie dowiemy się tego – ale przecież nie po to chcemy odkrywać złożoność i tajniki biologii. Zwłaszcza że za życia naszych pokoleń nauka tylko taką nieśmiertelność ma na wyciągnięcie ręki.

© SZYMON DROBNIAK

Autor jest biologiem ewolucyjnym, pracownikiem Instytutu Nauk o Środowisku Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Sydney.

REKLAMA

COPERNICUS
FESTIVAL

O TYM, CO MOŻLIWE, KONIECZNE I RZECZYWISTE

Dzisiejsza nauka zdaje się potwierdzać obserwację Pascala, że gdyby nos Kleopatry był choć odrobinę krótszy, inne byłyby losy świata. Podczas Copernicus Festival 2018 zastanowimy się nad przypadkiem.

TEKST ŁUKASZ LAMŻA, OBRAZY RYSZARD WINIARSKI

Fundamentalne pytania filozoficzne uznawane są, nie bez przyczyny, za słaby temat do szybkiej, niezobowiązującej pogawędki. Czasami jednak na głębokie pytanie można odpowiedzieć sporo, nie oddając się przy tym żadnym autorskim spekulacjom. Przyjrzyjmy się trzem fundamentalnym problemom leżącym gdzieś na styku między metafizyką a filozofią przyrody, które należą do tej właśnie grupy. Przekonamy się, że wiedzieć – to jedno, a uświadamiać sobie konsekwencje tej wiedzy – to drugie.

Po pierwsze: czy wszystko jest konieczne?

Inaczej mówiąc, czy każde zdarzenie – wtedy, kiedy następuje i właśnie w tym miejscu, a nie innym – musiało zajść?

Filozof prawdopodobnie zinterpretuje to jako pytanie o determinizm, a po chwili doda, że rozróżniamy dwa rodzaje determinizmu: ontologiczny i epistemologiczny. Ponieważ akurat w tym przypadku filozoficzny zwyczaj rozdzielania włosa na czworo jest nie tylko pożyteczny, ale wręcz konieczny, zapoznajmy się z tymi pojęciami.

Tezę determinizmu ontologicznego – czyli dotyczącego bytu (nieformalnie: „tego, jak jest naprawdę w świecie") – można wyrazić tak: obecny stan wszechświata wynika całkowicie z jego stanu w chwili wcześniejszej.

Natomiast tezę determinizmu epistemologicznego, czyli dotyczącego wiedzy, tak: obecny stan wszechświata da się całkowicie przewidzieć z jego stanu w chwili wcześniejszej. Obydwie wersje można oczywiście rozciągnąć dowolnie daleko w przeszłość i przyszłość, są więc one równoważne tezom o całkowitym ustaleniu historii wszechświata od pierwszego momentu jego istnienia.

Możliwe są przy tym różne kombinacje tych determinizmów i ich przeciwieństw, czyli indeterminizmów. Można być, przykładowo, deterministą ontologicznym, ale indeterministą epistemologicznym (DOIE): uważać, że świat rzeczywiście został „ustalony" już w pierwszej mikrosekundzie istnienia wszechświata, jednak ludziom – z racji naszych nieprzekraczalnych ograniczeń poznawczych – nigdy nie będzie dane posiąść wiedzy o jego przyszłości. Świat w takim razie byłby poniekąd odtwarzaniem uprzednio nagranego filmu, lecz występujący w nim aktorzy pozostawaliby błogo nieświadomi jego zakończenia. Jedyna niedozwolona kombinacja to indeterminizm ontologiczny plus determinizm epistemologiczny (IODE): w takim przypadku historia świata nie byłaby obiektywnie ustalona, jednak my jakimś sposobem i tak bylibyśmy w stanie ją przewidywać ze stuprocentową pewnością.

Kwantowy indeterminizm

Co ciekawe, dzisiejsza wiedza naukowa wydaje się stanowczo prowadzić do światopoglądu IOIE – świata w dwójnasób niezdeterminowanego. Główną odpowiedzialną za to jest fizyka kwantowa, która wprowadziła indeterminizm ontologiczny do opisu świata mikroskopowego. Co to znaczy w praktyce?

Rozważmy prosty układ. Z działka elektronowego wystrzelony zostaje pojedynczy elektron w kierunku dwóch zbliżonych do siebie atomów, które określamy jako górny (G) i dolny (D). Przypuśćmy, że istnieją tylko dwa możliwe stany końcowe: elektron przyłączy się albo do atomu G, albo do atomu D (tzn. nigdy nie przeleci swobodnie obok nich). Wykonujemy następnie doświadczenie myślowe. Wystrzeliwujemy elektron i zatrzymujemy czas, zadając pytanie: co się stanie z tą cząstką?

Intuicje klasyczne prowadzą do następującego toku myślenia: powinniśmy w tym momencie bardzo dokładnie zmie-

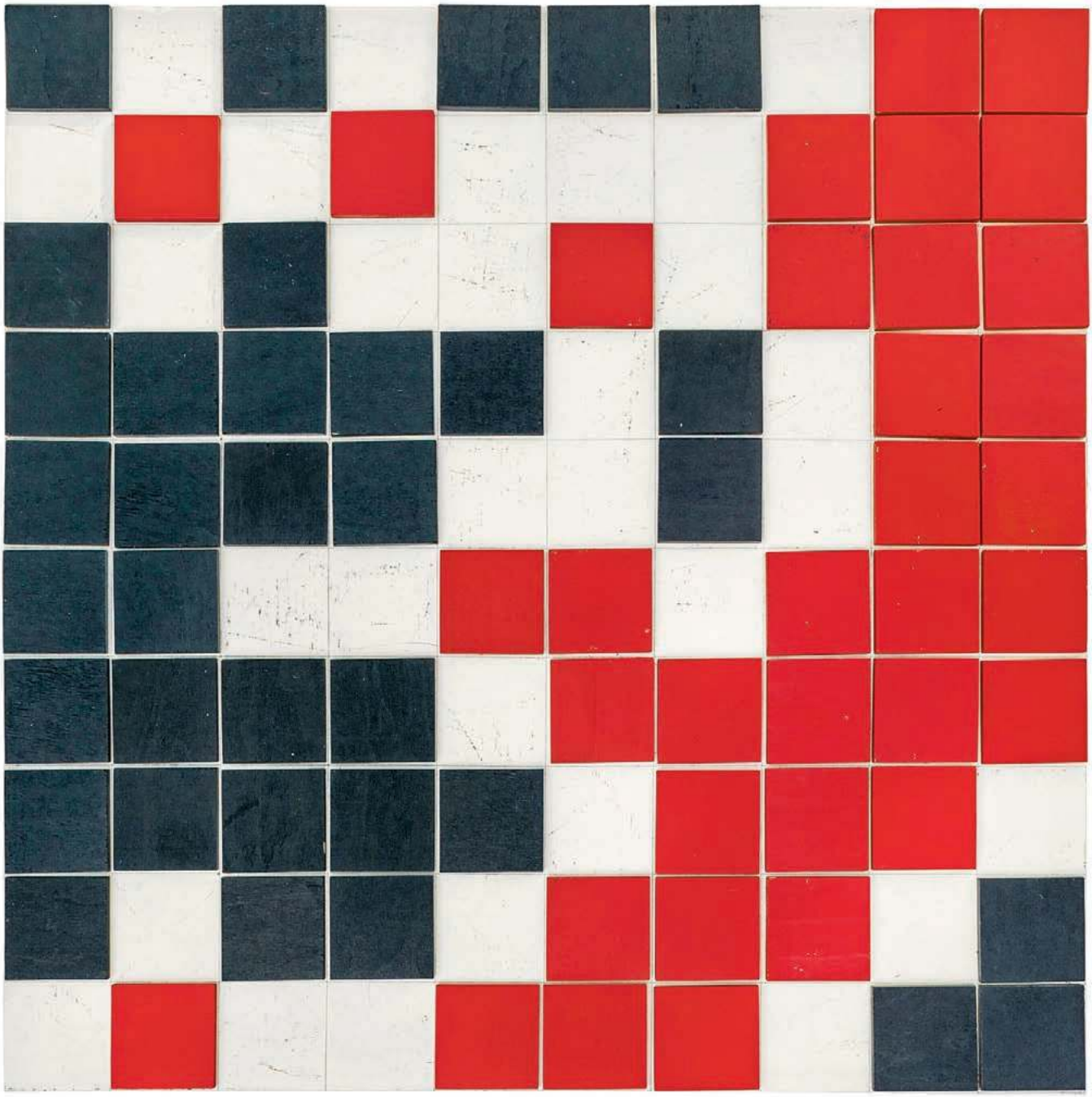

„Gra nr 5", 1976 r.

rzyć kierunek ruchu elektronu. Jeżeli leci on nieco bardziej ku górze, trafi w atom G. Jeżeli nieco bardziej w dół, w atom D. Elektron, który znajdzie się ostatecznie w stanie G, musi w końcu różnić się czymś od takiego, który trafi ostatecznie do atomu D, prawda? I tu jest pies pogrzebany. Mechanika kwantowa mówi nam, że nawet pełna wiedza o stanie elektronu tuż po jego wystrzeleniu z działka nie pozwala na przewidywanie, jaki będzie jego stan końcowy.

Nasze trudne do wykorzenienia przyzwyczajenia podpowiadają w tym momencie, że być może chodzi tu o indeterminizm epistemologiczny.

„Hm... – moglibyśmy pomyśleć. – Być może »pełna wiedza« o elektronie nie jest tak naprawdę pełna?".

Jest to zdrowy odruch, w którym zresztą zdaje się nas utwierdzać choćby słynna zasada nieoznaczoności Heisenberga. W tradycyjnym sformułowaniu głosi ona, że „nie można określić z dowolnie dużą dokładnością" par zmiennych, tzw. zmiennych sprzężonych, np. położenia i pędu, danej cząstki. Wydaje się więc, że mowa cały czas o ograniczeniach wiedzy ludzkiej, co mogłoby prowadzić do przyjęcia modelu DOIE. Otóż nie!

Za każdym razem, gdy mowa o pełnym ustaleniu stanu układu, chodzi również o rzeczywisty, obiektywny stan świata. Dla potrzeb dramaturgicznych można by powiedzieć, że „nawet sam Bóg" nie byłby w stanie przewidzieć losów tego układu; odwołując się do metafory ukutej przez (uparcie przeciwnego tej idei) Alberta Einsteina – w momencie, gdy elektron zbliża się do dwóch atomów, Bóg rzuca kością. Inaczej mówiąc, stan końcowy tego elektronu nie jest „zakodowany" w jego stanie ↦

↦ na początku eksperymentu. Jeszcze inaczej mówiąc, dwa dokładnie identyczne elektrony w dokładnie identycznych warunkach mogą mieć różną ewolucję (przybierać różne trajektorie).

Przez większą część XX wieku trwały próby obalenia indeterminizmu mechaniki kwantowej. Zasadniczym postulatem było istnienie tzw. zmiennych ukrytych: parametrów elektronu, które – choć ukryte przed eksperymentatorami – w rzeczywistości determinują jego przyszłe losy. Nic z tego: nie tylko żaden konkretny model tego typu nie spotkał się z potwierdzeniem, ale ponadto udało się wykluczyć, na płaszczyźnie teoretycznej potwierdzonej dziesiątkami starannych eksperymentów, możliwość jakiejkolwiek teorii zmiennych ukrytych (więcej na ten temat w tekście Michała Ecksteina i Pawła Horodeckiego „Historia pewnej nierówności", „TP" 13/2017, dodatek „Wielkie Pytania. Przełomy w fizyce" czytaj na powszech.net/wp9). Dziś społeczność fizyków mówi niemal jednym głosem: z obecnego stanu wszechświata nie wynika jego stan przyszły. Żyjemy więc w świecie otwartym, a na pierwsze z naszych pytań można spokojnie odpowiedzieć: „Według najlepszej współczesnej wiedzy dostępnej ludzkości – nie".

Po drugie: czy wszystko jest możliwe?

Zacznijmy od klasycznego sformułowania tego pytania. Odłóżmy na bok mechanikę kwantową i wróćmy do świata, który daje się wyczerpująco opisać przez położenia i prędkości (właściwie: położenia i pędy) wielkiej liczby cząstek. Jest to świat tak prosty, że wierzyli w niego już Lukrecjusz i Demokryt. Pytanie brzmi więc: czy każda konfiguracja cząstek jest możliwa?

Fizycy klasyczni, zwłaszcza zajmujący się prawdopodobieństwem, jak Ludwig Boltzmann, zwykle odpowiadali na to pytanie twierdząco: tak, wszystko jest możliwe, przy czym pewne ewentualności są jedynie skrajnie mało prawdopodobne. A oto i dramatyczna ilustracja: „mózg Boltzmanna", czyli obiekt – utworzony gdzieś w przestrzeni kosmicznej wskutek szaleńczo mało prawdopodobnego zbicia się ze sobą cząsteczek gazu galaktycznego – o strukturze i dynamice rzeczywistego mózgu ludzkiego.

Przypuśćmy, że jest to kopia – atom w atom – twojego właśnie mózgu, gdy czytasz te słowa. „Mózg Boltzmanna", zawieszony w pustej przestrzeni gdzieś za Mgławicą Oriona, myślałby, że ma oczy, i ciało, i że czyta sobie spokojnie artykuł. Miałoby to być bardzo mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Ba! Istnieją filozofowie, którzy uważają, że powstanie takiego „mózgu Boltzmanna" jest i tak bardziej prawdopodobne od wyewoluowania inteligentnego życia na planecie, przez co statystycznie wylosowany we wszechświecie akt świadomości dokonuje się raczej w jednym z mózgów Boltzmanna niż w rzeczywistym układzie nerwowym jakiejś miękkiej, cielesnej istotki otoczonej biosferą, z której się wywodzi.

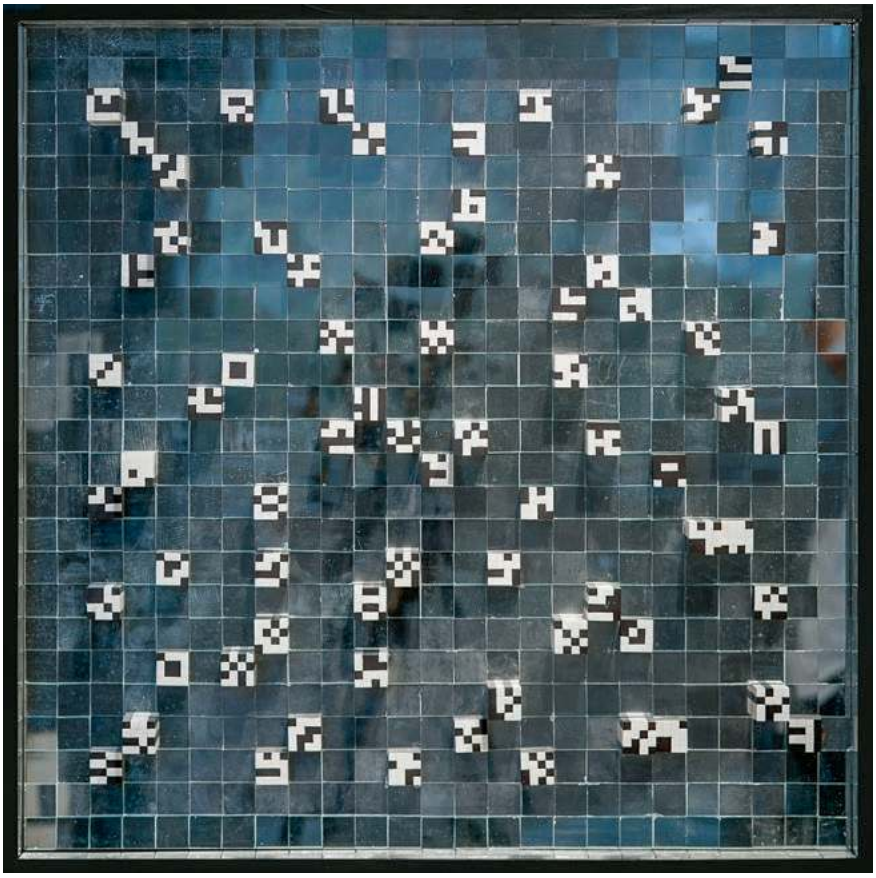

„Obszar 53. Obszar statystyczny z uwzględnieniem trzeciego wymiaru", 1971 r.

Gdy elektron zbliża się **do dwóch atomów, Bóg rzuca kością.** Inaczej mówiąc, stan końcowy tego elektronu nie jest „zakodowany" w jego stanie na początku eksperymentu.

Rozbita filiżanka

Tradycyjnie podawany jest również przykład „puszczonego od tyłu" filmu z rozbicia się filiżanki z kawą, strąconej ze stołu. Prawa fizyki klasycznej są bowiem symetryczne w czasie, co oznacza, że jeśli możliwe jest, że ze stołu spada filiżanka z kawą, która następnie się roztrzaskuje, zaś płyn wsiąka w dywan, to możliwe jest też, że leżące na dywanie okruchy zaczynają w pewnym momencie podskakiwać i zlepiać się ze sobą, a plama kawy spontaniczne zbiera się w jednym miejscu i wskakuje do sklejającej się w locie filiżanki, po czym cała ta struktura wskakuje na biurko. Miałoby to być możliwe, ale skrajnie mało prawdopodobne.

Przyjrzyjmy się temu przykładowi bliżej. Skąd właściwie bierze się energia pozwalająca okruchom ceramiki na pokonanie siły grawitacji i wskoczenie na biurko? W scenariuszu pierwotnym („normalnym") filiżanka przekazuje swoją energię kinetyczną podłodze – po pomieszczeniu rozchodzą się następnie fale mechaniczne: część w podłodze, a część, określana jako fale akustyczne, w powietrzu. Energia ta jest przez nas odbierana jako dźwięk tłuczonej ceramiki. Gdybyśmy mieli rzeczywiście doświadczyć scenariusza odwrot-

„Obszar 101. Próba losowego rozdzielenia obszaru na cztery płaszczyzny", 1972 r.

RYSZARD WINIARSKI (1936–2006) był malarzem, twórcą form przestrzennych i scenografii, studiował na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej, a następnie Wydziale Malarstwa w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie później był profesorem. Podczas studiów w ASP uczestniczył w seminarium Mieczysława Porębskiego, poświęconym związkom sztuki i nauki, co miało istotne znaczenie dla jego dalszej drogi. Jego „Próby wizualnej reprezentacji rozkładów statystycznych" stanowiły przełożenie zagadnień z obszaru nauk ścisłych, takich jak statystyka, teoria gier, rachunek prawdopodobieństwa, na język sztuki. Rezultatem były dzieła chłodne i pozbawione emocji, obrazy złożone z białych i czarnych kwadratowych pól o układzie uzależnionym od przypadku (rzut kostką, losowanie), choć punkt wyjścia zaprogramowany został przez artystę. Winiarski dokonywał w swoich pracach przekroczenia funkcji i pojęcia tradycyjnie rozumianego dzieła plastycznego. Nie odrzucał jego materialnej obecności, najważniejszy jednak był przyjęty system zaplanowanych operacji myślowych. Gra z mechanizmem przypadku służyła do poznawania świata. Interesowało go też wejście w przestrzeń: „Na płaskich powierzchniach – pisze Ewa Gorządek – które przybierały kształty już nie tylko tradycyjnego prostokąta lub kwadratu, ale także rombu lub wysokich, cienkich listewek, pojawiała się gra z iluzją perspektywiczną. Już w 1968 r. zaczął tworzyć programy, w wyniku których powstawały prace wielobarwne, reliefowe struktury wizualne, a nawet formy kinetyczne".
A Porębski zauważał, że Winiarski „stara się na różne sposoby nawiązywać kontakt z widzem, aktywizować go i włączać w tworzone sytuacje myślowo-przestrzenne" i że podejmując odwieczny problem miejsca przypadku i decyzji w procesie twórczym „znalazł dla niego rozwiązanie oryginalne i własne, rozwijane i wzbogacane z rzadko spotykaną jasnością i konsekwencją". W twórczości Winiarskiego odnajdywał „bardzo osobistą i zarazem bardzo współczesną filozofię: odrębną, własną ontologiczną koncepcję świata i jego losowej struktury". I podkreślał: „Jedyny to znany mi przykład metodycznego dyskursu filozoficznego nie mówionego, nie pisanego, ale wizualizowanego". ©℗ TF

Obrazy Ryszarda Winiarskiego pochodzą z Kolekcji Anny i Jerzego Staraków.

nego, musielibyśmy wcześniej usłyszeć „puszczony od tyłu" dźwięk roztrzaskującej się filiżanki i poczuć mrowienie w stopach, wędrujące ku rozbitej na podłodze filiżance. Owe fale dźwiękowe i wibracje skumulowałyby się następnie pod okruchami filiżanki, wypychając je ku górze. Nie zapominajmy bowiem, że mówimy cały czas o scenariuszach zgodnych z prawami fizyki.

Choć więc przedziwny przypadek odpowiadający odwróconemu w czasie stłuczeniu filiżanki – razem z poprzedzającym go niepokojącym odgłosem – należy do kategorii scenariuszy „skrajnie mało prawdopodobnych, lecz możliwych", to łatwo opisać scenariusz, który by nie mógł mieć miejsca. Niemożliwa byłaby np. historia, w której składaniu się filiżanki nie towarzyszy odwrócony w czasie odgłos jej tłuczenia ani ślad po żadnym innym źródle energii pozwalającym okruchom wskoczyć na biurko. Cóż, każdy naprawdę możliwy scenariusz musi respektować prawo zachowania energii.

Prawa przyrody

Ten przykład ilustruje prostą prawdę: istotnym zastrzeżeniem tezy, że „nawet wariacko nieprawdopodobne zdarzenia są technicznie możliwe", jest to, że zdarzenia owe muszą być zgodne z prawami przyrody. Sęk w tym, iż bardzo trudno powiedzieć, co kwalifikuje się jako prawo przyrody.

Fizycy lubią mówić o prawach fizyki – zwłaszcza o prawach zachowania – jako o „fundamentalnych" zasadach rządzących wszechświatem.

Co jednak z prawami mniej fundamentalnymi? Czy prawa chemii też muszą zostać spełnione? A prawa geologii albo biologii? Czy z ojca żyrafy i matki żyrafy może narodzić się jeżozwierz? Jakie właściwie prawo przyrody tego zakazuje? Jak ma się to do scenariusza Boltzmanna? Czy możliwe jest, że któregoś dnia pewien przedziwny zbieg skrajnie rzadkich trajektorii atomów spowoduje wyłonienie się z łona matki-żyrafy zwierzątka, które okaże się młodym jeżozwierzem?

Bardzo trudno wskazać na konkretne prawo, które wydawałoby się tego apodyktycznie zabraniać. Owszem – można by argumentować – narodziny jeżozwierza z żyrafich rodziców są skrajnie mało prawdopodobne; tak mało prawdopodobne, że prawie niemożliwe. Kusi, by powiedzieć: ↦

↦ „tak mało prawdopodobne, że nigdy się to nie zdarzy".

Na drugie pytanie odpowiedzmy więc na razie połowicznie: „Tak, może wydarzyć się wszystko, czego nie zabraniają prawa przyrody", przy czym otwarte pozostaje pytanie, czy wszystko rzeczywiście się wydarzy.

Po trzecie: czy wszystko, co jest możliwe, jest też rzeczywiste?

W praktyce chodzi o nieskończoność świata. Jeżeli wszechświat jest nieskończony i jeżeli zaczynamy od czysto losowych położeń i prędkości cząstek, to gdzieś zrealizuje się każdy możliwy scenariusz – tak przynajmniej mówi fizyka klasyczna. W ostatnich dekadach rozumowanie to zrobiło wielką karierę w kontekście tzw. problemu precyzyjnego dostrojenia (ang. *fine-tuning*). W dużym skrócie: powstanie człowieka wydaje się być uzależnione, na poziomie fizyki podstawowej, od wielu czynników, których nic nie wydaje się ograniczać. Proste manipulacje z fundamentalnymi parametrami fizycznymi zdają się prowadzić do powstania świata, który nie nadaje się na dom dla nas – ludzi. Przykładowo, gdyby grawitacja była nieco „silniejsza", cała materia we wszechświecie zapadłaby się do postaci czarnych dziur i nie mogłyby powstać nie tylko gwiazdy i planety, ale nawet i same pierwiastki cięższe od wodoru i helu, z których zbudowane są niemal wszystkie struktury chemiczne we wszechświecie.

Od lat 70. XX w. modne zaczęło być wyszukiwanie tego typu „koincydencji antropicznych" – wyjątkowych, jak twierdzą niektórzy, zbiegów okoliczności, które sprawiły, że ostatecznie istniejemy. Pomińmy może w tym miejscu narzucające się wątpliwości wobec tego rozumowania. Skupmy się na argumencie statystycznym, który miałby nas wybawić od konkluzji, że nasz wszechświat został bardzo starannie dostrojony. W domyśle: przez Kogoś.

Jeśli istnieje dowolnie dużo wszechświatów, w których realizowane są wszystkie możliwe kombinacje parametrów fizycznych, to gdzieś na pewno znajduje się i taki wszechświat – będący akurat naszym wszechświatem – w którym jest to kombinacja szczęśliwa. I dalej: jeśli, nawet w ramach naszego świata, powstanie człowieka wymagało przedziwnego zbiegu okoliczności (np. uderzenia w Ziemię asteroidy we właściwym miejscu i czasie), to w nieskończonym przestrzennie wszechświecie, w którym występuje nieskończona liczba planet, gdzieś na pewno znajduje się i taka, gdzie do tego zbiegu okoliczności doszło.

Choć nieskończona liczba wszechświatów pozostaje słabo uzasadnioną fantazją matematyczną, to nieskończoność przestrzenna naszego wszechświata wydaje się być dobrze, jeśli nie najlepiej, potwierdzaną przez dotychczasowe pomiary astronomiczne hipotezą na temat jego struktury. Na chwilę obecną wydaje się, że wszechświat zdecydowanie może być nieskończony (w tym sensie, że licząc znajdujące się w nim gwiazdy, nigdy nie natrafimy na ostatnią).

Zmienne dyskretne

Czy oznacza to jednak z konieczności, że realizuje się w nim wszystko, co możliwe? Niezupełnie. Zauważmy, że liczba cząstek znajdujących się w dowolnej wybranej objętości wszechświata jest skończona (policzalna), podczas gdy liczba sposobów, na jakie można je uporządkować, jest nieskończona. Cząsteczki to nie kostki Rubika albo piksele obrazka na monitorze komputera, które można uporządkować na skończoną liczbę sposobów. Mówiąc już językiem technicznym fizyki, obok zmiennych dyskretnych (takich, które mogą przyjąć tylko ograniczoną liczbę wartości, zmienną dyskretną jest np. liczba cząstek w danym układzie) występują też zmienne ciągłe (takie, które zawsze mogą przyjąć wartość pośrednią między dwiema dowolnymi wartościami, taką jest np. prędkość cząstki).

Szacuje się, że w tzw. obserwowalnym wszechświecie znajduje się ok. 10^{80} cząstek. Jest oczywiste, że nie jest realizowana przez nie każda możliwa prędkość z zakresu 0–300 000 km/s. Ba, nie da się wymienić wszystkich możliwych prędkości, co matematyk skwitowałby stwierdzeniem, że liczby rzeczywiste nie są policzalne – o ile można wymienić wszystkie liczby całkowite z przedziału 0–300 000 („0, 1, 2, ... 300 000. Skończyłem!"), nie da się wymienić wszystkich w ogóle liczb w tym zakresie. Gdyby rzeczywistość była skokowa, np. prędkości występowały tylko w wielokrotnościach pewnej, choćby minimalnej, jednostki elementarnej, rzeczywiście dałoby się w pewnym momencie wyczerpać wszystkie możliwości. Tak jednak nie jest. Oznacza to, że wszystkie możliwe konfiguracje cząstek, które opisywane są zmiennymi dyskretnymi, nigdy nie zostaną wyczerpane nawet w nieskończonym wszechświecie.

Z drugiej strony, w nieskończonym wszechświecie dowolnie wyobrażona dozwolona konfiguracja cząstek zostaje gdzieś zrealizowana z dowolnie dużą dokładnością. Inaczej mówiąc, jeżeli zadaję pytanie, czy istnieje gdzieś kopia Ziemi, identyczna z naszą planetą, za wyjątkiem jednej jedynej różnicy – w pokoju Łukasza Lamży jedna z książek wysunięta jest o ćwierć milimetra dalej – to muszę odpowiedzieć: „Tak", ale z jednym ważnym zastrzeżeniem: o ile jest to dozwolone przez prawa fizyki lub też, inaczej mówiąc, jeśli istnieje poprawna fizycznie historia, w której odbijające się przez 13,7 mld lat cząsteczki układają się lokalnie w taką właśnie lekko zmodyfikowaną wersję Ziemi.

Niestabilna ewolucja

I tu ujawnia się problem, który pozostaje na razie nierozwiązany (co powinno nas ucieszyć, bo przecież wszyscy kochamy nierozwiązane problemy filozoficzne): nie wiadomo, jak duży jest rzeczywisty stopień swobody w ewolucji wszechświata. Spójrzmy na to z punktu widzenia wszechwiedzącego Demona, który przygląda się światu w pierwszej milisekundzie jego istnienia i posiada zdolność dowolnie precyzyjnego manipulowania cząstkami, a ponadto od razu wie, jakie będą konsekwencje jego ingerencji. Pytanie brzmi, czy istnieje taka możliwość delikatnego poprzesuwania cząstek (a może tylko jednej cząstki), aby pozostawiony sobie świat doprowadził do powstania identycznej kopii Ziemi, przy czym w tym jednym pokoju ta jedna książka byłaby nieznacznie przesunięta?

Hipoteza stabilnej ewolucji wszechświata głosiłaby, że duże zmiany wywołują duże zmiany, zaś małe zmiany – małe zmiany. Nasz Demon, odpowiednio precyzyjnie manipulując początkowymi położeniami cząstek, mógłby więc tym samym dowolnie precyzyjnie manipulować dzisiejszym stanem wszechświata. Świat wcale jednak nie musi być stabilny w tym sensie; wydaje się wręcz, że po prostu nie jest. Mogłoby być np. tak, że ta modyfikacja musi w konieczności iść w parze z inną, tj. nasz Demon, manipulujący odpowiednią cząstką z najwyższą precyzją tak, aby w toku ewolucji wszechświata moja książka była nieco bardziej wysu-

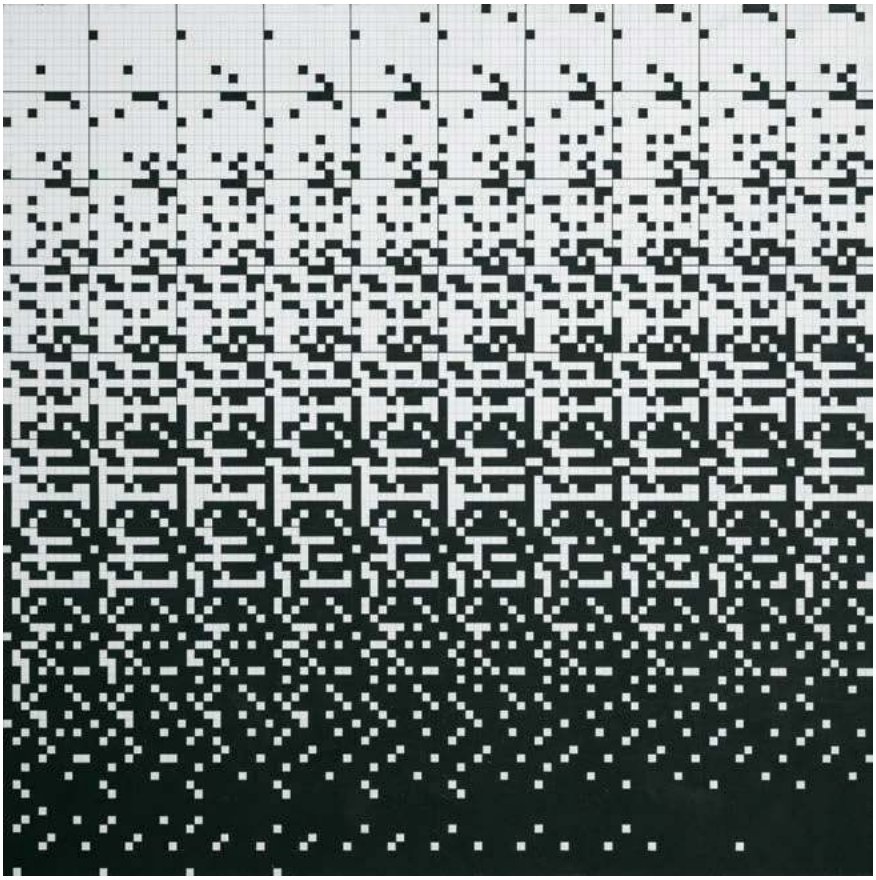

„Chance in game", 1990 r.

nięta, zauważyłby jednocześnie, że gdzieś w Singapurze komuś nagle zacina się parasol, a ząbki indeksów giełdowych zaczynają się rozjeżdżać.

Przeformułujmy ten problem do postaci pytania: czy da się wyobrazić sobie wszechświat, który pod każdym innym względem jest ściśle identyczny z naszym, przy czym dramatopisarz William Szekspir pisze w nim sztukę zatytułowaną „Romeo i Krycha", która przechodzi do historii jako jedna z najsłynniejszych historii miłosnych? Boltzmann odpowiedziałby chyba, że tak, jest taka możliwość – ponieważ da się opisać położenia i pędy cząstek odpowiadające takiemu światu.

Bez odpowiedzi

Do dziś pytanie to pozostaje bez definitywnej odpowiedzi, choć istnieją sugestywne wskazówki – pochodzące głównie z gałęzi fizyki matematycznej określanej jako teoria chaosu – że „Romeo i Krycha" jednak nie jest możliwością, ponieważ świat cechuje się potężną czułością na warunki początkowe. Najdrobniejsza nawet zmiana potrafi rozprzestrzeniać się i zmieniać losy całego układu. Aby mogła powstać tak zatytułowana sztuka, przy zachowaniu reszty stanu wszechświata bez zmian, musielibyśmy ochronić cały wszechświat przed skutkami odmiennego układu tuszu na niezliczonych wydaniach tej sztuki, ochronić wszystkie Krystyny i Julie świata przed skutkami ich utożsamiania się – lub nie – z tytułową bohaterką sztuki Szekspira.

Potwierdzałaby się więc obserwacja Pascala, że gdyby nos Kleopatry był choć odrobinę krótszy, inne byłyby losy świata. Zupełnie dosłownie – tak. Istnieje piękne doświadczenie z tzw. wahadłem magnetycznym, które ilustruje fakt, że przesunięcie prostego wahadełka nawet o odległość odpowiadającą średnicy pojedynczego atomu może sprawić, że jego przyszłe losy będą jakościowo inne. Istnieje dziś solidna racjonalna podstawa dla przypuszczenia, że przesunięcie jednego atomu o połowę jego średnicy w bok może doprowadzić do wybuchu wojny albo wielkiego odkrycia, albo niczego szczególnego. I nie ma sposobu, aby przewidzieć, która z tych ewentualności zajdzie.

Jest to myśl tyleż uwznioślająca, co paraliżująca – nasz dzisiejszy drobny akt życzliwości w kolejce do mięsnego może uchronić świat przed III wojną światową. Równie dobrze może jednak ją na nas sprowadzić. Tożsamość każdego z nas, nasze imię, charakter i nasza data śmierci mogą być uzależnione od tego, czy paręset tysięcy lat temu na afrykańskim stepie pewien słabnący z głodu *Homo erectus* ostatecznie zdołał – czy nie zdołał – skrzesać ogień, który uratował – lub nie – grupkę przerażonych hominidów przed atakiem lwów w tę ostatnią noc przed osiedleniem się nad bezpiecznym jeziorkiem kilka kilometrów dalej. To zaś mogło zawisnąć na tym jednym ziarenku kwarcu, które trysnęło iskrą – lub nie – przy owym ostatnim, znużonym ruchu ręką, po którym zwisła już ona bezwładnie obok owłosionego uda...

Ostateczny cios idei stabilnego wszechświata zadaje zaś indeterminizm kwantowy. Nasz Demon nie tylko nie byłby w stanie przewidzieć przyszłych losów wszechświata (lub też, dwukrotnie analizując historię wszechświata o dokładnie takim samym stanie początkowym, uzyskałby różne przewidywania), ale ponadto nie byłby w stanie w ogóle dowolnie szczegółowo sprecyzować jego stanu.

W jakim świecie żyjemy?

Gdy zbierze się w jednym miejscu te wszystkie, względnie bezpieczne i niekontrowersyjne obserwacje, wyłania się z nich niezwykły obraz świata. Jest to bowiem świat najzupełniej otwarty, który przy tym mógłby być inny, a jednak niepodobna orzec, czy swobodnie wyimaginowana przez nas alternatywna historia – choćby najbardziej niewinnie różniąca się od rzeczywistej – jest możliwa.

Wreszcie, każdy proces i każda zmiana mogą błyskawicznie promieniować na cały świat i zasadniczo zmienić jego losy. Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, czy dany segment świata należy do tych bardziej stabilnych, czy też przypomina nóż postawiony na czubku, a nasze głośniejsze westchnięcie sprawi, że za chwilę nóż ten wbije się komuś w stopę – lub nie.

To ciekawy świat. © ŁUKASZ LAMŻA

COPERNICUS FESTIVAL 2018: PRZYPADEK

Piąta edycja naukowo-kulturalnego festiwalu Copernicus odbędzie się od 22 do 27 maja w Krakowie i dotyczyć będzie pojęcia przypadku.
W ramach wykładów, dyskusji, spotkań, lekcji dla uczniów i licealistów, warsztatów, koncertów, wystaw oraz pokazów filmowych zajmiemy się tematami takimi jak losowość, prawdopodobieństwo, wolna wola, konieczność czy szczęście.
Program wydarzeń wkrótce dostępny na **www.copernicusfestival.com**

ŚWIATY BIZARNE

OLGA TOKARCZUK, PISARKA:

W naszym słowniku jest kilkadziesiąt procent obcych słów, które zostały spolszczone. To desant z Czech, Węgier, Francji, Niemiec, Turcji... Język odzwierciedla nasze położenie – jesteśmy mieszanką, co uważam za wartość.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Zawsze masz przy sobie notes do zapisywania pomysłów?

OLGA TOKARCZUK: Mam dwa – duży i mały. Nawet jedno zapisane słowo już mi wystarcza. Wieczorem siadam i próbuję taki pomysł rozwinąć. Nigdy nie miałam dobrej pamięci, muszę się więc wspierać zewnętrznie. Notesem jest też mój mąż – proszę, żeby zapamiętał coś dla mnie i on to robi perfekcyjnie.

Jakie słowo ostatnio zapisałaś?

To były trzy słowa: „Pszczoły na nagrobku", i już wiem, o co chodzi. To słowa kotwice, które potem – mam nadzieję – uruchomią moją pamięć. Najpierw praca odbywa się w głowie, potem jest notatka i wreszcie rozwinięcie w komputerze. Czasem zdarza się, że nie wiem, o co mi chodziło. Mam wtedy dziwny wyraz twarzy.

Od zawsze tak pracujesz?

Tak mi się wydaje. Przez lata uzbierało się sporo tych zeszytów; leżą gdzieś w pudłach z wyschniętymi na wiór, zapomnianymi pomysłami. Dobrze mieć to coś, co będzie lepiej ode mnie pamiętało. Moja pamięć jest dziwna, zorientowana na pobocza.

Na przykład jestem fatalnym odbiorcą reklam – nigdy nie pamiętam, co dana reklama polecała, jaki towar czy markę, za to pamiętam kolor szminki modelki albo krajobraz, w którym mknie reklamowany samochód itp. Gdy studiowałam, profesor Włodzimierz Szewczuk, który miał wykłady z psychologii uczenia się, zwrócił mi na to uwagę w czasie egzaminu – że nie zapamiętuję rzeczy, które są istotne dla sprawy, ale za to zapamiętuję te peryferyjne. Ale egzamin zdałam.

Może ze względu na tę pamięć peryferyjną zostałaś pisarką, a nie naukowcem.

Na kłopoty z pamięcią skarżył się także Vladimir Nabokov. Mówił, że ma pamięć ejdetyczną, fotograficzną względem niektórych rzeczy, a nie pamięta zdarzeń ze swojego życia. No właśnie – podniosła mnie na duchu ta wspólnota słabej pamięci. Bo też zwykle zakładamy, że pisanie jest nieustannym odwoływaniem się do różnych pokładów pamięci, że jest nieustannym angażowaniem pamięci. Nabokov w „Pamięci, przemów" robi – przeciwnie – niesamowitą analizę pisania jako radzenia sobie z zapominaniem.

By pisać, trzeba najpierw dużo czytać. Powiesz o swoich pierwszych lekturach?

Jako dziecko i nastolatka mnóstwo czytałam; w tamtym czasie było to moje główne zajęcie. To trochę jak Kien, mój ukochany bohater z „Auto da fé" Eliasa Canettiego, nałogowy czytelnik, który czytał w bibliotece według alfabetu, a poznajemy go w momencie, gdy jest bodaj przy literze „K".

Ja z kolei czytałam „przestrzennie" – brałam książki z biblioteki rodziców, w porządku od lewej strony do prawej. Rodzice mieli farta, bo odkładano dla nich książki w księgarni – kupowali regularnie, przeznaczając na to znaczną część swoich nauczycielskich pensji. Trwało to latami i uzbierała się z tego spora biblioteka. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce – od Apulejusza po E.T.A. Hoffmanna, od „Dekameronu" i „Gargantui i Pantagruela" po „Żywoty pań swowolnych" oraz powiastki filozoficzne Woltera, od Verne'a do Lema.

Rodzice wiedzieli o Twoich notatnikach i pisarskich próbach?

Pewnie tak. W domu żyło się literaturą i dużo mówiło o książkach. Zresztą w tamtych czasach, mieszkając na prowincji, co można było robić innego i lepszego, niż czytać? Telewizja była wtedy marna, ale nie tak powszechna i dominująca, a internet był ideą z dziedziny *science fiction*. Ojciec przepisywał na maszynie moje pierwsze opowiadania. Rodzice prenumerowali prasę, z dzieciństwa pamiętam „Życie Literackie", do którego ojciec, jako czytelnik, pisywał listy. Zdaje się, że tam też opublikowany był pod pseudonimem jeden z moich wierszy.

↦

OLGA TOKARCZUK jest autorką powieści i opowiadań, m.in.: „Podróż ludzi Księgi", „Prawiek i inne czasy", „Dom dzienny, dom nocny", „Bieguni", „Prowadź swój pług przez kości umarłych" i „Ksiąg Jakubowych". W kwietniu nakładem Wydawnictwa Literackiego ukaże się jej nowa książka „Opowiadania bizarne".

GUILLAUME HORCAJUELO / EPA / PAP

↦ **Jakie to uczucie, kiedy się widzi po raz pierwszy swój tekst w druku?**
Nie pamiętam, to było tak dawno.

Fascynuje mnie proces stawania się pisarzem.
Powiedziałabym, że jest to proces wyspecjalizowania i optymalizowania pewnych umiejętności językowych i imaginacyjnych naszego mózgu. Plus trochę szaleństwa. I oczywiście cierpliwości. Zdaje się, że każda pisarka i każdy pisarz ma swoją własną opowieść na ten temat, coś w rodzaju prywatnego mitu założycielskiego, którym dzieli się z innymi. Ja na przykład zawsze chętnie opowiadałam, że nigdy nie przytrafił mi się syndrom białej kartki. Że nie cierpię na brak pomysłów, raczej na ich nadmiar. Teraz opowiadam też o własnym wieku – ten, w którym się właśnie znajduję, jest ze wszech miar ciekawy.

Bo?
Opanowałam całą tę ekonomię pisania – wydaje mi się, że wiem, jak rozkładać energię, jak organizować czas, w jaki sposób pracować i trafnie rozstrzygać, co jest najważniejsze, a co mniej ważne. Tego się po prostu nauczyłam. Jestem wewnętrznie spokojniejsza, zdolna do skupionej, długiej pracy, widzę więcej zależności i relacji. Nie miotam się już tak jak kiedyś.

To z góry zaplanowana decyzja, że po wielowątkowych „Księgach Jakubowych", nad którymi pracowałaś sześć lat, piszesz „Opowiadania bizarne"?
Pomysły na te opowiadania pojawiały się jeszcze w trakcie pisania „Ksiąg Jakubowych". Zapisywałam je, potem wracałam do nich, próbując je rozbudowywać. Teksty dojrzewały, zmieniały się, rosły albo – przeciwnie – przysychały i trzeba je było reanimować. Nad kilkoma z nich pracowałam jednocześnie. Wszystkie są jakimś komentarzem do rzeczywistości, coraz bardziej bizarnej, komentarzem do tego, co czytam w gazetach i oglądam w telewizji. Nawet jeśli mają formę fantastyczną, to jednak są mocno zakorzenione w tym, o czym rozmawiamy, czego się boimy, czym się martwimy.

W „Opowiadaniach" bohaterami są ofiary cywilizacji w stanie kolapsu.
Raczej cywilizacji, która codziennie stawia przed ludźmi jakieś wyzwania, nie dając przy tym wystarczająco dużo czasu i możliwości, żeby je oswoić, żeby wyobrazić sobie ich ostateczne, możliwe konsekwencje. Zamiast tego od razu trzeba się z nimi mierzyć i mieć o nich własne zdanie. Literatura daje szansę poobcować z tym wszystkim sam na sam, obejrzeć dokładnie, z bliska, a potem zastanowić się i wyobrazić sobie inny świat, także możliwy. W dużej mierze „to nowe" dotyczy naszego ciała – jego możliwości zmiany, przystosowania się, jego śmiertelności i kruchości, władzy nad nim albo bezsilności wobec jego biologii.

To temat opowiadania pt. „Transfugium".
Opowiada o możliwościach medycyny, która towarzyszy człowiekowi w jego poszukiwaniu szczęścia i głębokiej tożsamości. Sztuka jest właściwie jedynym obszarem, gdzie możemy się pobawić ze wszystkimi możliwościami tego, co było, jest i będzie – przekroczyć granice, wyjść poza margines, wypróbować różne warianty, nawet te najbardziej obrazoburcze, przerażające i karkołomne. Dla mnie te opowiadania są powrotem do literatury rozumianej jako rodzaj konfabulacji, eksperymentowania z rzeczywistością, stawiania dziwacznych pytań.

Gatunkowo to „opowiadania niesamowite".
Wielu pisarzy je pisało, a ja szczególnie lubiłam ten typ opowiadania fantastycznego. Przez całą młodość czytałam Edgara Allana Poe – uwielbiam go i w ogóle lubiłam ten gatunek opowieści niesamowitych, fantastycznych, który był dosyć popularny w XIX wieku. Pisał je naturalista Zola, pisali wielcy realiści, a także Dostojewski, Czechow, E.T.A. Hoffmann, Alfred Kubin. Ich tematy i forma należą do epoki, bo „niesamowite" i „bizarne" co innego znaczy w różnych czasach. Kiedyś były to opowieści o duchach, zaświatach, jak u E.A. Poe. Kiedy indziej tematy dryfowały w stronę niezwykłych wynalazków i ogólnie *science fiction*. Ich wspólną cechą jest to, że zawsze wykraczały poza horyzont tego, co nazywamy realnością.

A mnie w tym zbiorze poruszają najbardziej historie najbliższe realności. Np. „Prawdziwa historia" – opowieść o człowieku, który przez kilka zbiegów okoliczności z utytułowanego naukowca staje się nikim.
Wręcz nagim ciałem odartym ze wszystkiego, wyzbytym atrybutów statusu społecznego i przynależności do jakiejkolwiek wspólnoty. Właściwie jest to sytuacja możliwa, a nawet wielce prawdopodobna, zwłaszcza w niektórych miejscach na świecie. Rzeczywistość jest wciąż groźna i szybko może przemienić się w koszmar, o czym łatwo zapominamy.

Realny koszmar. Uprzytamnia nam, że w życiu społecznym stąpamy na granicy wykluczenia. Znałam człowieka, który był wybitnym znawcą powieści i poezji włoskiej. Prowadził antykwariat, potrafił spod ziemi wydobywać białe kruki, bibliofile go uwielbiali. Ale przyszła niekorzystna koniunktura, właściciel kamienicy podniósł czynsz, ten człowiek musiał zlikwidować antykwariat. Próbował jeszcze handlować książkami na inne sposoby, ale szło mu to kiepsko. Tracił sukcesywnie majątek, rozpadło mu się małżeństwo, w końcu sprzedał mieszkanie, zaczął żyć na ulicy. Dwa lata temu zamarzł na śmierć.
Kiedy dokonujemy wyborów, które są bardzo znaczące, ale równocześnie świadome, to poniekąd można wtedy powiedzieć, że sami jesteśmy odpowiedzialni za to, co się dzieje. Ale wiele rzeczy dzieje się poza nami i nie mamy na nie wpływu. O takiej sytuacji mówi „Prawdziwa historia". Jeżeli tylko dojdzie do jakiegoś rozszczelnienia, awarii porządku, co do którego zakładamy, że istnieje, szybko możemy stracić kontrolę nad wszystkim. Świat nic sobie nie robi z kruchości człowieka, w gruncie rzeczy jest on mu wrogi.

Skąd czerpiesz pomysły na te niesamowite opowieści?
Wiele ich przychodzi dzięki zwyczajnym rozmowom z ludźmi, nierzadko zupełnie przypadkowymi i bliżej nieznanymi. Ludzie powierzają mi ciekawe rzeczy, często jednak są to same anegdoty, strzępki. Czasami wręcz ostrzegam ich, żeby nie zapominali, że jestem pisarką, że podbiorę im ten temat czy historię, wykorzystam, rozwinę albo nadam mu nowy sens. Dużo tez wyczytuję w gazetach, w internecie i za każdym razem przekonuję się, że świat jest pełen nieprawdopodobnych, niesamowitych historii.

Kiedy krótko pracowałam jako dziennikarka lokalnej gazety. Miałam ogromny kłopot z pisaniem relacji o jakiś zdarzeniach. Korciło mnie, żeby dodać coś od siebie, przez co cała historia byłaby bar-

dziej spójna i sensowna. Musiałam się powstrzymywać i w gruncie rzeczy bardzo mnie to męczyło. W tym sensie literatura jest wbrew rzeczywistości.

Wbrew?

Mimo niewiarygodnego dostępu do informacji część ludzi wciąż sięga po literackie narracje. Możesz przeczytać tysiące gazet i artykułów prasowych, a jednak cały czas ciągnie cię do literatury. To zupełnie inna płaszczyzna międzyludzkiej komunikacji. Literatura komunikuje nas ze sobą w wyrafinowany i głęboki sposób – dzięki niej można przywdziewać różne tożsamości i wniknąć w cudze życie, nadaje sensy zdarzeniom, a same zdarzenia zmienia w doświadczenie. To wielka praca, jaką wykonują pisarze i pisarki na całym świecie, dopóki człowiek nie wynajdzie maszyny do pisania powieści czy opowiadań.

„Samopisząca maszyna" – brzmi jak tytuł bizarnego opowiadania.

Myślę, że długo jeszcze nie będzie to możliwe. Chociaż cholera wie, co tam mają w laboratoriach naukowcy? Taka maszyna musiałaby być zaopatrzona w nieprawdopodobną ilość informacji dotyczących doświadczenia człowieka jako gatunku i do tego jakiś „miękki" sposób ich organizowania.

Może to, że jakiegoś zjawiska nie da się imitować za pomocą maszyn, będzie dopiero czymś naprawdę cennym i ludzkim. Na podstawie takich rozpoznań filozofowie postawią pytanie o ścisłą definicję człowieczeństwa. Jestem pewna, że o ile maszyna będzie w stanie napisać całkiem sprawne gatunkowe książki, używając pewnych algorytmów i heurystyk, to jednak tej literatury, gdzie jest wielowarstwowość, szaleństwo i nieprzewidywalność, nigdy nie będzie w stanie stworzyć. Może w bibliotekach pojawia się specjalne działy: *creative human literature* i *specific unhuman literature*.

Którzy pisarze są dla Ciebie mistrzami krótkiej formy?

Uwielbiam Czechowa. Jego opowiadania są genialne, stale mam je przy łóżku i często do nich wracam. Ich zakończenie jest zawsze obezwładniające, odkrywające coś głębszego w budowie świata, w jego metafizyce, nawet jeżeli pozornie opowiada o czymś zwyczajnym czy banalnym. Nie wiem, jak on to robi, że przenosi wszystkie zdarzenia na inny poziom. Czechow daje czytelnikowi prawdziwy „wgląd" – głębokie przeżycie, które zmienia.

Kwestia więzów krwi jest śliska

i wyjątkowo pogmatwana. Kobiety mają na ten temat w całej historii więcej do powiedzenia, ponieważ to one zachodzą w ciążę i rodzą dzieci.

Dlaczego tytuł brzmi „Opowiadania bizarne", a nie „Opowiadania dziwne"?

Bardzo brakowało mi tego słowa w polskim języku. Nie wystarczało mi „dziwne", „dziwaczne", „cudaczne". W polszczyźnie w miejscu brakującego słowa „bizarne" był grymas lekko skrzywionej twarzy z podniesionymi wyżej brwiami jako wyraz niedowierzania, lekkiego szoku i ambiwalencji.

Puryści językowi chwytają się teraz za głowę, choć miałaś poprzedniczkę – Ewa Szumańska zatytułowała w latach 80. swoją książkę „Bizary".

Zasysanie słów z zewnątrz jest moim zdaniem dowodem na żywotność języka. Podziwiam za to polszczyznę, że ściąga wszystko, co interesujące, a potem poddaje mocnym i wymagającym regułom polskiej gramatyki, co czasem mocno zmienia oryginalne brzmienie. Z dodanymi końcówkami deklinacyjnymi czy koniugacyjnymi takie słowa wyglądają bardzo swojsko, jak leczo albo majonez. Podobno w naszym słowniku jest kilkadziesiąt procent obcych słów, które zostały tak spolszczone. To pokazuje, jak wielki wpływ mieli na nas sąsiedzi, jak aktywnie wchodziliśmy z nimi w dialog, jak żeśmy z nimi handlowali, kłócili się i wojowali, ale też podziwialiśmy ich.

W słowniku języka polskiego widać przebiegi historyczne, polityczne alianse i mody. Jest desant słów z Czech i Węgier, także z Francji i Niemiec, niemało jest słów tureckiego pochodzenia. Język odzwierciedla też położenie Polski – zawsze pomiędzy, na trakcie. I tym właśnie jesteśmy – mieszanką, tyglem. Ja uważam to za wartość.

Kiedyś w jednym ze starszych opowiadań zmagałam się ze słowem „*gate*" – bramką na lotnisku. Ktoś szedł do gejtu, ktoś czekał w gejcie. Dostałam pełen oburzenia list, dlaczego nie używam polskiego słowa: brama albo bramka.

No właśnie, dlaczego?

Bo tak to słowo funkcjonuje na większości lotnisk świata. Zresztą żaden Anglik słysząc formę np. „w gejcie", nie rozpozna w niej rdzenia „*gate*"; oswoiliśmy to słowo. W ten sposób dokonało się też zróżnicowanie znaczeń, bo już dzisiaj „brama" i „gejt" znaczą coś zupełnie innego. Czyli wzbogaciliśmy polszczyznę o dodatkowe słowo. „Gejt" jest przejściem na lotnisku lub na dworcu, a „brama" trwa sobie w swoim starym znaczeniu jako przejście w murze czy ogrodzeniu.

A jakiego słowa na co dzień nie używasz?

„Naród" – ono jest z innej epoki, przynależy do innych okoliczności. W jakimś sensie jest anachroniczne. Na dodatek przez ostatnie wydarzenia stało się słowem niebezpiecznym, wykluczającym. Już to jest dla mnie wystarczający powód, by go nie używać. Wierzę w rodzaj politycznej poprawności językowej. Słowa, które kiedyś było bezrefleksyjnie używane do opisu rzeczywistości, np. garbus, nigdy bym świadomie nie użyła w stosunku do człowieka, który ma chorobliwie wykrzywiony kręgosłup. To część odpowiedzialności za wypowiadane słowa. Są mocne i potężne, bo odwołują się do całego kontekstu znaczeń, do ideologii, do uprzedzeń, do historii przemocy.

Gdy mówisz „naród", to za słowem tym kryje się idea czy nawet ideologia, która jest dzisiaj praktycznie niemożliwa do spełnienia, w każdym razie nie w jej pierwotnym, dziewiętnastowiecznym sensie. Trzeba by ją zweryfikować, na nowo zdefiniować. Co to jest naród? Ludzie, którzy mają polskie obywatelstwo? Nie, to są obywatele Polski. Ludzie, którzy mówią po polsku? Nie, to wspólnota językowa i kulturowa. Ludzie, którzy mają tzw. polską krew – czyli tata i mama też mieli „polską krew"? Jak to zbadać?

Kwestia więzów krwi jest śliska i wyjątkowo pogmatwana. Kobiety mają na ten temat w całej historii zasadniczo więcej do powiedzenia, ponieważ to one zachodzą w ciążę i rodzą dzieci. Wiedzą, jak to jest. Mówić dzisiaj o „etnicznych Polakach", jak ↦

↦ to niedawno usłyszałam, to manifestować swoją głupotę. Pojęcie narodu jest pojęciem wykluczającym i jako takie uważam a etycznie wątpliwe. Można je traktować jako zabytkowe i używać w nazwach, które już się upowszechniły, np. Muzeum Narodowe.

A ja nie używam słowa „prawda", w ostatnich latach doszczętnie skompromitowanego i ograniczonego wyłącznie do interesów polityki.

Też mam z tym problem. Sądzę, że ogólnie rzecz biorąc mamy niewielkie pojęcie o świecie i że wciąż jeszcze więcej nam mówi intuicja niż wiedza. Nauka empiryczna, taka, której można ufać, ma dopiero dwieście, no może trzysta lat – to osesek, i mimo wielu genialnych odkryć, które sprawiły, że sporo z nas żyje dzisiaj w miarę przyjaznym świecie, ma co jeść i nie umiera od skaleczenia, to jednak nie bardzo rozumiemy, czym jest nasze ciało, jak działa umysł, co to jest czas, w którym żyjemy, i czym jest wszechświat w ogóle. Czuję, że trzeba zachować taką szeroką perspektywę dla własnego zdrowia psychicznego i nie dać się wciągnąć w małe doraźne teoryjki i prawdki. Cały wysiłek polityki i religii powinien iść w takim kierunku, żeby ludziom żyło się lepiej i szczęśliwiej na świecie, żeby minimalizować cierpienie wszystkich istot żywych. To mi się wydaje dosyć prostym postulatem. Prawda to pojęcie zbyt ogólne. Trzeba by od razu dopytać – jaka prawda, czyja prawda, kiedy prawda? Prawdziwe to są chyba tylko aksjomaty matematyczne.

A czy istnieje słowo do którego masz słabość?

„Uważność". Zawsze lubiłam to słowo, choć kiedyś, dawno temu, brzmiało egzotycznie. Zresztą ono przyszło do nas z buddyzmu, ale teraz się ładnie upowszechnia. Jego pierwsze znaczenie mówi o pewnego rodzaju koncentracji na szczegółach, detalach egzystencji, na ciele własnym i innych, na znakach, gestach, na przyrodzie i każdym najmniejszym okruchu rzeczywistości. W drugim znaczeniu uważność to świadomość rezultatów konsekwencji moralnych płynących z naszych słów i czynów. Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku może być uważność traktowana jako najprostszy, najbardziej skondensowany przewodnik moralny dla zwykłego przyzwoitego człowieka.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Zamknięty w losie

BEATA CHOMĄTOWSKA

Leo Lipski nie obiecuje przyjemności. Jego jasny język odsłania wszystko: kalectwo, zezwierzęcenie, rozkład, samotność, przed którą nie ma ucieczki.

LIPSKI? A JAK IMIĘ? – DOPYTUJE ANTYkwariusz na warszawskim Muranowie. Imię w zestawieniu z nazwiskiem też nic mu nie mówi, choć zwykle jest doskonale poinformowany. Antykwariat, w którym osobny regał poświęcono historii Żydów i literaturze żydowskiej, mieści się dwa kroki od Muzeum POLIN.

Przed wyjściem rzuca mi się w oczy inna książka. Rozchwytywana, skandalizująca, otoczona swoistym kultem. „I oślica ujrzała anioła", autor: Nick Cave, opublikowana w 1989 r. Występuje w niej niejaki Euchrid Eucrow, zdeformowany niemowa żyjący wśród odpadków na bagnach, skąd obsesyjnie podgląda młodą prostytutkę zwaną Cosey Mo i jej córkę Beth. Odrażający, przerysowany, budzi u czytelnika litość przemieszaną z obrzydzeniem. I kojarzy się z inną literacką postacią, powołaną do życia znacznie wcześniej.

Trudno jednak podejrzewać, by Cave, skądinąd człek oczytany, pisząc swoją powieść w narkotycznym szale, inspirował się w jakiejś mierze pisarstwem Leo Lipskiego, skoro nawet w rodzinnym kraju jest ono wciąż znane nielicznym. Polskie wydanie „I oślica ujrzała anioła" porównywano do „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego, nie do „Piotrusia" (o tyle słusznie, bo obie to fikcja, zaś „Piotruś" – zakamuflowana autobiografia). I choć lata 90. obrodziły w teksty krytyczno-literackie i rozprawy doktorskie analizujące dorobek Lipskiego, niewiele się pod tym względem do dziś zmieniło. Ostatni jak na razie tom jego prozy „Powrót" ukazał się w Polsce przed trzema laty. Tym bardziej warto więc o nim przypominać, nawet bez rocznicowego pretekstu.

Dwie godziny na dobę

„Mam dwadzieścia dziewięć lat, przyjechałem z Rosji. Jestem od dwóch lat sparaliżowany (prawostronnie) i muszę się spieszyć, bo mogę niedługo umrzeć albo nie móc pisać. Dlatego muszę moje rzeczy traktować jako wykończone, chociaż nie uważam ich za takie" – pisze Lipski w 1947 r. w liście do kolegi po piórze, najpewniej Józefa Wittlina lub Jarosława Iwaszkiewicza. Mieszka w Izraelu, mówi z trudem, prawie nie wychodzi z mieszkania, coraz bardziej uwięziony we własnym ciele.

Za paradoks można uznać, że wszystko to stało się pod koniec wojny, z której wyszedł cało, choć zabrała mu całą rodzinę. Przeżył ją z dala od kraju, dzięki czemu ominęło go piekło Zagłady. Zaznał innego, obozowego. Po napaści Niemiec na Polskę razem z bratem Stanisławem, narzeczoną Idą Elbinger i grupą krakowskich przyjaciół Leo, wówczas jeszcze Lipschütz, uciekł przed hitlerowcami do Lwowa („czym się dało. Pieszo, furmankami, kolejką wąskotorową" – wspomni później w szkicu „Paryż ze złota"). Ida, zatroskana o los rodziny, wraca do Krakowa („uciekła do Niemców, w grudniu, przepłynęła zimny San"), zaś obu Lipschützów aresztuje NKWD. Wpierw cela w więzieniu Brygidek, potem wywózka na Syberię z innymi „bieżeńcami", jak w terminologii enkawudzistów określano polskich uchodźców, głównie Żydów, którzy po pakcie Ribbentrop-Mołotow znaleźli się w sowieckiej strefie okupacyjnej: łagier w okolicach Uglicza, praca w ambulatorium przy budowie tamy w Wołgostroju. Zwolniony z obozu na mocy umowy polsko-sowieckiej po napaści Niemiec na ZSRR w 1941 r. dołącza do armii generała Andersa i rusza z nią do Iranu. Tam rozchoruje się po raz pierwszy.

Paraliż dotyka go w marcu 1945 r. w Bejrucie, gdzie – już niezdolny do służby wojskowej – dzięki stypendium

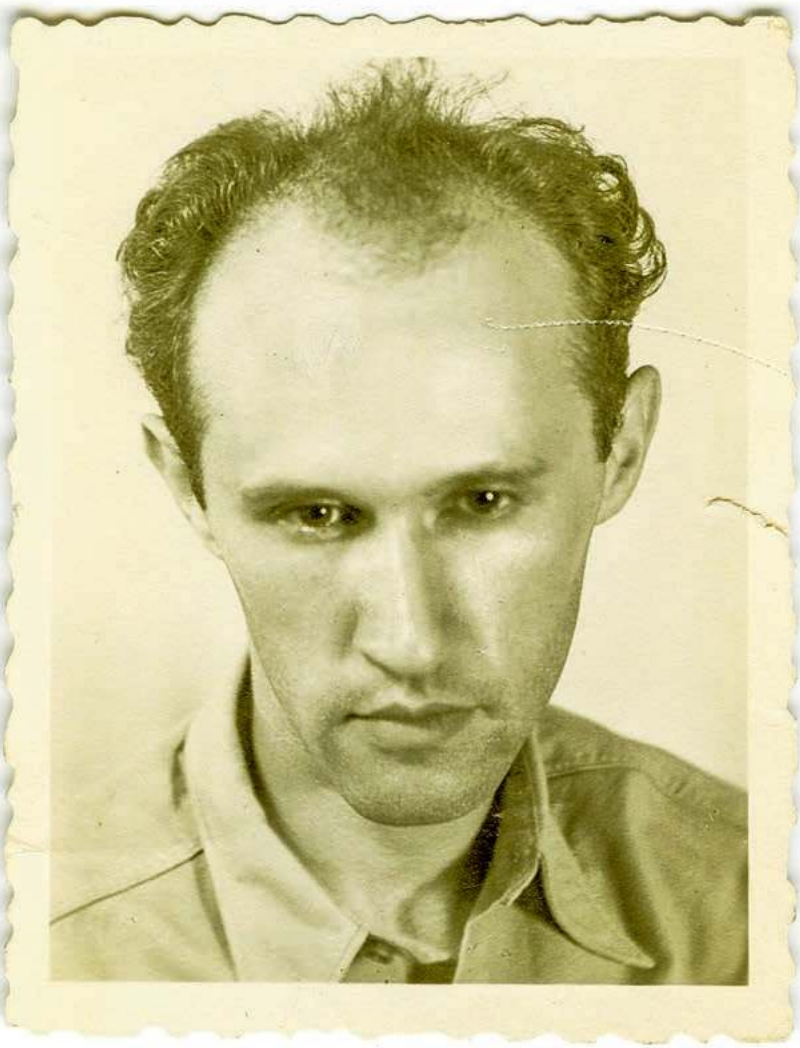

INSTYTUT LITERACKI PARYŻ

Leo Lipski

rządu polskiego miał kontynuować przerwane przed wojną studia. Do końca nie wiadomo, co spowodowało chorobę. Tłumaczka Agnieszka Maciejowska, autorka przedmowy do „Powrotu" i wielokrotna rozmówczyni Lipskiego, przywołuje informacje o wysokiej gorączce, z powodu której przyjęto go do prowizorycznego sowieckiego szpitala jeszcze w Uzbekistanie; temperatura miała utrzymywać się przez kilka tygodni (sam opisuje tę sytuację w opowiadaniu „Waadi"). W szpitalu panowała akurat epidemia tyfusu. W późniejszej korespondencji pisarza pojawiają się wzmianki o padaczce, niektórzy znajomi (jak opiekująca się Lipskim przez wiele lat Łucja Gliksman) na podstawie objawów spekulują o zapaleniu opon mózgowych. Cokolwiek to było, rozpoczęło feralną serię: w Teheranie przechodzi zapalenie opłucnej, po przyjeździe do Palestyny zaczynają się ataki epilepsji; łagodzi je lekami uspokajającymi.

No a potem ostateczne uderzenie, wskutek którego nie może się poruszać inaczej jak o lasce i z prawą ręką na temblaku. Drugą, zdrową, wystukuje z wysiłkiem teksty na maszynie, usiłując nadać formę powieściową wspomnieniom z przedwojennej, krakowskiej młodości. W tym stanie – „dwie godziny na dobę" – zajmie mu to pięć lat. „Niespokojni", pierwsza powojenna proza Lipskiego, ukazują się stopniowo, publikowani w odcinkach na łamach londyńskich „Wiadomości" i pozostaną utworem niedokończonym, zszytym ze skrawków, trzydziestu epizodów, które badaczki Hanna Gosk i Marta Cuber nazwą „powieścią w pewnej granicznej odmianie".

Zmagający się z postępującym kalectwem, udręczony więzień mieszkania przy ulicy Bugraszow 20 nie przypomina niczym własnego alter ego z młodości, Emila-Leo z przesyconych erotyką „Niespokojnych", zapisu doświadczeń grupy przyjaciół, zaliczających się do artystycznej cyganerii, która przeprowadza seksualne eksperymenty i szuka intelektualnych wyzwań. Czuje się bardziej jak bohater książki, która ma dopiero powstać. Mieszkaniec tego samego miasta, też częściowo sparaliżowany, po traumatycznych wojennych przejściach. Ten, który był zmuszony „okolicznością i długami moralnymi wywiesić nad swoją głową wielki szyld w językach niemieckim, hebrajskim i angielskim: PIOTRUŚ WRAZ Z ODZIEŻĄ – DO SPRZEDANIA". Piotruś, zakupiony przez właścicielkę pewnego mieszkania przy ulicy Chapu-Chapu 8 i zatrudniony przez nią do siedzenia całymi dniami w klozecie, wśród odpadków, by blokować korzystanie z tego przybytku innym lokatorom. Niemy obserwator, podglądający innych, zwłaszcza nastoletnią prostytutkę Batię, która godzi się zaspokajać jego fizyczne pragnienia.

Między Piotrusiem a Emilem-Leo jest przepaść. Ten pierwszy to strzęp człowieka, ten drugi – przedstawiciel krakowskiej złotej młodzieży, pobudzonej intelektualnie i używającej życia, atrakcyjny dla kobiet i otoczony kręgiem admiratorów. A przecież to jedna i ta sama osoba. Jak zapisze po latach w „Paryżu ze złota": „Gdy miałem 14 lat i byłem straszliwie uroczy (...) nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego. Ale później, po maturze, czułem, jak ślizga się po mnie światło. Nie potrafię inaczej tego określić. Z małym upadkiem we Lwowie, znów z rozwiniętymi żaglami w łagrze. Po części temu zawdzięczam swoje przeżycie".

Z Krakowa w język

Lipschützowie to zasymilowana żydowska rodzina. W domu panuje atmosfera typowa dla przedwojennej inteligencji. Starszy syn Leo przychodzi na świat, gdy mieszkają w Zurychu, ma pięć lat, gdy rodzina przenosi się pod Wawel. Dwanaście, kiedy wie, że chce być pisarzem. Pochłania książkę za książką. Trzy lata później „Kuźnia Młodych" drukuje „Opowieść o małym Kurcie" jego autorstwa. Jako szesnastolatek zobaczy na łamach tego samego pisma jeszcze dwie próby prozatorskie podpisane własnym nazwiskiem. Do wybuchu wojny uzbiera się ich dwanaście. Publikuje też w „Naszym Wyrazie" i „Pionie", pisze jeszcze poezję ↦

↦ i recenzje muzyczne. Zanim skończy się mu dzieciństwo, straci matkę. Przechodzi z Gimnazjum im. Adama Mickiewicza do Gimnazjum im. św. Jacka, zaczyna studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie uczęszcza na zajęcia z psychologii, filozofii i pedagogiki. Poznaje Idę Elbinger – którą przywoła po latach pod postacią Ewy z „Niespokojnych". Bierze urlop na studiach, jedzie kurować się w górskich sanatoriach – echa tych doświadczeń pojawią się w pierwszych próbach literackich.

„Potem pojawił się młody prozaik z Krakowa, Leo Lipschütz – ale i ten też nie był wiele wart" – skwituje tamte pierwsze usiłowania jeden z krytyków.

Nie zdąży opublikować więcej. Stabilny, krakowski świat rozpada się. Ginie ojciec – w Krakowie, brat Stanisław, który razem z nim przetrwał koszmar łagrów – podczas szturmu na Monte Cassino. Znikają przyjaciele z czasów studenckich – Jakub Weismann, Jakub Eisenberg.

Ida, jedna z dwóch córek Moryca Elbingera z krakowskiego Kazimierza, który mieszka i handluje tekstyliami na ulicy Miodowej (jako Ewa z „Niespokojnych" mieszka „nad rzeką, w brudnej i starej dzielnicy, gdzie ulice nazywały się Wąska i Ciemna. Jej ojciec miał tam sklep"), nie trafi do getta ani do obozu w Płaszowie. Autor książki o życiu Karola Wojtyły wspomina „odznaczającą się wybitną urodą" żydowską dziewczynę o talencie aktorskim, grywającą z przyszłym papieżem jeszcze w szkolnym teatrzyku. Podczas wojny miała zaangażować się w prace działającego w konspiracji Teatru Rapsodycznego; zastrzelono ją na ulicy najprawdopodobniej zimą 1940 r., gdy ruszyła z pomocą matce, zmuszonej przez hitlerowców do odśnieżania. Inną relację o jej śmierci podaje kuzyn, Emanuel Elbinger: Ida miała „aryjski" wygląd i takież papiery. Po powrocie do Krakowa miała też nowego narzeczonego – chrześcijanina. Rodzice chłopaka byli przeciwni jego związkowi z Żydówką. Została zastrzelona, bo ją zadenuncjowali. Jej siostra Giza przeżyje obóz, wyjedzie do Stanów Zjednoczonych; Leo, namawiany na leczenie w Waszyngtonie, będzie chciał się z nią spotkać, ale z projektu wyprawy za ocean nic nie wyjdzie.

„Muszę (...) jedną rzecz wyjaśnić: dziesięć miesięcy na rok jest dla mnie stracone. Powody: zdrowie, klimat, warunki mieszkaniowe itd." – pisze w liście do przyszłego wydawcy. Męczy się; latem duszno, wiosną i jesienią wieje, klimat nowego żydowskiego państwa wyraźnie mu nie służy. Półtora roku leczenia w jerozolimskim szpitalu oraz pobyt w domu rehabilitacyjnym niewiele pomogły. W dodatku początkowo ma kłopoty ze znalezieniem lokum – tuła się po mieszkaniach przyjaciół, podnajmuje tanie pokoje w zatłoczonych sublokatorami stancjach, których obraz będzie odbiciem kwatery Piotrusia przy ulicy Chapu-Chapu 8.

Gruntownie wykształcony, znał od małego niemiecki, uczył się francuskiego, na emigracji przestaje czytać w obu tych językach. Mimo prób nie zdoła zaś opanować hebrajskiego ani angielskiego. Za to język własny, czyli polszczyzna, którą posługuje się pisząc, zaczyna brzmieć w sposób dotąd niespotykany w literaturze. Lapidarnie i mocno.

„U Lipskiego język jest oślepiająco jasny. Zdania czyste jak odczynniki w laboratorium" – pisze Barbara Zielińska w poświęconym mu eseju w „Tekstach Drugich" i nie można tego ująć celniej. Padające w „Piotrusiu" zdanie: „język, którym myślę, rozpada się i kruszy", odnosi się do postępującej fizycznej niemocy bohatera i zarazem narratora, utrudniającej wyrzucenie na papier tego, co tkwi w głowie i wezbrało w powieściową strukturę.

Separacje i uwięzienia

Wydawcą, o którym mowa, jest Jerzy Giedroyc. To paryska „Kultura" przyznaje Lipskiemu pierwszą nagrodę (*ex aequo* z Andrzejem Chciukiem) za nadesłane w 1955 r. opowiadanie „Dzień i noc", odwołujące się do łagrowych doświadczeń. Wyda je dwa lata później w tomie razem z dwoma innymi – „Powrotem" i odrzuconym wcześniej „Waadi".

Początkowo redaktor z Maisons-Laffitte nie był zachwycony prozą Lipskiego – odmówił druku kilku nadesłanych przezeń utworów. Pomogli przyjaciele, wiedząc o pogarszającej się kondycji zamkniętego w czterech ścianach emigranta. Zwłaszcza Michał Chmielowiec, krytyk, przyjaciel jeszcze z czasów krakowskich, który został redaktorem londyńskich „Wiadomości" i opublikował pierwsze utwory Lipskiego po wojnie. Właśnie on wydeptał ścieżki do Giedroycia.

Kiedy w 1960 r. „Kultura" wydaje „Piotrusia", o Lipskim staje się głośno. Wreszcie chcą go drukować, on chce pisać, ale jest już za późno. Wózek inwalidzki, potem przykucie do łóżka. „Konanie, w milczeniu, przez lata. (...) I wtedy wejdą zwierzęta do twego pokoju i siądą na tobie spokojnie, jak na kamieniu i ziemi" – to znów „Piotruś".

Piękno tej prozy jest okrutne, nie obiecuje przyjemności. Wywala na wierzch w torsjach i pcha pod oczy wszystko, czego nie chce się widzieć – kalectwo, zezwierzęcenie, rozkład, samotność, przed którą nie ma ucieczki. Tym okropniejsze, że doświadczone – w przeciwieństwie do mniej lub udanych fantazji o społecznych wyrzutkach w rodzaju Euchrida Eucrowa, zrodzonych w wyobraźni pod wpływem poszerzających percepcję środków.

Ale nieznajomości nazwiska Lipskiego – zarówno w Polsce, jak i w Izraelu – oraz brak szerszej recepcji jego utworów, mimo uznania krytyków, piszących o „najwyższej półce" i stawiających go w jednym szeregu z Bruno Schulzem, nie da się zbyć stwierdzeniem, że są trudne w odbiorze, zbyt naturalistyczne czy przepełnione trudnym do zniesienia pesymizmem. Te same uwagi można by odnieść do większości pisarskiego dorobku związanego z Zagładą, wojną i doświadczeniami pobytu w łagrach. Trudno też tłumaczyć hermetyczność jego prozy ograniczeniami językowymi, skoro doczekała się przekładów. Już bardziej przekonująco brzmi stwierdzenie, że na własnym podwórku nie stał się popularny, bo nie wiadomo za bardzo, gdzie go przyporządkować – czy mamy do czynienia z pisarzem polskim, czy też bardziej żydowskim? Emigracyjny to autor, a może Zagładowy? Czy „Dzień i noc" reklamować na okładce jako drugi „Inny świat"? Przekleństwo autorów zbyt osobnych.

Jakimś kluczem do tej zagadki może być też izolacja od świata zewnętrznego, bynajmniej nie na własne życzenie i niewarunkowana wyłącznie postępującą chorobą. Czy mimo niej mógłby napisać więcej oraz czy rzeczywiście nie napisał – pytanie pozostaje otwarte.

Agnieszka Maciejowska sugeruje, że za blisko czterdziestoletnim milczeniem, przerwanym tylko jednym opowiadaniem „Sarni braciszek", mogło kryć się jeszcze coś prócz czysto fizycznych barier. Jaką rolę w tym ostatnim, praktycznie niemym okresie odegrała Łucja Gliksman, ówczesna opiekunka, a najprawdopodobniej również partnerka Lipskiego? Życie, które po uwięzieniu w ciele stało się wyzwaniem dla badaczy literatury, czeka na równie dociekliwego biografa.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

W poszukiwaniu lepszej Polski

PIOTR KOSIEWSKI

Warszawska Zachęta przygotowała wystawę o II Rzeczypospolitej. „Przyszłość będzie inna" pokazuje ówczesną Polskę nieoczywistą, wykraczającą poza obiegowe wyobrażenia. I niezwykle aktualną.

Pytanie o II Rzeczpospolitą, jej osiągnięcia, niedostatki i zaniedbania, jest szczególnie istotne w roku 100-lecia odrodzenia wolnej Polski. Nie chodzi jedynie o szacunek dla minionych pokoleń. Przeszłość, o czym dobrze wiedzą obecnie rządzący, ma wpływ na przyszłość.

Polska musiała odbudować zarówno państwowość, jak i tożsamość podzieloną rozbiorami. Z rozwarstwionym i zróżnicowanym narodowościowo społeczeństwem, z obszarami biedy i zacofania. W nowym państwie funkcjonowały różne systemy prawne, relacje społeczne i obyczajowość. Ostatecznie nowa Polska okazała się w jednych wymiarach państwem zanurzonym w głębokiej przeszłości, w innych – niesłychanie nowoczesnym.

Polki już w 1918 r. uzyskały prawo udziału w wyborach (Francuzki w 1944, a Szwajcarki w 1970 r.). Przyjęty w 1932 r. kodeks karny, tzw. kodeks Makarewicza, wprowadzał bardzo nowoczesne jak na tamten czas rozwiązania, w tym niekaralność homoseksualizmu. O tym modernizacyjnym wymiarze II RP obecna oficjalna polityka historyczna raczej milczy lub traktuje go bardzo wybiórczo.

Pytanie o modernizację

Dla twórców II Rzeczypospolitej kluczowe było pytanie o model modernizacji, nie tylko gospodarczej, lecz również społecznej czy kulturowej. Jest ono nie mniej ważne dzisiaj, gdy padają pytania o rozwiązania przyjęte po 1989 r., ale też o przyszłość: jaki model rozwoju będzie optymalny dla następnych pokoleń Polaków. W tym kontekście temat polskich projektów modernizacyjnych jest szczególnie istotny.

Wystawa w Zachęcie przypomina o projektach nieoczywistych, dziś często zapomnianych lub spychanych na margines. Realizowanych oddolnie, poprzez rozmaite formy samoorganizacji, chociaż ich inicjatorzy pewnie byli najdalsi od pomysłu zwalniania państwa z jego obowiązków wobec wspólnoty. Twórcy wystawy pokazali II RP widzianą przede wszystkim, jak podkreślają, „poprzez historię »słabych« i ich emancypacji". Opowiedzieli o przeszłości słabo obecnej na kartach podręczników szkolnych. O działaniach, w których uwagę poświęcano przede wszystkim kobietom i dzieciom, robotnicom i mniejszościom narodowym. Integrujących i niwelujących podziały. Do wielu ówczesnych pomysłów warto by powrócić dzisiaj, kiedy padają pytania o wymyślenie Polski na nowo.

Wystawa imponuje rozmiarami: zebrano na niej ponad 500 obiektów. Została bardzo starannie zaaranżowana. Są tu przykłady architektury i wzornictwa, ↦

Maria Ewa Łunkiewicz-Rogoyska „Pływalnia", 1939 r., Muzeum Narodowe we Wrocławiu.

ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI

ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI

Dola i niedola naszych dzieci, fot. Aleksander Minorski, Kraków 1938, kolekcja Łukasza Gorczycy

malarstwo i fotografia, książki i wydawnictwa prasowe, projekty teatralne, ale przede wszystkim film, będący „prawdziwą »maszyną nowoczesności«". Bardzo różny: od eksperymentalnego, artystycznego i dokumentalnego po przykłady popularnego kina. Nie zabrakło wreszcie w Zachęcie dzieł wybitnych twórców tamtego czasu, jak Karol Hiller, Bronisław Linke, Andrzej Pronaszko, Helena i Szymon Syrkusowie, Leon Schiller czy Franciszka i Stefan Themersonowie. Jednak to nie znane nazwiska są kluczem do całości.

Wspólnie zmieniając kraj

„Przyszłość będzie inna" skupia się na wizjach czy działaniach, które służyły zmianom społecznym i upodmiotowieniu słabszych, marginalizowanych. Pokazano budownictwo, projekty edukacyjne, prozdrowotne czy upowszechniające kulturę. Szczególną uwagę zwrócono na działania oddolne i samoorganizację społeczną.

Edward Abramowski, twórca idei społecznego kooperatyzmu, już w 1907 r. przekonywał, że demokracja „wymaga przede wszystkim silnego poczucia i instynktu samopomocy społecznej. Wymaga silnego indywidualizmu człowieka, wyrobionej potrzeby urządzenia swego życia według własnych pojęć i poszanowania tej samodzielności u innych. Wymaga zatem rozwoju stowarzyszeń we wszystkich dziedzinach gospodarstwa społecznego i kultury". I to właśnie ruch spółdzielczy – skompromitowany w czasach PRL-u i z trudem odżywający po 1989 r. – pełnił wyjątkową rolę w dwudziestoleciu.

Ustawa o spółdzielniach z 1920 r. była jedną z najnowocześniejszych w Europie. O skali tego ruchu mówią liczby – w 1937 r. w Polsce działało blisko 10 tysięcy różnych spółdzielni, w tym rolno-handlowych, spożywczych, mieszkaniowych i kredytowych, z trzema milionami członków. Obejmował on niemal wszystkie sfery życia, od gospodarki, polityki, edukacji po kulturę i sport. Umożliwiał działanie także tym, którzy z różnych przyczyn byli dyskryminowani czy spychani na margines. Jednym z największych fenomenów był ukraiński ruch spółdzielczy w II RP – w 1937 r. działało ponad 3 tys. spółdzielni ukraińskich.

Osiedla robotnicze Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (WSM) na Żoliborzu i Rakowcu, jedne z najbardziej spektakularnych realizacji w II RP, stanowiły nie tylko ciekawe przykłady ówczesnej architektury, ale przede wszystkim udane próby tworzenia środowisk lokalnych, z licznymi instytucjami i inicjatywami. To tam testowano rozwiązania bardzo aktualne, jak założenie „pensjonatu roślinnego" czy sale ciszy chroniące przed „zanieczyszczeniem wielkomiejskim hałasem".

Innym *novum* było wprowadzenie zasad partycypacji społecznej. W 1936 r. twórcy Rakowca zapytali mieszkańców o ich ocenę zaplanowania zajmowanych przez nich mieszkań, posiadanego przez nich sprzętu i o to, co ich zdaniem powinno się zmienić. To „wysłuchanie zbiorowego głosu mieszkańców" – ankietę wypełniło 170 mieszkańców, czyli 89,5 proc. ogółu zamieszkałych – miało pomóc w lepszym zaprojektowaniu kolejnych budynków. W ten sposób budowano – bardzo skutecznie – kapitał społecznego zaufania, nieodzowny dla każdej dobrze funkcjonującej wspólnoty. Z którego brakiem

dziś, co pokazują kolejne badania, mamy ogromny problem.

Sztuka i zaangażowanie

W Zachęcie przypomniano o działaniach prozdrowotnych, o edukacji seksualnej, w tym o wydawanym od 1932 r. kwartalniku „Życie Świadome", o zabiegach o poprawę bezpieczeństwa w pracy (są tu m.in. świetne plakaty Tadeusza Trepkowskiego). O upowszechnianiu sportu, zwłaszcza wśród grup dotąd pomijanych – kobiet, środowisk robotniczych, a także mniejszości narodowych (widziano w tym narzędzie nie tylko poprawy kondycji fizycznej, ale też emancypacji społecznej). Wreszcie o edukacji dzieci i młodzieży. Są tu przywołane sztandarowe projekty, jak założony przez Janusza Korczaka i prowadzony przez Marię Falską Nasz Dom na warszawskich Bielanach czy Sanatorium im. Włodzimierza Medema w Miedzeszynie, nazywane Małym Edenem, przeznaczone dla żydowskich dzieci chorych na gruźlicę.

Przypomniano też o zaangażowanych społecznie działaniach artystycznych. O dostrzeżeniu przez twórców społecznego wymiaru sztuki, o umożliwianiu dostępu do kultury tym, którzy dotąd byli z niej wykluczeni. Na przykład teatr symultaniczny Andrzeja Pronaszki i Szymona Syrkusa miał nie tylko upodmiotowić odbiorcę, m.in. przez zniesienie sztywnego podziału na scenę i widownię, ale i przyciągnąć nowych widzów przez sięgnięcie po społecznie zaangażowaną tematykę. „Teatr musi wypaść na ulicę – krzyczeć, gadać ze wszystkich stron (...) Teatr to agitacja. To reklama nowych prawd" – głosił Pronaszko.

Pojawia się na wystawie Stowarzyszenie Miłośników Filmu Artystycznego START, którego członkami byli m.in. Eugeniusz Cękalski, Aleksander Ford i Wanda Jakubowska (wszyscy zresztą mieszkali na żoliborskim WSM-ie). W ich koncepcji film miał być sztuką masową, dostępną dla szerokiej publiczności, a jednocześnie przemycać radykalne idee, tym samym służąc przemianie świadomości społecznej.

Pokazano dzieła niemalże nieznanych. Prace, które powstały na styku sztuki z nauką, edukacją czy wreszcie z reklamą. Projekty uczennic Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego zrealizowane w Szkole Przemysłowo-Handlowej w Koluszkach czy rewelacyjny, powstały w latach 1924-1938 cykl fotograficzny „Ręka pracująca" Janiny Mierzeckiej. Ten ostatni był zarówno projektem artystycznym, jak i społeczno-badawczym. Mierzecka, współpracując ze swym mężem Henrykiem, dermatologiem, wykonała 120 fotografii dłoni przedstawicieli różnych zawodów. Powstał nieoczywisty portret Polaków z różnych klas, wieku i profesji.

Jest wreszcie film zamówiony u Aleksandra Forda przez Szlojme Gilińskiego, dyrektora Sanatorium Medema. Miał on promować jego instytucję i pomóc w zbieraniu na nią funduszy. Jednak *„Mir kumen on* (Droga młodych)" dalece wykracza poza typową reklamowo-propagandową produkcję. Ford sięgnął po nowatorskie filmowe rozwiązania, sugestywnie zestawiając obrazy biedy z ujęciami przedstawiającymi życie dzieci w sanatorium. Stworzył dzieło na tyle poruszające, że cenzura wydała zakaz wyświetlania go w Polsce. Uznano, że film o walce z gruźlicą, popularyzujący powrót do natury, higienę i sport, jest „zagrożeniem żywotnych interesów Rzeczypospolitej" (!). Co tylko wzbudziło zainteresowanie tym filmem za granicą.

Wystawa w Zachęcie ma jeszcze jednego bohatera: inteligencję. Nie całą jednak, tylko tę, której bliskie były idee postępu. Grupę, o której przed laty pisał Andrzej Mencwel w książce „Etos lewicy" (twórcy wystawy dziękują mu za inspirację do jej zorganizowania). „Przyszłość będzie inna" jest kolejnym krokiem w przywracaniu pamięci o tych bohaterach książki Mencwela, którzy próbowali zmienić rzeczywistość w przekonaniu, że niesprawiedliwy świat domaga się naprawy. Trzeba zatem go opisywać, wymyślać na nowo i jednocześnie działać.

© PIOTR KOSIEWSKI

PRZYSZŁOŚĆ BĘDZIE INNA. WIZJE I PRAKTYKI MODERNIZACJI SPOŁECZNYCH PO ROKU 1918, *Warszawa, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, wystawa czynna do 27 maja br., kuratorka: Joanna Kordjak.*

REKLAMA

PREMIERA 14 KWIETNIA

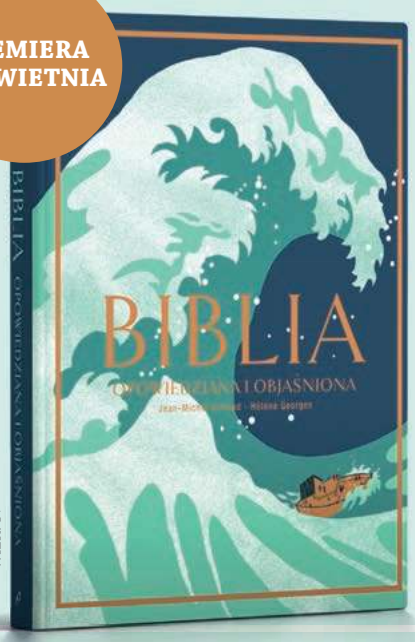

BIBLIA OPOWIEDZIANA I OBJAŚNIONA
OPRAWA: twarda
LICZBA STRON: 172
WIEK: 8+

PRZEWODNIK BIBLIJNY DLA CAŁEJ RODZINY

Czytałem i oglądałem zaskoczony umiejętnością zauważenia przez autorów tego, co kryje się między świętymi słowami. Nie przeszkadzało mi nawet to, że znam finał każdej opowiedzianej przez nich historii. Nie dajmy się zwieść, że to książka dla dzieci. Zapewniam, że dorośli też nie będą zawiedzeni!

Roman Bielecki – dominikanin, redaktor naczelny miesięcznika „W Drodze"

- **60 najważniejszych postaci i wątków** Starego i Nowego Testamentu.
- **Krótkie i ciekawe objaśnienia** każdej z opowieści.
- **Kontekst historyczny, społeczny i kulturowy**.
- Książka stanowi **echo współczesnych duchowych rozważań**.

KSIĄŻKĘ KUPISZ NA: www.papilon.pl Papilon

RAFAŁ GUZ / FORUM

ANNE-SOPHIE MUTTER rozpoczęła karierę koncertującej skrzypaczki w 1976 r., w wieku 13 lat, od występów i nagrań z Filharmonikami Berlińskimi i Herbertem von Karajanem. Założona przez nią fundacja zajmuje się opieką nad młodymi muzykami, z którymi artystka także koncertuje. W Polsce występowała w ramach Wielkanocnego Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena, grając w Krakowie, Katowicach, Warszawie, i Wrocławiu.

Śpiew stradivariusa

ANNE-SOPHIE MUTTER, SKRZYPACZKA:

Ludzie przychodzą na koncert, bo chcą się czymś podzielić. I ty się chcesz podzielić z nimi czymś. Po to my, muzycy, żyjemy. Pytanie, jak się wtedy czujesz, jest więc nie na miejscu.

JAKUB PUCHALSKI: Właśnie debiutuje Pani w paru polskich miastach.

ANNE-SOPHIE MUTTER: Tak, w Polsce grałam już w Krakowie, a także kilka recitali w Warszawie, ale teraz czeka na mnie kilka z najlepszych sal w Europie, jeżeli nie na świecie. Tak mi mówiono o sali NOSPR w Katowicach. Jestem tym bardzo podekscytowana. Taka sala to wspaniała okazja dla publiczności do posłuchania muzyki w najlepszych możliwych warunkach i akustyce.

Jakość sali ma dla Pani tak wielkie znaczenie?

Jest skrajnie ważna. Akustyka odgrywa ogromną rolę w koncepcji prezentacji muzyki. W sali o brzmieniu suchym i przeźroczystym wolne części muszą być zagrane znacznie płynniej, bo nie ma rezonansu. A w sali o obfitym pogłosie trzeba dać więcej czasu popisowym fragmentom. Szybkie części, jak *presto*, muszą też być zagrane w znacznie bardziej suchy sposób. Akustykę trzeba więc bardzo poważnie brać pod uwagę. Jakakolwiek by nie była: inspirująca lub trudna.

Znaczną część programów swoich polskich koncertów poświęca Pani muzyce Krzysztofa Pendereckiego.

85. urodziny Krzysztofa Pendereckiego mają światowe znaczenie. W poprzednim sezonie zimowym zaczęłam znowu grać na koncertach jego II Sonatę i *„Duo concertante”* – oczywiście przygotowując się do koncertów w Polsce, ale też do koncertu w Carnegie Hall. Od listopada przez 12 miesięcy większość moich koncertów poświęconych jest twórczości Pendereckiego, gdyż jest jednym z najważniejszych żyjących kompozytorów. I jedną z najważniejszych postaci w moim życiu. Podobnie jak drugi polski kompozytor, Witold Lutosławski, od którego moje życie z muzyką współczesną w ogóle się zaczęło. W ten całkiem nowy dla mnie świat wprowadziła mnie bowiem premiera „Łańcucha II”, w 1986 r. pod batutą Paula Sachera. Nie potrafię wyrazić, jak niezwykle wdzięczna jestem za to, że miałam kontakt z Witoldem Lutosławskim i że Krzysztof Penderecki oraz jego muzyka stali się częścią mojego życia.

Obok *„Duo concertante”* wykonuję więc ogromną II Sonatę, której premierę grałam w 2000 r. Była to dla mnie i Lamberta Orkisa [pianisty, z którym artystka tworzy duet – przyp. red.] skrajnie trudna pre-

miera, gdyż utwór został ukończony bardzo, bardzo późno i czuliśmy, że nie oddaliśmy mu pełnej sprawiedliwości. Z okazji urodzin wróciliśmy do niego – już dwa lata temu, gdyż jest to ogromnie skomplikowana i cudownie filozoficzna muzyka. Piękny utwór – ale to 35 minut grania dla obu instrumentów. Właśnie ją też nagraliśmy, będzie częścią dwupłytowego boksu ze wszystkimi utworami, jakie mistrz Penderecki napisał dla mnie.

Gra Pani dużo muzyki współczesnej. Czego Pani w niej szuka?

Wykonawca powinien poświęcać istotną część swego czasu i wysiłku na dawanie życia utworom współczesnym, ponieważ są one zwierciadłem czasu, w jakim żyjemy. I mamy obowiązek sprawiać, by były słuchane. Musimy też nieustannie odnawiać i rozszerzać repertuar. Także na poziomie intelektualnym. Stawiać wyzwania publiczności. Nie możemy wciąż cofać się do rzeczy, które znamy i z którymi jest nam dobrze. Bo życie oznacza poszerzanie naszego rozumienia, nie tylko muzyki, ale również literatury, polityki i etyki.

A czego szukam w muzyce współczesnej? Jakiegoś rodzaju klasycznej struktury, umiejętnie napisanej partytury, ze znawstwem zorkiestrowanej, w której czuje się zrozumienie każdego instrumentu, jego barwy i bogactwa możliwości. Szukam też naturalnie języka, który jest właściwy dla konkretnego kompozytora. Nigdy nie pomyli się muzyki Pendereckiego z jakąkolwiek inną. Tak jest z Mozartem i z każdą najwyższej jakości muzyką, niezależnie z którego stulecia pochodzi.

To dlatego nie gra Pani dzisiejszej muzyki awangardowej? Albo utworów, które zdają się eksplorować przede wszystkim możliwości aparatu wykonawczego?

Kiedyś bardzo chciałam złożyć zamówienie na utwór na skrzypce elektroniczne. Przez dość długi czas byłam niezwykle podekscytowana wypróbowaniem tego typu skrzypiec. Ale potem zagrałam na nich i było to wielkie rozczarowanie. Nasycenie kolorów, dynamika, jakie można uzyskać na skrzypcach elektronicznych – czułam, że to nie poprawa ani rozwój, raczej krok wstecz w budowie instrumentu i w jego możliwościach wykonawczych. Więc zarzuciłam ten kierunek. Ale muzyka, którą lubię, faktycznie nie jest tym, co można by uznać za hardcore'ową awangardę. Powiedziałabym, że mój smak w muzyce współczesnej jest gustem bardzo klasycznym, bo wiąże się z ekspresyjnością muzyki. Skrzypce w końcu nie są instrumentem perkusyjnym, jak np. fortepian, lecz śpiewającym. I jeżeli nie mogę znaleźć tej jakości w utworze – nie będę go grać. Może dlatego ta skrajna awangarda nigdy nie przyciągała mojej uwagi.

Czyli istnieje muzyka, której nigdy nie zamierza Pani grać?

Nigdy nie mów nigdy... Właśnie złożyłam zamówienia u dwóch kompozytorów znacznie bardziej nowoczesnych niż większość zorientowanych klasycznie twórców współczesnych, których grałam dotąd – u Unsuk Chin, sławnej Koreanki, i także u świetnego Niemca, wciąż dość młodego Jörga Widmanna. Nie spieszę się, jestem całkowicie otwarta, wciąż nie nawiązałam bliskiej relacji z muzyką Arnolda Schönberga, ale repertuar jest tak ogromny, a muzyka Schönberga tak żywotna, że chyba nic się nie stanie, jeżeli nie będę jej grać...

Wybiera Pani muzykę jak przyjaciół?

Tak naprawdę lubię pewne wyzwania intelektualne. Nie wybieram sobie muzyki, która łatwo mi przychodzi – muzyka Krzysztofa Pendereckiego jest trudna, nie tylko intelektualnie, ale i technicznie. W jego „*La follia*", którą też wykonuję, są najtrudniejsze pasaże, jakie kiedykolwiek grałam. On zresztą miał wiele radości z mojego zapoznawania się z trudnościami utworu. Bo przecież też był skrzypkiem i zna tajniki instrumentu.

W jaki więc sposób pracuje Pani nad nowymi utworami? Szuka Pani rady u kompozytorów czy wystarcza Pani sama partytura?

Gdy dostaję partyturę, zapoznaję się z nią sama, co zwykle jest bardzo frustrującym zajęciem, bo zazwyczaj jest to trudne i chciałabym, żeby działo się szybciej. Nie kontaktuję się z kompozytorem w trakcie uczenia się utworu, najwyżej w sytuacji, gdy znajduję coś, co – by użyć języka kompozytorskiego – wydaje się może nie tak całkiem doskonałe. Na koniec moich przygotowań zazwyczaj gram utwór przed kompozytorem, który na mnie wtedy pokrzyczy, ja robię poprawki – i gotowe.

To chyba nie jedyne problemy działalności zawodowej koncertującej artystki. Czy nie jest Pani samotna podczas swoich tournées?

Dobre pytanie. Więc nie, bo lubię być sama. Oczywiście, uwielbiam też być z przyjaciółmi, gdy jestem totalnie na luzie. Dla samotnej matki dwójki dzieci [pierwszy mąż skrzypaczki, Detlef Wunderlich, zmarł w 1995 r.] to życie najlepsze, jakie może być, bo wszystko jest możliwe i musisz umieć się dostosować. Myślę, że istotą życia muzyka jest właśnie umiejętność dostosowania się do okoliczności. I do grania w najbardziej zwariowanych sytuacjach – niezależnie od tego, jak sam się czujesz lub jak okropna była twoja podróż. Trzeba się nauczyć odcinania od problemów, bo ludzie przychodzą na koncert, chcąc się czymś podzielić – i ty się chcesz z nimi podzielić – czymś, co jest niesamowite, niezwykłe, pozostanie w ich wspomnieniu na długi czas. To po to my, muzycy, żyjemy – i pytanie, czy się czujesz, samotny lub nie, jest nie na miejscu.

Pytam, bo obserwuję koncertujących muzyków od lat i widzę, jak trudny i męczący jest taki tryb życia. Lotniska, samoloty, jet lagi, hotele, reżym pracy, wymagania – jak to wszystko Pani znosi?

Kluczowa jest organizacja. Wiedza, ile czasu potrzebuję rano w podróży, ile czasu przed koncertem potrzebuję na rozgrzanie. Oczywiście, wraz z latami poznajesz to wszystko. Ale jest też wiele spraw poza twoją kontrolą. Najważniejsze więc to umieć się skupić o godzinie ósmej wieczorem, wszystko inne pozostawiając za sobą.

Trzeba też kochać to, co się robi. Jedną z sił stojących za tym, że jestem muzykiem, jest wiara, że muzyka łączy ludzi, a niekiedy i potrafi leczyć rany między krajami. Poczułam to bardzo wyraźnie, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Polski, dekady temu. Debiutowałam w Warszawie, zagraliśmy recital z Lambertem Orkisem, z muzyką Witolda. Przyjazd do Polski oznaczał dla mnie – jako Niemki – bardzo trudny moment, z powodu straszliwej przeszłości, wszystkiego, co Niemcy zrobili Polsce nie tylko na poziomie politycznym, ale i ludzkim. Czułam jednak, że muzyka, grana przeze mnie całym sercem dla polskiej publiczności, może pomóc złagodzić i leczyć te straszliwe rany. ↦

↦ Dlatego muzyka jest tak wspaniałą platformą dla nas wszystkich: pozwala na spotkanie, zrozumienie. Mamy wszyscy te same życzenia, marzenia, potrzeby. Musimy się nawzajem dostrzegać.

Gra Pani na skrzypcach Stradivariusa. Ale pewnie oboje zgodzimy się, że to brzmienie tylko w części zależy od instrumentu, a w zasadniczej mierze od tego, jak muzyk potrafi je wydobyć. Jakość tego dźwięku była wspólna dla adeptów szkoły Carla Flescha – grona najwybitniejszych skrzypków XX wieku.

Tak, byłam kształcona według zasad Carla Flescha. Moja nauczycielka, Aida Stucki, studiowała u Flescha w latach 40. w Szwajcarii. To było dawno temu i grozi nam, że z czasem zapomnimy właściwości funkcjonujących w przeszłości szkół... Staram się więc kontynuować tę drogę w kolejnej generacji, z pasją i, mam nadzieję, nie bez sukcesów. To droga bardzo analityczna, jeżeli idzie o sposób wydobywania dźwięku, ale też o oddawanie wyrazu różnych stylów kompozytorskich i zróżnicowanie języka brzmieniowego. Carl Flesch napisał na ten temat wiele prac naukowych. Nic nie dzieje się tu przez przypadek: jego uczniowie mieli niewiarygodnie zróżnicowaną paletę wibrato i kolorów brzmienia; staram się utrzymać tę tradycję. I mam nadzieję, że następne pokolenie poniesie ją dalej, to nasycenie muzyki bogactwem ekspresji. Mamy skłonność do jakiegoś względnie gładkiego i dużego dźwięku, ale monotonnego, wraz z niebotyczną techniką wykonawczą – ale często nadużywaną. I ta skłonność do naginania utworu do prędkości palców! Takiej estetyce jestem przeciwna. Oczywiście, też uwielbiam grać bardzo szybko, pokazać moją technikę, bo to zabawne, ale generalnie jest to zdecydowanie wbrew muzycznej treści. Powinno się być jej służącym, a nie gwiazdą na przedzie. I ta idea musi być zachowana niezależnie od okoliczności – co jest częścią filozofii Carla Flescha.

Ale żyjemy w czasach, w których muzycy chcą być znani i bogaci, prowadzić życie modelek... Ja jestem bardzo staroświecka. Uważam, że to błąd, bo muzyk musi poświęcić swoje życie muzyce. I że muzyka musi mu wystarczyć. Gdyż nikt z nas nie żyje w próżni. Przecież wszystko, co robimy, co czytamy, widzimy, czego słuchamy, kształtuje nasz smak.

© Rozmawiał JAKUB PUCHALSKI

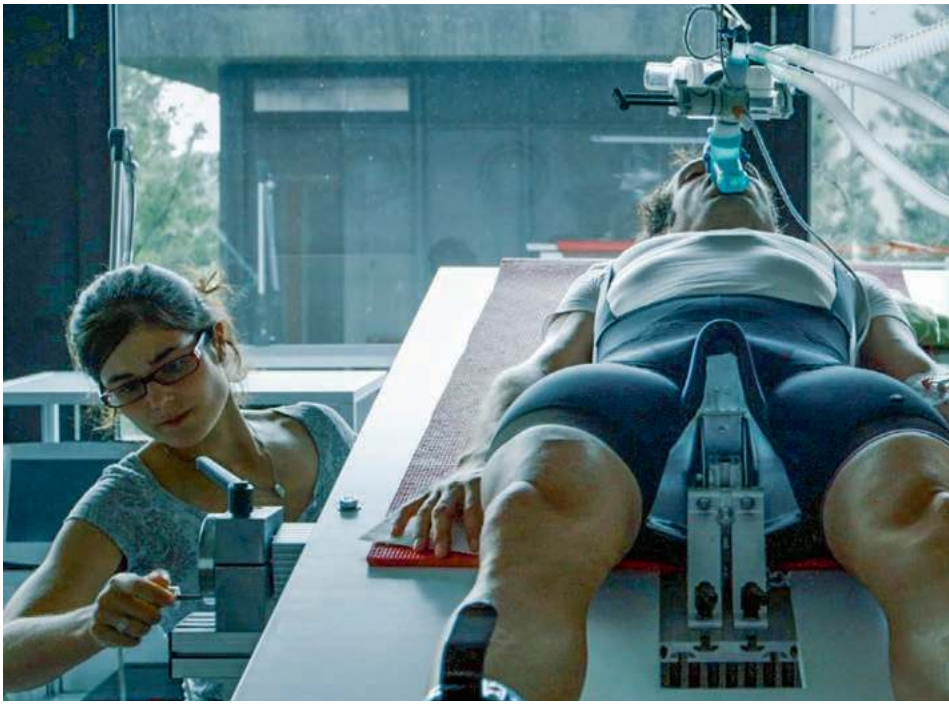

NETFLIX

Brudne igrzyska

ANITA PIOTROWSKA

Związki polityki i sportu zacieśniają się. Obie dziedziny coraz silniej zagospodarowują nasze emocjonalne zasoby, ale i upodabniają się do fikcji. Do pustego spektaklu.

Od dawna było wiadomo, że nagrodę Amerykańskiej Akademii dla najlepszego dokumentu otrzymują wcale nie filmy najkunsztowniej zrobione czy wskazujące na rozwój gatunku, ale te, które dotykają najważniejszych tematów. W tym roku Oscara nie otrzymały jednak największe pewniaki: nie dość interesująca okazała się wojna w Syrii („Ostatni w Aleppo"), sprawa zabitego przed laty afroamerykańskiego chłopaka („*Strong Island*") czy echa światowego kryzysu ekonomicznego („*Abacus: Small Enough to Jail*"). Nawet weteranka Agnès Varda ze swoim filmem „Twarze, plaże" (patrz: rubryka „Warto zobaczyć") pozostała niedoceniona. Wygrał natomiast tytuł, który dotyka emocji wiecznie żywych – czyli sportu i lęku przed Rosją. I robi to bez znieczulenia.

Po londyńskich zamachach na niewygodnych dla Kremla Rosjan bohater „Ikara", dr Grigorij Rodczenko, ma prawo bać się jeszcze bardziej. Z dokumentu Bryana Fogela dowiadujemy się co prawda, że były dyrektor laboratorium antydopingowego w Moskwie został objęty w USA programem ochrony świadków, ale rząd Putina zdążył już zająć cały jego majątek, a żona i krewni są nękani rewizjami i przesłuchaniami. Życie dopisało do tej historii kolejne rozdziały. Pomimo całej afery do zakończonej niedawno olimpiady zimowej w Pjongczangu dopuszczono ostatecznie część zawodników z Rosji, jakkolwiek odmówiono im statusu reprezentacji narodowej. W niecały miesiąc później Władimir Władimirowicz miażdżącą przewagą głosów wygrał kolejne wybory prezydenckie.

Najbardziej fascynująca w dokumencie o Rodczence jest jego gatunkowa ewolucja, czy może raczej brutalna transformacja, prowadząca nas od filmu o sporcie i towarzyszących mu nadużyciach w kierunku politycznego thrillera. Zaczyna się jak zapis pewnego eksperymentu: Fogel, amerykański kolarz amator, zgłasza się przez Skype'a do rosyjskiego specjalisty od antydopingu. Chce, by ten pomógł mu opracować program poprawienia sportowej formy za

Kadr z filmu „Ikar”

pomocą nielegalnych, a zarazem całkowicie niewykrywalnych substancji. Wyzwanie zostaje przyjęte.

Niczym w słynnym dokumencie „*Super Size Me*”, którego twórca miesiącami testował na sobie szkodliwość diety z McDonalda, reżyser „Ikara” na naszych oczach szprycuje się testosteronem i hormonami wzrostu. Wyniki tego eksperymentu nie są jednak aż tak istotne, bo znajomość pomiędzy amerykańskim filmowcem a rosyjskim chemikiem przybiera zaskakujący obrót. W 2016 r. po emisji głośnego dokumentu telewizji ARD świat dowiaduje się, że lwia część rosyjskich sportowców stosuje regularny doping. Rodczenko, który wie o tej sprawie wszystko, przestaje czuć się w Rosji bezpiecznie. Jego ucieczka do USA rozpoczyna zupełnie inny film, którego zapowiedzią było otwierające „Ikara” motto z George’a Orwella. Przed nami pasjonujący dokument o tym, jak wielokrotnie powtarzane kłamstwo w końcu staje się prawdą i nawet druzgocące dowody nie są w stanie tego zmienić.

„Spiskiem instytucyjnym” nazywa Rodczenko wieloletni proceder cichego wspierania dopingu przez władze Federacji Rosyjskiej z pomocą FSB. Czerpiąc z sowieckich tradycji, sportowa rywalizacja stała się dziś formą wojny hybrydowej przeciwko reszcie świata. Jako ten, który znał ów system od podszewki, a nawet aktywnie go współtworzył, bohater filmu odsłania funkcjonowanie całej machiny, ze szczególnym uwzględnieniem zimowej olimpiady w 2014 r. Dzięki podmianie próbek moczu 13 zawodników rosyjskich mogło wyjechać z Soczi ze złotymi medalami, Putin zaś mógł odtrąbić wielki sukces, który tak bardzo był mu potrzebny w przededniu aneksji Krymu. Dwa lata później, kiedy Rosji groziło wykluczenie z letniej olimpiady w Rio de Janeiro, ten sam człowiek będzie głośno potępiał wszelkie przejawy łączenia polityki ze sportem.

Film Fogela chwyta także ów szczególny moment, kiedy nie tylko „czystość” rosyjskich zawodników, ale cała wiarygodność sportu jako takiego zawisa nagle na włosku. „Po co oglądać zawody, które są ustawiane?” – zastanawia się Richard „Dick” Pound, pierwszy przewodniczący WADA (Światowej Agencji Antydopingowej). Można by z tym polemizować. Wielu współczesnym kibicom nie tylko nie przeszkadza fakt, iż na gruncie sportu powoli wchodzimy w fazę transhumanizmu, ale wręcz ich to ekscytuje. Jan Sowa i Krzysztof Wolański, autorzy książki „Sport nie istnieje. Igrzyska w społeczeństwie spektaklu”, zwracają uwagę, że dzisiejszy sport jest przede wszystkim „przemysłem rozrywki” wprzęgniętym w kapitalistyczną gospodarkę. Lecz w innym miejscu dowodzą, że również marketing polityczny odnalazł to, „co w sporcie widzieli siedemnastowieczni purytanie: ogromny ładunek emocji oraz afektów”. W ten sposób związki polityki i sportu zacieśniają się: obie dziedziny nie tylko zagospodarowują nasze emocjonalne zasoby, ale i coraz bardziej upodabniają się do fikcji, do „pustego” spektaklu, czy wreszcie – medialnego igrzyska.

Polscy badacze wskazują na jeszcze coś: w krajach zafiksowanych wokół kwestii narodu sport może się stać „olbrzymim ekranem, na którym wyświetlać można najróżniejsze narodowe fantazje”. Uruchomiwszy gdzieś podskórnie te wszystkie dodatkowe konteksty, trzymający w napięciu oscarowy dokument o dopingu w putinowskiej Rosji i nieustraszonym sygnaliście staje się jeszcze ciekawszy. Choć zarazem jeszcze bardziej niepokoi. ©

IKAR *(„Icarus”) – reż. Bryan Fogel. Prod. USA 2017. Dostępny na platformie Netflix.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [31 III – 6 IV]

1. Ptaki śpiewają w Kigali

Dramat, reż. Joanna Kos-Krauze, Krzysztof Krauze, Polska 2017, Canal+, 31 III, 20.00

Nagrodzony w Gdyni i Karlowych Warach ostatni film reżysera „Długu” to przede wszystkim próba znalezienia filmowego języka, by opowiedzieć o wojennej traumie. Wokół niej rozgrywa się historia trudnej przyjaźni pomiędzy młodą Rwandyjką z plemienia Tutsi a doświadczoną przez los ornitolożką z Polski.

2. Wersety zapomnienia

Dramat, reż. Alireza Khatami, Francja i inne 2017, Cinemax 2, 1 IV, 20.30, 2 IV, 11.25

Reżyser urodził się w Iranie, akcję filmu osadził w Chile, ale ta historia mogłaby wydarzyć się wszędzie – również w zaświatach. Po ulicznych zamieszkach do kostnicy trafia ciało anonimowej dziewczyny. Pracownik zakładu pod wpływem osobistych wspomnień postanawia zapewnić jej godny pochówek. Na festiwalu w Wenecji film otrzymał m.in. nagrodę krytyki FIPRESCI oraz za scenariusz.

3. Twarze, plaże

Dokumentalny, reż. Agnès Varda, JR, Francja 2017, Canal+ Discovery, 1 IV, 21.30, 2 IV, 9.10, 4 IV, 0.30

W maju skończy 90 lat, lecz nie brakuje jej pomysłów i energii. Jedna z ikon francuskiej Nowej Fali po „Zbieraczach i zbieraczce” czy „Plażach Agnès” podejmuje kolejną dokumentalną podróż w czasie i przestrzeni. Tym razem w towarzystwie fotografika i twórcy murali znanego pod pseudonimem JR.

4. Pod elektrycznymi chmurami

Dramat/Sci-Fi, reż. Aleksiej German, Rosja 2015, TVP Kultura, 4 IV, 20.00

W setną rocznicę rewolucji październikowej w Rosji panuje rozpasana konsumpcja i nastroje katastroficzne. Twórca znany ze śmiałych rozwiązań estetycznych stara się uchwycić ten stan. Efektem jest filmowa kontemplacja rozpięta między przeszłością a przyszłością, dla jednych efektowna, dla innych pretensjonalna.

JAN

Klata: *Giezło giezł*

Wiem, wiem, przecież Wielkanoc, a tutaj pod piórem temat nijak nielicujący. Ale akurat w Poznaniu flaneurowałem po śródmieściu, no i tak się pechowo złożyło, że przechodziłem mimo witryny, obok której nie potrafiłem przejść obojętnie. Więc stanąłem. Oczy o rozszerzonych nagle powiekach ze zdumieniem przecierając, wykrzyknąłem patriotycznie: na Swarożyca! Nie może to być!

Witryna, niby owszem, nie dziwota, patriotyczna, tak, z odzieżą, ale ja człowiek w ojczyźnie bywały niejedną patriotyczną odzież widziałem... Widziałem szturmowce w ogniu sunące ku ramionom Oriona, oglądałem płomienie lasera błyszczące w ciemnościach u wrót Tannhäusera, widziałem wojów spod Cedyni – wszystko to na bawełnie. Widziałem rzeczy, którym inne – mniej patriotyczne – narody nie dałyby wiary, no ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Manekin. A na manekinie? Koszulka *á la* T-shirt. I opisuję od góry: zarys bramy obozu w Auschwitz (na czarno), oraz wyrazy GERMAN (na czarno) DEATH (na czerwono) CAMPS (na żółto). Na samym dole na biało: NOT POLISH. REMEMBER. Inkrustowane żółtym drutem kolczasty.

Autor! Autor! Wszak to genialne w swojej prostocie, a zarazem subtelne uzupełnienie krajobrazu polskich miast i miasteczek, wsi i przysiółków. Na razie potencjalne, na manekinie – jeszcze zimno – ale za pasem wiosna. Czekam na pierwszego odważnego, który wyjdzie w tym na ulicę, do parku, do biblioteki, pójdzie na pizzę, kebab lub kiełbaskę. Pierwszego herosa, który pojedzie w tym na urlop pod gruszą, albo i pod palmą, *all inclusive*. Ta koszulka po prostu musi trafić nie tylko pod strzechy, ale i na wczasy: pod palmy, na górskie szczyty i do jaskiń, nawet do najdalszych zakątków globu, powinna w jakże przystępny sposób szerzyć historyczną, bądź co bądź, prawdę. Może w grupie będzie raźniej: mama, tata i dziatki w tych koszulkach zrobiłyby furorę w Tel Awiwie i Ejlacie, w portach lotniczych całego globu, wielopokoleniowy przekaz... Dlaczego nie ubrać w to również i babci? Niech się babcia cieszy. Jakże dystynktywna kategoria „dobrego smaku" jest już *passé*, i to dawno, więc nie ma się co pieścić, nie ma co estetyzować, hamletyzować, trzeba przyodziewać, bo larum grają, nośmy te koszulki, nim nam zabronią, nim będzie za późno. Nośmy. Nasze. Polskie. Giezło. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Lektor: *Tajemnica*

▪ *Jakub Socha*
ŻEBROWSKI. HIPNOTYZER
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018, ss. 240.

Podczas rozmów ze Stanisławem Lemem starałem się unikać tego tematu. „Szpital Przemienienia", filmową wersję wczesnej powieści Lema wyreżyserowaną przez Edwarda Żebrowskiego wedle scenariusza Michała Komara, uważałem za arcydzieło, natomiast pisarz jej nie znosił, podobnie jak większości ekranizacji swojej prozy. Fascynował mnie także sam Żebrowski – *outsider* o niejasnej biografii, o której wspominano półgębkiem, przez wielu kojarzony wyłącznie jako współscenarzysta filmów Krzysztofa Zanussiego. Dlatego tak mnie ucieszyła ta książka.

Co nie znaczy, że wszystko w niej wyjaśniono. Agnieszka Holland pisze wręcz o „nieodsłoniętej tajemnicy", choć nie ma to być zarzut. Jakub Socha, szef działu filmowego w internetowym Dwutygodniku, nie chciał być demaskatorem. Żebrowski fascynuje go jako wybitny i charyzmatyczny artysta, którego nie sposób umieścić w żadnej przegródce. Zrealizował przecież zaledwie trzy pełnometrażowe filmy („Ocalenie" – 1972, wspomniany „Szpital Przemienienia" – 1978 i „W biały dzień" – 1980, wedle powieści Władysława Terleckiego), do tego szkolne etiudy i prace dla telewizji – a mimo to jego miejsce w historii kina jest niepodważalne. „Nigdy się nie wypalił, nigdy nie rozmienił na drobne, nie pogubił" – pisze Socha, tłumacząc dalej, że w kinie widział Żebrowski „narzędzie do intymnego i skupionego dialogu z widzem", który zaczyna się przed ekranem i trwa długo po seansie.

Kim był towarzysz pijackich eskapad Ireneusza Iredyńskiego, skazany wraz z nim za próbę gwałtu (w procesie zapewne „ustawionym"), a po wyjściu z więzienia współpracownik Zanussiego, który wydaje się wręcz antytezą autora „Dnia oszusta"? Człowiek paradoks: postawny i silny mężczyzna uprawiający za młodu boks, później dotknięty nieuleczalną chorobą i skazany na wieloletnie cierpienie. Zamknięty w sobie odludek, który okazał się znakomitym pedagogiem w łódzkiej filmówce, w Berlinie i w Szkole Wajdy. Mędrzec, autorytet, „rebe Edek Bernstein" (później przyjął nazwisko matki), zarazem nieufny wobec ideologii i katechizmów, optujący co najwyżej za „wiarą w moralny sens wątpienia", jak to określił Andrzej Werner. Socha z wielką wrażliwością stara się zbliżyć do tajemnicy swojego bohatera, a przy tym przypomina krąg twórców związanych z Zespołem Filmowym „Tor", przede wszystkim – za co szczególnie dziękuję – Stanisława Różewicza. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Rozmowa w całodobowym

– Wziąć pomidory? Te śliwkowe, wiesz.

– Daj spokój, to cień namiastki, jak małżeński obowiązek. Jeśli wjadą na stół, to pomyślę, że już mnie nie kochasz.

– Gdzie ja ci w całodobowym dowód miłości wytrzasnę?

– Zobacz, może mają w promocji sercowe czekoladki, co im z walentynek zostały.

– Bardzoś dowcipna, sama rusz się z domu i zrób te zakupy.

– Dobra, upieczesz te pomidory w połówkach, posypie się oregano i pieprzem, doda podwójnie oliwy, to sobie jeszcze nią polejesz sałatę jutro do biura.

– Właśnie, sałata, wezmę dwie paczki. Wolisz z rukolą czy z roszponką?

– Z rukolą. Ale musisz buraki przynieść, te podłużne, wrzucę do pieca obok pomidorów.

– Całą zimę ćwiczymy buraki z rukolą, ogórkiem i sałatami. Już mam dosyć.

– Sam głosisz, że to niewyczerpany skarb Polaka, kisimy i śmierdzi w domu jak w sieni podlaskiego chłopa.

– Wszystko przez ciebie, naczytałaś się u Katza, że fermentacja nas zbawi. Już wolałem, jak miałaś fazę na jarmuż. Czekam, aż ci wmówią, że nastał czas pleśni.

– Sam jesteś pleśń, śmietana ci ostatnio zarosła, fakt, że miesiąc po dacie ważności.

– Optymistyczny dowód, że jednak miała coś wspólnego z mlekiem.

– To tak jak twoje gotowanie ma coś wspólnego z Włochami. Myślałam, że kuchnia będzie pachnieć bazylią, a nie smażoną słoniną.

– Po pierwsze, *lardo di Colonnata* jest najszlachetniejszą wędliną w Toskanii, taka słonina 30 euro za kilo kosztuje. Po drugie, jest zima w marcu, a ja stoję w Biedronce, a nie na Campo dei Fiori.

– To już zróbmy zimowo, ale włosko, weź pomarańcze.

– Ale fenkuła tu nie mają, chciałaś zrobić tę sałatkę z Sycylii?

– Nie, do sałaty myślałam. Trzeba tylko czymś bardzo słonym te pomarańcze przełamać. Widzisz tam fetę?

– Ten tak zwany serek kanapkowy, mówisz? Prędzej mi ręka uschnie, nim użyję tego jako fety. Potęga naszego mleczarstwa na nim stoi, cały świat arabski tym karmią, ale trzymajmy się jednak słów jak pijany płotu.

– A tu byś się akurat dogadał z mleczarzami, właśnie przewalczyli w Unii, że masło orzechowe nie ma prawa się nazywać masłem.

– To może za jednym zamachem skończy się sojowe latte. Ta ciecz smakująca wodą spod fasoli na pewno nie jest mlekiem.

– Ale twoja kawa z bimbrem z wytłoczyn to nadal będzie *corretto*? Nie wiem, jak można uważać, że grappa może coś poprawić. *Caffé zepsuto.*

– Może później te czułości, bo zamarznę przy lodówkach. Bryndza leży, co prawda ona owcę to widziała przez moment w telewizji, ale będzie dość słona, ok?

– Super. Jeszcze szczypiorek, pasuje do pomarańczy.

– Jak szczypiorek, to mnie ochota na tuńczyka wzięła.

– Ta miazga w puszce? Jeśli widziała tuńczyka w telewizji, to musiało to być TVP Info u sąsiadów.

– Ale dobrze wychodzi w paście, jak się zmiksuje pół na pół z czarnymi oliwkami. Tymi z gumy, drylowanymi, co to je Hiszpanie wciskają z zemsty za utratę kolonii.

– Wiem, wiem, twoja fiksacja, jak zrobić *fancy* kolację ze śmieci z dyskontu. Posmarujemy łodygi selera naciowego, znajdziesz na pewno, nikt tego nie kupuje.

– Dziękuję, że mi przypominasz o prostacie. Źródło cynku i te rzeczy.

– Właśnie, jeszcze magnez i selen.

– Ty jesteś jak zdrowie, wystarczy mi twój uśmiech za dietę, błagam, nie róbmy mendelejewa.

– Czekolady jesz za dużo, więc magnezu ci nie trzeba, ale selen...

– Widzę tylko kukurydzę.

– I pewnie chcesz ją z majonezem? W życiu. Chcesz się pobawić w dzieciństwo, to ogarnij szybki deser.

– Mascarpone z nutellą? Pół na pół i lekko zmrożone, z biszkoptami moczonymi w kawie.

– Dajesz! Dzieci w końcu wyjechały, można przestać udawać.

– Dobra, już przy kasie. Zapraszasz sąsiadów?

– Tylko to wszystko zbyt zwyczajne, święta idą, wymyśl jakiś akcent.

– Mamy jeszcze zamrożony groszek? Ugotuj ze 100 gramów w małej ilości wody przez parę minut, zmiksuj i ostudź. Obok namocz dwa listki żelatyny. Ja w tym czasie dojadę.

– Wegańskie cudactwo? Pamiętaj, że żelatyna jest ze świni.

– Nie, spokojnie. Potem podgrzeję 400 ml śmietany z 50 g cukru pudru i laską wanilii, prawie do wrzenia, wrzucę żelatynę i purée z groszku. Rozlejemy i będzie groszkowa panna cotta.

– Ale nie zdąży stężeć, to parę godzin zajmuje.

– No to zostanie dla nas, na jutro, będziemy mieli zamiast wiosny za oknem.

©℗

ISTOCK / GETTY IMAGES

Kobieta z koniem i psem, okolice Sokółki, 2005 r.

WOŁKOW

Ten kraj toczył się wolno ku niewidzialnej krawędzi, przez którą miał się spokojnie przelać i przepaść. Ciągnął za sobą przedmioty i zdarzenia, które Wołkow sfotografował, i całą resztę, której nie zdążył.

TEKST ANDRZEJ STASIUK, ZDJĘCIA WIKTOR WOŁKOW

Najczęściej palę buczyną. Ale mam też w zapasie jesion, olchę i nawet trochę czereśni. Czereśnię spotyka się czasem w środku lasu. Rozsiewają ją ptaki pożywiające się w sadach. Mam też wierzbę, która niemal nie daje ciepła. Wrzucam jednak niekiedy parę jej kawałków do pieca, ponieważ ma inny zapach. Tak jak buk, jesion i reszta. Inaczej też pachnie ten sam gatunek w różnych stadiach wysuszenia. Najpiękniej pachnie częściowo wysuszony buk. Tak mi się w każdym razie wydaje.

NA WSI NAD BUGIEM PALIŁO SIĘ GŁÓWNIE SOŚNINĄ. Przynajmniej latem pod kuchnią, żeby ugotować obiad. Nie było gazu, a maszynki elektryczne dopiero wchodziły do użycia. Co zresztą można było ugotować na takiej maszynce? Więc zapamiętałem żywiczną woń sośniny. W gorące i bezwietrzne dni wisiała między chałupami gęsto, zawiesiście, pomieszana z oleistym zapachem smażeniny. Olej, smalec, cebula. Jedzenie biedaków.

I jeszcze pylisty zapach piasku, który, gdy schodziło się w dół, do rzeki, ustępował chłodnej i mulistej woni wód. Bo tam zaczynało się dzikie, cieniste, podszyte ciemną wilgocią. Zielony nurt toczył się wolno na północ i ta zieloność, chociaż ruchoma, wydawała się dalszym ciągiem stałego lądu, zarośli po tej stronie i łąk na drugim brzegu; tak była ociężała i gęsta.

Dolina Narwi, 1985 r.

W pełni lata rzeka opadała, odsłaniając jasne wyspy piasku. To było trochę tak, jakby pokazała swoje wnętrze. Płynne i zarazem stałe, bo przecież prąd nieustannie niósł i przemieszczał ziarna kwarcu, drobiny mułu, roślinne resztki, rybie szkielety, puste muszle, by wciąż na nowo układać kształt koryta. Któregoś roku przeszedłem na drugą stronę, zanurzając się ledwo po pierś. W siedemdziesiątym trzecim albo czwartym. Odpoczywałem na kolejnych płyciznach i czułem pod stopami ruchomy rzeczny piasek.

TERAZ JEST LUTY I W NOCY MINUS DWADZIEŚCIA, więc to palenie w piecu staje się najważniejsze. Dzień zaczyna się od położenia szczap na resztki żaru. Przed snem trzeba dołożyć możliwie najgrubsze polana. Siadam na niskim stołeczku, otwieram przeszklone drzwiczki i patrzę na tlące się węgle. Czasami coś się wysypie, wypadnie na kamienną podłogę i w kuchni unosi się zapach przypominający dogasające ognisko. Lubię go. Lubię, jak miesza się z innymi zapachami domu, lubię, jak się rozchodzi. Jak najstarsze i dzikie snuje się pomiędzy te wszystkie pralki, zmywarki, komputery, telefony, splata się z Wi-Fi, wnika w grzbiety książek, wchodzi do szaf, wsiąka w ubrania, i dom zmienia się trochę w kurną chatę.

Więc siedzę na tym niskim stołeczku i patrzę w żar. Tak jak mój dziadek, jak moja babka, gdy dokładali do pieca. We wsi nie było jeszcze elektryczności. W półmroku czerwony blask oświetlał ich twarze. Dom stał na uboczu, wśród innych luźno rozrzuconych zagród. Rzeka i wieś leżały trochę dalej. Wieczorem było zupełnie cicho. Gdzieś daleko szczekał pies, turkotał kołowrót u studni, dźwięczało wiadro.

To są najstarsze wspomnienia. W każdym razie to właśnie do nich niemal automatycznie powraca pamięć. A przecież urodziłem się w Warszawie. Trochę na peryferiach, ale pod oknem jeździły tramwaje. Zupełna cisza nigdy nie zapadała. Nocą hałas trochę tylko cichł. Nie było oddzielnych dźwięków, tylko nieprzerwany, jednostajny pomruk miasta. Na wieś wyjeżdżałem jako zurbanizowane chłopię. Ale nie czułem miejskiej wyższości właściwej dla pokolenia wiejskich wyzwoleńców, do którego należeli moi rodzice. Może podświadomie wiedziałem, że jesteśmy wygnańcami? Że dostaliśmy te tramwaje, ten nieustający puls miasta, latarnie rozświetlające peryferyjną dzielnicę po świt, ale utraciliśmy coś, czego nie odzyskamy już nigdy. Ale nie mogło przecież być inaczej. W każdym razie, jadąc niebieskim autobusem sto parę kilometrów na północny wschód, miałem poczucie, że raczej dokądś wracam, niż że gdzieś wyjeżdżam.

W OSIEMDZIESIĄTYM TRZECIM ALBO CZWARTYM ROKU KUPIŁEM ALBUM WIKTORA WOŁKOWA. Nigdy wcześniej nie kupowałem albumów fotograficznych. Nie miałem pieniędzy. Wszedłem do księgarni przy placu Leńskiego, obecnie Hallera, i po prostu kupiłem. Zaraz obok był sklep z „artykułami propagandowymi", w którym wiało pustką i można było sobie kupić czarno-białe portrety Marksa, Engelsa, Lenina oraz krajowych przywódców ↦

Płoty w Wierzchlesiu, Puszcza Knyszyńska, 1998 r.

↦ i mędrców. No ale wszedłem do księgarni, w której też nie było szerokiego asortymentu, i wprost z lady wziąłem Wołkowa. Duży format, brązowa obwoluta, monochromatyczne zdjęcia. Na obwolucie ręcznym pismem „Wołkow" i fotografia rozlewiska z kępami zieleni i łódką z samotną postacią. I gruba, niemal graficzna ziarnistość. Postać na łódce ubrana była w ciężką kapotę, więc pewnie jesień albo wiosna. Łódka przypominała pychówki, które widywałem na Bugu. Cumowały przy brzegu albo w niedzielę zwoziły ludzi z drugiej strony rzeki na mszę. Bo kościół był po tej, a po tamtej nie było. Może dlatego. Przekartkowałem szybko i wstydliwie, bo przecież oglądanie fotografii, tak jak czytanie, jest czynnością intymną. Zwłaszcza w młodości. Ledwo dostrzegłem białe płaszczyzny i czarno-szare figury pozornie niemające wiele wspólnego z odwzorowaniem rzeczywistości, do jakiej w codzienności tamtych czasów byliśmy przyzwyczajeni.

Zapłaciłem, wetknąłem pod pachę i wyszedłem. Może już w tramwaju chciałem obejrzeć dokładniej, ale – tak jak powiedziałem – oglądanie jest wstydliwe, album miał spory format i na pierwszy rzut oka nie zawierał zdjęć, tylko abstrakcyjne grafiki albo plansze z testu Rorschacha, więc co ja niby tutaj, w tej proletariacko-fabrycznej dzielnicy, z abstrakcyjną grafiką i szwajcarską psychologią...

Ale w domu, w samotności nie mogłem się już od tych zdjęć oderwać. Wrony. Płoty. Stogi. Takie tytuły miały kolejne rozdziały. Ktoś sfotografował krajobrazy mojego dzieciństwa, sprowadzając je do obrazów najpierwotniejszych, do form elementarnych. Jakby rzeczy dopiero stawały na granicy widzialnego, jakby właśnie wynurzały się z nieistnienia.

Więc tak prosty był ten pejzaż? Tak surowy, tak nieokrzesany? Jak czarny tusz, jak rozdarcia w bieli, przez które przeświecała ciemność, najstarsza czerń? I dopiero potem nakładały się te wszystkie rzeczy, które wytwarza umysł? Kolory, uczucia, wspomnienia, wyobrażenia o tym, czym jest świat i my sami? Nie mogłem wyjść z podziwu nad tą surowością, która wprowadzała porządek do mojej pamięci. Patrz, synku, myślałem, to jest szkielet widzialnego. To jest kościotrup, na który przyrasta mięso twoich cudnych rojeń.

ALE PRZECIEŻ TO WSZYSTKO BYŁO PO TAMTEJ STRONIE RZEKI. Czy Wołkow w ogóle przekraczał Bug? Czy przekraczał go z aparatem? W 1979 r. zrobił zdjęcie powodzi w Drohiczynie: kobieta i mężczyzna na łódce wśród bezlistnych drzew. Drohiczyn to nadrzeczne miasteczko, ale wciąż na tamtym, podlaskim brzegu. No więc zatrzymywała mnie woda. Wyobrażałem sobie tamtą krainę jako dalszy ciąg wsi, która do tej pory wydawała mi się początkiem świata. Była jak ziemia obiecana, do której powinienem powrócić. Tam wszystko było większe, starsze i piękniejsze. Może nawet był to inny kraj, a ja niczym ubogi krewny albo przybłęda wymyślałem sobie fałszywą genealogię. Powinienem się znaleźć w jakiejś *Liber chamorum*, demaskującej duchowych podrzutków przeróżnych krain.

Żubry koło Białego Ługu, Puszcza Knyszyńska, 1990 r.

Niech więc będzie: ze swojego brzegu patrzyłem na fotografie Wołkowa. Na bagienny niż rozwleczony horyzontalnie i mgliście, na krajobraz podeszły wodą, ledwo ulepiony z mokrej materii, jakby zaraz miał się zasklepić, zamknąć, żeby nie było śladu po tych wszystkich łódkach, ludzkich i zwierzęcych sylwetkach, po domostwach z drewna i słomy ciągnących wilgoć z głębi ziemi, tak jak to robią rośliny, jakby gęsty i wolny nurt miał skryć zaraz świat, który ujawnił się tylko na chwilę, żeby nas omamić, żeby podtrzymać w sercu, w duszy błędny ognik, który nas wiedzie Bóg wie dokąd, ale idziemy za nim, bo przecież nie mamy nic innego. Idziemy, aż zblaknie, pobłękitnieje i czarne lustro bagien zamknie się nad nim na wieki wieków.

PATRZYŁEM NA SWÓJ KRAJ, KTÓRY NICZEGO NIE UDAWAŁ. Nieoczywisty, zasnuty, toczący się wolno ku niewidzialnej krawędzi, przez którą miał się spokojnie przelać i przepaść, ciągnąc za sobą, jak w majestatycznej powodzi, wszystkie przedmioty i zdarzenia, które Wołkow sfotografował, i całą resztę, której nie zdążył. Poziome kreski płotów, skośne zarysy dachów, jedno i drugie oprószone śniegiem. Biel zniknie wiosną, czerń zostanie i wciąż będzie pochłaniała światło, stawiając opór światu, a może też kosmosowi i wieczności, która czyha całkiem obojętnie, pewna swego. Czasem, jakby dla zabawy, dla kaprysu wysyła ogień, wodę i powietrze, żeby sprawdzić, jak kruche jest to, co zrobiliśmy. Te płoty, zarysy pól, siedziby, materia pieczołowicie poukładana w sterty, stosiki i kupki. Możliwe, czasami tak myślę, że wieczność trochę się nudzi i wysyła swoje niesforne dzieci, żeby sobie popatrzeć.

Po jakimś czasie zrozumiałem, co mnie tak pociąga w tych fotografiach: ludzie, którzy wynurzają się z pejzażu w sposób absolutnie naturalny. Rodzina na furmance, kobieta z torebką wśród zimowych drzew, dwie postacie idące koleinami piaszczystej drogi. Żadnego antropocentryzmu. Ta sama materia, ta sama gruboziarnistość obrazu, to samo kruche istnienie na granicy widzialnego. Żadnej pychy. Jakby ulepieni byli z piasku, ze śniegu, z gliny i gotowi na swój los.

„Nikogo nie naśladowałem. Poszedłem swoją drogą. Z założenia niczego poza Podlasiem nie fotografuję. Kiedyś mi nawet Wiesiek Kazanecki powiedział, że tak naprawdę fotografuję powietrze. Sensu nie ma w tym za grosz, ale to działa jak narkotyk: gdy robię zdjęcie, to czuję się, jakbym był na haju...". To są słowa Wołkowa z okładki jego albumu wydanego w 2012 roku.

ZROBIŁO SIĘ CIEPLEJ. ŚNIEGI SCHODZĄ, ciemne wyłazi spod jasnego i krajobraz przypomina wielką fotografię. Palę pierwsze tego roku ognisko. Dokładam to buka, to olchy, to wierzby i powtarzam lekcję zapachów. Tym razem wydaje mi się, że to mokra wierzba pachnie najpiękniej: gorzko, korzennie i trochę jak rozpylony metal. Patrzę, jak drewno zmienia się w żar, a potem w dym i zostaje popiół. Niebieski dym miesza się z powietrzem i czasem wydaje mi się, że mógłbym na to patrzeć bez końca.

© ANDRZEJ STASIUK

„TP" 11/2018

Zagłuszanie Franciszka

Dobrze, że „TP", jako „niekatolickie" w mniemaniu niektórych pismo, poświęcił dużo miejsca człowiekowi, który stara się być odnowicielem Kościoła. W Polsce mamy do czynienia z różnymi, by delikatnie to nazwać, ocenami tego pontyfikatu. W mojej diecezji modlimy się za „papieża Franciszka". Do śmierci Jana Pawła II modliliśmy się za „naszego papieża". Do dziś rekolekcjoniści jeżdżą po kraju z kazaniami o naukach JPII, jakby dwóch pontyfikatów następnych nie było. To i tak lepiej niż w Krakowie, gdzie, podobnież, modlą się o śmierć papieża Franciszka...
Ale są i pozytywne przykłady. Będąc w diecezji legnickiej usłyszałem, że modlimy się za „naszego papieża Franciszka". Niestety, pod względem słyszalności nauki papieża mamy w Polsce sytuację podobną do lat PRL-u. Wtedy miejsca, gdzie można było posłuchać ówczesnych papieży, były zagłuszane. Dziś naukę papieską „zagłusza" rodzima rozgłośnia z Torunia. Nawet nie zagłusza, a wręcz odwraca.

NARCYZ WASZKIEWICZ

„TP" 12/2018

Niech ambona nie parzy

Artur Sporniak w artykule „Ambona, która parzy" poruszył ważny temat. Wiadomo, że księża są różni i różny jest ich poziom wiedzy. Wielu z nich sili się na mądrość, a wychodzi śmiesznie, nie mówiąc już o głoszonych z ambony poglądach politycznych. Dlatego chciałabym usłyszeć zamiast wymęczonego kazania czytany tekst pism papieskich czy wyjątków z mądrych ksiąg. Każdy z nas powinien się dokształcać w swojej dziedzinie, ale nie wszystkich na to stać. Dlatego lepiej posłuchać w czasie mszy św. czegoś mądrzejszego niż byle jakiej homilii. Gdy rozmawiałam o tym z pewnym całkiem mądrym duchownym, odpowiedział, że ksiądz ma od ołtarza nauczać wiernych. To prawda, lecz forma, a i często treść dają odwrotny do zamierzonego skutek. Słuchający takiej homilii zbierają cięgi za tych, którzy „źle się prowadzą" albo „niszczą Kościół". Może wtedy lepiej rzeczywiście zamknąć uszy. Ale czy o to chodzi?

MARIA ZACHOROWSKA

Prośba o pomoc

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dr. Mosinga prosi o pomoc dla 4-letniego Andrzejka Lechowicza ze Lwowa. Wraz z rozwojem dziecka rodzice zauważyli, że chłopiec nie słyszy, a nieco później, że nie zaczyna mówić. W połowie marca tego roku Andrzejek dostał diagnozę: niedosłuch czuciowo-nerwowy obustronny głębokiego stopnia. Dziecko nie słyszy i nie mówi. Jedyną możliwością, by mogło się rozwijać, jest wszczepienie implantu ślimakowego. Na Ukrainie koszt to 15 tys. euro, czyli ok. 63 tys. zł. Dla rodziców to kwota nieosiągalna. Jeśli ktoś chciałby pomóc, prosimy o wpłaty na konto Fundacji: BGŻ BNP Paribas 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 z dopiskiem: „Andrzejek Lechowicz".

MONIKA MICHALAK,
Fundacja dr. Mosinga

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
Radio złoteprzeboje
wprost Rzeczy VIVA! iTeSz Party InStyle Gitarzysta Gazeta Bankowa
pap Multikino empik 4GOLD PRESS SERVICE VIXON STRÖER cgm.pl onet

TYGODNIK POWSZECHNY
Nr 14/2018
DODATEK SPECJALNY
Redakcja:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Hospicjum to też Życie

JACEK REMBOWSKI X2

ANNA JANOWICZ
PREZES FUNDACJI HOSPICYJNEJ

Gościna serca

PARTNER DODATKU

Hospicjum to też Życie
Fundacja Hospicyjna

Jubileusz to oczywista okazja do podsumowań. Wzruszająca i skłaniająca do refleksji. Tym bardziej, jeśli jest to jubileusz istnienia instytucji o roli i misji szczególnej, jaką jest zapewnienie holistycznej opieki nieuleczalnie chorym dzieciom, dorosłym u kresu życia oraz wsparcia ich bliskich i rodzin osieroconych. Taką opiekę od 35 lat zapewnia Hospicjum dla Dzieci i Dorosłych im. ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku. To właśnie ks. Dutkiewicz, nie godząc się na pozostawienie chorych, którym medycyna nie umiała już pomóc, zachęcił lekarzy, pielęgniarki i osoby niezwiązane z medycyną, aby wolontaryjnie poszli do domów chorych i towarzyszyli im do końca. Brakowało leków i środków do pielęgnacji, nie było telefonów komórkowych, ale była determinacja i niezgoda na cierpienie i bezradność.

Dziś jest pod wieloma względami łatwiej, ale osób wymagających opieki paliatywno-hospicyjnej i wsparcia jest coraz więcej. Fundacja Hospicyjna, prowadząca Hospicjum, realizuje wiele projektów, których celem jest odpowiedź na te rosnące potrzeby. To Fundusz Dzieci Osieroconych „Tumbo Pomaga", w ramach którego każdego roku setki osieroconych dzieci otrzymują wsparcie psychologiczne i socjalne. To kampanie społeczne „Hospicjum to też Życie", które mówią o sprawach trudnych i wskazują ich rozwiązania. To poradniki na temat opieki czy wsparcia w żałobie, a także bajki terapeutyczne, szkolenia dla potrzebujących pomocy i dla chcących pomagać. To tworzenie wolontariatu na rzecz chorych w domach i w instytucjach opiekuńczych. Zgodnie z dutkiewiczowską „gościną serca", zgodnie z hospicyjną filozofią całościowego widzenia człowieka cierpiącego. ©

Chory jest sterem

MARIUSZ SEPIOŁO

Każdy, kto jeszcze tu nie był, wyobraża sobie najgorsze. Gdy już tu trafi, zobaczy uśmiech i życie.

ARKADIUSZ WEGNER

Anna Janowicz, prezes Fundacji Hospicyjnej: – Kiedy wchodzę do Domu Hospicyjnego, czuję ogarniający mnie spokój. Przypominam sobie, co w życiu jest rzeczywiście ważne.

1.

Ks. Eugeniusz Dutkiewicz SAC, przez bliskich zwany „Gienkiem", w latach 80. stykał się z chorymi wypychanymi na margines. Będąc w ostatnich stadiach ciężkich chorób, byli wypisywani ze szpitali, by umrzeć bez fachowej opieki. Ich bliscy – jeśli ich mieli – musieli nauczyć się pielęgnowania umierających. Ich domy – jeśli je mieli – stawały się dziennymi oddziałami improwizowanej opieki paliatywnej.

„Gienek" stworzył grupę pracowników medycznych, z którymi chodził do domów chorych. Tak zrodził się „model gdański" hospicjum domowego. Najważniejszą jego cechą jest „gościna serca" – zasada, którą powinien się kierować każdy członek zespołu hospicyjnego.

W 2002 r. została ukończona budowa Domu Hospicyjnego przy ul. Kopernika. Dwa lata później powstała Fundacja Hospicyjna. Dziś wspiera kilkadziesiąt hospicjów w całej Polsce i prowadzi Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC oraz realizuje lokalne i ogólnopolskie działania edukacyjne i pomocowe.

2.

Agnieszka Paczkowska pracę psychologa w hospicjum zaczęła po skończeniu studiów. „Nasza pani Agnieszka" – mówią o niej współpracownicy. Niezastąpiona. Bo kiedy brakuje sił, cierpliwości, można przyjść właśnie do niej i porozmawiać.

Spotykamy się w Domu Hospicyjnym. – Do każdej sytuacji staramy się podchodzić indywidualnie – mówi Paczkowska. – Na początku muszę rozpoznać nie tylko potrzeby chorego, ale także jego bliskich. Bo opieką psychologiczną powinna być objęta cała rodzina. Staram się uważnie słuchać i nie dawać rad. A najlepsza pomoc to ta wypracowana przez cały zespół.

Dr Andrzej Gryncewicz, lekarz hospicyjny, opowiada o tym, jak przekazywać złe wiadomości. Jak nie zwiększyć bólu i złości. – Mogę o wszystkim dokładnie opowiedzieć, wszystko wytłumaczyć – mówi Gryncewicz. – Zapewnić, że ból i inne objawy zostaną przez nas zlikwidowane. Uspokoić, że pacjent w ostatnich chwilach nie będzie cierpiał.

Rolą hospicjum jest też umożliwienie pacjentowi pożegnania. – Bez względu na wyznanie można porozmawiać z duchownym, pogodzić się z Najwyższym – mówi lekarz. – Ale także ze światem doczesnym. Żeby chory nie zostawiał niezałatwionych spraw, zobowiązań, długów.

Elżbieta Skowrońska, wieloletnia pielęgniarka hospicjum, opowiada, że sztuką jest towarzyszyć, ale nie przeszkadzać. Nawet jeśli pacjent jest „trudny", zły, sfrustrowany, trzeba być życzliwym i spokojnym.

– Pielęgniarstwo i hospicjum to całe moje życie – mówi Skowrońska. – Czasem musimy się bronić przed tym, by potrzeby chorych nas nie zawłaszczyły, całkiem nie pochłonęły. Siadają nam kolana, kręgosłupy. Dziewczyny niekiedy wychodzą na chwilę, by zrobić sobie zastrzyk przeciwbólowy i wrócić do pracy...

Jako młoda pielęgniarka nie potrafiła nawet na chwilę odciąć się od problemów hospicyjnych. – Do tego się dojrzewa – twierdzi. – Tak samo jak do pogodzenia się ze śmiertelnością.

Choć pani Elżbieta patrzy na to inaczej: – Wierzę, że życie nie kończy się tutaj. Bez tego przekonania nie mogłabym się pogodzić, że wokół nas jest tyle śmierci.

3.

Alicja Stolarczyk opowiada o przejściu ze świata biznesu do Fundacji Hospicyjnej: – Pracowałam w wydawnictwie medycznym. Tam rządziły prawa rynku, liczyły się efektywność, kreatywność, budżetowanie, harmonogramy. I właściwie to wszystko przeniosłam do Fundacji, bo tutaj też chodzi o pozyskanie pieniędzy. Tyle że cel jest inny: nie idą do prywatnych kieszeni, tylko na pomoc podopiecznym.

Pani Alicja była drugim, po ks. Piotrze Krakowiaku, prezesem Fundacji. Poznała ks. Dutkiewicza, kiedy ten pracował jako kapelan w Akademii Medycznej i dobrze znał się z rodzicami jej męża. Przychodził do ich domu i opowiadał o dramatach umierających. Pani Alicja włączyła się w ruch hospicyjny już po jego śmierci.

Rolą fundacji jest m.in. skłanianie darczyńców do przekazywania środków na hospicja. Jak to robić skutecznie, ale z wyczuciem? – Uczciwie, szczerze – odpowiada Stolarczyk. – Kiedyś rozmawiałam z biznesmenem. Powiedział: „Jeżeli opowie mi pani historię, która mnie wzruszy, przekażę pieniądze". Opowiedziałam o pewnej poetce. Biznesmen się nie wzruszył. Opisałam tę sytuację znajomym. Jeden z nich, też przedsiębiorca, rzucił: „Ile potrzebujesz? Ja to sfinansuję".

4.

Anna Janowicz zastąpiła na stanowisku prezesa Alicję Stolarczyk. Pracę w Fundacji zaczęła 12 lat temu w zespole prasowym. Miała zainteresować dziennikarzy tematyką hospicyjną. Nie było łatwo. – To dotykanie trudnych tematów – mówi Janowicz. – Ważne jest jednak, by obok problemów pokazywać też rozwiązania. Przykładem są nasze społeczne kampanie. Np. ostatnia – „Opiekun rodzinny – nie musi być sam" – pokazująca niełatwą sytuację i potrzeby opiekunów rodzinnych, a jednocześnie możliwe formy ich wsparcia. Zamiast narzekać, musimy działać, zaczynając od drobnych kroków. Wierzymy, że ziarno raz rzucone da efekty na większą skalę. Dzięki kampanii poświęconej opiekunom problem został poruszony na ostatnim Kongresie Praw Obywatelskich. Kiedy trafiłam do Fundacji w 2006 r., zespół przygotowywał kampanię na temat żałoby.

– Jak „sprzedać" temat żałoby? – pytam.

– Nie bać się trudnych rozmów – odpowiada pani Anna. – W ludziach jest potrzeba dzielenia się emocjami. Ważna jest też świadomość, że coś, co mnie spotkało, zdarza się innym i mają oni podobne rozterki, lęki. Nie są sami. Trzeba bez epatowania cierpieniem mówić, co jest nieodłącznym elementem życia. I działać praktycznie. Zawsze staramy się, by był konkretny efekt naszej kampanii – szkolenie, poradnik czy program wsparcia.

Janowicz w „Drogowskazach" ks. Dutkiewicza, wyborze z jego homilii i rekolekcji, najważniejsze dla siebie zasady zaznaczyła jaskrawymi kolorami. Jedną z nich jest holistyczność opieki. Drugą – że „chory jest sterem". – Powinniśmy za nim podążać – mówi pani prezes. – Próbowałam być wolontariuszką w naszym hospicjum. Pamiętam podopiecznego, któremu poszłam pomóc. Zagajałam rozmowę, pytałam, czego potrzebuje, czy coś podać. W końcu zamilkłam i chciałam odejść, a wtedy ten pan pomału zaczął mówić. Nie o sobie, ale o tym, że martwi się o syna. Czy sobie radzi. Zrozumiałam jedno: często wydaje nam się, że wiemy, jak pomóc, i chcemy „uszczęśliwić na siłę". A trzeba przede wszystkim słuchać.

5.

Ważna w działalności hospicjum jest opieka domowa. W domach chorych pracują lekarze, pielęgniarki, fizjoterapeuci, psychologowie i pracownik socjalny. Beata Król jest przełożoną pielęgniarek w Domowym Hospicjum dla Dzieci.

– Naszą rolą jest nie tylko opieka medyczna, pielęgnacja – tłumaczy. – Czasem jesteśmy także po to, by porozmawiać, usiąść przy kawie, wysłuchać. Często to pielęgniarki są źródłem informacji o tym, czego chory i jego rodzina potrzebują.

Powołanie znalazła bardzo wcześnie. Widziała, jak do chorej babci podchodzą lekarze i pielęgniarki w czasach PRL. Nie mogła znieść jej poniżania, traktowania jak przedmiot przerzucany z łóżka na łóżko. Przed śmiercią babci przyrzekła sobie: „Będę pielęgniarką".

6.

Anna Kulka-Dolecka jest szczęśliwą mamą Kuby i Pawełka, który od 10 lat znajduje się pod opieką Domowego Hospicjum dla Dzieci im. ks. E. Dutkiewicza. Ale też szczęśliwą żoną, realizującą w dodatku swoje pasje. Pisze artykuły do hospicyjnego kwartalnika, szaleje w kuchni, a wczoraj przebiegła kolejny półmaraton.

– Na I roku studiów dowiedziałam się o piramidzie Maslowa, która wiele w moim życiu wyjaśnia – mówi, kiedy pytam o rolę hospicjum w jej codzienności. – Wynika z niej, że zaspokojenie podstawowych potrzeb stwarza dużo większą szansę na pojawienie się pragnień wyższych. Opieka hospicyjna nad moim ciężko chorym dzieckiem sprawia, że wypełniana jest właśnie jedna z tych podstawowych potrzeb: bezpieczeństwo.

W jaki sposób to się dzieje? Pani Anna, pytana o opiekę nad Pawełkiem, używa określeń: kompleksowa, sprawowana z pasją, z sercem. – Paweł ma pełną opiekę medyczną, w domu jest wypożyczony z hospicjum specjalistyczny sprzęt, na miejscu pobierana jest krew i zawożona do laboratorium. Od kilku miesięcy do Pawełka przyjeżdża też pani dentystka, a od zawsze fizjoterapeutka. Moja cała rodzina dostała wielkie psychiczne wsparcie, również w kwestiach niezwiązanych z chorobą. Dostaliśmy od hospicjum spokój.

W zespole Domowego Hospicjum dla Dzieci jest Karolina Pawłowska, pracownik socjalny. Jej zadaniem jest rozpoznanie materialnych problemów chorych i ich rodzin. To kolejny element holistycznego podejścia. – W grudniowej akcji udało nam się zebrać 50 tys. zł, dzięki którym możliwe będzie wysłanie rodzin i podopiecznych na turnusy rehabilitacyjne – mówi Pawłowska. – Dla wielu będzie to pierwszy wyjazd od lat.

7.

Wolontariusze – można ich rozpoznać po żółtych koszulkach. W hospicjum jest kilka rodzajów wolontariatu: opiekuńczy, akcyjny, pracowniczy, ale też wolontariat kierowców i więźniów.

Teresa Marczewska, która sama z dumą mówi o sobie „najstarsza wolontariuszka", ma 80 lat. W 2004 r. przeszła operację onkologiczną. Ciężko znosiła chemioterapię, ale kiedy poczuła się lepiej, postanowiła, że odwdzięczy się za „drugie życie".

Zaczęła w 2006 r. w Hospicjum Domowym dla Dzieci. – Opiekowałam się cudowną trójką – opowiada. – Na początku trafiłam do Filipka, który był w bardzo ciężkim stanie. Pomyślałam, że nie dam ↦

Pamiętam DAWIDA, który wspaniale się uczył i był ułożony. Potrzebował kogoś, kto by mu powiedział, że może sobie czasem odpuścić i popłakać. Zmarła jego mama.

Pamiętam MAŁĄ MAJĘ, która zrobiła się bardzo „grzeczna". Potrzebowała kogoś, kto powiedziałby jej, że zmarli nie siedzą na chmurce. Zmarł jej tata.

Pamiętam ZBUNTOWANĄ JULIĘ, która przeprowadziła się do babci, bo od niej miała bliżej do szkoły. Potrzebowała ponownego zamieszkania w swoim domu, razem z tatą. Zmarła jej mama.

Pamiętam ZOSIĘ, która przystępowała do I komunii św. Zastygała w bezruchu. Była przerażona. Potrzebowała informacji, co się dzieje. Jej siostrzyczka umierała.

Pamiętam MICHAŁA, który miał lęki i się moczył. Potrzebował uwagi rodziców, którzy zajmowaliby się również nim. Jego młodszy brat był pod opieką Domowego Hospicjum dla Dzieci.

Agnieszka Paczkowska, psycholog w Hospicjum ks. E. Dutkiewicza SAC

DZIECI RADZĄ SOBIE SAME TYLKO W BAJKACH

↦ rady, a moja praca nie ma sensu, bo i tak Filipkowi nie pomogę. Ale zadałam sobie wtedy pytanie: „Co, jeśli nie tylko ja zrezygnuję, ale i osoba, która przyjdzie po mnie? Co będzie z mamą chłopca?”. Kiedy Filipek po raz pierwszy spojrzał mi w oczy, prawie popłakałam się ze szczęścia. Innym razem opiekowałam się dziewczynką, która w ogóle nie mówiła. Kiedy czekałyśmy na badania w szpitalu, zobaczyłam, jak Jasminka – choć nie kontaktowała się ze światem – płacze z żalu nad inną chorą dziewczynką. Zobaczyłam, że pomimo jej stanu są w niej ogromne pokłady wrażliwości. Takie drobne gesty dają w tej pracy szaloną radość.

Później pani Teresa zaczęła pracę w Domu Hospicyjnym. Mówi, że najważniejsze jest towarzyszenie. – Umierał wspaniały starszy pan – opowiada. – Mówił: „Jak dobrze, że pani jest”.

Pani Teresa mieszkańcom Domu Hospicyjnego stara się też dać radość, organizując przedstawienia. Role – pod jej reżyserią – odgrywają pracownicy Fundacji i wolontariusze. Pani Teresa sama przez lata była aktorką w gdyńskim teatrze. Ostatnim wyreżyserowanym przez nią przedstawieniem był „Sąd”, humoreska Jerzego Jurandota. Spektakl odbył się w Domu Hospicyjnym w Dzień Kobiet. Z górnego piętra na łóżkach i wózkach przywiezieni zostali pacjenci. Wolontariusze dbali o ich wygodę. Byli przy nich, jedna z pań cały czas gładziła dłoń podopiecznej. A kiedy aktorzy dotarli do puenty, na twarzy chorej kobiety pojawił się delikatny, ale widoczny uśmiech.

8.

W Domu Hospicyjnym ciepłe światło wypełnia główny korytarz z wysokim stropem. Ściany pomalowane na różne odcienie beżu. Cisza. Idziemy korytarzem na piętrze budynku. W głębi pokoje – pokoje właśnie, nie „sale chorych”. W środku pacjenci.

Każdy, kto jeszcze tu nie był, wyobraża sobie najgorsze. Ale jak już tutaj trafi, zobaczy uśmiech. Pacjentów jest trzydziestu dwóch, cierpią na ciężkie choroby, w większości nowotwory. Gdy przechodzimy obok ich pokoi, patrzą z zaciekawieniem i uśmiechają się.

Życie toczy się dalej.

© MARIUSZ SEPIOŁO

Wzorzec metra

KS. PIOTR KRAKOWIAK SAC:

Trzeba odebrać śmierć i odchodzenie wyłącznie sterylnej medycynie. Włożyć w tę opiekę ducha i ciepło domowe.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Kiedy po raz pierwszy zetknął się Ksiądz ze śmiercią?

KS. PIOTR KRAKOWIAK: Późne lata 80., pisałem pracę magisterską o eutanazji, przygotowywałem się też do wyjazdu na misję. W ramach przygotowań przechodziłem szkolenie medyczne w szpitalu na warszawskiej Pradze.

Pewnego dnia przywieziono do nas starszą panią. Jak się okazało, chciała pomóc córce w myciu okien. Wypadła z dziesiątego piętra, a gdy znalazła się u nas, wciąż żyła. Starsza, doświadczona lekarka, uczestnicząca jeszcze w powstaniu warszawskim, powiedziała: „Zostawcie ją, bo jej każdy organ jest zniszczony”, mając na myśli zaprzestanie działań ratunkowych. A ja, młody student, „nafaszerowany” filozoficzną wiedzą, rozstrzyganiem tych wszystkich dylematów etycznych, krzyknąłem: „Co pani mówi, przecież to jest eutanazja!”. „Synu – usłyszałem – klęknij przy tej pani i módl się o jej dobrą śmierć”.

Byłem przy niej do końca. Nie zapomnę wydobywających się z jej ust różowawych bąbelków śliny zmieszanej z krwią, coraz słabszego oddechu. Odeszła po kilkunastu minutach. Skonfrontowałem wtedy swój młodzieńczy idealizm z realizmem. I z mądrością tej starszej lekarki.

Wkrótce poznał Ksiądz legendarnego twórcę gdańskiego modelu hospicjum domowego, ojca polskiego ruchu hospicyjnego – ks. Dutkiewicza.

Praca, którą pisałem, traktowała o gdańskim hospicjum. Postać ks. Eugeniusza była mi znana, choćby z łamów „TP”. Jako pierwszy krajowy duszpasterz hospicjów wykonał gigantyczną pracę. Odwiedzał je wszystkie, ale też „przeorał” seminaria, opowiadając klerykom, czym jest opieka paliatywna i hospicyjna.

Podczas któregoś z urlopów uznałem, że skoro piszę o gdańskiej placówce, muszę też odwiedzić jej szefa. Powiedział mi jedną rzecz: literatura owszem, ale musisz też odwiedzić chorych... Tak trafiłem z nim do mych pierwszych pacjentów w domowych hospicjum.

Potem były święcenia, po których nie było już mowy o misjach w Afryce, ale o misji kapelana gdańskiego ośrodka.

Początek lat 90. – co to był za czas dla polskiego ruchu hospicyjnego?

Wcześniej działało ledwie kilkanaście ośrodków w miastach. To był czas rozwoju kolejnych placówek. Ale też zmiany mentalności ludzi, łagodzenia lęków. Fenomenem lat 90. były hospicja domowe, zapoczątkowane w 1983 r. przez ks. Dutkiewicza. Gdański model opieki, w którym najważniejsza była praca zespołowa i udział świeckich – lekarzy, pielęgniarek, rehabilitantów, psychologów, wolontariuszy – przyjmował się w wielu miejscach.

Ważnym elementem było też powstanie Ogólnopolskiego Forum Ruchu Hospicyjnego, które postawiło sobie m.in. za cel zintegrowanie społecznego ruchu wolontariuszy z nowoczesną opieką paliatywną.

Dlaczego to ważne?

Cała idea polega na tym, by odebrać śmierć i odchodzenie wyłącznie zimnej, sterylnej medycynie. By włożyć w tę opiekę ducha, ciepło domowe i zaangażowanie profesjonalistów różnych dziedzin oraz dobrą energię wolontariuszy.

W 2002 r., po śmierci ks. Dutkiewicza, został Ksiądz dyrektorem gdańskiego hospicjum. Wkrótce powstała Fundacja Hospicyjna.

I tak jak ks. Dutkiewicz ruszył dużo wcześniej do seminariów, Fundacja postanowiła trafić do społeczeństwa. Hasło „Hospicjum to też Życie” pojawiło się w prasie, radiu, telewizji, a potem w internecie.

Dziś to hasło wydaje się być oczywistością – wtedy było novum.

Zanim zostałem dyrektorem hospicjum, pracowałem jako psycholog w kli-

nice onkologii. Widziałem lekarzy i pielęgniarki, którzy byli dumni ze swojej pracy. Potem szli do hospicjum, i wyczuwało się początkowo wśród nich podświadome być może przeświadczenie, że „to koniec", że w zasadzie medycyna nie ma tu nic do gadania. A przecież hospicjum to miejsce, w którym można kapitalnie wykorzystać kompetencje dla dobra chorego.

Do hasła „Hospicjum to też Życie" trzeba też było przekonać wolontariuszy. Proszę pamiętać, że tamte czasy to był – jeśli chodzi o masowy ruch wolontaryjny – głównie Jurek Owsiak i Caritas, skupiający w dodatku w dużej mierze ludzi młodych. Fundacja trafiła do szerokiego odbiorcy z przekazem: „Halo, wolontariat to też kapitalna sprawa dla osób 50 plus, 60 plus i więcej". Dzisiaj mamy już wolontariuszy po siedemdziesiątce, osiemdziesiątce. Moja mama, która ma 83 lata, i jest liderką wolontariatu w hospicjum, mówi: „Synu, jak ja tam idę, to czuję się zdrowsza". W dodatku mobilizuje koleżanki, które robią coś dobrego, zamiast ograniczać się wyłącznie do odwiedzania kościołów i słuchania jednej rozgłośni radiowej...

„Hospicjum to też Życie" – co to właściwie dla Księdza oznacza?

Zawsze mnie dziwiło, że ludzie, którzy odwiedzali mnie w gdańskim hospicjum po raz pierwszy, mieli grobowe miny i ściszali głos, jakby wkraczali do kostnicy.

Jak Ksiądz reagował?

Nie musiałem reagować. Sami dostrzegali, że my tu żyjemy: razem się modlimy, robimy koncerty, śmiejemy się i bawimy. Widzieli, że to nie lazaret ani „umieralna", ale miejsce ważnego do końca życia.

Na czym polega niezwykłość tej opieki?

HOSPICYJNY CHORY: „Myślałem, że już nigdy nie zobaczę słońca, bo w domu mieszkam na trzecim piętrze, bez windy. A tu jest piękny ogród, wokół tyle uśmiechniętych twarzy, obok codziennie siedzi moja żona. Jestem szczęśliwy".

MĄŻ CHOREJ: „Żona swoje ostatnie dni spędziła w luksusie i bez bólu. Bardzo ją kochałem, ale nawet ja nie byłem jej w stanie tego dać".

LEKARZ: „Nasi podopieczni kontakt z zaganianym personelem przeciwczyli już w innych miejscach. Tu mamy dla nich czas".

PIELĘGNIARKA: „Wychodząc ze szpitala, zamykam za sobą drzwi. Wychodząc z hospicjum, nie robię tego. Najbliżsi to akceptują, znają imiona moich hospicyjnych dzieci".

WOLONTARIUSZ-WIĘZIEŃ: „Dzięki umierającym przekonałem się, jak ważna jest każda chwila życia. Ja tyle ich zmarnowałem".

HOSPICJUM TO TEŻ ŻYCIE

Na wspomnianej współpracy zespołu różnych specjalistów z wolontariuszami. Ale też na egalitarnym podejściu: gdy pracowałem w klinikach, obserwowałem niebotyczny wręcz dystans między profesorami, doktorami i np. sprzątaczkami. A istotą pracy hospicjum jest siła zespołu: ludzie mówią sobie po imieniu, ufają sobie, zdejmują z siebie te korony i zdania typu: „Ja, wielki doktor". Co nie oznacza, że w każdym hospicjum funkcjonują takie zespoły, a w każdym szpitalu panują zhierarchizowane relacje. Ale na pewno polski ruch hospicyjny jest pod tym względem zdecydowanie kilka kroków przed innymi dyscyplinami medycyny.

W jakim punkcie dzisiaj jesteśmy?

Mamy połamane różne tabu: rozmowa o śmierci, odchodzeniu jest już czymś normalnym. Mamy gęstą sieć placówek, tysiące wolontariuszy. Na mapie europejskiego ruchu hospicyjnego wyglądamy imponująco, nawet na tle Zachodu.

Hospicjum prowadzi też kampanie społeczne, choćby „Opiekun rodzinny – nie musi być sam".

Chodzi o zauważenie roli ludzi, którzy o stanie chorego wiedzą zwykle najwięcej. Opiekunowie – ludzie zwykle w wieku około 50 plus – są często nie tylko samotni, ale też umęczeni do granic wytrzymałości. Badania pokazują, że nierzadko umierają przed swoimi podopiecznymi! Nie dbają o siebie, nie badają się, bo całą uwagę koncentrują na chorych.

Fundacja chce zwrócić uwagę na problemy tej grupy. W Hospicjum w Gdańsku już kilkakrotnie organizowane były dni profilaktyki – lekarze wolontaryjnie udzielali konsultacji i przeprowadzali trudno dostępne dla opiekunów badania.

Te setki tysięcy osób są dziś niemal pozostawione same sobie, również przez państwo. Wzorem wsparcia dla nich i dla ich podopiecznych może być polski ruch hospicjów domowych. Nieprzypadkowo to Fundacja zwraca uwagę na ten problem.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ARCH. PRYW

KS. PIOTR KRAKOWIAK SAC jest założycielem i długoletnim prezesem Fundacji Hospicyjnej, krajowym duszpasterzem hospicjów.

Fundacja działa!

PRACA GDAŃSKIEJ FH, która prowadzi Hospicjum Dutkiewicza, to nie tylko codzienna opieka nad chorymi na oddziale stacjonarnym i w domach, ale także pomoc finansowa, psychologiczna czy edukacyjna. Na rzecz tysięcy ludzi. Przykładem jest prowadzony od 2006 r. Fundusz Dzieci Osieroconych **„Tumbo Pomaga"**, wspierający socjalnie dzieci osierocone przez hospicyjnych chorych oraz psychologicznie wszystkie dzieci i młodzież, bez względu na przyczynę śmierci ich bliskich. FH prowadzi portal **www.tumbopomaga.pl** dla małoletnich żałobników, ich opiekunów, nauczycieli i rówieśników, a także wydaje opowiadania terapeutyczne w serii **„Bajka Plasterek"** (np. bohaterem „Czarów mamy" – jednej z trzech wydanych dotąd bajek – jest pięcioletni chłopiec, który wraz z ojcem uczy się radzenia sobie ze stratą).

Działania FH to też kampania edukacyjna **„Hospicjum to też Życie"**, która w tym roku doczeka się XV edycji. To również szkolenia, choćby dla przyszłych wolontariuszy czy koordynatorów wolontariatu, a także działalność wydawnicza, jak seria **„Biblioteka Fundacji Hospicyjnej"** czy kwartalnik „Hospicjum to też Życie". ©

STANISŁAW

Mancewicz: *Do dna*

Czas wolny, czas zajęty oraz poczucie braku czasu to sprawy żywo, od dawna i wciąż nas ciekawiące. Wieleśmy spożyli lektur na te tematy, a w naszym skromnym laboratorium badawczym i w niewielkiej pracowni obserwacyjnej praca wre niemal od rana do wieczora. Każdy zapewne widzi, że czasu wolnego przybywa ludziom od plus-minus epoki kamienia łupanego, kiedy to człowiek był zmuszony łupać bez ustanku, choćby po to, by się nieco rozgrzać. Z czasem łupaniny było coraz to mniej, Homo wyspecjalizował się bowiem – co wiemy – w wynajdywaniu mechanizmów samołupiących. Otóż mechanizacja łupania ma swoje dobre i złe strony. Rzecz jasna zdania powyższe sumujące historię rozwoju ludzkości są – mówiąc oględnie – bardzo dużym skrótem, zastosowanym tu z racji szczupłości miejsca. Zważyć jednak należy, że tkwi w nich sedno zarówno ubywania, jak i przybywania. Ubywania sytuacji służbowych i przybywania okoliczności prywatnych, rozrywkowych, w których z definicji człowiek robi to, na co ma ochotę, ale też zmaga się z łupaniem, choćby w głowie.

Wiele już czasu strawiliśmy nad rozmyślaniami, czy czas zwany wolnym jest zaiste takim. Na ile czas wolny od pracy jest źródłem pogłębiającego się cierpienia? Otumanienia bądź rozciapciania? Jak czasowe zwolnienie od kowania własnego losu przekłada się na rozmyślania o owym losie w sposób bądź to pogodny, bądź smutny? Ile z tych rozmyślań jest rzeczywiście rozluźniających, a ile spinających bądź to wiodących ku frustracjom i depresjom? Czy praca może zapobiec jałowym roztrząsaniom? Czy dni wolne od pracy są dniami *de facto* wypełnionymi radością, czy raczej poczuciem pustki skłaniającej do poirytowania? A w końcu, ile z części czasu wolnego człowiek poświęca na rozmyślania o swym sukcesie bądź klęsce? No i czy mimo czasu nominalnie wolnego człowiek jednak nie macha przypadkiem kilofem bez ustanku, a precyzyjniej rzecz ujmując: jak wiele mózg jego macha? Naturalnie, choć nie trzeba tego dodawać, technologia łącząca nas z rzeczywistością pozadomową bardzo komplikuje definiowanie wolnego czasu. Zaiste dawniej swój kilof człowiek pozostawiał w pracy. Dziś zaś zabiera go do domu – popatrzmy – nawet minister, a zwłaszcza minister kultury, który przecież powinien wypoczywać, zwłaszcza od zgryźliwości. Myślimy, że minister gdzieś bądź kiedyś winien nabierać słodyczy tak potrzebnej w kontaktach ludzi kulturalnych, chyba że jako taki nie miewa z takowymi żadnego kontaktu, co zresztą jest możliwe.

Tych kilka pobieżnie zebranych pytań i rozważań ma charakter świątecznej ciekawostki, ale wzięły się one z nieklimatyzowanej opinii wspomnianego ministra kultury na temat naszego pisma. Z opinii tej wynika, że pismo nasze mu się nie podoba. Zawsze to trochę przykre, ale tylko w sensie ludzkiego, odruchowego pragnienia podobania się bądź miłości. Teoretycznie. Oczywiście byłoby znacznie gorzej i smutniej, a wręcz tragiczniej, gdyby ministrowi kultury pismo nasze się jednak podobało i byłby to komunikował publicznie. Nie ma bowiem gorzej, niż być pieszczochem władzy. Po kolegach z pism będących w takiej sytuacji widzimy, że ich życie płynie wśród publicznie uprawianych a krępujących pieszczot, od całusków do całusków, w aurze niemal jakowejś alkowy, by nie rzec: buduarku. Uprawianie miłości z władzą, a zwłaszcza z władzuchną, jest niemal zawsze wyrokiem i wielkim kłopotem, użyjmy tego słowa – alimentacyjnym. W opinii ministra kultury znajdować wypada zatem wielką pociechę i ukojenie, że oto droga obrana przez nasze pismo nie wiedzie jednak przez krzaki, gdzie jakże często znaleźć można zwitki zużytych gazet.

I jedna drobnostka na koniec, o charakterze erudycyjnym. Oto minister kultury był łaskaw pochwalić się niejako przy okazji, że ongiś w piśmie naszym czytywał felietony Kisielewskiego. Dawno to było. Kilka cytatów z nich pochodzących, zwłaszcza o tym kto, jak i kim rządzi, można by ze zrozumieniem przestudiować i dziś, oraz, co nietrudne, sprawdzić, jakie były na te felietony reakcje ówczesnej władzy i – jeśli głowa pozwoli – porównać sobie to i owo. Do dna. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Hospicjum to też Życie
Fundacja Hospicyjna

35 LAT Hospicjum Dutkiewicza

REKLAMA

Marcin Krupa Prezydent Miasta Katowice zaprasza

Festiwal Katowice Kultura Natura

Dziecięctwo

NOSPR

KATOWICE *dla odmiany* | KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

11—20 V 2018

kulturanatura.eu **nospr.org.pl**

ORGANIZATORZY

NOSPR

Stowarzyszenie Katowice Kultura Natura

INFRASTRUKTURA I ŚRODOWISKO

PARTNERZY

Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach

dwójka POLSKIE RADIO

GOETHE INSTITUT

NOSPR WSPÓŁFINANSUJĄ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLSKIE RADIO

KATOWICE *dla odmiany*

SPONSOR NOSPR I PROJEKTU AKUSTYKI SALI KONCERTOWEJ

TAURON

PARTNER MOTORYZACYJNY

BMW

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko | Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl